

Detroit

Sekcja zwłok

Ameryki

CHARLIE LEDUFF

Detroit, kiedyś najbogatsze miasto w kraju, teraz jest miastem najbiedniejszym. Detroit to amerykański analfabeta i stolica tych, którzy zbyt wcześnie zrezygnowali z nauki. Tutaj dzieci muszą zostawiać podręczniki w szkole, za to przynosić do niej własny papier toaletowy. Detroit to stolica bezrobocia, w której połowa dorosłej populacji nie ma stałej pracy. Znajdziesz tu strażaków bez butów, policjantów bez samochodów, nauczycieli bez długopisów, członków rady miejskiej z telefonami podsłuchiwanymi przez FBI i zdecydowanie zbyt wiele kobiet, które nie mają już czym płakać.

Ale Detroit nie można już dłużej ignorować, bo to, co wcześniej wydarzyło się tutaj, teraz dzieje się tam. Od Phoenix, przez Los Angeles, po Miami, kolejnych sąsiadów Detroit atakuje plaga pustych domów i mężczyzn o beczynnych rękach.



W Serii Amerykańskiej ukaże się m.in.:

S.C. Gwynne *Imperium księżycy w pełni. Wzlot i upadek Komanczów, najpotężniejszego indiańskiego ludu w historii Ameryki Północnej*

Już w księgarniach:

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*

Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*

Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

Allen Ginsberg *Listy*

Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*

Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia.*

Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary

CHARLIE LEDUFF

DETROIT

Sekcja zwłok Ameryki

Przełożyła Iga Noszczyk



Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Detroit: An American Autopsy*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Fotografia na okładce © by Bruce Gilden / Magnum Photos / FORUM
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © 2013, 2014 by Charles LeDuff
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2015
Copyright © for the Polish translation by Iga Noszczyk, 2015

Redakcja Tomasz Mucha
Korekta Andrzej Piotr Lesiakowski / d2d.pl, Magdalena Mrozek / d2d.pl
Skład Alicja Listwan / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej Janusz Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-051-2

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
www.czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Wołowiec 2015
Wydanie I

SPIS TREŚCI

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

CZĘŚĆ I Ogień

Gra-shit

Newsroom

To nie Hollywood

Joy Road

Granica światów – Eight Mile

Ogień

Mongo

Szminka i tabletki przeczyszczające

Pociągi, samoloty i samochody

Wkręcenie

Umarł król

Ten, który zszedł na psy

Duchy na poddaszu

CZĘŚĆ II Lód

Człowiek lodu

Kobieta w ogniu

Johnnie Dolar

Maminsynek

Ból nigdy nie jest przyjemny

Drzwi z moskitierą

Piąty

CZĘŚĆ III Z prochów

Lata świetności

Lata bankructwa

Dwa plus dwa równa się trzy

Lepiej, żebyś miał dla mnie forszę

Lepkie ręce sadzy

Dwadzieścia dolców

Tańsze niż kino

Duża Martha

Pożegnać się z rodziną

Babcia

Dziadek

Dżihad

Brzemie białego człowieka

Zła się nie ulękę

Morderstwo na zawsze zostanie morderstwem

Zapomnij o tym, co widziałeś

Wokanda ekspresowa

I w ogóle nie ma już miłości?

Kłamczuszyko zmyśla wszystko!

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Dla Amy i Claudette

Detroit było niebem,
ale okazało się,
że potrafi być też piekłem.

Marvin Gaye

PROLOG

Sięgnąłem w dół i gumką mojego ołówka trąciłem mankiet spodni. Zamarznięty na kamień. Ale na pewno człowiek.

– Niech to szlag!

Głęboko zaciągnąłem się papierosem. Chciałem odetchnąć, ale nie przez nos. Pod koniec stycznia powietrze było tak zimne, że aż piekło. Jak zwykle o tej porze roku w Detroit śnieg padał z ukosa. Martwego mężczyznę pokrywała gruba na co najmniej metr skorupa lodu. Znalazłem go w opuszczonym budynku na dnie szybu nieczynnej windy. Wolałem nie zastanawiać się nad tym, jak bardzo, pomimo mrozu, może tu śmierdzieć.

Nie byłem w stanie dojrzeć jego twarzy. Jediną rzeczą, jaka wystawała spod lodu, były stopy ubrane w białe bawełniane skarpetki i czarne sportowe buty. Pod powierzchnią lodu dostrzegłem też rąbek kurtki. Reszta mężczyzny niknęła w pustce.

W większości miast takie miejsce, z taką śmiercią, uważano by za coś niezwykłego, szokującego, przerażającego. Ale nie tutaj. Gdy mnie nie było, w Detroit musiało się coś stać.

Wyjechałem z miasta dwadzieścia lat temu. Chciałem zapewnić sobie życie, w którym nie byłoby miejsca na powolne umieranie, jakie oznaczała praca w fabryce chemikaliów czy sklepie monopolowym. Miało być w nim miejsce na wszystko prócz tego.

Ale gdzie miałem znaleźć to życie? Przez lata tułałem się po świecie – po Azji, Europie i Dzikim Zachodzie Arktyki – pracując jako pomocnik w fabryce konserw, stolarz czy rybak włóczęga na dryfterze. W końcu zająłem się pracą najbardziej naturalną dla kogoś, kto pozbawiony jest jakichkolwiek prawdziwych talentów.

Dziennikarstwem.

To zajęcie nie wymagało żadnych kompetencji, żadnych koligacji rodzinnych ani układów towarzyskich. Co więcej, jawiło mi się jako jedyna – poza domokrażnym sprzedawaniem Biblii – praca, w której płacą ci za to, byś

podróżował. Miałem prawie trzydzieści lat i znów znalazłem się w szkole, by studiować dziennikarską zasadę odwróconej piramidy. Pierwszą posadę w nowym fachu złapałem w codziennej gazecie rybackiej „Alaska Fisherman’s Journal”, dla której artykuły pisałem odręcznie w notatniku i w takiej postaci wysyłałem je do głównej siedziby gazety w Seattle.

Tak więc przemierzałem stan Alaska z notatnikiem i namiotem. Pisałem o tym, co widziałem: kawałki o rybakach, którzy walczyli o przeżycie; o kobiecie, która za dużo piła i suszyła swoje majty na linie rozciągniętej na dziobie łodzi; o meksykańskich robotnikach, którzy musieli żyć na bagnach; o księciu, który mieszkał pod mostem, i o pianiście geju, który uwił sobie gniazdko na frymuśnym statku wycieczkowym. O ludziach, którzy jakoś sobie radzili. O ludziach mojego pokroju. Pasowała mi ta praca.

Gdy już odpracowałem swoje na Alasce, zacząłem starania o znalezienie prawdziwej roboty. Jednak nie było łatwo. Nie chcieli mnie w „Detroit Free Press” ani w „San Francisco Chronicle”, ani w „Oakland Tribune”. Gdy już myślałem o tym, by wrócić na alaski kuter rybacki, pewna mała, nic nieznacząca gazetka z Zadupia Dolnego zaprosiła mnie na letni staż. Gazetka ta ukazywała się pod tytułem „New York Times”.

Dobrze czasem mieć farta.

Skończyło się tak, że przez dekadę pracowałem dla Szarej Damy, szkicując życiorysy cwaniaczków, pracusiów i strażaków ze Strefy Zero. Miałem dobrą passę. Ale z zamiłowaniem do przygód jest jak z piękną dziewczyną – pewnego ranka budzisz się i widzisz, że się zestarzała. Wtedy albo decydujesz się zostać i oddać w ofierze resztę życia, albo odchodzisz. Ja odszedłem i – jak to w życiu bywa – zatoczyłem koło. Wróciłem do domu, przyjmując pracę w „Detroit News”. Koledzy z Nowego Jorku śmiali się ze mnie. Życie tej gazety przypominało czuwanie przy zmarłym. A tym zmarłym było Detroit.

Muszę tu zaznaczyć pewną ważną rzecz: przede wszystkim dorastanie w Detroit czy na jego przedmieściach nie było niczym fajnym. Starsi ludzie lubią opowiadać mi o dawnych latach świetności, latach saturatorów, eleganckich sklepów i leniwych sobotnich nocnych przejażdżek. Ale prawda jest taka, że Detroit zaczęło umierać czterdzieści lat temu, gdy Japończycy doszli do tego, jak zrobić lepszy samochód. Teraz cały kraj wiedział, że to miasto i cały region już wtedy staczały się po równi pochyłej. I cały kraj z nas się śmiał. Z bandy leniwych, niewykształconych i niekompetentnych robotników. Pas rdzy^[1] zmienił się

w zardzewiały klozet. Nie warto o tym mówić. To Floryda dawała możliwości.

Nikt nie przejmował się Detroit aż do momentu spadku indeksu Dow Jones w 2008 roku, kiedy to nastąpiło wielkie załamanie gospodarki, a dyrektorzy naczelni Wielkiej Trójki pojechali do Waszyngtonu, by tam płaszczyć się i pełzać w poszukiwaniu pieniędzy. Nagle oczy całego narodu zwróciły się znów w stronę tego postindustrialnego grobowca, w którym po bezwładnych ulicach i korytarzach władzy hulały zbrodnia, korupcja, niegospodarność i chaos. Detroit stało się epickie, historyczne, hipsterskie, a nawet symboliczne. Zacząłem odbierać telefony od reporterów z całego świata, którzy wypytywali mnie o miasto: jakie jest i co się w nim dzieje. Zastanawiali się, czy rak toczący pas rdzy wytworzy przerzuty i zaatakuje także Los Angeles, Londyn i Barcelonę. Czy Detroit stanowiło kontur zewnętrzny, czy samo epicentrum? Czy było symbolem większego rozpadu? Czy los Miasta Silników obrazował przyszłość całej Ameryki? Czy żyjemy w zamkniętym cyklu, czy też w odrębnej epoce? Nagle tam, za miastem, wszyscy przestali się już śmiać.

Na Detroit dokonano zrzutu całego oddziału dziennikarzy. Moje materiały z „Detroit News” – choć podpisane innymi nazwiskami – zaczęły pojawiać się w „Rolling Stone” i „Wall Street Journal”, na antenach NPR, PBS i CNN. Reporterzy bardzo rzadko, jeśli w ogóle, zwracali sobie głowę tym, by jakoś wycieniować i uszczegółowić swoją wizję naszego miasta i jego miejsca w amerykańskim krajobrazie. Po prostu robili rundkę po ruinach, zrzynali nasze nagłówki, orzekali o okropieństwie sytuacji i wyjeżdżali.

Faktycznie, to jest okropieństwo; nie można tego inaczej nazwać. Ale ja wierzę, że Detroit jest miastem Ameryki. Należało do awangardy w jej drodze ku chwale, tak samo jak teraz należy do awangardy w naszej drodze ku klęsce. I można mieć nadzieję, że ponownie znajdzie się na przedzie, gdy droga znów będzie prowadziła ku dobremu. Detroit to *Pax Americana*. To tu narodziła się produkcja masowa, dobrze płatne posady robotnicze, kupowanie na własność domów i zaciąganie kredytów na masową skalę. To tutaj narodził się amerykański styl życia.

To tu w 1919 roku koncern General Motors wynalazł system sprzedaży ratalnej, by handlować swoimi samochodami. To właśnie to miasto nazywane było w latach czterdziestych arsenałem demokracji, bo to tutaj budowano maszyny wojenne, które miały zatrzymać przemarsz faszyzmu przez świat.

Gdy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przedstawiciele władz kierowniczych fabryk samochodowych zaczęli odwiedzać Waszyngton, styl

i struktura zarządzania zyskały znamiona drylu wojskowego. Robert McNamara był nie tylko twórcą Forda Falcona, ale także architektem wojny w Wietnamie. A Charlie Wilson, prezes General Motors i człowiek Eisenhowera w Pentagonie, wypowiedział wiekopomne słowa: „Co jest dobre dla naszego kraju, jest też dobre dla General Motors. A co jest dobre dla General Motors, jest też dobre dla Ameryki”.

Jeśli Wilson miał rację, prawdziwe musi być również twierdzenie przeciwne.

Dzisiaj to miasto sukcesu jest miastem plajty. Jest upiornym i groźnym miejscem, pełnym opuszczonych fabryk i domów oraz zapomnianych ludzi. Detroit – onegdaj miasto z największą liczbą posiadaczy domów własnościowych – teraz jest stolicą nieruchomości zajętych przez komorników. Jego centrum to muzeum widmowych drapaczy chmur. Drzewa, preriowa trawa i dzikie zwierzęta wróciły, by odzyskać swoje prawowite miejsce. Mieszkają tu też kojoty, za to znikają gołębie. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w puste parcele Detroit można by wygodnie wpasować całe miasto wielkości San Francisco i Manhattanu razem wziętych.

Detroit, kiedyś najbogatsze miasto w kraju, teraz jest miastem najbiedniejszym. Detroit to amerykański analfabeta i stolica tych, którzy zbyt wcześnie zrezygnowali z nauki. Tutaj dzieci muszą zostawiać podręczniki w szkole, za to przynosić do niej własny papier toaletowy. Detroit to stolica bezrobocia, w której połowa dorosłej populacji nie ma stałej pracy. Znajdziesz tu strażaków bez butów, policjantów bez samochodów, nauczycieli bez długopisów, członków Rady Miejskiej z telefonami podsłuchiwanymi przez FBI i zdecydowanie zbyt wiele kobiet, które nie mają już czym płakać.

Ale Detroit nie można już dłużej ignorować, bo to, co wcześniej wydarzyło się tutaj, teraz dzieje się tam. Od Phoenix, przez Los Angeles, po Miami – kolejnych sąsiadów Detroit atakuje plaga pustych domów i mężczyzn o beczynnych rękach. Amerykanie toną w długach. Szanse na spłatę tych długów maleją z każdym dniem, w którym kolejne dobrze płatne stanowisko pracy wyparowuje z powierzchni ziemi lub przenosi się do innego kraju. Ekonomiści mówią, że zmiana na lepsze jest nieunikniona. Ale kiedy znajduję się tutaj, w Michigan, wydaje mi się, że nie pozostały już żadne fundamenty, na których można by zbudować dobre życie.

Dalej, śmiało, śmiejcie się z Detroit. Bo śmiejecie się z samych siebie.

W miastach i miasteczkach naszego kraju na aukcjach sprzedaje się całe fabryki.

Faceci w ciężarówkach wywożą maszyny ślusarskie, aluminiowy siding, dźwigi i wodotryski z wodą pitną. Na naszych oczach żywcem wyrывa się mechaniczne serce kraju.

Świeżo zatrudniony robotnik w przemyśle samochodowym zarobi czternaście dolarów na godzinę. Jeśli wziąć pod uwagę inflację, jest to o trzy centy mniej, niż w 1914 roku płacił Henry Ford, gdy ogłosił, że u niego można zarobić pięć dolarów dziennie. Oczywiście teraz Ford nie zatrudnia nowych ludzi.

Wpadajcie do Detroit. Przejdźcie się pustymi, zdewastowanymi bulwarami; zobaczcie miejsce, w którym życie zostało zmiażdżone, gdzie rozkład stanowi ciągły, otępiający fakt. Jeśli będziecie się gapić wystarczająco długo, zacznie wam się to jawić jako norma. Przeciętność. Codziennność. Zmieni się w bzyczenie muchy.

Aż któregoś dnia traficie na coś takiego jak zamarznięty mężczyzna. Wtedy odkryje się przed wami prawdziwy szkielet tej okolicy.

W tym szkielecie kości szyi łączą się z miliarderem – właścicielem niszczonego budynku, w którym zmarł mężczyzna. Żebra łączą się z niezliczonymi łapserdakami, którzy włóczą się po zamarzniętych ulicach i podkładają ogień w pustych magazynach, by się ogrzać i naćpać. Kość biodrowa łączy się ze zdemoralizowanymi służbami policyjnymi, które mają w dupie wyciąganie martwego lumpa z szybu windy. Kość udowa łączy się z białymi mieszkańcami przedmieść, którzy odwracają głowy, by nie widzieć klęski Detroit; jak gdyby ludzkie cierpienie mogło być problemem kogoś innego. I kości stóp – cóż, one wystają z bryły zamarzniętej, brudnej wody i należą do nieznanego mężczyzny, którego śmierć, jak się wydaje, wydarzyła się wśród kompletnej obojętności.

I nie jesteśmy w tym sami. W całym kraju ciała zmarłych czekają na odbiór w kostnicach miejskich, ponieważ ludzie nie mają pieniędzy na to, by pochować swoich ukochanych. Los Angeles, Nowy Jork, Chicago – wszędzie jest tak samo. Rodzina stara się jakoś uzbierać na pudło i kwaterę, a tymczasem dziadzius pozostaje w depozycie.

To nie jest książka o geopolityce, makroekonomii czy finansach globalnych. Nie jest to też historia, która dobrze się kończy i wywołuje niezłe samopoczucie. Ta książka to reportaż. To ponury pamiętnik reportera, który wraca do domu, a ten dom nie przypomina już tego, który kiedyś miał. To książka o żywych ludziach, których robota polega na przetrwaniu w miejscu, z którego już nikt – poza tymi,

którzy tam zostali – nie ma żadnego pożytku. To książka o tym, jak to jest obudzić się pewnego ranka i usłyszeć, że wyszedłeś już z użytku; i choć wiesz, że to prawda, nie chcesz w to uwierzyć. To jest książka o brutalnym mieście i twardych ludziach, pokazanych w najdonioślejszych chyba i najbardziej katastrofalnych latach, jakie musiała dotąd przeżyć Ameryka. To książka o rodzinie, gliniarzach, przestępcach i pracownikach fabrycznych. O skorumpowanych politykach i upadającej gazecie. O gniewnych ludziach, którzy walczą, płaczą i chwytają się siebie nawzajem, próbując utrzymać się przy życiu.

To książka o przyszłości Ameryki i naszych desperackich staraniach, by się przed nią uchronić.

Koniec końców mieszkaniec Detroit jest być może najważniejszym ze wszystkich Amerykanów, ponieważ nikt lepiej od niego nie wie, że wszyscy stoimy na krawędzi szybu.

CZĘŚĆ I

Ogień

GRA-SHIT

Skreśliłem na stację, bo strzałka wskazywała niemal pusty bak.

To był błąd. W Detroit, nawet w biały dzień, jeśli tylko możesz, powinieneś unikać tankowania na East Side, ponieważ wschód Miasta Silników to dupa świata, gdzie panuje bezprawie i szaleństwo. Jego obywatele rzadko kiedy zawracają sobie głowę dzwonieniem na policję. Policja zaś szczerze odwdzięcza im się za tę przysługę i rzadko kiedy zawraca sobie głowę reagowaniem na wezwania.

Gratiot Avenue – którą to nazwę wymawiać należy „gra-shit”^[2] – główna arteria prowadząca od centrum miasta przez wschodnie przedmieścia daleko na wieś, była szara i zamglona. Sześć pasów ruchu i ani jednego człowieka. Ani jednego samochodu. Ani jednego autobusu. Tylko buchające spod pokryw studzienek kanalizacyjnych kłęby pary. Wszedłem na stację, zapłaciłem dziesięć dolarów siedzącemu za kuloodporną szybą Arabowi i wyszedłem na zewnątrz, by zatankować.

Mężczyzna niepostrzeżenie wyłonił się z szarości. Nie zauważyłem go, dopóki nie pojawił się tuż przed przednim zderzakiem mojego samochodu. Kolejny błąd. Zawsze stój tyłem do dystrybutora, z oczami utkwionymi w horyzont.

Oczy tego faceta były martwe, zimne i matowo czarne jak dno patelni. Miał rozczochrane włosy. Był chudy jak bezpański pies i nosił brudny płaszcz.

– Dobry człowieku – powiedział trochę zbyt pogodnie. – Masz pan może fajkę?

Z kieszeni marynarki wyciągnąłem paczkę i dałem mu jednego papierosa, mając nadzieję, że tym sposobem szybko się go pozbędę.

Włożył papierosa za ucho, nie podziękował i wciąż nie chciał odejść.

– Nie ma za co – powiedziałem. Miałem nadzieję, że to już koniec naszego spotkania i że facet zaraz sobie pójdzie.

Kolejny błąd. Miłosierdzie bywa niebezpieczne. Postanowił pokazać, na co go stać.

– Dobry człowieku – powiedział znów, tym razem już nie tak przyjacielskim tonem. – Nie ma pan jakichś drobnych na zbyciu?

– Drobnych na zbyciu? – zapytałem. – To Ameryka, bracie. Tutaj nie ma już czegoś takiego, jak drobne na zbyciu.

– POWIEDZIAŁ, ŻEBYŚ DAŁ PIENIĄDZE, SKURWYSYNU!

Ten rozkaz dobiegł mnie od strony dyspozytora za mną. W międzyczasie podszedł tam drugi mężczyzna, czego nie zauważyłem. Był większy, ciemniejszy i miał dziksze oczy niż ten pierwszy. Oba jego siekacze były złote. „Tandetna robota. Takie zęby robią sobie Meksykanie” – pomyślałem.

– Ostatnie dziesięć dolców wydałem na benzynę, koleś – odpowiedziałem, starając się odzyskać nieco luzu. – Poczekaj moment, to sprawdzę tam – wskazałem na schowek.

Schyliłem się do samochodu i sięgnąłem do schowka. Miałem tam pistolet, dziewiątkę. Nie była moja. Należała do pewnego reportera, który zapomniał zostawić ją w biurku, gdy jechał na konferencję prasową. Gdy byliśmy już na parkingu, poprosił mnie, bym ją dla niego przetrzymał, a ja nabijałem się z dziennikarza, który chodzi z ukrytą bronią. Powiedziałem mu, że nawet korespondenci wojenni w strefie walki tak nie robią.

– A ilu znasz korespondentów wojennych, którzy byli w Detroit? – zapytał.

Nie umiałem wymienić ani jednego.

Tu i teraz byłem na syfiastym East Side – w strefie, która była wojenna z samej swojej natury. W miejscu należącym do tych, którzy kiedyś-coś-mieli. A ci, którzy kiedyś-coś-mieli, są o wiele bardziej niebezpieczni niż ci, którzy nie-mieli-nigdy-nic. Facet, który stał przede mną, był z gatunku tych, którzy prowadzą swoją własną wojnę. Nie walczył z żadną władzą, tylko z sobą samym. Na taką wojnę częściej można trafić na stacji benzynowej niż na Wall Street.

Wynurzyłem się z auta z lufą wymierzoną prosto w twarz mężczyzny.

Nic nie powiedziałem. Nie poczęstowałem go tekstem z *Brudnego Harry’ego*. Ani żadną metaforą rodem z powieści kryminalnej. Nawet nie wiedziałem, gdzie się to coś odbezpiecza ani czy w środku znajduje się choć jedna kula. Popuściłem w spodnie.

– Dobra, nie było sprawy – powiedział złotousty, wycofując się we mgłę. Drugi zaczął uciekać jak króliczek. Gdy tamci byli już daleko, Arab wyszedł zza swojej szyby i podszedł do drzwi frontowych.

– Wszystko w porządku, bracie? – krzyknął.

– Tak – odpowiedziałem.

– Nie chcę, by zabrzmiało to śmiesznie, bracie – powiedział, patrząc na moją kamizelkę i krawat. – Ale co robi biały facet, tankując benzynę na Gra-shit?

NEWSROOM

Faceci od przeprowadzek właśnie pakowali mój dom w Los Angeles, gdy dostałem wieści z Detroit. Ktoś wypuścił do „Free Press” wiadomość o tym, że burmistrz Kwame Kilpatrick jest przestępcą i alfonsem. Media uzyskały dostęp do jego SMS-ów, które jednoznacznie na to wskazywały.

Postawiony przed sądem Kilpatrick zaprzeczył temu, jakoby zwolnił szefa Biura Spraw Wewnętrznych policji dlatego, iż ten dowiedział się zbyt wiele na temat rzekomo urządzonej w posiadłości burmistrza orgii. Plotka głosiła, że podczas tej imprezy żona burmistrza pobiła do nieprzytomności obcasem swojej szpilki striptizerkę o pseudonimie „Truskaweczka”.

Później okazało się, że Truskaweczka została zamordowana.

Kilpatrick w sądzie zaprzeczył również temu, jakoby utrzymywał cudzołożne stosunki z szefową swojego personelu – kobietą, z którą chodził w czasach licealnych. Jednak SMS-y potwierdzały, że Kilpatrick nie tylko miał romans ze swoją podwładną, ale także był oszustem okradającym miasto i rozpustnikiem, który oglądał więcej tyłków niż niejeden sedes.

A to jeszcze nie koniec. Wiadomości z jego telefonu dowiodły również, że Kilpatrick wydał dziesięć milionów dolarów z pieniędzy obywateli Detroit na usunięcie ze Spraw Wewnętrznych człowieka, który doprowadził do ujawnienia informacji na jego temat.

To był naprawdę sensacyjny materiał, który bardzo umocnił pozycję „Free Press”, dotychczas traktowanego jak gorszy przyrodni brat „Detroit News”, z którym to pismem nieustannie starał się rywalizować. Poczuję ucisk w żołądku. Zadzwońm do Detroit, do zastępcy redaktora naczelnego gazety.

– Co się, do cholery, dzieje? – zapytałem.

– Nie wiem.

– Jest źle.

– Nie jest dobrze – powiedział. – Ale nie martw się o to. My też za tym węszyliśmy i mamy coś na nasz portal.

Nie martw się? Węszyliśmy? Mamy coś na portal? Co ja, kurna, zrobiłem?

Moja kariera w „New York Timesie” skończyła się w górach w Vermont. Pojechałem tam w związku z historią, o której akurat pisałem. Telefon nie poinformował mnie o nagraniu na poczcie głosowej, które pojawiło się poprzedniego wieczora i odsłuchałem je dopiero wczesnym rankiem, gdy przyjechałem na lotnisko Burlington.

Wiadomość brzmiała dosyć histerycznie.

– Charlie, Amy jest w szpitalu. Zaczyna już rodzić. Gdzie jesteś?

Nie chciałem być facetem, który jest tak zaabsorbowany sobą, że nigdy nie ma czasu dla dzieci. Nie chciałem być moim ojcem ani też moim pierwszym ojczymem. Nie miało znaczenia to, że pracowałem nad przydzielonym mi artykułem. Jeśli się dobrze przyjrzeć – pracoholizm jest bardzo podobny do alkoholizmu.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale ma pan rezerwację na przyszłą niedzielę – usłyszałem na lotnisku. – Na dziś nie mam żadnych wolnych miejsc.

Zwymiotowałem.

Posłali po Latynosa. Przyszedł i posprzątał. Roztrzęsiona kobieta znów wpisała coś w komputer i znalazła dla mnie wolne dodatkowe miejsce na lot z Burlington do Los Angeles z przesiadką w Chicago.

Moja dziewczynka ważyła kilogram osiemset, a ja zdążyłem jeszcze odciąć pępówinę. Była mała, ale silna, więc już po dwóch dniach mogliśmy zabrać ją do domu.

Gdy obie moje kobiety ucinają sobie drzemkę, ogoliłem się i zmyłem z siebie smród rzygowin i papierosów. Później usiadłem do komputera i dopracowałem artykuł o kandydacie ubiegającym się z ramienia Partii Zielonych o stanowisko gubernatora Vermontu, który paradował po mieście przebrany za Ethana Allena, amerykańskiego patriotę z XVIII wieku. Pomyślałem o tym, że jego program był wyjątkowy. Populistycznie wpasowywał się we wciąż tłącą się wściekłość wyborców, którzy krzyczeli nieustannie: „Pieprzyć rząd federalny, pieprzyć policję stanową, pieprzyć wielkie banki. Vermont powinien oddzielić się od Stanów Zjednoczonych”.

Patrząc teraz wstecz, z perspektywy Partii Herbacianej^[3], należy stwierdzić, że generał Allen wyprzedził swój czas. Tak czy siak, mój polityk bawił mnie. Ustawiał się przed kamerą, siedząc na koniu, na którym nie potrafił jeździć, i włókł się przez wybieg, grzęznąc w błocie i gnoju. Uśmiechnąłem się na to wspomnienie i kliknąłem „wyślij”.

Następnego dnia otrzymałem e-mail z odpowiedzią od mojej wydawczyni z Manhattanu.

„Ten facet to ofiara losu – napisała. – Przecież on nawet nic nie mówi. A co z profesorem, o którym miałeś pisać? Musimy porozmawiać”.

Pisałem teraz materiały na potrzeby produkowanych przeze mnie wideofelietonów „New York Timesa”. Dział nazywał się *American Album*. Idea tych felietonów była prosta: jeździć po kraju w poszukiwaniu zwykłych Amerykanów, pisać o nich artykuły i robić filmy, a później zamieszczać je w internecie. Chodziło o to, by posługiwać się językiem moich bohaterów i patrzeć z ich punktu widzenia. Felietony cieszyły się popularnością wśród czytelników, ale nie wśród wydawców. A w „Timesie” to nie czytelnik liczy się najbardziej.

Farmerów, myśliwych, sprzedawców w barach dla zmotoryzowanych i pracowników w fabrykach – bohaterów, o których pisałem – moja wydawczyni nazywała ofiarami losu, przegrańcami – luzerami. Wypowiedz słowo luzer odpowiednio wolno, a zabrzmi jak splunięcie.

Luzerzy.

To oni już wtedy stanowili osiemdziesiąt procent ludności tego kraju, a teraz nowa, zglobalizowana struktura ekonomiczna produkuje ich jeszcze więcej. Widziałem to podczas podróży. Widziałem to, przyjeżdżając na święta do rodzinnego Detroit. Kurna, widziałem to w sklepach na Sunset Boulevard, gdzie ludzie przegrzebywali wielkie kosze w poszukiwaniu fajnych przecenionych rzeczy, i na tabliczkach „na sprzedaż” stojących na pagórkach Los Angeles. Supermarkety Wal-Mart były zatłoczone, a fabryki puste. Był 2007 rok i ludzie się bali. Czuło się, że ciepłutkie, przyziemne szczęście wystawnej Ameryki powoli zaczyna odchodzić w przeszłość. Patrzyłem na to jak na nadciągającą burzę. Można to było zauważyć nawet w Nowym Jorku, jeśli tylko zaryzykowało się wyprawę dalej niż na Dziewięćdziesiątą Szóstą Ulicę. Uginaliśmy się pod ciężarem naszej własnej masy.

Znudziłem się intelektualnymi zapasami w błocie i zawołowanymi upokorzeniami. Ofiary losu. Zwolniłem się z „Timesa”.

Znudziłem się też Los Angeles. Od kiedy nie byłem już pismakiem, nie czułem żadnej przynależności do tego miejsca. Stałem się ojcem dziecka, kurem domowym, zamkniętym przed światem w swoim hollywoodzkim domu wyposażonym w wyjącego bobasa i brudne pieluchy.

Uświadomiłem sobie odcięcie, odłączenie, jakiego doświadczaliśmy.

Musieliśmy przejść przez dwie wielkie ulice, by dotrzeć do parku. Nie mieliśmy w pobliżu żadnej rodziny. Niemal nie znaliśmy naszych sąsiadów.

Być może w Los Angeles była nawet jakaś pogoda, ale tak naprawdę żyliśmy w nieustannej duchocie korka w godzinach szczytu, które trwały od świtu do świtu. Wcale nie pragnąłem wychowywać swojego dziecka w Mieście Aniołów. Byłem przekonany, że moja dziewczynka zmieni się tu w małego, egocentrycznego diabła. Za wcześnie jak na swój wiek zaczęła się przechadzać wzdłuż Melrose Avenue. Będzie się zbyt mocno malowała niebieskim tuszem do rzęs i ubierała w zbyt kuszą koszulkę odsłaniającą jej ledwo rysujące się piersi.

Napisałem o tym wszystkim dla prestiżowego czasopisma artykuł w guście „Wypasiony pisarz odchodzi z wypasionego »Timesa«. Siedzi w domu z niemowlakiem i użala się nad sobą”:

Nigdy już nie zadzwoni do mnie gubernator. Ani żaden z moich starych znajomych. Skończyły się hollywoodzkie imprezki. Żadnego funduszu reprezentacyjnego. Żadnej akcji. Będziesz już tylko ty i twoje dziecko. Później dziecko dorośnie i nie będzie miało zielonego pojęcia o tym, jak dobry kiedyś byłeś. A najgorsze będzie szaleństwo, jakie ogarnie cię w pustym domu – gdy jasne popołudniowe słońce totalnie cię ogłupi, aż poczujesz, jak zbliża się stary dobry *deadline*, ten czas adrenaliny – właśnie wtedy zaczniesz się zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek byłeś w czymkolwiek dobry. Będziesz stał i wpatrywał się w brudną pieluchę jak w herbaciane fusy, starając się wywróżyć z niej jakąś historię o wadach ostatniego projektu ustawy o imigracji.

Nie zadzwonił żaden ze starych znajomych. Ale w połowie listopada, kilka tygodni po tym, jak ukazał się mój artykuł, przyszedł do mnie list. Przysłał go gubernator Schwarzenegger, z którym poznałem się podczas jego kampanii. Za tę korespondencję zapłacili, tonący w morzu czerwonego atramentu, podatnicy ze Złotego Stanu.

Gubernator przeczytał mój tekst i zrozumiał go bardzo dosłownie – jako przydługie wyznanie zwątpienia w siebie. A jeśli jest choć jedna moc, której Schwarzenegger nie posiada, to jest nią właśnie umiejętność zwątpienia w siebie.

Wiem, że na pewno otrzymałeś już całą masę przyjacielskich porad, od mądrości rodem z programów Oprah po kompletne głupoty. Tak więc ja nie mogę tu wiele dodać. Jednak musisz wiedzieć, że to, co robisz teraz, da ci większą satysfakcję niż którakolwiek z twoich szalonych przygód. W rzeczywistości może okazać się, że to właśnie ta jest najbardziej szalona. Każdy ojciec może pozazdrościć ci życia, które prowadzisz.

Ujmując rzecz w skrócie, powiedział mi, bym kierował się swoim instynktem; bym robił to, co sam uważam za dobre dla siebie i swojej rodziny; i bym chwycił

życie za gardło.

A zakończył tak:

Jeśli kiedykolwiek poczujesz się nieważny, będziesz w błędzie. I zawsze możesz przywołać swoje dni chwały. Możesz też opowiedzieć ludziom o swoim kumplu, który rządzi największym stanem na świecie, a który pomógł ci, gdy tego potrzebowałeś. Albo możesz do mnie zadzwonić. Bardzo chętnie posłucham, jak opowiadasz o swojej nowej życiowej roli.

Nie miałem ochoty przyjmować porad życiowych od faceta, który grał *Gliniarza w przedszkolu*, ale Schwarzenegger tylko potwierdził to, co już wcześniej wiedziałem. Czas wracać do domu.

Częściowo zaś podjąłem tę decyzję ze względu na córkę. Chciałem wrócić do Detroit, gdzie byli jej dziadkowie, ciotki, wujkowie i kuzyni. Tam była kultura. Rodzina.

Częściowo zaś podjąłem ją ze względu na siebie. Czułem się jak kołek. Była czwarta po południu. Siedziałem w Los Angeles. Nie miałem nic do roboty i nie miałem z kim pogadać; no, może poza mieszkającym w domu obok Ormianinem, ale on prawie nie mówił po angielsku.

Tymczasem od amerykańskiego imprezowego autobusu zaczynały odpadać koła. Tabliczki „na sprzedaż” pojawiały się w całym Los Angeles. Gdy tam przyjechałem, sprzedaż zwykłego domu zajmowała mniej niż tydzień. Teraz pół roku było niezłym wynikiem.

Zatoczenie koła. Powrót do Detroit był czymś instynktownym. Działalem jak łosoś, który płynie w górę rzeki, bo tak każą mu geny. Detroit mogło być epicentrum, gabinetem krzywych luster albo projekcją przyszłości Ameryki. Niemożliwie depresyjnym miastem zapadającym się w śmierć.

Ale mogło być też kolorową i fascynującą zabawką dla reportera. Rozpad. Kilometry rozpadających się budynków. Morderstwo, ludzkie odpady, luzerzy. Zajebiście depresyjna i upośledzona, wielka, jarząca się kolorami piłka. Jedna niewiarygodna historia po drugiej.

Dlaczego nie miałbym się do tego przyznać? Jestem reporterem. Pijawką. Kupczę nędzą i cierpieniem. Dla nas, reporterów, złe rzeczy są dobre. Jesteśmy jak kolekcjonerzy martwych ciał. Mówiąc szczerze, zawód korespondenta jest zabawny; fajnie jest być gościem, który spada znikąd na swoim spadochronie, ogłasza, że wszystko wie, formułuje skandaliczne oświadczenia, zapisuje je, upija się w barze hotelowym, zwija spadochron, pakuje do plecaka kaca i wyrusza

w następne miejsce, w którym cierpią ludzie.

W ciągu dziesięciu lat, kiedy pracowałem dla „Timesa”, byłem wszędzie i wszędzie rozglądałem się za tym, co niesamowite. Bo pracuję w niesamowitym biznesie. Przypuszczałem, że w Detroit nie będę musiał się specjalnie rozglądać. Niesamowitość znajdzie mnie sama. A ja podejść do niej jak reporter ze spadochronem, przez rok czy dwa będę brudził sobie paluchy rozgrzebywaniem jej, pozwolę mojej matce przytulić wnuczkę, a później ruszę dalej.

Przez kolejne tygodnie i miesiące, wciąż mieszkając w domu w Los Angeles, reklamowałem mój towar na wszystkich dużych medialnych rynkach zbytu. – Co powiecie na Detroit? – pytałem. – Detroit to niezła historia – mówiłem. Historia. Wrak pociągu.

– Dzięki, ale nie – odpowiadali. Detroit nie było niczym ciekawym. Poza tym dzienniki i magazyny miały się coraz gorzej; otwarcie oddziału w Martwym Mieście było ostatnią rzeczą, na jaką ich naczelni zechcieliby wydać pieniądze.

W końcu schowałem swoją dumę do kieszeni i zadzwoniłem do „Detroit News”. Do gazety, która była tak splukana, że nie wydawała już nawet niedzielного numeru. Niespodziewanie okazało się, że mają wolną posadę.

– Przyjeżdżaj i rób to, co robisz – powiedzieli. – Pisz kronikę upadku Wielkiego Amerykańskiego Przemysłowego Miasta.

Przyjąłem tę ofertę. I obiecałem sobie coś. Że na brzegu rzeki Detroit zbuduję wieżę ze słów – tak wysoką, że choćby nawet tego nie chcieli, będą ją musieli dostrzec z Times Square.

Pewnego marcowego dnia 2008 roku rozpocząłem pracę w „Detroit News”. W newsroomie paliła się tylko połowa świateł. Pół żartem powiedzieli mi, że w ten sposób oszczędzają na elektryczności. Pokazali mi moje biurko, przy którym przywitało mnie połamane krzesło, zepsuty telefon i duża plama na wykładzinie, która przypominała jeden ze starych kredowych konturów, jakie rysowało się kiedyś na miejscu zbrodni. Komputer nie chciał załadować systemu. Cztery boksy wokół mego stały puste, nie licząc papierów i długopisów, które pozostały tam po ostatnich lokatorach. Podobnie jak w redakcji „Timesa”, było tutaj spokojnie niczym w chłodni rzeźniczej. Ale bez wątplenia to miejsce znajdowało się w niższym kręgu piekła.

Materiał z trzydziestośmioletnim Kilpatrickiem – który uważał się za ważnego

gracza i lubował się w białych kapeluszach i diamentowych kolczykach – nadawany był w kółko; oglądałem go na ekranach telewizorów powieszonych w rzędzie nad biurkami redaktorów. Chętnie spekulowano o tym, jakoby prokurator zamierzał w najbliższym czasie wnieść akt oskarżenia przeciwko burmistrzowi. Chodziło między innymi o domniemanie krzywoprzysięstwa.

Telewizyjny obraz Kilpatricka był ciemny i mroczny, bo telewizory zużyły się już od ich nieustannego eksploatowania, a firmy nie było stać na wymianę. Ekran działał na niekorzyść burmistrza, tak jak redaktorzy „Timesa” zadziałali kiedyś wobec O. J. Simpsona, czyniąc jego twarz ciemniejszą i bardziej złowieszczą.

Miałem poczucie, że te telewizory są zapowiedzią czegoś ważnego, jak kanarki zwiastujące niebezpieczeństwo w kopalni węgla. Gdy pewnego dnia ekrany zgasną, w stutrzydziestopięcioletniej klepsydrze „Detroit News” przesypie się ostatnie ziarno piasku.

Wiadomości telewizyjne dawały do zrozumienia, że burmistrz zlecił zabójstwo striptizerki Truskaweczki, ponieważ za dużo wiedziała o imprezie i przedstawicielach władzy, którzy brali w niej udział.

A Kilpatrick ugiął się pod naciskiem tych zarzutów. Poprzedniego wieczora wygłosił oficjalną przemowę, w której cudacznie i ryzykownie odszedł od scenariusza, atakując przewodniczącego Rady Miejskiej i nazywając go „czarnuchem na posyłki”^[4] oraz podrzucając śmierdzące jajo w postaci stwierdzenia, jakoby otrzymywał pogróżki i pełne nienawiści e-maile, które rzekomo przychodziły od białasów z przedmieść.

Nawet w lepszych czasach reporterzy spoza miasta nie mieli czego szukać w Detroit, bo nie działo się tu nic spektakularnego. Słyszałem kiedyś historię o tym, że pewien morderca musiał jechać aż do Toledo, by wydać samego siebie, bo gliniarze w Detroit w ogóle nie zwracali na niego uwagi. „Forbes” nazwał niedawno Miasto Silników najnędzniejszą miejsciną w Ameryce. Ale taki gość jak Kilpatrick przenosił nas na zupełnie nowy poziom. Striptizerki? Morderstwa? Wszak to spełnienie marzeń reportera. Nagle przestałem się przejmować moim rozpieprzonym krzesłem.

– Czy burmistrz rzeczywiście zabił dziewczynę? – zacząłem wypytywać otaczających mnie reporterów. Powiedzieli mi, że ta plotka ma już pięć lat, ale teraz zaczęła żyć drugim życiem jako główny punkt skandalu z SMS-ami, jaki wybuchł wokół naszego niefrasobliwego burmistrza.

Potrzeba było strzału na bramkę, świetnego przyłożenia, fantastycznego

sukcesu. Wizytówki. Czegoś naprawdę genialnego, co by obwieściło: CHARLIE TU JEST.

Striptizerka zamordowana na zlecenie władz miasta doskonale by się nadawała!
Zadzwoniłem do pewnego znajomego detektywa.

TO NIE HOLLYWOOD

W miejscu, które nieustannie walczyło o tytuł amerykańskiej Stolicy Morderstw, Mike Carlisle uważany był za jednego z najlepszych detektywów z wydziału zabójstw.

Rozwiązał ponad połowę przydzielonych mu spraw; a wydarzyło się to w mieście, w którym od 1960 roku naliczono ponad jedenaście tysięcy morderstw, które nie doczekały się wyjaśnienia. Choć poza nim wszyscy mieli w dupie martwe prostytutki i zaszlachtowanych dilerów, Carlisle szczyił się tym, że faktycznie zapracowuje na pieniądze, które dostaje.

Poznałem się z nim kilka lat temu, gdy przebywałem w Detroit na zlecenie „Timesa”. Ze swoim wiecznie zapalonym papierosem, murzyńskim słownictwem, garniturem człowieka pracy i białym wąsem wydał mi się bardzo w porządku. Według mnie wyglądał i myślał właśnie tak, jak powinien myśleć i wyglądać gliniarz od morderstw. W szufladzie biurka trzymał osobliwą kolekcję fotografii. Miks zdjęć ślubnych, fotek z wakacji i dokumentacji miejsc zbrodni – martwych dziwek leżących na ziemi w pozycji rozgwieżdżonej.

Carlisle odebrał telefon.

– Jak leci, Mike? – zapytałem.

– Jak leci? Ten wydział to kurewska dupa świata, Charlie. Zostało mi dziewięć miesięcy do emerytury, a potem wypieprzam stąd.

– Nic się nie zmieniło, co?

– Ani, kurwa, trochę.

Zapytałem, czy wie cokolwiek o sprawie Truskaweczki Greene.

– Tak, wiem coś o tym – powiedział. – Znów otworzyli dochodzenie, bo ten ćwok dał się przyłapać na pisaniu SMS-ów fiutem. I to ja okazałem się dupkiem, na którego biurku to wszystko wylądowało. Trzy segregatory akt.

– Ty masz tę sprawę? Nie pierdol!

– Nie pierdolę. A co ty robisz z powrotem w mieście?

Wyjaśniłem mu, co i jak. Zaśmiał się.

– To najgłupsza decyzja, jaką od dawna ktokolwiek podjął. A więc: witaj w domu.

– Dobra, daj spokój – powiedziałem, gapiąc się na plamę kawy tuż koło mojej nogi.

Zapytałem, czy mógłbym zobaczyć te akta.

Przyniósł je nazajutrz do baru przy Woodward, głównej ulicy prowadzącej z centrum na przedmieścia. Spotkaliśmy się nieco na północ od granicy miasta – w okolicy, w której właśnie kupiłem dom. Nie mogłem sobie pozwolić na mieszkanie w getcie. Kocham Detroit, ale teraz – kiedy mam córkę – nie zamierzałem żyć w tym mieście. Nie przy takim poziomie korupcji, takiej wysokości podatków i takich trudnościach z wezwaniem karetki. Więc uciekłem półtora kilometra od centrum.

Carlisle siedział w rogu, niedaleko wejścia, w chmurze dymu. W Michigan wciąż nie ma zakazu palenia w restauracjach. Pił czarną kawę.

Chwilę pogadaliśmy o niczym, a potem złożyliśmy zamówienie. On wziął owsiankę. Pieprzona owsianka i papierosy. Jakie to pretensjonalne.

– Ta sprawa to niezłe gówno – wyszeptał Carlisle, zerkając na dzieciaka kelnerki, który próbował podsłuchiwać naszą rozmowę. – Coś poszło nie tak. Pracująca dziewczyna znalazła się w potrzasku.

– Naprawdę?

– Tak, ale z drugiej strony, tutaj wszędzie wokół masz kurewsko złych ludzi. Od burmistrza w dół. Całe to miasto jest rojącą się od robactwa kupą gówna, Charlie. Wiesz, są też dobrzy ludzie, ale oni nikną w całym tym bajzlu. To martwe miasto. A jeśli ktoś mówi o jakiegokolwiek zmianie, to, kurwa, nie wie, o czym mówi.

Jarał jak lokomotywa.

– Wiesz, zacząłem tam pracować, bo myślałem, że uda mi się coś zmienić. Bo naprawdę wydawało mi się, że jestem w stanie jakoś pomóc – powiedział i popchnął akta w moją stronę. – Bierz, masz czterdzieści minut.

Zacząłem bazgrać w notesie.

Przez kilka minut był cicho, a potem zaczął monolog o nowym garniturze, jaki jego wnuk sprawił sobie na Wielkanoc. Wytrzymałem to tak długo, jak tylko dałem radę, bezmyślnie potakując i jednocześnie próbując odszyfrować policyjne raporty.

– Mike – powiedziałem w końcu, spoglądając znad teczki z aktami. – Mam tylko czterdzieści pieprzonych minut. Proszę cię.

Carlisle zatkał się papierosem.

Morderstwo Tamary „Truskaweczki” Greene stało się czymś w rodzaju miejskiej legendy Detroit, kryminałem osnutym wokół seksu, polityki i władzy. Najbardziej niewiarygodny scenariusz był prosty: mówiło się, że dziewczyna tańczyła na imprezie zorganizowanej w posiadłości burmistrza, a później, na zlecenie Kilpatricka, wykonano na niej wyrok; zginęła, ponieważ poznała nazwiska i skłonności seksualne wpływowych uczestników imprezy.

Umarła prawie rok temu, pod gradem pocisków wystrzelonych z auta przejeżdżającego obok jej samochodu. Upadła na kierownicę, połamaly jej się okulary, a samochód – który wciąż jechał – potoczył się w dół ulicy. Jej chłopak – diler – przeżył.

Było to po prostu kolejne morderstwo w mieście, w którym zdarzało się ich zbyt wiele; przynajmniej do momentu, kiedy odsunięty od sprawy detektyw z wydziału zabójstw oskarżył o zbrodnię funkcjonariuszy policji z Detroit. Morderstwo miała im zlecić Rada Miejska.

Ale nic w aktach sprawy nie sugerowało takiego przebiegu wypadków. Tutaj nie było mowy o tym, by dziewczynę osiemnastokrotnie postrzelono z przejeżdżającego obok niej samochodu; wedle dokumentów strzelono tylko trzy razy.

W raporcie medycznym wspomniano o tym, że zamordowana miała podbite oboje oczu – uwiarygodniało to zeznanie innej striptizerki, która powiedziała, że dwa tygodnie przed śmiercią Truskaweczkę pobito na imprezie. Ale podbite oczy mogły być również wyrazem uczucia, jakim dziewczynę darzyło dwóch skłóconych ze sobą dilerów.

Dalej następowały zeznania króla koki, który odbywał odsiadkę w więzieniu federalnym. Ponieważ był królem, wszystkie ważne, związane z narkotykami działania w East Side musiały przejść przez niego. I tak, dwa tygodnie po morderstwie Truskaweczki do króla zgłosił się jeden z dilerów, który wyjaśnił, że w rzeczywistości próbował zastrzelić jej chłopaka.

– Dziewucha po prostu stanęła mi na drodze – wedle raportu tak właśnie powiedział królowi diler.

Czytanie akt tej sprawy było jak przeglądanie licealnej kroniki mojej siostry Nicole. Piękna kobieta złapana w pułapkę przez paskudne życie. Truskaweczka

emanowała seksem. I wykorzystywała to na swoją korzyść. Uwodziła niebezpiecznych mężczyzn, manipulowała nimi i okradała ich. A w końcu zapłaciła za to życiem. Na ulicach Detroit fajną dziewczynę spotykał nefajny koniec.

Truskaweczka.

Nicole.

Krótką piłką *made in Detroit*.

– Jak wiele takich dziewczyn umiera w tym mieście? – zapytałem, patrząc na Carlisle’a.

– Zbyt wiele – odpowiedź wypłynęła z chmury dymu.

– Moja siostra tak umarła – powiedziałem. – W Detroit.

– Stary, przykro mi.

– Nie była śmieciem, wiesz?

– Była czyjaś córką – rzekł ze współczuciem.

– Taaa... wszyscy mieli to gdzieś. Prócz jednego gliniarza. Facet nazywał się Snarsky. Nigdy nie zapomnę tego nazwiska. Snarsky. Rozumiał, że każdy z nas jest dla kogoś kimś ważnym. Złapał gościa.

– Ja też nigdy nie zapomnę tego nazwiska – powiedział Carlisle. – To on mnie szkolił.

– Ściemniasz?

– Nie ściemniam.

To właśnie było Detroit. Najmniejsze duże miasto świata, rozległe na trzysta sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych, ale głębokie na parę centymetrów.

Przegrzebywałem notatki Carlisle’a, ale nie było tam absolutnie nic, co wskazywałoby na to, by Truskaweczka znalazła się kiedykolwiek w posiadłości burmistrza. Nie oznacza to bynajmniej, że sławetna impreza się nie odbyła. Jednak nic, poza ryzykownym logicznie wnioskowaniem pierwszego detektywa, nie świadczyło o tym, by dziewczynę zabił gliniarz. Detektyw przekonywał, że zabójstwa musiał dokonać policjant, bo striptizerkę zabito z pistoletu kalibru czterdzieści, a takiej właśnie broni używa policja w Detroit.

Tego rodzaju hipotezy powodowały, że na stołkach barowych w całym mieście rodziły się dziesiątki teorii spiskowych. Bo Detroit uwielbia dobre spiski. Morderstwo Truskaweczki stało się najchętniej odwiedzanym trawiastym pagórkiem^[5] naszego miasta.

Pożegnałem się z Carlisle'em i wróciłem do redakcji. Zadzwoiłem do odsuniętego od sprawy detektywa i przedstawiłem mu fakty.

Było dopiero popołudnie, ale on miał głos, jakby wypił już co najmniej połówkę koniaku. Nie potrafił wyjaśnić rozbieżności faktów, ale powiedział tak: „Jeśli mam być całkiem szczery, to jest to jak macki ośmiornicy, które sięgają wszędzie. W Detroit wystarczy, byś tylko raz coś zobaczył, raz połączył kropki, a wszystko staje się oczywiste”.

Mnie oczywiste wydawało się jedynie to, że mieszkańcy Detroit dali się nabić w butelkę kretynowi. Burmistrz był kłamcą i oszustem, ale nie mordercą – przynajmniej, jak mi się wydawało, nie w przypadku Truskaweczki.

Byłem przekonany, że znalazłem rozwiązanie zagadki morderstwa striptizerki. I że zagadka ta nie ma nic wspólnego z burmistrzem. I to właśnie napisałem.

Moja historia ukazała się na pierwszej stronie „Detroit News”. Przyszedłem do biura o dziewiątej. Prócz recepcjonistki nie było nikogo. Na moim telefonie migła lampka, dając znać, że mam wiadomość. Może kilka. „A może nawet tuzin” – pomyślałem.

Rzuciłem kurtkę na puste biurko obok, zrobiłem sobie filiżankę kawy i usiadłem z notesem, by wysłuchać wszystkich nagranych wiadomości.

Była tylko jedna. Pojedyncza, dwuwyrazowa ocena mojego światopoglądu. „Miłośnik czarnuchów”.

JOY ROAD

Zadzwonił telefon. Wyświetlił mi się nieznany numer. Odebrałem.

To była moja siostrzenica, Ashley.

– Cześć, wujku Char – przywitała się słodziutko. Wiedziałem, że się nawaliła. Zdradził ją dziecinny ton. Bełkotała i jej powitanie brzmiało raczej jak „wulku Shar”.

Kurwa – pomyślałem.

– Cześć, dziewczyno – powiedziałem na głos. – Co tam słyszać?

– Wiesz, jak to u mnie jest – odpowiedziała żałośnie. – Niewiele słyszać.

– To powszechny kłopot.

– Tak, to prawda, ale jak jest się tak popieprzonym jak ja, to jest gorzej.

W tym momencie oczekiwała ode mnie rozpoczęcia konkretnej rozmowy. Teraz miałem z prawdziwym współczuciem i troską zapytać: „Co się stało?”.

Wtedy, zgodnie ze scenariuszem, ona zaczęłaby mnie bombardować uzalaniem się nad sobą. Później przeszłaby do nienawiści wobec siebie, a wszystko skończyłoby się na atakowaniu mnie.

Nie złapałem przynęty. Pozwoliłem, by starania mojej siostrzenicy stłumiła cisza.

– Nie widziałam jeszcze twojego nowego domu – powiedziała w końcu, a jej głos ciągnął się jak plaster miodu. – Nawet z tobą nie porozmawiałam. A wróciłeś już miesiąc temu.

– Tak, cóż... Przepraszam. Rozpakowywanie rzeczy i ganiecie za materiałami do gazety. Nie mam zbyt wiele czasu na cokolwiek.

– A może bym przyszła i pomogła? Mogę pilnować dziecka.

W myślach szybko przebiegłem przypuszczalny tok wydarzeń: jeśli ją zaproszę, zostanie przez tydzień. Będzie oglądać telewizję i wypali wszystkie moje fajki. W końcu, gdy już będę miał dość patrzenia na nią i słuchania wycia dziecka z pieluchą pełną gówna, wywrzeszczę wykład na temat tego, że powinna zrobić coś ze swoim życiem.

A wtedy ona ucieknie moim samochodem, zabierając ze sobą cały barek.

Życie w Detroit stało się ciężkie.

Wszyscy byli spłukani i jeśli nie bez pracy, to przynajmniej na wylocie. Jeden z moich braci sam sobie wyrwał obcęgami ząb, ponieważ nie miał ubezpieczenia stomatologicznego, a jest zbyt dumny, by poprosić o pożyczkę.

No i była moja siostrzenica. Kochałem ją, bardzo kochałem, ale nie ufałem jej. Każdy Amerykanin zna przynajmniej jednego takiego młodego człowieka.

– Później pomyślimy, kiedy mogłabyś do nas wpaść, dobra?

– Będziesz musiał po mnie podjechać. Mój chłopak skasował mi samochód – zachichotała. – Był totalnie nawalony. Co za luzer.

Jej powierzchowny, niemrawy śmiech bardzo mnie martwił. Zupełnie jak jej matka.

Moja siostra, trzech braci i ja dorastaliśmy przy Joy Road, ulicy oddzielającej Livonię i Westland – dwie przedmiejskie dzielnice zamieszkałe przez klasę robotniczą – jakieś pięć kilometrów na zachód od centrum miasta. Nasz dom znajdował się w połowie drogi między centrum handlowym a zakładami Forda, gdzieś pomiędzy Jeffries Freeway a martwą rzeką Rouge River.

Północna strona Livonii, po drugiej stronie autostrady, była zamożna i zamieszkała przez WASP-ów^[6]. Naszą stronę okupowali robotnicy: Włosi, Szkoci, Irlandczycy, Arabowie, trochę czarnych i kilku Wietnamczyków. To było miejsce, w którym ludzie jeżdżą raczej amerykańskimi niż niemieckimi samochodami.

W żadnym wypadku nie było to getto. Amerykańska klasa średnia dzieli się na różne szczeble, choć dorastające w niej dziecko nie zdaje sobie sprawy z tych podziałów, więc ich też nie dostrzega. Nasz dom był dobrym domem. W nocy mama utulała nas do snu. O szóstej na stole pojawiał się obiad. Znaliśmy różnicę pomiędzy widelcem do sałatek a widelczykiem deserowym. Mieliśmy ścianę książek i kilku dobrych przyjaciół. Nasze szkoły, finansowane z podatków napływających z fabryk samochodów, należały do najlepszych szkół publicznych w całym stanie Michigan. To dlatego moja mama i ojczym zdecydowali się tu przeprowadzić z Gary w stanie Indiana.

Ale Joy Road – czyli Droga Radości – nie zawsze bywała radosna. Czasem, pomimo całej miłości, jaka zawierała się w jej nazwie, sprawy się komplikowały. W latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych zdarzały się tu rzeczy, które nigdy wcześniej nie pojawiały się w amerykańskiej rzeczywistości. Narkotyki okazały się istnym dopustem bożym. W autobusie szkolnym zawsze spotykałem

jakiegoś obciętego na czeskiego piłkarza motocyklistę, który próbował wcisnąć mi torebeczkę anielskiego pyłu. Tak było w siódmej klasie.

Kolejnym problemem były rozwody. Mężczyźni w typie mojego ojczyma pakowali torby i wychodzili, nawet się nie odwracając. Dzieciaki, tak samo jak matka – niech Bóg ma w opiece tę kobietę – zostawały same i musiały sobie jakoś radzić, by zarobić na chleb.

Konsekwencje były takie, że poznałem wiele dzieci, które poddały się namowom dilerów z autobusu. Wśród nich było moje rodzeństwo. A także inne dzieciaki, które rzuciły szkołę i pałętały się po naszym domu, gdy matka była w pracy w kwiaciarni we wschodniej dzielnicy Detroit. Pamiętam Doca – nastolatka, który uciekł z domu i mieszkał w samochodzie przed naszym domem. Sypiał przy Joy Road i czekał na okruchy z naszego stołu; a na stole mojej matki zawsze się coś dla niego znajdowało. Przez jakiś czas mieszkała z nami koleżanka mojej siostry, Carrie. Jej matka była zadowolona z takiego układu, miała jedną gębę mniej do wykarmienia. Mojej mamie też to odpowiadało. I mnie także. Ta dziewczyna była cudowna. Ale któregoś dnia po prostu zniknęła. Odeszła. Później nie widziałem jej wiele lat. Spotkałem ją dopiero na pogrzebie mojej siostry.

Nikt nie zwracał sobie głowy zdobywaniem wykształcenia. Mojej siostrze, braciom, Carrie, Docowi i wielu innym nie chciało się uczyć, ale też nie chcieli iść do pracy w zakładach samochodowych. Podejrzewali, że ta praca jest zbyt ciężka, a poza tym związki zawodowe i tak uniemożliwiłyby jej zdobycie. Dwóch ojców rodzin z naszego sąsiedztwa pracowało w gigantycznym kompleksie Ford River Rouge w Dearborn, na zachodniej granicy Detroit. Musiało tam być okropnie. Obaj się zabili. Obaj za pomocą sznura. Albo jeden za pomocą broni, a drugi sznura. Kto tam wie.

Jednak wszyscy poznaliśmy posmak tego typu roboty, gdy braliśmy pracę na lato. Zamiataliśmy podłogi albo staliśmy przy taśmie. To było straszne. Żółte światła, smród smaru, oleju i kwasu. Nieruchomy zegar odmierzający czas pracy. Gdy otwierałeś drzwi i tam wchodziłeś, od razu zaczynałeś się zastanawiać nad tym, jak się stamtąd wydostać. Jeśli nie wiesz, że praca w fabryce tak właśnie wygląda, to znaczy, że nie wiesz o niej nic. Nasze pokolenie nie odrobiło lekcji, na której była mowa o tym, że praca jest czymś szlachetnym. Uczciwy dzień pracy. Szlachetność człowieka w białych skarpetkach, który wyciąga z portfela zdjęcie swoich wnuków. Nigdy nie pogodzilibyśmy się z pracą w fabryce. I odwracając się od pisanego nam losu – od dziadka w białych skarpetkach – zrujnowaliśmy sami

siebie.

Ci, którzy rzucili szkołę, jeśli jednak zechcieli coś robić, mogli liczyć na pracę w fabryce, sklepie metalowym albo na stacji benzynowej. Myśleliśmy, że linia montażowa będzie istniała zawsze. Jednak tak jak Docowi, który spał przy Joy Road – ulicy nazwanej po Henrym Joyu, prezesie nieczynnego już Packard Motors – wszystkim nam wydawało się, że uda się przeżyć na okruchach. Zamiast pracować, wyobrażaliśmy sobie, jak by to było, gdybyśmy zostali kanciarzami, naciągaczami, hazardzistami czy zawodowymi imprezowiczami. Praca była dla frajerów. Gdyby wtedy ktoś powiedział nam o istnieniu takich stanowisk jak nowojorski bankier czy makler, pewnie próbowalibyśmy je zdobyć. I nie mam wątpliwości, że bylibyśmy na nich dobrzy.

Najlepszy dolar to łatwy dolar – tak brzmiała lekcja, której dobrze się nauczyłem od mojego pierwszego ojczyma. Nigdy nie wiedziałem, czym dokładnie się zajmował. Wiedziałem tylko, że był dziekanem lipnego uniwersytetu korespondencyjnego. Wszystko, co trzeba było zrobić, by go ukończyć, to wysłać coś koło pięćdziesięciu dolarów i zaadresowaną na swoje nazwisko kopertę ze znaczkiem. W przesyłce zwrotnej przychodził dyplom stwierdzający, że pomyślnie ukończyło się wymagane kursy na jakichkolwiek studiach, które się wybrało na swoje edukacyjne kłamstwo: handlu, naukach ścisłych, literaturze czy sztuce. Ja zajmowałem się przystawianiem pieczęci na dyplomach za pomocą pneumatycznej stemplownicy. Miałem wtedy dziewięć lat.

Pamiętam dzień, gdy nasza rodzina siedziała w kręgu i oglądała ogłoszenie wyników wyborów prezydenckich z 1976 roku, gdy to Carter pokonał Forda, faceta z Michigan. Wtedy też przybijałem pieczątki na dyplomach. Interes szedł świetnie i pamiętam, że Carter został ogłoszony zwycięzcą na długo przed tym, nim my przekopaliśmy się przez wielką stertę dokumentów uwierzytelniających, które nasz uniwersytet wysyłał swoim studentom z narodu oszustów; narodu, który nie potrafił wybaczyć Fordowi tego, że on wybaczył Nixonowi.

Jak można było przewidzieć, małżeństwo nie przetrwało. No bo jak mógł przetrwać związek, w którym żona wiodła życie przejrzyste i uczciwe, a mąż hulał zielonym lincolnem continentalem z nabitą dwudziestką dwójką w schowku, grając do rana w pokera i stręcząc lewe dyplomy?

Kochałem tego faceta i nienawidziłem go. Pożerał książki i to od niego zaraziłem się miłością do słowa pisanego. Gdyby nie ta fascynacja, co bym teraz robił? Ale to także on zaszczepił we mnie niechęć wobec autorytetów i władzy.

Miał wybuchowy charakter. Małżeństwo rozpadło się, gdy miałem jakieś czternaście lat. Po tym, jak ojczym rozbił mi głowę dębową szpulą, której matka używała jako świecznika. Uciekłem i schowałem się na polu zielska po drugiej stronie ulicy, a na mojej twarzy zasychała krew. Patrzyłem na dom przy Drodze Radości i nienawidziłem go. Nienawidziłem go tak bardzo, że chciałem stamtąd odejść na zawsze. Pamiętam, jak siedziałem na polu trawy, myśląc o tym, że gdyby udało mi się kiedyś zdobyć pięćdziesiąt tysięcy dolarów, byłbym bogatym człowiekiem. Byłbym bogaty, mógłbym zabrać stąd rodzinę i moglibyśmy już nigdy tu nie wracać.

Moja siostra bardzo wcześniej zaczęła uciekać z domu. Po raz pierwszy zrobiła to, gdy miała czternaście lat, a gdy skończyła siedemnaście, uciekała już non stop. Ona zwróciła się w stronę ulicy, ja z kolei postawiłem na szkołę, boisko i przyjaciół. Tak wiele zawdzięczam mojej matce.

Nasza matka, kobieta elegancka i lojalna do granic możliwości, zapamiętała w wierze katoliczka, ciężko pracowała w swojej małej kwiaciarni na wschodzie miasta. Harowała tak ciężko, że prawie zniknęła, a mimo to przychodziła zawsze na wszystkie imprezy sportowe. W swoim płaszczu z szopa stawiała na linii trzydziestego jarda i stamtąd nauczała mnie, młodego gniewnego mężczyznę, czym jest rodzina.

A gdy jej dziatki się gubiły, ona szła ich szukać.

Mój brat Jimmy zagubił się w śnieżnej zamieci cracku, która szalała u nas w latach osiemdziesiątych. Miał wtedy szesnaście lat. Mieszkał i pracował w melinie narkotykowej w Brighthmoor, północno-zachodniej dzielnicy Detroit, która miała wyjątkowo złą sławę. Jego szefem był czarny koleś o ksywce Zgon Kota, syn właściciela pralni chemicznej, który zrobił na niej niezły interes. Praca Jimmy'ego polegała na szukaniu klienteli wśród mieszkańców białych przedmieść, na których można było zarobić duże pieniądze.

Moja matka dowiedziała się, gdzie pracuje Jimmy, i pojechała tam. Zapukała do bocznych drzwi meliny. Był wczesny wieczór, więc biznes kręcił się na najwyższych obrotach. Matka stała u drzwi i krzyczała, by oddali jej z powrotem syna, i że jeśli go nie dostanie, zadzwoni po policję.

– Joł, weź stąd tę wściekłą sukę – rozkazał mojemu bratu Zgon Kota.

Brat podszedł do drzwi.

– Mamo, co tu robisz? – zapytał, wychodząc na zewnątrz.

– Jimmy, twoja siostra wyszła z domu i już nie wróciła. Straciłam ją i nie mam

zamiaru stracić jeszcze ciebie.

– Mamo, czyś ty, kurwa, zwariowała? Ci faceci cię zabiją.

– Jimmy – powiedziała z wściekłością w oczach. – Zbyt ciężko, do cholery, pracuję, by to miasto miało mi odebrać moje dzieci. Chcę, żebyś w tej chwili wrócił ze mną do domu.

Ta piękna scenka rodzajowa rozgrywała się tuż koło siatkowych drzwi, z których raz po raz wychylały się głowy o dzikich, przetrawionych crackiem oczach.

– Już dobrze, już dobrze, mamo. Lepiej już idź. Odezwę się do ciebie za dzień czy dwa – Jimmy pamięta, że tak właśnie jej odpowiedział.

Tydzień później to ktoś się do niego odezwał. Kolesie z konkurencyjnego gangu narkotykowego ostrzelali jego buicką z półautomatów. Jedna z kul przebiła przednią szybę na wysokości klatki piersiowej, ale jakiś boski cud fizyki skierował ją rykoszetem w dół i utkwiała w desce rozdzielczej.

Wtedy, na szczęście, Jimmy wrócił do domu.

Ale Nicole opuściła go na dobre, nie licząc rzadkich odwiedzin, gdy wpadała, by ukraść jakiś mebel albo się umyć. Każda jej wizyta była bardzo osobliwa. Nieważne, jakich bezceństw się dopuściła, moja siostra zawsze była serdecznie witana w domu naszej matki na Joy Road. Przecież to był także jej dom i miał nim zostać na zawsze. Tym właśnie jest miłość.

Kiedy nie ćpała, siostra zajmowała się przede wszystkim serwowaniem facetom jajek na bekonie. Gdy była trzeźwa, Nicky była jedną z najbardziej pociągających kobiet, jakie kiedykolwiek istniały. Proporcjonalnie zbudowane ciało, piękny owal twarzy – nie miałyby żadnego problemu z tym, by znaleźć sobie dobrego towarzysza życia.

Ale moja siostra takiego towarzysza nigdy nie potrafiła przy sobie utrzymać. W 1986 roku została matką. Ponieważ nie była w stanie zajmować się jednocześnie dzieckiem i nałogiem, porzuciła córkę – Ashley. Zostawiła ją mojej matce i jej nowemu mężowi, jeszcze zanim dziecko nauczyło się raczkować.

Matka wiązała z Ashley wielkie nadzieje. Wszyscy wiązaliśmy. Pomimo tego, że demony Nicole odciągnęły ją od córki, dziewczynka miała szczęście. Nie musiała dorastać w otoczeniu obcych mężczyzn, ich wąsów, narkotyków i gorzały. Miała wychowywać się w domu pełnym miłości, poznać znaczenie tak staroświeckiej wartości, jak szacunek do siebie, i nauczyć się stać pewnie na własnych nogach. Miała interesować się sztuką, iść do college'u i spotykać się

z miłymi chłopcami. Miała naprawić wszystkie błędy, jakie popełniły poprzednie pokolenia.

Ale wydarzenia mają to do siebie, że toczą się inaczej, niż zaplanowaliśmy. Ashley, tak jak my wszyscy, wykluła się z ikry złożonej na bagnach Joy Road.

– No to dobra, jestem teraz u babci – gadała dalej Ashley. – Jeśli możesz przyjechać i mnie odebrać, to tam się spotkamy.

Wróciłem do Detroit, do domu. Ale nie byłem w stanie przyjąć na siebie wiążącej się z tym odpowiedzialności.

– Daj mi parę dni – skłamałem. – Niedługo po ciebie przyjadę.

– Okej – odpowiedziała. W jej głosie słychać było autentyczną radość. – Kocham cię, „wulku Shar”.

– Ja też cię kocham, kwiatuszku.

Nigdy do niej nie oddzwoniłem. Zawiodłem ją i czuję się podle, bo wiem, że nie będę już w stanie tego naprawić. Złamałem zasadę Rodziny.

GRANICA ŚWIATÓW – EIGHT MILE

Mój brat Frankie starał się jakoś wiązać koniec z końcem, utrzymując żonę i dwie córeczki, a pracując tylko na pół etatu. Wynajął małą furgonetkę chrysler town and country i ubezpieczył ją najtaniej, jak tylko się dało, na tysiąc dolarów własnego udziału. Wszystko było dobrze do momentu, gdy ktoś nie spróbował jej ukraść i Frankie musiał zapłacić siedemset pięćdziesiąt dolarów za wymianę zapłonu.

– Kto, kurwa, mógłby chcieć ukraść furgonetkę? – śmiał się, gdy musiałem go rano podwieźć.

Ale to nie było śmieszne. Te siedemset pięćdziesiąt dolarów mocno trzepnęło go po kieszeni i uruchomiło całą lawinę problemów.

Benzyna kosztowała cztery dolary i szesnaście centów za galon. Żonie Franka zmniejszyli wymiar godzin pracy. Przybywało niezapłaconych rachunków i nieuregulowanych zadłużeń na kartach kredytowych. Hipoteka była coraz bardziej obciążona. A bank nie chciał słuchać wyjaśnień.

Później przyszło wezwanie w sprawie najmu furgonetki. Trzeba było ją oddać albo wykupić. Samochód miał już bardzo duży przebieg i był przestarzały; zażyczyli sobie za niego trzy i pół tysiąca dolarów. Brat postanowił go wykupić, ale firma – widząc, jakie Frankie ma problemy z kartą kredytową – nie chciała dać mu go na raty. Frankie nie płakał.

Powiedział im, by za te trzy i pół tysiąca poszli się jebać. Nie powiedział tego ze złośliwości ani by kogoś obrazić. Po prostu w Detroit tak właśnie trzeba mówić.

Przynajmniej to Chrysler mógłby dla niego zrobić – iść się jebać – jako że to właśnie ta firma w dużej mierze odpowiadała za totalny upadek w dzielnicy Frankiego. Mój brat mieszkał tuż obok zakładów Dodge Ram, które – ponieważ nikt nie mógł już sobie pozwolić na zakup ciężarówki, a tym bardziej ośmiocyndrowego HEMI – przeszły w tryb pracy na jedną zmianę. Nawet szczury wydawały się wiedzieć, że Chrysler już ledwo zipie. Całymi hordami sprowadzały się do zakładów, atakując również ich sąsiedztwo; gniazda założyły także w garażu mojego brata i pod jego domem.

Chrysler odebrał furgonetkę, więc Frankie przerzucił się na autobus, który zawoził go do college'u artystycznego w centrum Detroit, gdzie pracował na pół

etatu jako gość od komputerów.

– Co za pieprzona jazda – opowiadał mi o swojej autobusowej odysei, która prowadziła go z Warren przez bebecchy getta Detroit. Nie mógł się nadziwić temu, że trawa rośnie tam na wysokość człowieka, bo nikt jej nie kosi, a tuż obok ścielą się całe sterty śmieci, bo nikt ich nie wywozi. Można by krajobrazowi strzelić całkiem niezłe fotki.

– W tym autobusie jestem jak Rosa Parks. Jedyne biały facet. Powinieneś tego posłuchać. „Czarnuchu” to, „czarnuchu” tamto... – opowiadał mi przy piwie w stowarzyszeniu weteranów, ohydnej spelunie z automatami do gier, rozchwierutanyymi stolikami i ludźmi, którzy w każdej chwili mogą trafić na stół do balsamowania zwłok. – „Zabiję cię, skurwielu”, i tak dalej. Niewiarygodne. Przecież autobusem miejskim jeżdżą dzieci do szkoły. Muszą siedzieć tuż obok pijaczków rzygających wprost na swoje buty. Albo jakieś dziecko ma grypę, zaczyna wymiotować w autobusie, wszyscy się z niego śmieją i dzieciak tak się wstydzi, że wysiada na najbliższym przystanku wprost na ziab. A matka po niego nie przyjdzie. Patrzysz na to i myślisz sobie, że te dzieciaki nie mają najmniejszej, kurwa, szansy, bo... bo po prostu nie mają. I każdy ma to w dupie.

Stowarzyszenie weteranów znajdowało się zaledwie kilka przecznic od domu Frankiego. Mój brat stacjonował w Korei, a więc – teoretycznie – walczył poza granicami kraju i dlatego, dopóki płacił składki członkowskie, mógł liczyć na serdeczne przyjęcie. Wydawało się, iż nikomu nie przeszkadza to, że kiedy Frankie wrócił do Stanów, nie był nawet szeregowym. Miało to związek z pewną dziwką w koszarach i koniecznością krycia jakiegoś sierżanta.

Gdy wrócił z wojny, siwowłosi wietnamscy wiarusi, robiąc ukłon w stronę młodszego pokolenia, wybrali go oficerem pomocniczym. Nie wiem, na czym polegały jego oficerskie uprawnienia; zresztą i tak nie zadawał się z tymi wszystkimi burakami. Ale, zwłaszcza teraz, piwo za dolara było dla niego jak dar z nieba, a ja czasem wpadałem tam razem z nim, by też się napić.

Frankie mieszkał w Warren, zaledwie kilkaset metrów na północ od Eight Mile Road, która oddzielała czarne miasto od białych robotniczych przedmieść.

Warren tak naprawdę nie jest przedmieściem, tylko ciągiem dalszym bezładnej zabudowy miejskiej. Zbudowano je podczas wojny w obronie przed napływem czarnych, a droga Eight Mile miała pomóc w skutecznym oddzieleniu dwóch światów. Warren było domem słynnych „demokratów Reagana” – tych białych robotników, którzy zagłosowali na republikanina ze względu na zniewagi rasowe,

jakie w sposób widoczny prowokowała akcja afirmacyjna. Wtedy, tak jak zresztą i teraz, w wielu domach mawiało się: „Jeśli nawet stracę pracę, przynajmniej nie dostanie się ona czarnuchowi”.

W tamtych czasach tylko bardzo niewielu białych wydawało się mieć świadomość tego, że interes czarnej klasy robotniczej jest również ich interesem.

Ten samobójczy gest robotników do głębi wstrząsnął ekspertami i profesorami, którzy zaczęli stadami napływać do południowo-wschodniego Michigan, by studiować robotnicze życie, tak jak studiuje się zachowania zwierząt w zoo. A przecież nie powinni byli być tak zaskoczeni. Wszak chodziło o tę samą grupę ludzi, którzy w 1972 roku w republikańskich prawyborach w Michigan głosowali na George’a Wallace’a, opryskliwego segregacjonistę z Alabamy.

Południowe Warren, wtedy brutalne i izolujące się od reszty miasta, na przestrzeni tych trzydziestu lat bardzo się zmieniło. Na początku nowego wieku oferowało miłe, spokojne i niczym się niewyróżniające miejsce do życia dla klasy średniej. Jeśli już musiałeś pracować w fabryce i mieszkać w jej okolicy, przy bulwarze poprzecinanym siatką linii wysokiego napięcia, to przynajmniej w pakiecie dostawałeś wakacje na wsi gdzieś nad jeziorem i motorówkę. Tyle mogłeś zyskać, oddając swoje życie maszynom.

Później gospodarka zaczęła przenosić się na południe, a ludziska nie byli w stanie spłacić weksli hipotecznych za swoje pokryte wyblakłym aluminium domy w stylu Cape Cod. By nie stracić ich na rzecz banku, woleli sprzedawać je chciwym i sprytnym najemcom albo oddawać do dyspozycji instytucjom opieki społecznej, które pieniądze na czynsz dostawały bezpośrednio od rządu federalnego.

Teraz ta okolica była jak gulasz, w którym mieszała się coraz bardziej cuchnąca kultura białych i cierpka tradycja czarnych, którzy od dwóch pokoleń nie poznali niczego prócz biedy.

W południowym Warren – czyli tej części dzielnicy, która bezpośrednio sąsiadowała z Detroit – przed domami od zawsze powiewał na maszcie sztandar konfederatów. Fabryka Dodge’a, zakłady General Motors i budowane z pustaków rodzinne sklepiki metalowe zapewniały pieniądze potrzebne na codzienne zakupy, okazjonalne wyjazdy na ryby i nowy samochód co dwa lata. Ale w momencie gdy wracałem do Detroit, jakieś trzy czwarte tych sklepów zginęło już śmiercią tragiczną.

Na ich miejscu pojawiły się inne, prężnie rozwijające się interesy: handel

narkotykami i prostytutką. Jednak te nowe biznesy nie przyniosły ze sobą lepszych szkół, ale pistolety, rdzewiejące samochody i zawałające się ganki, na których mężczyźni pili wódkę zawiniętą w papierową torbę. Dzieciaki o dzikich twarzach mrowiły się wokół placu zabaw u góry ulicy, handlując narkotykami. Frankie przestał wypuszczać córki z domu.

Mój brat kupił ten dom dekadę temu za siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Był to skromny budynek z dwiema sypialniami i niedokończonym poddaszem. Stał na podwójnej działce. W 2008 roku nie był już wart piętnastu tysięcy, a może nawet niewiele więcej niż pięć centów.

Często zdarzało się, że autobus, którym mój brat jeździł do domu, spóźniał się godzinę. Wtedy Frankie musiał siedzieć na zimnej stacji przesiadkowej przy State Fair Grounds, gdzie w pionie trzymał go tylko przenikliwy wiatr.

Było mi go szkoda i chciałem mu jakoś pomóc. Ale mój brat jest dumnym człowiekiem. Nie chciał przyjąć pożyczki. Nie chciał, bym go podwoził. Uparł się na autobus. Autobus dawał mu odpowiednią perspektywę.

– Zawsze może być gorzej – mówił. – Któregoś cholernie zimnego dnia kierowcy podjęli dziki strajk i nie uprzedzili o tym dzieciaków. Więc na przystanku stała cała masa dzieci w cienkich kurtkach. Przemarzały im tyłki, ale nikt nie zawracał sobie nimi głowy.

Frankie ma sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i waży niecałe sześćdziesiąt kilo, a w kieszeniach ma same drobniaki. Choruje na skoliozę; jako dziecko został potrącony przez samochód, który odchylił jego kręgosłup o osiemnaście stopni. To sprawia, że wydaje się, jakby nieustannie pochylał się pod uderzeniami wiatru. Frank wygląda bardzo surowo – nosi orientalne wąsy w stylu Fu Manchu, ma sporo tatuaży, a jego oczy są wielkie i okrągłe jak żetony. Ma łeb ze stali i niesamowity prawy sierpowy.

Któregoś razu w autobusie zaczepił go czarny facet, chcąc mu odebrać aparat fotograficzny. Frankie spojrzał na niego z dołu, później zerknął na jego kolegę, a potem znów na niedoszłego złodzieja i powiedział: „Do końca swojego życia będziesz się wstydził, że chuderlawy białas skopał ci dupę”.

Czarny zostawił go w spokoju, a jego kumpel strasznie się śmiał. Jednak Frankie przestał wozić ze sobą aparat.

Pewnej nocy, gdy byliśmy w stowarzyszeniu weteranów, emerytowany policjant –

żyłasty biały staruszek – opowiedział historię o czarnym facecie, który zginął w bójce. Działo się to we wczesnych latach siedemdziesiątych, gdy policjant właśnie wrócił z Wietnamu i był ze swoim partnerem na jednym z pierwszych patroli w życiu.

– Ścigaliśmy go w dół uliczki – wyjaśnił. – Nie mogliśmy go złapać. Więc w końcu wyciągnąłem służbowy rewolwer i strzeliłem mu w plecy. Umarł. Okleili taśmą całe miejsce zdarzenia, a sierżant prowadzący dochodzenie podszedł do mnie i mojego partnera, z kabury przy kostce wyciągnął mały pistolet i powiedział: „Okej, a więc było tak. Czarnuch wyjął tego gnata, rozumiesz...?”.

Biały staruszek wyjaśnił nam, że sierżant zawsze nosił przy kostce pistolet. Na wypadek gdyby akurat jakiś czarny zechciał uciekać i, zbiegiem okoliczności, miała pojawić się broń, która wystrzeli mu w plecy i położy go trupem. Tak w starych czasach utrzymywano porządek przy Eight Mile.

Wydawało się, że biały starzec łuszczy się od wspomnień, jakby te spaliły jego skórę. Frankie postawił mu drinka, by mógł nieco schłodzić ów żar.

Od momentu założenia Detroit nieustannie stawało w płomieniach. Trzykrotnie wybuchały tu zamieszki na tle rasowym i we wszystkich trzech przypadkach miasto zostało spalone aż do fundamentów. Potwierdzał to nawet sztandar miejski z dewizą *Speramus Meliora; Resurget Cineribus*. „Miejmy nadzieję na lepsze jutro, które z popiołów powstanie”.

Po raz pierwszy Detroit spłonęło w 1863 roku, podczas wojny domowej, gdy dziesięcioletnia biała dziewczynka oskarżyła śniadego właściciela tawerny, Williama Faulknera, o gwałt. W „Detroit Free Press” napisano wtedy o Faulknerze, że „w jego żyłach płynęło nieco murzyńskiej krwi”. Jednak ten zaprzeczył, jakoby miał być „Murzynem”. Utrzymywał, że pochodzi od hiszpańskich i indiańskich przodków.

„Nieco” wystarczyło jednak białej tłuszczy, która po skazaniu Faulknera dosłownie oszalała, wbijając topór w czaszkę pewnego czarnego mężczyzny i podpalając trzydzieści pięć budynków. Trzeba było wezwać żołnierzy wojsk federalnych.

Kolejny pożar na tle rasowym ogarnął Detroit podczas II wojny światowej, w 1943 roku, gdy doszło do awantury pomiędzy dwiema grupami nastolatków – czarnych i białych. A gdy po mieście rozeszła się plotka na temat gwałtu, jakiego

na białej dziewczynie miał dopuścić się czarny gang, zamieszki rozprzestrzeniły się na całe Detroit. Ludzi wyciągano z samochodów i bito, a czarna dzielnica stanęła w ogniu. W ciągu trzech dni walk, zanim wojska federalne zdążyły powstrzymać przemoc, życie straciło trzydziestu czterech ludzi.

Detroit zapłonęło znów w 1967 roku, gdy policja przypuściła szturm na chętnie odwiedzany przez czarnych nielegalny bar. Trwała tam właśnie w najlepsze impreza wydana na cześć żołnierzy, którzy wrócili z Wietnamu. Na rogu Dwunastej Ulicy i Clairmount gliniarze próbowali zaarrestować osiemdziesięciu dwóch członków śmietanki zachodniej dzielnicy, robiąc użytek ze swoich policyjnych pałek nie tylko wobec klientów knajpy, ale także postronnych świadków. Pięć dni później – tylko dzięki interwencji Gwardii Narodowej i Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznodesantowej – fala przemocy została powstrzymana. Zginęły czterdzieści trzy osoby, aresztowano ponad siedem tysięcy. Spłonęły dwa tysiące budynków.

I tak Detroit zdobyło wstydlive wyróżnienie – stało się jedynym amerykańskim miastem, które trzykrotnie okupowane było przez armię Stanów Zjednoczonych.

Michigan może sobie być pod względem geograficznym jednym z najbardziej wysuniętych na północ stanów Ameryki, ale duchowo należy do tych najzacieklej południowych. Podczas wielkiej rozbudowy miasta, jaka nastąpiła między 1920 a 1960 rokiem, na fali ruchu znanego jako Wielka Migracja, niemal pół miliona czarnych ruszyło z południowych pól bawełny na północ. Detroit jawiło im się jako ziemia obiecana, na której człowiek może kupić własny dom z wielkim trawnikiem i pielęgnować go tak długo, jak długo ma pracę, którą opłaci ten luksus. A w Detroit była masa pracy.

Do takich miejsc jak Detroit czy Flint przyjeżdżały też buraki z południa, szukając tam pracy fabrycznej, która nie wymagała od nich żadnych kwalifikacji. W szalonych latach dwudziestych Ku-Klux-Klan w Michigan dosłownie eksplodował. Do końca tamtej dekady zebrał około osiemdziesięciu tysięcy członków w całym stanie, z czego połowa mieszkała w Detroit, a reszta jednoczyła się w lokalnych oddziałach w takich miejscach jak Grand Rapids czy Flint.

Tym, co zastał czarny człowiek, gdy przybył do Detroit, była żywa i prawdziwa segregacja, fizyczne zagrożenie i restrykcyjne umowy dotyczące nieruchomości, które zabraniały mu zamieszkać właściwie gdziekolwiek poza dzielnicami Black Bottom lub Paradise Valley. Rozciągały się one wzdłuż Woodward Avenue, która to ulica przecinała miasto na pół, wyraźnie oddzielając jego wschód od części

zachodniej. Tamtejsza okolica wibrowała rytmem klubów jazzowych i prowadzonych przez czarnych sklepów, ale była też niemożliwie napchana ludźmi, zasiedlona przez szczury i zavalona śmieciami gromadzącymi się wokół domów, które nie spełniały jakichkolwiek standardów. W 1952 roku w samej Paradise Valley zgłoszono ponad dwieście przypadków pogryzienia przez szczury.

Później przyszły projekty odnowy miasta i budowy autostrady międzystanowej. Miała ona prowadzić przez sam środek Paradise Valley, co oznaczało wysiedlenie tysięcy jej czarnych mieszkańców i zapakowanie ich do murzyńskich kamienic w innych częściach miasta.

Jak można było przewidzieć, miasto wybuchło. W wyniku zamieszek z 1967 roku biali rozpoczęli pospieszny *exodus* na przedmieścia – do takich miejsc jak Warren. Porzucali swoje dotychczasowe domy, a zabierali ze sobą fabryki, miejsca pracy i uzyskane z podatków dolary.

Pięć lat później czarni przejęli polityczną kontrolę nad Detroit, wybierając na pierwszego czarnego burmistrza miasta Colemana Younga. Mściwy, inteligentny i zaopatrzony w wyjątkową umiejętność odwracania kota ogonem Young zasłynął z mowy inauguracyjnej, jaką wygłosił w 1974 roku:

Zwracam się z ostrzeżeniem do wszystkich dilerów, wszystkich zdzierców, wszystkich bandytów. Czas wam opuścić Detroit. Ruszajcie w drogę na Eight Mile. Gwiżdżę na to, czy jesteście czarni, czy biali; czy nosicie fantastyczne garnitury, czy niebieskie mundury ze srebrnymi odznakami. Ruszajcie w drogę.

Biali, którzy jeszcze tu pozostali, zrozumieli, że Young radzi im, aby się wynieśli. I tak też zrobili.

Detroit osiągnęło wyż demograficzny w latach pięćdziesiątych, gdy liczyło niemal milion dziewięćset tysięcy ludzi, z czego osiemdziesiąt trzy procent stanowili biali. Teraz w Detroit mieszka niecałe siedemset tysięcy osób, z czego dziewięćdziesiąt procent to czarni. I jest to jedyne amerykańskie miasto, w którym liczba mieszkańców przekroczyła milion, a później spadła poniżej tego progu.

– Czarni chcieli wydostać się z getta, a teraz całe miasto stało się gettem – stwierdziła niebieskowłosa barmanka w stowarzyszeniu weteranów, która wtrąciła się w naszą rozmowę, spodziewając się, że znajdzie w nas życzliwych słuchaczy. – Young zrujnował to miasto.

Z szafy grającej ktoś puścił Merle'a Haggarda. Spojrzałem na mojego brata, który nie gardził dobrą barową bójką. Już od dosyć dawna nie byłem w takiej spelunie; ostatnio było to wtedy, gdy przyjechałem do domu na święta, i zresztą był

to dokładnie ten sam bar. Wówczas nas wyproszone, ponieważ dopuściłem się profanacji, nazywając jednego z bywalców pierdoloną podróbką weterana wojennego. Najwyraźniej przeklinanie było tu absolutnie zabronione, ale udawanie, że brało się udział w zagranicznych działaniach wojennych, było tylko drobnym wykroczeniem.

Frankie uśmiechał się do barmanki.

– Myślę, że to zależy od tego, z kim porozmawiasz – powiedział, lekceważąco machając papierosem. – I od tego, po której stronie Eight Mile staniesz. Czarni mogą uważać, że to ty zrujnowałaś to miasto, wyprowadzając się z niego, uprzednio nie posprzątawszy swojego bałaganu.

Zapadła cisza. Słyszeć było tylko starego dobrego Merle’a.

– „Nie będziemy na Main Street palić naszych kart powołania...” – śpiewał.

OGIEŃ

Tym, co świadczyło o upadku miasta, nie były tylko skandal seksualny i polityczne zepsucie; Detroit znajdowało się również na skraju bankructwa. Latarnie uliczne były zepsute albo z niewiadomych powodów powyłączone. Nie wywożono śmieci. Ścieki cofały się do domów, zalewając wszelkim paskudztwem całe ulice. Karetki były totalnie zajeżdżone i czasami nie pojawiały się przez kilka godzin od momentu wezwania. Samochody policyjne miały przynajmniej dziesięć lat. Tymczasem Kilpatrick z żoną wozili się kosztownym cadillakiem escalade, kupionym za pieniądze podatników najbiedniejszego miasta w kraju.

By zaoszczędzić pieniądze, burmistrz usiłował wprowadzić cięcia w zawalonej pracy i nękaniej nieustannymi kłopotami straży pożarnej. Pewnego ranka siedziałem w sennym newsroomie i słuchałem ciszy, tylko od czasu do czasu przerywanej stukaniem klawiatury któregoś z redaktorów. Czytałem artykuł w porannym wydaniu „Free Press”. Mowa tam była o tym, że burmistrz dał do zrozumienia, jakoby praca naszych strażaków miejskich była jedną wielką lipą i składała się głównie ze spania i wcinania steków, czasami tylko przerywanego wyjazdem do jakiegoś pożaru.

W latach, gdy pracowałem dla „Timesa” i sporo czasu spędzałem w Strefie Zero, wiele nauczyłem się o strażakach i wiedziałem, że są to jedyni ludzie na tej ziemi, którzy jeszcze w czymkolwiek przypominają kowbojów. No bo spróbujcie sobie wyobrazić człowieka, który z własnej woli zechciałby wbiec do płonącego budynku. Strażacy mają ograniczone horyzonty kulturowe i kiepski styl wypowiedzania się, ale także masę historii, którymi niemal nikt nie ma ochoty się zajmować; aż do momentu, gdy nadejdzie katastrofa.

Wiedziałem, że tym komentarzem w gazecie Kilpatrick zrobił sobie tysiąc wrogów w ciężkich butach. Założyłem kurtkę i poszedłem spotkać się z moim człowiekiem.

– Jeśli burmistrz uważa, że praca w wozie strażackim jest taka łatwa, to powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił – powiedział Dan McNamara, przewodniczący związku zawodowego strażaków. McNamara był typowym wielkomiejskim szefem związków, wyszkolonym – jak można było sądzić po jego zachowaniu – na

kursach negocjacji prowadzonych pod hasłem pocałuj-mnie-w-dupe. Siwowłosy i wąsaty, zasiadał za wielkim biurkiem. Złączone palce jego rąk układały się tak, że kształtem przypominały kryształ lub pochwę. – Załatwię to tak, żeby ta cipa mogła naprawdę popracować.

– Tak zrobię – odpowiedziałem.

– Zrobisz co?

– Powiem mu, że jest cipą, a potem przejadę się z wami na pace.

McNamara uśmiechnął się pod wąsem.

Zawiózł mnie na East Side, w rejon strażaków z drużyny trzeciej, pracujących w remizie oznaczonej numerem dwadzieścia trzy. Zatrzymaliśmy się przy jednej z przecznic osiedla, na którym – jak pola na szachownicy – znajdowały się na przemian niezamieszkane i spalone domy. Przypominało to uzębienie narkomana, który od lat leci na mecie.

W połowie ulicy stały trzy wozy, a między nimi kręcił się jakiś tuzin strażaków, pracujących przy gaszeniu pożaru opuszczonego domu. Płonący budynek stał tuż obok zamieszkanego przez starszą kobietę małego, schludnego domku w stylu Cape Cod.

Oficer dowodzący nazywał się Mike Nevin. Był to pełen energii facet, który podczas akcji dawał z siebie wszystko. Miał nos jak kartofel i okropną fryzurę na czeskiego piłkarza – z przodu krótką, a z tyłu tak długą, że wyobrażałem sobie, jak na tę czuprynę spada iskra, a jego głowa zajmuje się ogniem jak wielki stóg siana w kolorze blond.

Od razu zauważyłem, że Nevin należy do facetów, którzy nie znoszą pierdolenia głupot i nie biorą jeńców; że jest przywódcą, za którym ludzie instynktownie rzucają się w wir walki. Jednak gdy popatrzyłem na wyposażenie oddziału – nadtopione hełmy, dziurawe buty i kurtki pokryte tak grubą warstwą sadzy, że ubrani w nie mężczyźni wyglądali jak wielkie zapalki – ci faceci wydali mi się garstką steranych żołnierzy, rzuconych na jakiś zapomniany przez Boga i ludzi front. Walczyli na wojnie, której nie sposób było wygrać i która zbierała obfite żniwo. Bo Detroit płonęło nieustannie. Stało w ogniu, którego nie dało się powstrzymać.

– Odwaliliście dobrą robotę, chłopcy – powiedział Nevin swojemu oddziałowi. – Udało nam się uratować dom tej staruszki. Co oznacza, że

prawdopodobnie uratowaliśmy ją przed schroniskiem dla bezdomnych. Ta pani zaprasza nas na obiad.

Robiłem notatki. W pewnym momencie jeden ze strażaków, duży facet z wygoloną na łyso i poplamioną sadzą czaszką, trącił mnie w ramię.

– Masz na imię Charlie?

– Tak – odpowiedziałem, zaskoczony tym, że w tym mrocznym zakątku miejskiej pustyni ktoś mnie rozpoznał.

– Jestem Dave. Chodziłem do szkoły z bratem twojej żony. Pamiętasz mnie?

Powiedziałem, że pamiętam. Kiedyś gdzieś dawno temu upiliśmy się razem. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Cóż, witamy w domu. Takim, jaki jest naprawdę.

– Co tu się, do cholery, stało?

Wzruszył ramionami z miną w stylu gdybym-tylko-wiedział.

– Wolę się nad tym wszystkim nie zastanawiać. Pracy nie brakuje. Tyle wiem i tyle mi wystarczy.

Podszedł do nas Nevin.

– A więc chcesz zostać strażakiem? – zapytał.

– Nie, chcę tylko popatrzeć. Zobaczyć to, na co patrzycie wy. Co się tutaj stało? – zapytałem.

W ręku trzymał plastikowy kanister na benzynę.

– Podpalenie – odpowiedział. – W tym mieście podpalenia zdarzają się nieustannie. Tysiące rocznie, bracie. W Detroit jest straszna bieda, a ogień wychodzi taniej niż kino. Kanister benzyny kosztuje trzy pięćdziesiąt, a bilet na film osiem dolców. Poza tym w Detroit właściwie nie ma już kin, no więc kurwa... Ludzie podpalają najbliższy pusty dom i zasiadają na swojej pieprzonej werandzie. Piją najtańszego sikacza, rozpalają grilla i się cieszą, bo to świetna, kurwa, rozrywka. To nie do wiary. A ta staruszka, która mieszka obok, nie ma ubezpieczenia. Gdy i jej dom zajmie się ogniem, zostanie bezdomna i wkrótce umrze cała kolejna pierdolona ulica.

Wszystko to sobie zapisałem. Wiedziałem, że to dobra historia.

Parę dni później wróciłem do remizy, by wejść w to wszystko głębiej; czułem się jak korespondent wojenny, śledzący oddział *marines* na jakimś zadupiu w Afganistanie. Załadowaliśmy się na wóz i ruszyliśmy w drogę. Jechałem między innymi z Jimmym Montgomerym, niskim i bardzo pobudliwym białym facetem; Waltem Harrisem – najlepszym kumplem Jimmy'ego, krzepkim i wygadany

czarnym gościem, który dorabiał na boku jako pastor baptystów; oraz Jeffem Hammem, który na drugim etacie pracował jako pielęgniarz.

Zmierzchało i padał lekki deszcz. Wydawało się, że wieczór jest jakby oleisty. Nevin spoglądał przez okno nieobecny spojrzeniem, które sięgało wiele kilometrów w dal.

– Po co ja w ogóle przyjechałem do pracy? – powiedział w moją stronę. Siedział z przodu, na siedzeniu pasażera. Staliśmy na czerwonym świetle, a Nevin przyglądał się facetowi w kurtce z kapturem, który stał obok samochodu i palił skręta. – Wiesz, jak wygląda ta praca tutaj, w mieście? Jest jak te głupie czarno-białe filmy, które chłopcy posyłali z Wietnamu. Pierdoleni, głupi żołnierze machają do kamery: „Hej, mamó, wszystko fajnie. Wszystko jest w porządku”. Wiesz, o co chodzi? Za nimi leży stos ciał, a oni siedzą, palą skręty i grają w karty. „Hej, mamó, kocham cię. Zobaczymy się za osiem miesięcy”. Chodzi mi o to, że to jest przejebane. Ktoś z tego wozu na pewno zostanie poważnie ranny i to raczej wcześniej niż później. To miasto płonie całymi dniami i nocami, a my mamy główniany ekwipunek. Popatrz choćby na te buty. I każdy ma to w dupie.

Wsadził palec do dziury w podeszwie.

– Ktoś zginie, to tylko kwestia czasu, wiesz? To tylko kwestia czasu, bo tak się nie da działać.

Za kółkiem siedział pastor Harris i chichotał. Gdy skręciliśmy w boczną ulicę, musieliśmy się zatrzymać, bo właśnie odbywał się tam handel narkotykami. Na środku uliczki stał samochód, a diler dokonywał transakcji przez okno, nie wysiadając z pojazdu.

– Popatrz na to gówno – mówił dalej Nevin, obserwując bladą twarz oddalającego się narkomana. – Popatrz na tego faceta. Nikt o nim nie pamięta. Nawet on sam o sobie zapomniał. To smutne. Co mu innego zostało? Mówią o Nowym Orleanie i huraganie Katrina. Tam pomagają, ale tutaj nikt nas nie uratuje; nie ma co czekać na rzuty z pomocą humanitarną. Nie ma żadnego sensownego planu przesiedleń ani pieniędzy na odbudowę. Takich ludzi, jak ten tutaj, zostawia się samym sobie, więc co innego mu zostało?

Nevin wychował się w tej okolicy. Jego dziadek, litewski imigrant, klepał zderzaki samochodowe w zakładach Packarda. Ojciec Nevina urodził się parę przecznic obok remizy i po trzydziestu latach służby w straży pożarnej przeszedł na emeryturę. A teraz pracował tam Nevin, wraz z innymi chłopakami starając się ochronić tę dzielnicę odpadów i zamieszkujących ją ludzi przed wypaleniem do

gołej ziemi.

– Kocham to miejsce, tę dzielnicę, tych ludzi – mówił. – Jestem wściekły na tych przy władzy, którzy powinni się tym wszystkim dobrze zająć, a tego nie robią.

Przy cmentarzu ewangelickim zawróciliśmy i skierowaliśmy się z powrotem do remizy. Zauważyłem maszynę do robót ziemnych, która – zamiast opuszczać trumny do ziemi – jedną z nich wyciągała na powierzchnię.

– Co tam się dzieje? – zapytałem.

– Usuwają zmarłego – odpowiedział Harris bez cienia ironii. – Zabierają go na przedmieścia.

– Nie, to nie może być prawda – powiedziałem. Czyżby strażacy robili sobie żarty z łatwowiernego reportera?

– Jak nie chcesz, to nie wierz – powiedział Harris.

Zanotowałem sobie, by później to sprawdzić.

Sam Harris przeprowadził się na przedmieścia, do Sterling Heights, bo okolica na północ od Warren czy Eight Mile nie wydawały mu się dobrym miejscem do wychowywania dzieci. Choć to w centrum mieszkali ludzie, których kochał, zdecydował się żyć wśród białych sąsiadów, którzy mieli z nim – wprowadzającym się na ich terytorium czarnym – pewien problem.

– Wychowywanie dzieciaków w mieście stało się zbyt trudne. Gdy się wprowadziłem do mojej dzielnicy, na początku miałem poczucie, że mnie tam nie chcą – tak Harris wspominał pierwsze doświadczenia jedyne czarnego człowieka na całej ulicy. – Ale gdy mnie poznali, sytuacja się poprawiła.

Harris minął Kirby Street i skierował wóz w lewo na East Grand Boulevard. Remiza znajduje się we wschodniej części centrum miasta, obok wielkiego wraku zakładów samochodowych Packarda. Zamknięto je w 1956 roku, ale do dziś nikt nie miał czasu ani ochoty ich zburzyć. Pozostało ćwierć tysiąca hektarów ruiny przemysłowej, na których toczą się niebezpieczne zabawy w kotka i myszkę. W poszukiwaniu metalu, który można by sprzedać na złom, często zapuszczają się tu śmieciarze. Czasami podpalają część budynków. Gdy tylko strażacy sumiennie ugaszą pożar, śmieciarze wracają, by zabrać ślicznie oczyszczone przez ogień dźwigary czy inne metalowe elementy konstrukcji, z których zbudowany jest szkielet zabudowań. Już z wozu dostrzegałem dziurawe dachy, wybrakowane ściany, wielkie na kilkanaście metrów dziury w ziemi i rosnące w środku budynków drzewa. Całość wyglądała jak – gigantyczne i zżerane rakiem – dziwaczne atrium.

– Jakbyśmy pracowali na zlecenie pieprzonych złomiarzy – powiedział Nevin.

Nadziemny pasaż prowadzący nad Grand Boulevard, łączący południową część zakładów z ich częścią północną, zdobił napis. Brakowało w nim kilku liter. W tej wybrakowanej postaci układał się w całkiem adekwatne epitafium dla miasta: MOR CITY IN U TR L PARK^[7].

Remiza znajduje się tuż obok. W środku stoi dzbanek z nieustannie gotującą się kawą, wokół którego gromadzą się mężczyźni oczekujący na kolejne wezwanie. Rzadko udaje im się dopić kawę do końca, nim znów muszą wsiąść do wozu.

Radio bez przerwy pobekuje, jak cierpiąca na kolkę owieczka, tułająca się po mieście, które wiecznie stoi w płomieniach.

– Szesnastka, odezwijcie się.

– Szesnastka uszkodzona – słyszać odpowiedź.

Jimmy Montgomery wybucha śmiechem. Śmieje się za każdym razem, gdy słyszy coś takiego. Wychodzimy na zewnątrz i przystajemy na rogu ulicy. Wydaje się, że tutaj wszystko jest zepsute: od deski sedesowej w remizie po urząd miasta, który płaci za jej utrzymanie. Jimmy patrzy na dom po drugiej stronie East Grand Boulevard – ten, który zamiast dachu ma rozciągniętą niebieską plandekę. Patrzy na zielsko. Na porzucony samochód. Puste fabryczki, bary dla robotników i piekarnię, w której zwykł był kupować chleb, gdy siedemnaście lat temu zaczynał tę pracę.

W remizie strażackiej nawet alarm był zepsuty. A ponieważ nikt z centrali nie zawracał sobie głowy tym, by przyjechać i go naprawić, jeden z tutejszych chłopaków sam jakoś prowizorycznie go podłączył. Zbudował skomplikowane ustrojstwo złożone z wielu przemyślnie połączonych urządzeń o pierwotnie zupełnie innym przeznaczeniu.

Gdy do remizy przychodziło wezwanie, z drukarki wysuwał się termiczny papier faksowy, na którym zapisane były namiary na miejsce pożaru. Papier wyjeżdżał tak, że docierał do zawiasu drzwi i umieszczonej na nim śruby. Z kolei śruba dotykała podłączonej do prądu metalowej blaszki, którą podpięto do alarmu. W ten sposób obwód elektryczny zamykał się i dzwonek zaczynał dzwonić. A dokładniej mówiąc, z jego skrzynki wydobywało się coś w rodzaju beczenia.

Nadeszło wezwanie: pewien mężczyzna podłączył wąż ogrodowy do głównej instalacji gazowej budynku, ponieważ nie stać go było na to, by w inny sposób zapewnić ciepło swoim dzieciom. Gaz zaczął się ulatniać. Budynek eksplodował. Po trzech minutach strażacy byli na miejscu. Miejsce zdarzenia wyglądało jak

malunek Hieronima Boscha – obraz ludzkiego zatracenia się w ogniu. Strażacy wyciągnęli z pożaru dzieci i odkleili od ramy okiennej bebechy ich ojca, który leżał rozwalony jak stara szmaciana lalka. Któryś ze strażaków wsiadł wraz z dziewczynką do karetki – jedną ręką zasłaniał oczy dziecka, a drugą podtrzymywał jego strzaskaną kość udową.

Tam, gdzie kiedyś stał dom, teraz widniał ziejący krater.

– Czy to się kiedyś skończy? – Nevin zadał to pytanie w powietrze, nie kierując go do nikogo konkretnego. Było to godzinę później, gdy palił tanie cygaro. Robił to tak nonszalancko, jakby masakra była dla niego czymś powszednim. – W tym mieście dzieci umierają dlatego, że są kurewsko biedne i nie są w stanie się ogrzać. Zapisz to w swoim pieprzonym notatniku.

Zapisałem to w moim pieprzonym notatniku.

Ośmiu mężczyzn wróciło do remizy z twarzami umazanymi błotem; byli brudni i zmęczeni. Nim jeszcze zdążyli zobaczyć, w jakim są stanie, znów zabeczał alarm. Tym razem chodziło o zwykły pożar jednego z sześćdziesięciu dwóch tysięcy opuszczonych domów w tym mieście. Strażacy wskoczyli do wozów i po kilku sekundach już byli w drodze. Pruli przez Mt. Elliott Avenue. Inni kierowcy nie zawracali sobie głowy tym, by zjechać im z pasa. Wycie syren było tu codziennym, nudnym utrapieniem.

Gdy strażacy przyjechali na miejsce, znaleźli zastawiony do kolacji stół. Na otwartej książce leżały okulary. Kredens zapełniały puszki i opakowania płatków kukurydzianych. Wyglądało to tak, jakby właściciel domu dwadzieścia lat temu wyszedł na spacer z psem i nigdy już nie wrócił.

To właśnie wtedy zacząłem sobie uświadamiać, kim naprawdę jest strażak z Detroit. Jest facetem, który musi jakoś zapanować nad okrutnymi zabawami Nerona.

Nagle zrozumiałem, że praca Nevina, Harrisa i całej ich strażackiej braci stawia ich w wyjątkowej sytuacji. Sytuacji świadków wielkiego odwrotu wielkiego miasta i walki o to, by uchronić zamieszkujących je żywych ludzi przed upadkiem w popiołnik historii.

Problemy Detroit biorą swój początek w umysłowości jego mieszkańców z wczesnych lat osiemdziesiątych. Wtedy to z niewytłumaczalnych przyczyn miasto stawało w płomieniach każdego roku w noc poprzedzającą Halloween,

zwaną Nocą Diabła. Następowala wtedy istna orgia podpaleń i wszelkich innych aktów wandalizmu.

W 1984 roku zanotowano osiemset dziesięć pożarów. To właśnie w tym momencie wariaci z całego kraju połknęli bakcyła ognia i Detroit stało się popularnym kierunkiem turystycznym dla wszelkich szaleńców i poszukiwaczy wrażeń. Dopiero teraz, gdy wróciłem do domu, przekonałem się, że również moja rodzina padła ich ofiarą.

Kwiaciarnia mojej matki mieściła się przy East Jefferson Avenue, głównej arterii miasta, biegnącej na wschód od centrum Detroit w stronę ekskluzywnych przedmieść Grosse Pointe.

Sklep stał na samym brzegu czarnego getta, w okolicy zamieszkiwanej onegdaj przez białych robotników. Szyby były zakratowane, a wnętrze – zasłonięte kwiatami – niewidoczne dla kogoś, kto zechciałby zajrzeć przez okno z ulicy. Była więc szansa, że uzbrojony napastnik nie dostrzeże, iż moja matka pracuje w środku sama, jak miała to w zwyczaju. I choć kilkakrotnie znalazła się na celowniku, wytrzymała w tej śmierdzącej dziurze wiele lat, jakoś ją utrzymując i walcząc o to, by – między jednym a drugim małżeństwem – samodzielnie wykarmić piątkę dzieci. Była jedną z tych osób, które w zupełnie irracjonalny sposób przywiązały się do tego miasta. I tak to wszystko trwało aż do pewnego jesienno wieczora tuż przed Halloween, gdy to jakiś szalony facet podłożył pod kwiaciarnię ogień.

Musiał to zrobić jedynie dla zabawy, bo niczego nie ukradł. Moja matka była zszokowana bezsensu jego działania. Po co niszczyć bez żadnego celu? Po co palić budynek, dzielnicę, miasto? Matka naprawiła szkody, ale po jakimś czasie ktoś wybił w kwiaciarni okno, rzucając w nie cegłą. Matka wymieniła szybę. Ale tydzień później ktoś wrzucił do sklepu kolejną cegłę, znów tłukąc okno. Matka nie była w stanie tego pojąć i nie miała już siły podejmować kolejnych prób i starań. Odwróciła się plecami do Detroit i przeniosła kwiaciarnię w staroświeckie, zadbane i dobrze strzeżone przez policję okolice Grosse Pointe Park.

Całkiem niedawno pomyślałem, by odwiedzić ten stary sklep. Już go nie ma. Nie pozostało tam nic prócz sterty cegieł i odłamków tynku. Przekopując się przez gruzy, natrafiłem na kilka wypisanych ręką mamy faktur. Gdy dałem jej te papiery, przez chwilę tępo się w nie wpatrywała. A później wybuchnęła płaczem.

Kilka dni później znów pojechałem do remizy i znów wspiąłem się na pakę wozu

strażackiego. Nevin starał się wszystko mi tłumaczyć, bym na pewno zdołał uchwycić sedno.

– Ludzie w Detroit są biedni, ale w większości dobrzy. Tutaj dzieją się rzeczy, których normalny człowiek nie jest w stanie kontrolować. Ci ludzie są głodni i nie mają pracy. Ani żadnej możliwości jej znalezienia. Oni tu po prostu tkwią. A dupki przy władzy, od Busha w Białym Domu po Kilpatricka w Manoogian Mansion^[8], są zupełnie pozbawione kompetencji. To jest jakaś choroba narodowa – mówił.

Opowiedział mi o stosowanych wobec strażaków cięciach i reglamentacjach oraz o tym, że z powodu braków finansowych w budżecie miasta zlikwidowano dwadzieścia procent brygad. O tym, że strażacy sami muszą kupować papier toaletowy i środki czystości. O tym, że zmuszeni są nosić stare, pokryte sadzą mundury. Miasto usunęło nawet jakiś czas temu mosiężne ześlizgi i sprzedawało je na licytacjach.

Gdy poprosiłem go, by spróbował ocenić całą tę sytuację w szerszej skali, powiedział, że problem jest dużo większy niż cała Rada Miejska.

– Gdy się dokładnie przyjrzeć, jest to boleśnie proste – powiedział Nevin. – Przenosi się fabrykę w nowe miejsce, ale nie bierze się ze sobą pracowników.

Podano obiad i pastor Harris, jak miał to w zwyczaju, rozpoczął modlitwę. Gdy skończyliśmy się modlić, chłopcy znów zaczęli zasypywać mnie historiami. Opowiedzieli mi między innymi o pewnym pechowym facecie, którego zdjęli kiedyś z linii wysokiego napięcia, na której dyndał jak ludzka piñata. Gość, zanim umarł, próbował odciąć jeden z przewodów, by sprzedać go handlarzom miedzi.

Kradzieże zdarzały się nawet w samych remizach. Ostatnio jeden ze strażaków przyrządził dla wszystkich steki z ziemniakami, by mogli zjeść w pracy szybką kolację. Zanim zdążyli zabrać się do posiłku, dostali wezwanie. Gdy wrócili z akcji, zobaczyli, że kolację ktoś ukradł; całą, aż do ostatniego ziarenka groszku. Ze spiżarni zniknęły puszki fasoli i śmietanka do kawy. Skradziono także prywatnego pikapa jednego ze strażaków.

Parę dni wcześniej patrzyłem, jak płonie dom, pod który podłożyła ogień obłąkana kobieta. W tym samym czasie, gdy strażacy walczyli z pożarem, kobieta zakradła się do ich wozu i próbowała nim odjechać. Strażacy wezwali policję.

Usłyszeli odpowiedź: „Nie mamy wolnego radiowożu”.

Złapali więc ją sami, okryli płaszczem i trzymali aż do momentu, gdy zjawiło się dwóch śledczych wyznaczonych do sprawy podpalenia, którzy dalej się nią zajęli.

Nie zdążyliśmy skończyć kolacji. Dziwaczne alarmowe ustrojstwo znów rozbrzmiało. I znów, jak zawsze, mężczyźni szybko wskoczyli w mundury i do wozów.

Pożar wybuchł niedaleko, zaledwie kilka przecznic dalej. Dom był niezamieszkały i pusty; ostatni dom na całej ulicy. Na niezabudowanej działce po drugiej stronie stał traktor. Jeden ze strażaków wyjaśnił mi, że pewien farmer zamienił całą tę podupadłą okolicę w pole uprawne. Wszędzie wokół, pośród wysokiej trawy, stały wielkie stogi siana.

Gdy strażacy rozwijali wąż, nadjechała grupka czterech mężczyzn w minivanie. Mieli ze sobą aparaty fotograficzne. Dotarli tu, jeszcze zanim zjechały się wszystkie miejscowe wozy strażackie. Byli ubrani w kurtki z naszywkami oddziałów z różnych części kraju, co kazało mi uznać, że są to przedstawiciele centrali lub związków. Jeden z facetów jadł batonika.

– Jesteście strażakami? – zapytałem, wyciągając notatnik.

– Coś w tym stylu – odpowiedział groźnym tonem.

Zapytałem pastora Walta Harrisa, kim są ci goście.

Harris spoglądał na wysokie kupki siana ułożone przy sąsiedniej ulicy i czarnych staruszków, którzy powychodzili na ganki w samych szlafrokach. Później spojrzał na białych niedoszłych strażaków z ich śmiesznymi naszywkami.

– Jako że zdążyli tu przyjechać przed nami, to prawdopodobnie oni podłożyli ogień – powiedział. – Przyjeżdżają do miasta, wynajmują pokój w motelu i jeżdżą po okolicy. Nasłuchując przez CB-radio, czekają na pożar – wyjaśniał mi. – To mi łamie serce. To, co się tu dzieje, łamie mi serce. Każdy z naszych chłopaków powie ci, że oddałby wszystko, co ma, by pomóc mieszkańcom tego miasta. Jeśli będzie musiał, odda nawet swoje życie. To mi łamie serce.

Popatrzyłem na chujków z aparatami i ich naszywki straży pożarnej z New Jersey. Przydałoby się porządnie skopać im tyłki. Gdzie była policja? Gdzie był ktokolwiek?

MONGO

Tak jak ja to widziałem, moja historia o martwej striptizerce Truskaweczce była dla Kilpatricka wspaniałą walentynką. Spośród publikowanych codziennie rewelacji na temat kobiet z otoczenia burmistrza czy stosowanej przez administrację miasta taktyki płacisz-i-masz mój artykuł był najbliższy temu, co można określić jako „dobrą prasę”.

A teraz nadszedł czas, by mi się odplacił. Kilpatrick wisiał mi przynajmniej lunch i wywiad. Zadzwońłem do jego ludzi, by się o nie upomnieć.

Ale burmistrz ukrywał się w swojej borsuczej norze i – jak mnie poinformowano – nie miał zamiaru z niej wychodzić.

– Co on będzie z tego miał? – zapytał mnie jego rzecznik James Canning, gdy spotkałem się z nim na kawie we wschodnim skrzydle budynku Rady Miejskiej. Siedzieliśmy przy oknie, przez które widziałem stojące po drugiej stronie ulicy Centrum Renesansu, światową centralę General Motors. Był ranek, dzień roboczy, ale budynki i ulice świeciły pustkami. Moje oczy odwróciły się od ulicznego żebraka i spoczęły na Canningu, młodym białym facecie, którego niezbyt godna pozazdroszczenia praca polegała na stawaniu przez kamerami telewizyjnymi i opowiadaniu kłamstw o tym, jak ciężko pracuje burmistrz Kilpatrick, by uratować nasze miasto.

– Co on będzie z tego miał? – powtórzyłem jego pytanie, oddając tonem głosu całe moje wielkie oburzenie wielkiego reportera z wielkiego miasta, który to ton doprowadziłem do perfekcji w ciągu dziesięciu lat pracy w „Timesie”. – Powiem panu, co on z tego będzie miał. Jeśli nie udzieli mi wywiadu, będę codziennie kopał jego tyłek w tę i z powrotem przez całą Woodward Avenue. To będzie z tego miał.

Canning wyglądał na tak zaskoczonego, jakbym właśnie nasikał mu do kawy.

– Skąd pan przyjechał? – zapytał. – Z Nowego Jorku, prawda?

– Tak. Z Nowego Jorku.

– Tutaj nie przywykliśmy do takich zachowań.

Podał mi swoją wizytówkę, na której nagryzmolił jakieś nazwisko i numer telefonu. – Proszę zadzwonić do wielebnego. On może się wypowiedzieć w imieniu burmistrza.

Spojrzałem na wizytówkę. Wielebny Horace Sheffield. Schowałem kartonik do kieszeni.

- A co z lunchem?
- Zapytam.
- Proszę mu powiedzieć, że ja stawiam.

Wielebny Sheffield prowadził ośrodek kultury w odległym, zachodnim zakątku miasta. Za barierę odgradzającą jego placówkę od getta służyły najeżone kolcami ogrodzenie i sterowana elektronicznie brama. Sheffield był synem bardzo ważnej dla Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Motoryzacyjnego postaci, a i sam wiele znaczył, bo podpisywał z Radą Miejską lukratywne umowy i kontrakty. Odwdzięczał się za nie lojalnością i garścią głosów, gdy przychodziło do wyborów. Gdy do niego zadzwoniłem, zaczął narzekać, że zablokowali mu komórkę i ma problemy ze spłatą hipoteki, ponieważ Rada Miejska wciąż jest mu dłużna trzysta tysięcy, jakie miał otrzymać w ramach grantu edukacyjnego.

Ośrodek był ponury i źle oświetlony. Gdy wszedłem do środka, zanim jeszcze skierowałem się ku recepcji, zatrzymałem się na chwilę i zajrzałem do jednej z sal. Siedziało tam jakieś pół tuzina dzieciaków, bazgrząc coś w notesach i obmacując się wzajemnie. Kartka na drzwiach głosiła, że w sali właśnie odbywają się zajęcia, na których trudna młodzież nabywa umiejętności radzenia sobie w życiu. Najwidoczniej właśnie na to wydano trzysta tysięcy dolarów otrzymanych od Rady Miejskiej.

Podszedłem do biurka recepcjonisty i wpisałem się do rejestru gości.

– Wielebny uczestniczy w tej chwili w telekonferencji – powiedział strażnik, a więc usiadłem i czekałem. Długo i niewygodnie.

Uważnie oglądałem fotografie działających na rzecz przestrzegania praw obywatelskich aktywistów, które wisiały tu na ścianie. Dobrze ubrani czarni mężczyźni, pokazani podczas wieców związkowych i bankietów, uświadomili mi, jak słabo znam historię Detroit; historię konfliktów rasowych i walk o pracę w tym mieście; jak niewiele wiem o brutalnych i pogmatwanych działaniach miejscowego ruchu *black power*. Założyłem krawat, ale się nie ogoliłem. Dostrzegłem też niewielką dziurę na kolanie moich niebieskich džinsów.

Tak naprawdę nie miałem żadnych konkretnych pytań, które chciałbym zadać Sheffieldowi, bo w ogóle nie orientowałem się w kwestiach, o które mógłbym go

pytać. Chciałem po prostu spojrzeć czarnej sile politycznej w twarz oraz przyjrzeć się bibelotom i gryzmołom, jakie chowała w swoim biurku.

A wtedy siła stanęła w drzwiach. Niski, przysadzisty, czarny mężczyzna o gładkiej czaszce, ubrany w długi skórzany trencz. Towarzyszył mu wysoki, duży i dobrze ubrany pomagier. Z miejsca uznałem ich za członków ruchu Naród Islamu.

Łysy facet w trenczu podał strażnikowi swoje nazwisko: Adolph Mongo.

Mogłem niewiele wiedzieć o naszym mieście, ale to akurat coś mi mówiło: Adolph Mongo. Nie dało się nie znać tego nazwiska, jeśli mieszkało się w Detroit. Stanowisko Monga oficjalnie nazywało się „konsultant polityczny”. Ale nieoficjalnie mówiło się raczej: płatny zabójca, podkładacz bomb, zamachowiec.

Mongo pierwsze doświadczenia zdobył we wczesnych latach osiemdziesiątych w administracji Colemana Younga, gdzie pełnił funkcję zastępcy szefa do spraw łączności. Mongo – były żołnierz *marines* i wędrujący między różnymi redakcjami dziennikarz – pochodził z rodziny, która w złotym dla czarnego podziemia Detroit okresie miała w mieście ogromne wpływy. Jego wuj przemycał alkohol i organizował przekręty w kasynach, a cioteczka była burdelmamą. Starszy brat Monga handlował heroiną i kokainą. Było więc rzeczą naturalną, że gdy Young przejął kontrolę nad miastem, klan Mongo wkradł się w jego łaski, by jak najszybciej dopchać się do koryta.

Starszy brat Monga, Larry, stał się kimś w rodzaju *consigliere* Younga, a gdy w pobliżu pojawił się również Adolph, i dla niego znalazło się miejsce pracy w politycznej machinie. Adolph szybko pojął, że politycy miasta Detroit tworzą osobny i wyjątkowo władny, choć mocno zaściankowy świat.

Pewnego razu do Detroit przybył Robert Mugabe, afrykański rewolucjonista, który później został prezydentem Zimbabwe. Zaproszono go, by odebrał symboliczne klucze do miasta. Burmistrz kazał mu niezmiernie długo czekać na audiencję.

Mongo wszedł do biura Younga i powiedział: „Proszę pana, przed pańskim gabinetem siedzi Robert Mugabe, człowiek, który walczy o wolność”.

Na co Young odpowiedział: „Pieprzyć Roberta Mugabego. To jest Detroit”.

Tak, to jest właśnie Detroit. Patrząc na to, jak stopniowo cała świta Younga ląduje w więzieniu, Mongo postanowił pójść na swoje.

– Już wtedy wszystko tu było szemrane – powiedział mi później. – Nie miałem zamiaru robić tego, co oni mi każą. Nie miałem zamiaru ryzykować wolności za garnitur wart dwa tysiące dolarów.

Jednak Mongo nadal zachował swoje koneksje i to dzięki nim przedzierzgnął się w konsultanta politycznego. Mogłeś go zatrudnić, by stworzył dla ciebie specjalną strategię. Mogłeś mu też zapłacić, by trzymał gębę na kłódkę; bo gdybyś nie chciał płacić, spuściłby ci niemiłosierny łomot. Mongo zawsze potrafił znaleźć tylne wyjście, którym można było wydostać się z niekorzystnej sytuacji.

Jeden z takich ataków Mongo przypuścił na Kilpatricka w okresie, gdy ten ostatni przygotowywał się do kampanii reelekcyjnej – doprowadził do tego, że lokalna telewizja i radio nazywały burmistrza mięczakiem i maminsynkiem. Zamiast walczyć z Mongiem, Kilpatrick wolał raczej zapłacić mu dwieście tysięcy dolarów i zatrudnić go, tym samym udowodniając, iż rzeczywiście jest maminsynkiem i mięczakiem.

Gdy Kilpatrick zaczął tracić w sondażach i jego poparcie spadło poniżej dziesięciu procent, Mongo wyskoczył z – teraz już niesławnym – hasłem o „samosądzie”. Na ostatniej stronie wydania specjalnego „Michigan Chronicle” ukazał się artykuł sponsorowany. Był to tekst upamiętniający życie i śmierć Rosy Parks.

Przeprowadzono w nim porównanie pomiędzy historycznym zdjęciem powieszonych na drzewie czarnych a tym, jak media traktują Kilpatricka. Zadziałało. Kilpatrick odzyskał wysokie notowania i kroczył prostą drogą ku dużej władzy. Mongo doskonale znał pierwszą zasadę polityki: wygrywać.

Czarni politycy udawali, że Mongo wcale dla nich nie pracował. Biali po prostu go nienawidzili. Ja nie musiałem się w to mieszać. Mongo był uosobieniem tego, czym naprawdę była nasza polityka. Moim zadaniem było poznać się z nim.

– Adolph Mongo? – zapytałem, stając przed nim i wyciągając doń rękę. – Charlie LeDuff z „Detroit News”. Liczyłem na to, że pana spotkam.

Spojrzał na mnie.

– Ożeż kurwa! I tak się ubrałeś? Myślałem, że jesteś ćpunem albo jakimś innym śmieciem.

Ujął moją dłoń, a stojącego obok świetnie ubranego wielkoluda przedstawił jako swojego młodszego brata, Skipa. Po czym usiadł obok mnie.

– To ty jesteś tym skurwielem, który napisał historię o striptizerce – stwierdził. – Zajeście dobra historia. Próbuję wytłumaczyć burmistrzowi, że powinien bardziej współpracować z mediami. Bo jeśli dopuści do tego, że sprawy będą wyglądały tak, jakby stawiano mu zarzuty, to może polec. Ale on mnie nie słucha. To utalentowany facet. Ale ignorant. Polityczny ignorant. I historyczny ignorant.

W ogóle nie czyta. Wiesz, że w swoim biurze nie ma ani jednej książki? Ani jednej pierdolonej książki na półce. Niezłe jaja, co?

W tym momencie przerwał mu strażnik: „Panie Mongo, wielbny może teraz pana przyjąć”.

Mongo zebrał się do odejścia, zrobił kilka kroków, ale nagle odwrócił się i zapytał:

– Chcesz też wejść?

– Z wami?

– Tak, skurwysynu, z nami.

No to poszedłem.

Sheffield – ważący ponad sto trzydzieści kilo olbrzym – zasiadał we władczej pozie za biurkiem. Był jednym z tych ludzi, którzy o kwestiach rasowych – przynajmniej publicznie – mówią nieprzejeźdźnię, bez ogródek i bez wdawania się w niepotrzebne detale i niuanse, choć tylko jego ojciec był czarny, a matka była białą kobietą. Spojrzał najpierw na Monga, a później na mnie.

– To ja go tu zaprosiłem – powiedział Mongo. – Jest w porządku.

Zająłem miejsce z tyłu pokoju. Sheffield planował działania skierowane przeciwko kongresmenowi Johnowi Conyersowi – starszemu już politykowi, który lata temu uczepił się amerykańskiego Kongresu jak rzep psiego ogona i nie chciał stamtąd zniknąć. Siedział na Kapitolu już ponad dwadzieścia kadencji. Stamtąd nadzorował upadek swojego okręgu – w tym również Highland Park – w którym nie miał nawet lokalnego biura.

Highland Park było przemysłową osadą ze wszystkich stron otoczoną miastem Detroit. To tam narodził się jeden z pierwszych samochodów Forda, model T. Dziś nie zostało już nic z dawnej świetności tego miejsca. Highland Park jest biedne, doszczętnie spalone i tak brutalne, że nawet Naród Islamu wyniósł się stamtąd ze swoim meczetem. Mówi się, że mieszkańcy przedmieść nie jeżdżą do Detroit, a obywatele miasta nie zapuszczają się do Highland Park.

Conyers był już słaby. Gdyby tylko ktoś, kto miał układy z Kościołem, zechciał się nim zająć i wystąpić przeciw niemu, można go było pokonać.

Sheffield był przekonany o tym, że to właśnie on powinien być tym kimś, a Monga zatrudnił po to, by ten wykonał przygotowawcze prace u podstaw.

Okręg Conyersa miał to do siebie, że nieustannie dokonywano manipulacji przy jego granicach. Ich przebieg mógł się zmieniać w zależności od aktualnego kursu akcji rasowych i sięgać nawet do białych społeczności robotniczych zamieszkałych

w dole rzeki.

– Białe wsiaki wołałyby zagłosować choćby na różową świnię niż na czarnego Conyersa – powiedział Mongo do duchownego. – Ty też jesteś, co prawda, czarny, ale to Conyers uosabia wszystko, czego oni nienawidzą.

Jednak na Sheffielda naciskała stolica. Tego ranka zadzwonił do niego stary kongresmen z Harlemu, Charles Rangel, który prosił wielebnego, by ten się wycofał; i Sheffield, potulny wytwór maszyny politycznej, zaczął rozważać taką opcję.

– Muszę o tym pomyśleć, Adolphi. Trzeba tu wiele przemyśleć. Bo mam wiele do stracenia.

– Do cholery, Horace, najpierw prosisz mnie, bym zajął się tym głównym, a potem zachowujesz się jak stara, gruba białaska. A więc bierz się za przemyślenia – rzekł z irytacją Mongo. – Zadzwonź do mnie, jak podejmiesz decyzję.

Mongo i jego brat wyszli. Postanowiłem wyjść razem z nimi.

Mongo stał już w drzwiach, tuż obok sali szkolnej. Uczniowie, których wcześniej obserwowałem, teraz przysypiali z ułożonymi na stolikach głowami. Odwrócił się w moją stronę i zapytał:

– Nauczyłeś się czegoś?

– Nie jestem pewien – odpowiedziałem. – Wydawał się mocno przejęty korzyściami, jakie można by z tego wszystkiego wyciągnąć.

– Ja podjąłem decyzję co do Detroit już dawno – stwierdził Mongo. – To miasto należy do czarnego człowieka. Biały stanowił kiedyś dla nas dogodny cel. Tak było dopóty, dopóki byli tu jeszcze jacyś biali. To, co kiedyś było czarne i białe, teraz jest szare. Biali przejęli przedmieścia i wszystko inne. A czarna machina ma miasto i to czarna machina toczy w nim wojnę z samą sobą. Łupy z tej wojny dostaną się temu, kto to zrozumie.

– A więc znajdujemy się w historycznym momencie? – zapytałem.

– Właśnie tak – odpowiedział. – I jeśli tu zostaniesz i będziesz się uważnie przyglądał, przekonasz się, że wielu z tych, którzy dziś są u władzy, to jakieś cudaczne i niekompetentne skurwysyny.

– A co z wielebnym? – zapytałem, wskazując w stronę Sheffielda.

– Pieprzyć go – powiedział Mongo. – On wciąż się ich boi.

SZMINKA I TABLETKI PRZECZYSZCZAJĄCE

To, jak bardzo pokręcona może być polityka w Detroit, zacząłem naprawdę rozumieć wczesnym latem na koktajlu w klubie jazzowym. Poznałem tam Monicę Conyers, wyjątkowo choleryczną radną miejską.

Młodsza i odznaczająca się bujnymi kształtami żona zramolałego kongresmena weszła do miejscowej polityki pod szyldem rodziny Conyersów.

Jej pokazywane w ramach kampanii spoty reklamowe miały ten specyficzny, mroczny klimat kiepskiego filmu pornograficznego i wydawało się, że były kręcone przy użyciu zasłony prysznicowej w roli filtra na obiektyw. Ale równocześnie te spoty były proste, zrozumiałe i maksymalnie wykorzystywały markę, jaką było nazwisko męża.

„Dołącz do rodziny Conyersów i walcz z nami o to, by odebrać Detroit z rąk tych, którzy ponad twój interes przedkładają swój własny” – gruchała Monica, ubrana w obcisłą bluzkę, która uwydatniała rowek między jej piersiami. „Detroit zasługuje na coś lepszego”.

Detroit zagłosowało na Conyers, polityczną nowicjuszkę, której niezbyt pokaźne CV obejmowało czterokrotnie oblane egzaminy adwokackie. Monica musiała zacząć pracę, zanim jeszcze nawet została zaprzysiężona. Pierwsze działanie, jakie podjęła na swoim nowym stanowisku, dotyczyło kobiety, której radna spuściła łomot podczas karczemnej burdy. Awantura wywiązała się po tym, jak owa kobieta złożyła skargę na Conyers, oskarżając ją o nagabywanie swojego faceta. Powódka wyszła z tego starcia z wielkim jak spodek siniakiem pod okiem.

Gdy przybyłem do Detroit, Conyers – pełniąca wtedy funkcję członkini zarządu komisji finansowej miasta – zajmowała się kierowaniem pogrózek w stronę jednego z bliskich współpracowników burmistrza Kilpatricka, który jakoś nadepnął jej na odcisk. Monica groziła, że go zastrzeli.

– Moi bracia spuszczą ci wpierdol! – krzyczała. – Jeśli będę musiała, sięgnę po pistolet. I mam czterech braci, który chętnie skopią ci dupę.

Monica była w moim typie. Albo inaczej – była w typie reportera, którym byłem. Była egocentryczną i wyrachowaną diwą. Wulkanem seksu i krzykaczką. Każdy najmniejszy kąsek władzy dokarmiał jej *id*.

Nie miało dla mnie znaczenia to, że na zamorskie podróże wydała tysiące dolarów, które wzięła z miejskiego funduszu emerytalnego. Nie miało też znaczenia to, że nie potrafiła porządnie zająć się problemami najbiedniejszych obywateli tego kraju. To nie był mój problem.

Była idealnym wcieleniem najbardziej typowego amerykańskiego polityka obecnych czasów. Była przekarmionym błaznem, tuczącym się na koszt państwa, od którego chudnącego ciała coraz bardziej odstają żebra. Jej niemożliwy do nasycenia głód nie był niczym szczególnym. Chicago miało swojego gubernatora Roda Blagojevicha. Newark miało burmistrza Jamesa Sharpe'a. San Diego swego kongresmena Duke'a Cunninghama, a miasto Youngstown w stanie Ohio – kongresmena Jamesa Traficanta. Wszyscy oni byli na pewno niezłymi klaunami. Ale Monica miała lepszy makijaż. Była idealną karykaturą polityka ubraną w strój prawdziwej istoty ludzkiej.

No i trzeba powiedzieć jedną ważną rzecz o klaunach. Klauni zapewniają sprzedaż nakładu.

Zacząłem gromadzić notatki na jej temat. Monica była fascynująca. Gadatliwa dziewczyna z rozbitej rodziny, łatwo wpadająca we wściekłość. Była pijakiem w godzinach szczytu; kolizją, która za chwilę się zdarzy. Mógłbym być jej krewnym. Czekałem na odpowiedni moment i Monica mnie nie zawiodła. Doczekałem się.

Pewnego dnia wkroczyła do gmachu Rady Miejskiej, wyglądając na mocno zmęczoną i z włosami związanymi niedbale gumką, jakby dopiero przed chwilą wstała z łóżka. Ledwo zdążyła wejść, od razu została wezwana na posiedzenie w jakiejś mało istotnej sprawie. Sesję prowadził Kenneth Cockrel junior, łysiejący przewodniczący rady. W pewnym momencie Monica wpadła w szal.

Zacząła na niego wrzeszczeć. Wygadywać, że Kenneth bije swoją żonę. I nazwała go Shrekiem. Dwukrotnie.

Gdy Cockrel usiłował zarządzić przerwanie obrad, Conyers zaczęła piszczeć: „Dalej, kochanie! Zrób to!”.

Zrobił to. Cała scenka trafiła do wieczornych wiadomości. A ludzie zaczęli sobie drukować słowa Moniki na T-shirtach.

Musiałem mieć z tego coś dla siebie. Zadzwońłem do doradcy politycznego Conyers. Był to rozpustny oszust o nazwisku Sam Riddle, który wydawał się odgrywać dla swojej Bonnie Parker rolę Clyde'a Barrowa i towarzyszył jej podczas wystawnych podróży, za które płacili podatnicy. Już kiedyś wcześniej spotkałem

się z nim na kawie i wtedy powiedział mi: „Jedyna różnica pomiędzy syfem panującym w Detroit a tym charakterystycznym dla krajów Trzeciego Świata polega na tym, że w Detroit po ulicach nie chodzą kozy”.

Riddle odebrał telefon. Zaczął gorzko narzekać na jedną z moich koleżanek, która napisała niepochlebny artykuł o nim i jego finansowanych z publicznych funduszy wycieczkach.

– To pieprzona suka. Nie mam już zamiaru rozmawiać z „News”.

– Będziesz to musiał załatwić z nią – powiedziałem. – Ja nie odpowiadam za jej grzechy.

– Czyżby? – odszczeknął się Riddle. – Idź się pierdolić.

Rozłączył się.

Po dziesięciu minutach zadzwoniłem znowu. Bo wydawało mi się, że tyle czasu wystarczy na pójście i opierdolenie się.

– Słuchaj – powiedział, zanim jeszcze zdążyłem się ponownie przywitać. – Ja już nawet nie pracuję dla tej walniętej suki Moniki Conyers. Mam przez nią wzdęcia. Nie mam zamiaru dłużej znosić jej bredzenia. Jestem na to za stary. Rozumiesz, o co mi chodzi? Rozumiesz?

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, ale powiedziałem, że rozumiem.

Sam nazwał siebie jej alfonsem. Byłby nim, gdyby nie to, że nie lubił łązić nocami po ulicach.

– Ale czy jesteś w stanie do niej dotrzeć? – zapytałem. – Chciałbym zrobić z nią wywiad.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Trafi na pierwszą stronę?

– Jeśli będzie dobry, to czemu nie – odpowiedziałem. – Zrobię nawet materiał wideo na stronę internetową.

– Dobra, dowiem się – powiedział. – Oddzwonię do ciebie.

Conyers nie tylko powiedziała, że „zrobi to, kochanie”, ale nawet pozwoliła, bym przyprowadził ze sobą grupę młodzieży szkolnej, która będzie mogła zadać pytania na temat jej zachowania podczas zajścia na posiedzeniu. Wszystko miało zostać nagrane na wideo.

Dzieci pojawiły się w gmachu Rady Miejskiej, ściskając w dłoniach kartki z przygotowanymi pytaniami. Zasiadły w krzesłach polityków przy wielkim,

dębowym, wygiętym w łuk stole. Na początku kuliły się ze strachu przed Monicą, która wielkimi haustami wysysała powietrze z sali, głęboko oddychając pomiędzy kolejnymi frazesami, za pomocą których opowiadała o swoim życiu w nędzy, przez szkołę prawniczą i ślubny kobierzec, na którym stanęła z ważnym kongresmenem, aż do stanowiska Tymczasowej Przewodniczącej Rady Miejskiej Detroit. Nalegała, by dzieci właśnie tak się do niej zwracały: Tymczasowa Przewodnicząca Rady Miejskiej. Był to wymyślny sposób na ukrycie faktu, że zajmowała zaledwie drugie miejsce.

W końcu do akcji wkroczył Riddle i zapytał dzieci o incydent ze Shrekiem.

– Czy ktoś z was ma własną opinię na ten temat?

Dwunastoletnia Keiara Bell zapytała Conyers, czy nie wydaje się jej, że okazała brak szacunku przewodniczącemu i w jego osobie całemu miastu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Conyers, uśmiechając się szyderczo.

– Jest pani dorosła – odpaliła Bell. – Mamy brać z pani przykład.

– Oczywiście – odpowiedziała Conyers. – A wy się nigdy na nikogo nie złościście?

– Tak, ale my jesteśmy dziećmi. A tu nagle włączamy telewizor i widzimy, że jeden dorosły nazywa innego Shrekiem. Tak to może mówić drugoklasista.

Conyers ledwo powstrzymywała wściekłość. Szeroko otworzyła oczy i zacisnęła szczęki.

– Czy ty, młoda damo, próbujesz mi w tej chwili mówić, co powinnam robić, a czego robić nie powinnam?

– Cóż, jest pani dorosła – zaripostowała Bell. – Czasami ludzie powinni pomyśleć, zanim coś zrobią.

Nie zdziwiło mnie to, że nagrane podczas spotkania wideo rozeszło się przez internet po całym świecie, a Conyers stała się kolejnym dowodem na to, że z Detroit zdecydowanie jest coś nie tak. Mieliśmy już tytuły stolicy morderstw, stolicy podpałów, stolicy biedy, stolicy bezrobocia, stolicy analfabetyzmu, stolicy obciążonych nieruchomości, stolicy segregacji rasowej, stolicy skandali w magistracie. Teraz zyskaliśmy jeszcze tytuł stolicy Moniki Conyers.

Jej zła prasa przez cały miesiąc nakręcała się coraz szybciej i mocniej – dzięki śniadaniówce CBS Early Show, pierwszej stronie w „Wall Street Journal”, a nawet

lokalnym stacjom telewizyjnym. Żadne z tych mediów nie wspominało jednak o „Detroit News” jako źródle informacji.

Nagle Conyers znalazła się wszędzie. I wszędzie mówiono o niej źle.

Oczywiście Monica nie była z tego powodu szczęśliwa. Chciała ze mną porozmawiać. Osobiście. Umówiliśmy się na spotkanie.

Gdy jechałem na „randkę” z Monicą Conyers w barze koktajlowym przy Eight Mile Road, postanowiłem po drodze wpaść do domu rodziny Keiary Bell, by się przywitać.

Nie widziałem Keiary od czasu nagrania o Shreku, które zresztą uczyniło z niej ulubienicę YouTube’a i podawano jako przykład tego, co w Detroit zostało jeszcze dobre. Teraz jechałem przez popadającą w ruinę okolicę w zachodniej części miasta, gdzie mieszkała dziewczynka.

Kiedy opuszczałem dom we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, Detroit, z populacją przekraczającą milion dwieście tysięcy mieszkańców, wciąż było siódmym największym miastem Ameryki. Ale już wtedy było mroczne, zniszczone i pełne przemocy. Już wtedy mieliśmy w Detroit około sześciuset zabójstw rocznie. Największa fala morderstw przychodziła wraz z poprzedzającą Halloween Nocą Diabła. Wtedy całe miasto opanowywała orgia płomieni, dymu i tłuczonego szkła.

Gdy teraz znów patrzyłem na Detroit przez szybę samochodu, już mnie nie przerażało. Było puste, żałosne i pełne rozpacz.

Widziałem kolejne ulice, na których nie pozostał ani jeden zamieszkaný dom. Budynki pozbawione lokatorów niszczały i były wydane na pastwę zapalek podpalaczy. Mijałem całe przecznice, na których nie spotkałem ani jednego człowieka.

Zatrzymałem się obok domu Bellów przy Livernois, ulicy znanej kiedyś jako Aleja Mody. Mieszkali w domu w stylu neo-Tudor – otoczonym parkiem zarośniętym wybujałą i zaniedbaną trawą, z której wystawało zepsute źródło wody pitnej. Zapukałem w żelazną bramę, która stanowiła dodatkową ochronę dla drzwi frontowych. Bellów nie było w domu. Widocznie wsiedli do swojego rozklekotanego cadillaca i jeździli po okolicy, sprzedając z bagażnika słodycze. Jedyną słodką konkurencją dla ich interesu w promieniu ośmiu kilometrów stanowił sklep monopolowy.

Na ulicy leżał zwalony przez wiatr uschnięty jawor.

Patriarcha rodziny, Harry Bell – gdy zadzwoniłem, by dowiedzieć się, gdzie Bellowie wybyli – przywitał mnie, chwając Pana. Zapytałem o zwalone drzewo.

Powiedział, że jawor spadł na jego samochód i niemal go zmiążdżył. Zdarzyło się to w zeszłym tygodniu podczas ostrej burzy. Od miesiący Harry prosił przedstawicieli miasta, by wycięli martwe drzewo. A teraz wydzwaniał do nich z prośbą, by przyjechali i uprzątnęli jego pozostałości. Ale ciągle tam leżało – jak zwłoki.

– Samochód wciąż jakoś działa – powiedział mi przez telefon Harry. – Bóg jest wielki. Bóg czyni cuda.

Harry był typowym facetem z Detroit: bezrobotnym, pełnym wiary w Boga i znajdującym nadzieję na zmianę wszędzie, gdzie tylko dało się jej szukać. Przynajmniej samochód wciąż działał. Chwalmy Pana!

Skręciłem za róg, by spotkać się z rodziną Bellów. Byli w okolicy, w której wypalone i pozbawione szyb w oknach domy sąsiadowały z takimi, które otaczały schludnie skoszone i wypielegnowane trawniki. Na tej właśnie ulicy dorastał kiedyś Harry.

Marsha, jego żona, zaczęła radośnie machać i podbiegła, by mnie uścisnąć. – Witaj, panie Charlie!

Zbladłem. Pan Charlie to określenie ze starego, powstałego jeszcze przed wojną secesyjną, murzyńskiego slangu. Tak niewolnicy nazywali swoich białych oprawców.

– Proszę, Marsha. Mówiłem ci, byś nie zwracała się do mnie „panie Charlie”.

Uścisnąłem dłoń Harry’ego. Wyglądał na chorego i rzeczywiście był chory. Cierpiał na otyłość i nadciśnienie. Był w moim wieku, ale wydawał się dziesięć lat starszy. Kiedyś pracował w barze rybnym, ale teraz był zbyt słaby i nie mógł już całymi dniami stać. Martwiłem się nie tylko o niego, ale także o to, jak poradzi sobie bez niego jego rodzina; bo wszystko wskazywało na to, że wkrótce mogą stanąć wobec takiego problemu.

– Gdzie dzieciak? – zapytałem. Pokazał mi palcem.

Keiara siedziała na przednim siedzeniu samochodu z ponuro spuszczoną głową.

– Co się dzieje, Kei? – zapytałem, wślizgując się na tylne siedzenie.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Chyba chodzi o to całe zainteresowanie. To mi dało do myślenia. Wstydzę się. Wstydzę się, że jestem biedna. Wstydzę się, że tu mieszkam. I nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się stąd wydostać. Po prostu chciałabym stąd wyjechać.

– A gdzie byś się przeniosła, gdybyś mogła to zrobić? Na przedmieścia?

– Nie. Ja tutaj nie pasuję – odpowiedziała. – Może do jakiegoś kraju daleko, daleko stąd. Gdzie nikt mnie nie zna i nie będzie mi zawracał głowy. I gdzie byłaby tylko mała farma, na której zamieszkałabym z moją rodziną. I nie byłoby nikogo innego.

– To fajne marzenie – stwierdziłem. – To jest też moje marzenie. Fajnie byłoby mieć cię za sąsiadkę.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja do niej, choć wiedziałem, że ma marne szanse. Tylko połowie dzieciaków z Detroit udaje się przejść przez liceum, a i tak większość z nich to wtórni analfabeci.

Pomimo tego wszystkiego, co działo się wokół niej, Keiara była świetną, wyróżniającą się uczennicą. Jak powiedziała mi jej matka, sekret sukcesu polegał na tym, że była niemal nieustannie zamknięta w domu; poza piętnastoma godzinami w tygodniu, które rodzina spędzała w kościele. Jeżeli jakimkolwiek dzieciakowi miałoby się ziścić marzenie o farmie, to byłaby to właśnie Keiara.

Zaczynało robić się późno. Musiałem spotkać się z Conyers, więc pożegnałem się z Bellami, obiecując Harry’emu, że jako reporter zadzwonię do władz miasta i sprawdzę, czy da się coś zrobić w sprawie tego martwego drzewa, które blokuje ulicę.

Gdy odjeżdżałem, Marsha zakrzyknęła: „Do widzenia, panie Charlie!”.

Skierowałem się na zachód i pojechałem w górę Linwood Avenue. Pamiętałem tę ulicę. Często dostarczałem do tutejszych czarnych kościołów kwiaty zamawiane na pogrzeby w kwiaciarni mojej mamy. Zmarłych grzebano tutaj zazwyczaj w krzykliwie pomalowanych urnach lub trumnach wypełnionych fioletowymi i pomarańczowymi pomponami. Mężczyźni zawsze wpuszczali mnie do domu tylnymi drzwiami. Na pogrzeby ubierali się w ciemne, czarne lub lawendowe garnitury, ale czasem spotykałem się też z dużo bardziej egzotycznymi ubiorami: krwistoczerwonymi lub w kolorze mandarynek.

Przejechałem obok świątyni Kaplicy Czarnej Madonny. Jest to panafrykański kościół chrześcijański założony w latach sześćdziesiątych w akcie gwałtownej odpowiedzi na opresyjną białą wersję chrześcijaństwa. W tutejszej wersji Pasji Chrystus był czarny.

Kościół ten od lat szczyci się tysiącami członków, z których jednak tylko część jest jego faktycznymi wyznawcami. To właśnie oni dostarczyli głosów potrzebnych

Colemanowi Youngowi do tego, by w 1973 roku stał się pierwszym czarnym burmistrzem Detroit. Od tego czasu Czarna Madonna jest źródłem czarnej władzy politycznej w mieście. Tacy politycy jak John i Monica Conyers wciąż okazują jej ogromny szacunek. Szeryf hrabstwa jest bratankiem założyciela Kaplicy, Jaramogiego Abebe Agyemana, który wcześniej znany był jako Albert Cleage. Wyznawcami tego Kościoła są szeregowi strażacy i szef ekipy Kilpatricka, rozmaici członkowie lokalnych komisji, znajomkowie burmistrza, zleceniodawcy i wykonawcy szemranych, ustawionych przetargów miejskich oraz beneficjenci wszelkich innych przysług i faworów.

Właściwie sam Kwame Kilpatrick jest owocem tej wspólnoty, bo to w niej w latach siedemdziesiątych poznali się jego rodzice.

Cleage, założyciel Kościoła, podczas zamieszek w 1967 roku groził, że spali całą resztę miasta. Patrząc na to, jak dalej potoczyły się wydarzenia, można stwierdzić, że w dużej mierze dotrzymał obietnicy. Utrzymana w kolonialnej stylistyce wieża świątyni zapada się ku ulicy, wszędzie obłazi farba, a część ciągnących się wzdłuż nawy okien zabita jest deskami. Budynki otaczające kościół z zachodniej i północnej strony są osmalone i zrujnowane; wyglądają jak rząd zapomnianych grobowców. Wydało mi się bardzo osobliwe, że miejskie centrum czarnej siły może znajdować się w aż tak opłakanym stanie.

Parę ulic dalej stał kościół baptystów New Bethel założony przez wielebnego C. L. Franklina – wielkiego przyjaciela Martina Luthera Kinga juniora i ojca Arethy Franklin, legendy muzyki soul.

Wielebny Franklin dożył późnej starości w Detroit i zmarł tak jak wielu innych mieszkańców miasta. Został postrzelony w 1979 roku, gdy ktoś włamał się do jego domu. Była to bolesna śmierć. Zanim jego ciało się poddało, przez sześć lat leżał podłączony do respiratora.

Także ten kościół był bezbarwny, brzydki i ponury, wciśnięty między puste działki. Prowadził doń zasypany śmieciami chodnik. Najbliższe sąsiedztwo stanowiły stacja benzynowa i sklep z alkoholem.

Zanim budynek przejęli baptyści, mieściło się tam kino Oriole, a potem główna siedziba Kościoła Kompanii Królestwa Bożego – Church of Universal Triumph The Dominion of God Inc. Zgromadzeniem tym dowodził człowiek znany jako Prorok Jones.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych Jones był jednym z najbardziej znanych showmanów-ewangelistów Ameryki i jednym z kilku zaledwie czarnych

kaznodziejów, którym udało się przekroczyć granice rasy, głosząc Słowo Boże za pośrednictwem massmediów kontrolowanych przez białych. „Saturday Evening Post” nazwał Jonesa „Mesjaszem w norkach”.

Obwieszony biżuterią i krzykliwie ubrany Jones był kimś w rodzaju Little Richarda wśród kleru. Mówiło się, że ma czterysta garniturów, cztery tysiące butelek wody kolońskiej i cztery cadillaki, a do każdego z nich osobnego szofera. Jego wyznawcy – zarówno ci czarni, jak i ci biali – w większości wywodzili się spośród Południowców. Wyalienowani z reszty społeczeństwa specyficzną dla Detroit kulturą betonu i żelaza, byli szczęśliwi, że mogą zapewnić tak wysoki standard życia swojemu Prorokowi. Jones wygłaszał kazania, siedząc na złotym tronie. Mówiło się, że Boga słyszał w prawym uchu, w którym nosił diamentowy kolczyk dla lepszego odbioru.

W myśl głównej tezy teologicznej Proroka Jonesa wraz z rokiem dwutysięcznym wszyscy żyjący wtedy ludzie mieli stać się nieśmiertelni. W oczekiwaniu na millenium Jones nakazał, by „kobiety nosiły pasy wyszczuplające, na tyle szerokie, by zapobiegały odstawianiu brzuchów i pośladków”. Nakazywał również, aby wieczorami malowały paznokcie na czerwono, a raz lub dwa razy w tygodniu przyjmowały tabletki na przeczyszczenie.

Zmierzch Proroka nadszedł szybko. W 1956 roku został oskarżony o czynienie homoseksualnych propozycji pracującemu pod przykrywką oficerowi policji. Wymigał się z tego, ale jego reputacja ucierpiała na zawsze. Jones nie doczekał się spełnienia swoich własnych proroctw. Zmarł w 1973 roku – roku, w którym Coleman Young został wybrany na burmistrza.

Dojechałem do klubu jazzowego Baker’s Keyboard Lounge w momencie, gdy zaszło słońce. Klub mieścił się przy Livernois Avenue, po tej stronie Eight Mile Road, która należała do Detroit. W tym miejscu w latach osiemdziesiątych chętnie bywali rodzice mojej żony.

W barze było tłoczno, choć śmierdziało tu jak w rurze kanalizacyjnej. Conyers siedziała z tyłu sali, w pobliżu sceny.

Było wczesne lato, więc ubrana była na sportowo – w wyzywający, wydekoltowany top i obcisłą spódnicę. Całości dopełniały oryginalne pończochy i wysokie obcasy. Miała też pas wyszczuplający i czerwony lakier na paznokciach.

Zamówiłem bourbona i wodę. Ona zamówiła herbatę z cytryną i sałatkę cezar, a do tego miseczkę zupy. Stwierdziła, że jest na diecie; próbuje oczyścić jelita i stracić nieco na wadze.

Gadaliśmy o pierdołach.

– Wiesz, co chciałabym robić, gdy skończę z polityką? – zapytała.

– Cóż takiego?

– Chciałabym projektować biustonosze dla puszystych kobiet – odpowiedziała.

– Jestem pewien, że to ma wielką przyszłość – odrzekłem rozbawiony.

Zatrzepotała zalotnie rzęsami i ostentacyjnie założyła nogę na nogę, słodziutko kierując jedną półówkę swojego zadu w moją stronę.

– Nie spędzam już zbyt wiele czasu z kongresmenem. Ale to nasze małżeństwo i taki układ nam pasuje – zagruchała.

Zamówiłem jeszcze jednego bourbona.

I wtedy Monica przeszła do sedna. Zaczęła narzekać, że ją wrobiłem. Zapewniłem ją, że nie było to moim zamiarem; że Keiara Bell sama wymyśliła swoje pytanie, a Conyers wcale nie wyjdzie na dobre, jeśli będzie na prawo i lewo narzekała w mediach, że dwunastoletnia dziewczynka okazała brak szacunku jej stanowisku i randze.

– Czy możemy porozmawiać jak dorośli? – zapytałem.

– Oczywiście, dawaj – odpowiedziała z uśmiechem barakudy.

– Jaki masz, kurwa, problem? Walczysz z dzieckiem.

Uśmiech zniknął. Pojawiły się zęby. Przygotowywałem się do tego, by przyjąć na twarz jej pazury i zawartość szklanki.

– Ktoś ją na mnie napuścił – zasyczała.

– Nikt jej nie napuścił. Miała rację – powiedziałem. – Słuchaj. Gdybym był na twoim miejscu, wystąpiłbym przed kamerą i powiedział, że ta dziewczynka przypomina ci ciebie samą; że dorastając w tym mieście, musiałaś wyhodować grubą skórę. Mogłabyś powiedzieć, że Keiara nauczyła cię czegoś o uprzejmości i że jesteś z niej dumna.

To była dobra, darmowa porada. Conyers powinna była ją przyjąć.

Ale zamiast tego znów uśmiechnęła się przebiegle. Wyprostowała ramiona i wypięła pierś, nachyliła się do mnie przez stół i delikatnie poklepała mnie po klatce. Jej ręka zjechała po moim torsie i zatrzymała się na jądrach, po czym delikatnie je ścisnęła.

– Masz podsłuch? – zapytała.

– Nie – odpowiedziałem, zamierając na chwilę. – To pojemnik na bilon. Ale pochlebiasz mi. Naprawdę.

„To się nie może dziać naprawdę” – pomyślałem. Te pasy wyszczuplające

i czerwony lakier do paznokci, i barowe bójki, i rury kanalizacyjne, i podsłuchy, i życie wieczne, i ten upadek wszędzie wokoło. To był obłąd. To było skandaliczne. To był mokry sen reportera. Gdzie ja, do diabła, byłem?

Zapłaciłem rachunek i wyszedłem.

Znak drogowy oznajmiał: „Granica Miasta Detroit”.

POCIĄGI, SAMOLOTY I SAMOCHODY

Tak jak w Nowym Jorku włodarzami świata są faceci z Wall Street, tak w Detroit są nimi kierownicy zakładów samochodowych. Nigdy nie kwestionowaliśmy decyzji biznesowych, jakie podejmowali. Związkowiec mógł za dodatkowego dolca próbować pozbyć się kierownika, ale i tak to kierownik najlepiej wiedział, co i jak.

Aż kiedyś okazało się, że jednak nie wiedział.

Uświadomiliśmy to sobie 15 września 2008 roku, gdy benzyna osiągnęła cenę 4,24 dolara za galon, a indeks Dow Jones spadł o czterysta dziewięćdziesiąt osiem punktów. To właśnie wtedy bank Lehman Brothers – inwestycyjna gwiazda Wall Street z sierpnia – ogłosił bankructwo.

Ta plajta uruchomiła cały łańcuch zdarzeń, które pokazały, że nasz kraj nie znajdował się wcale w żadnym biznesowym cyklu wzlotów i upadków. To były czasy. Amerykanie żyli wewnątrz kredytowej bańki i uprawiali giełdowy hazard; a kiedy rynek zaczął domagać się spłaty, okazało się, że nikt nie jest w stanie temu podołać.

Międzynarodowe rynki walut spanikowały, zamrożono możliwość dalszego zaciągania kredytów, Wall Street mocno się zachwiało, a Wielka Trójka – od której nikt już nie chciał kupować bestii pożerających niewyobrażalne ilości paliwa – stanęła na skraju przepaści.

W październiku w Waszyngtonie bankierzy, nerwowo mnąc kapelusze w rękach, stanęli równym rzędem na Times Square i wpatrywali się w licznik długu publicznego, który zatrzymał się na liczbie 9 999 999 999 999,99 dolarów.

Dalej nie był już w stanie liczyć.

Upadkowi Wall Street winny był głównie nierozsądny handel papierami wartościowymi. Ale przecież w Detroit było inaczej. My produkowaliśmy samochody, a nie papiery i obietnice bez pokrycia. A więc co się stało? W jaki sposób Detroit z ikony Ameryki przemieniło się w martwe miasto?

Upadek Detroit trwał długo, ale był nieunikniony. Można winić zań rasizm oraz projekty odnowy miasta i budowy autostrady międzystanowej, w myśl których przeprowadzono drogę przez środek Paradise Valley, tym samym wyganiając

tysiące czarnych z ich własnych domów i przenosząc ich do kamienic czynszowych.

Można winić powojenne prawo przemysłowe, w myśl którego fabryki budowano na przedmieściach, w wioskach Południa i na pustyniach Zachodu.

Można winić zamieszki z 1967 roku, które zaowocowały masową ucieczką białych. Można winić Colemana Younga – pierwszego czarnego burmistrza miasta – oraz jego szczególną kulturę korupcji i kolesiostwa.

Można winić nagły skok cen paliw w latach siedemdziesiątych, który stał się szansą dla konkurencyjnych producentów samochodów z obcych krajów.

Można wskazywać na umowy handlowe zawarte podczas rządów Clintona, które pozwoliły amerykańskim producentom uciekać z kraju tylnymi drzwiami.

Można winić Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Motoryzacyjnego, który zażądał takich rzeczy, jak pełna wypłata nawet dla tych robotników, dla których w danym momencie nie było pracy, albo krótkowzroczne zarządy, które zamiast tupnąć zdecydowanie nogą, łatwo zgodziły się na dołożenie tych kosztów do ceny samochodu.

Można w końcu pomyśleć, że Detroit od początku było miastem tylko na chwilę, zepsutym już w zarodku; że jego upadek zaczął się na minutę przed tym, jak Henry Ford w ogóle zaczął je budować. Samochód stworzył Detroit i również samochód je pogrzebał. Pod wieloma względami Detroit zbudowane zostało jako miasto jednorazowego użytku. To przemysł samochodowy pozwolił na jego rozkład, bo to on pozwolił ludziom uciekać z płonącego miasta i zostawiać za sobą brudne fabryki i wciąż dymiące zgliszcza.

Populacja Detroit zaczęła spadać w latach pięćdziesiątych, czyli dokładnie w tym czasie, gdy nie tylko samo miasto, ale całe Stany Zjednoczone osiągały szczyty sukcesu. Podczas gdy Detroit zajmowało pierwsze miejsce wśród wszystkich amerykańskich miast w kategoriach dochodu na głowę i liczby domów własnościowych, automatyzacja i początki zagranicznej konkurencji już wtedy kazały takim koncernom samochodowym jak Packard zatrzaskiwać drzwi przed nowymi ludźmi i pozbawiać ich możliwości pracy. Fabrykę Packarda zamknięto definitywnie w 1956 roku. Skazana na pustkę i gnienie, wciąż stała, a jej gnilne wyziewy płynęły powoli w dół East Side i dalej, zatruwając w końcu całe miasto.

Do 1958 roku już dwadzieścia procent zdolnych do pracy mieszkańców Detroit było bezrobotnych. Nikogo to jednak nie martwiło, ponieważ bogate dzięki przemysłowi miasto miało własny system opieki społecznej; było to na dziesięć lat

przed stworzeniem przez Johnsona programu Wielkiego Społeczeństwa. Miasto zapewniało opiekę zdrowotną i płaciło za paliwo oraz czynsz, a także dawało pieniądze na jedzenie – po dziesięć dolarów tygodniowo na jedną osobę dorosłą i pięć dolarów na dziecko. Wieść o krainie darmowym mlekiem i miodem płynącej dotarła na Południe, więc pociągami przyjeżdżało tu coraz więcej „czarnuchów” i „wieśniaków”. Gdyby nie oni, populacja miasta zmniejszałaby się jeszcze szybciej.

Problemy z dworcem kolejowym w centrum miasta – The Michigan Central Rail Depot – pojawiły się od razu, gdy powstał. W 1913 roku, trzy tygodnie po jego otwarciu, Henry Ford ogłosił stawkę pięciu dolarów za dzień pracy. Wszyscy chcieli dostąpić wniebowstąpienia do Detroit, co w sposób nieunikniony zaowocowało jednym wielkim szturmem na pociągi i totalnym zakorkowaniem ruchu na dworcu.

Przybywali do nas ludzie z Polski, Irlandii i dzierżawionych chałup w Missisipi. To tutaj narodziła się amerykańska klasa średnia.

A dworzec Michigan Central Rail Depot zaczęli ograbiać wandale. Złupiono mahoniowe poręcze schodów, pokradziono miedziane kable i skuto marmurowe ściany. Teraz budynek jest czymś w rodzaju Latającego Holendra w mieście pełnym widmowych drapaczy chmur; kamieniem nagrobnym Detroit, szyderczym symbolem utraconej świetności miasta. W ładny dzień możesz zobaczyć rozpościerającą się tuż za rzeką Kanadę. Wystarczy, że spojrzysz na przestrzał przez pozbawiony okien dworzec.

Ale jakikolwiek byłby powód upadku naszego narodu, na pewno nie można winić zań obywateli Detroit, którym wydawało się, że wszystko kręci się wokół nich.

Wreszcie nadszedł 6 października, dzień, w którym kierownicy Wielkiej Trójki – Rick Wagoner z General Motors, Alan Mulally z Forda i Robert Nardelli z Chryslera – wraz z Ronem Gettelfingerem, przewodniczącym związków zawodowych, przybyli do Waszyngtonu, by błagać o jałmużnę. Wtedy jeszcze nie było tak gwałtownych sprzeciwów wobec państwowych dofinansowań. Ale gdy przedstawiciele Wielkiej Trójki zajęli miejsca przed Kongresem, ludzie załapali, o co w tym wszystkim chodzi. O samochody. Wszyscy rozumieją samochody. Chciwi kierownicy i leniwe związki. Któż by tego nie rozumiał?

Siedząc przed Komisją Bankową Senatu USA i poddając się ostremu

przesłuchaniu, szefowie koncernów samochodowych pokazali całą swoją niekompetencję.

Gdy senator z Tennessee, Bob Corker – znany jako Senator Nissan, z powodu fabryki ulokowanej w jego stanie – zapytał kierowników, jak planują wydać dwadzieścia pięć miliardów dolarów, o które proszą, ci nie potrafili udzielić odpowiedzi.

– Potrzebuję konkretnych liczb – stwierdził Corker.

Wagoner najpierw zaczął bełkotać i lać wodę, a w końcu niechętnie przyznał, że tak naprawdę nie mają żadnego planu; że chcieli, po prostu, rozdzielić otrzymane pieniądze zgodnie z ilością udziałów każdej z firm w rynku.

W myśl tej zasady Wagonerowi przypadłoby dwanaście miliardów. Powiedział: „Jesteśmy przekonani co do tego, że możemy spróbować przetrwać najbliższy rok”.

Kierownicy zostali wyśmiani i dosłownie wyrzuceni z pokoju konferencyjnego.

Odesłano ich z pustymi rękoma i kazano wrócić za dwa tygodnie z przygotowanym planem. Niepisane zalecenie mówiło też, że będzie dla nich lepiej, jeśli do Waszyngtonu dotrą samochodami, zamiast firmowymi odrzutowcami, jak tym razem. Dow Jones spadł o czterysta czterdzieści pięć punktów.

Przyglądając się temu spektaklowi z wnętrza „Detroit News”, redaktorzy i reporterzy, którzy dotąd budowali wiarygodność swoich materiałów na sprawozdaniach dostarczanych przez koncerny, nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Czy prestiż przemysłowy miasta mógł aż tak radykalnie się obniżyć? Jeśli chodzi o mnie, nie byłem zaskoczony. Oczywiście, że mógł i się obniżyć. Tak samo zresztą zmalał szacunek dla klasy robotniczej. Ja odrobiłem tę lekcję już wtedy, gdy byłem jeszcze świeżo upieczonym reporterem „New York Timesa”. Znałem to już ze strajku, do którego doszło w połowie lat dziewięćdziesiątych w fabryce części samochodowych we Flint w Michigan. Wtedy w naszej gazecie pojawiła się historia o głupkach ze związków, którzy czas strajku poświęcili na zakupy i wycieczki motorówkami po jeziorach; jakby posiadanie motorówki było grzechem.

– Od kiedy posiadanie łodzi i zarabianie dobrej kasy jest czymś złym? – zapytałem jednego z redaktorów „Timesa”, który charakteryzował się małym podbródkiem i dużym mózgiem. Ten przybliżył sobie dłoń do twarzy tak blisko, że zatrzymała się tuż przed nosem, i stwierdził:

– Ci ludzie mają mniej więcej taką perspektywę. Powinni byli wcześniej

zauważyć znaki nadchodzącej katastrofy i pójść do college'ów.

– Gdybyśmy wszyscy byli poetami – odpowiedziałem mu – zdychalibyśmy z głodu, próbując napchać żołądki słowami.

Adolph Mongo też o tym wiedział. Zadzwoił do mnie natychmiast, czyli w momencie, gdy deputowany Barney Frank nie skończył jeszcze nawet wykładu, jaki zaserwował chłopakom od samochodów, a który dotyczył tego, jak powinno się prowadzić biznes.

– Kurwaaaaa – zarechotał Mongo. – Pojechali do Waszyngtonu z myślą, że są kierownikami Wielkiej Trójki. A okazało się, że nie są niczym więcej niż po prostu samym Detroit. Nie zdają sobie sprawy z tego, że słowo Detroit tak naprawdę oznacza czarnucha i że teraz już nie są nikim więcej niż zwykłymi czarnuchami. Brak kompetencji nie jest w tym kraju cechą charakteryzującą wyłącznie czarnych ziomali.

Mongo miał rację. Brak kompetencji nie był wynalazkiem Detroit. Wall Street zawiodło na granicę przepaści wielkie światowe struktury finansowe. Biały Dom wpłatał nas w dwie wielkie wojny niekompetencji, za które zapłacił kartą kredytową. Wielka Trójka nie była w stanie pozwolić sobie na uczciwą księgowość. Kalifornia tonęła w długu sięgającym stu pięćdziesięciu miliardów dolarów. Trzy miliony Amerykanów straciły domy, gdy okazało się, że tak naprawdę nie stać ich na nie. Timothy Geithner, nowy sekretarz skarbu, nie zapłacił swoich podatków. I ani jeden demokrata z Detroit nie był zamieszany w żaden z tych przekrętów.

Kierownicy Wielkiej Trójki, których bez ceremonii wyrzucono z Waszyngtonu w listopadzie, wrócili do stolicy w grudniu. Tym razem mieli dokładniejszy plan, który jednak z dwudziestu pięciu urósł do trzydziestu czterech miliardów dolarów. No i tym razem nie przylecieli już korporacyjnymi odrzutowcami.

Ford i General Motors zrobili przy okazji niezły interes, bo ich szefowie przyjechali do Waszyngtonu swoimi nowymi samochodami hybrydowymi. Mulally z Forda nadjechał hybrydowym SUV-em escape. A Wagonera z General Motors szofer przywiózł hybrydą chevroleta – malibu.

Och, biedny Bob Nardelli z Chryslera. On nie mógł liczyć na nic dobrego. Chrysler – słynący bardziej z ciekawej stylistyki nadwozia niż szczególnej pomysłowości technologicznej – wysłał Nardelliego do stolicy w hybrydzie SUV

aspen, jedynej „ekologicznej” maszynie, jaką Chrysler miał do zaoferowania. Problem polegał na tym, że to auto było okropne i w ogóle nie można było na nim polegać.

Pomimo tego że pojazd częściowo zasilany był baterią, wyposażony w silnik V-8 HEMI aspen nie był w stanie przejechać nawet dziesięciu kilometrów na litrze benzyny. A system ładowania baterii był wadliwy i trudny w obsłudze.

Kierowcą Boba był Mike Carlisle, detektyw wydziału zabójstw, który zaledwie miesiąc wcześniej przeszedł na emeryturę i mógł wreszcie rozstać się z policją Detroit, wobec której odczuwał autentyczne obrzydzenie.

Na wyjazd aspena z Miasta Silników zaproszono media, które sumiennie stawiały się na miejscu, by strzelić parę fotek spod znaku „szerokiej drogi”. Media nie dostrzegły jednak tego, o czym później opowiedział mi Carlisle: że za Nardellim w dyskretnej odległości pięciu kilometrów jechało dwóch inżynierów, którzy – na wypadek gdyby aspen się zepsuł – mieli ze sobą laptopy i skrzynkę pełną narzędzi. Nawet sam Chrysler nie miał zaufania do własnych produktów.

Wszystkim facetom od samochodów udało się, na szczęście, dojechać do Waszyngtonu bez żadnych niespodzianek. Ale i tym razem sprawy w stolicy nie potoczyły się dobrze. Richard Shelby – senator z Alabamy, w którym to stanie znajdują się zakłady koreańskiego Hyundaia, japońskiej Hondy i niemieckiego Mercedesa – przemaglował wszystkich kierowników z radosną wrogością, gdy tylko zasiedli przed Komisją Bankową Senatu.

– Prowadził pan sam czy też miał pan kierowcę? – pytał. – A może trochę prowadził pan sam, a trochę korzystał z usług szofera? I jeszcze jedno: zakładam, że również z powrotem jedzie pan samochodem?

Po raz drugi z rzędu kierownicy nic nie zdziałali i znów odesłano ich do Detroit z pustymi rękoma. Dow Jones spadł tego dnia o czterysta czterdzieści cztery punkty.

Nardelli, gdy opuścił wreszcie Kapitol, wsiadł z powrotem do swojego mocno zawodnego SUV-a za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, by rozpocząć dziesięciogodzinną podróż do domu. Ale nim samochód zdążył dojechać choćby do pomnika Lincolna, Nardelli kazał Carlisle’owi zmienić trasę i jechać na lotnisko, gdzie czekał już firmowy odrzutowiec.

Były policjant zaś odwiózł aspena do domu. Do Detroit. Sam.

15 października prezydent Bush, który nie chciał, by w historii jego kadencji zapisał się tak brzydki wypadek, jak klęska przemysłu samochodowego, przyznał

General Motors i Chryslerowi siedemnaście miliardów dolarów subwencji.

Tego dnia indeks Dow Jones spadł o kolejne dwadzieścia sześć punktów, a Chrysler ogłosił, że wycofuje z produkcji hybrydę SUV aspen.

WKRĘCENI

Przyjeżdżają do pracy o 7.25 rano i parkują samochody, które w większości wyglądają jak rdzewiejąca sterta syfu. Poza samochodem szefa. Szef jeździ volvo.

Gdy przechodzisz przez drzwi Fabryki Wkrętów, pierwszą rzeczą, jaką widzisz, jest twój wróg – zegar. Później zwracasz uwagę na smród wyziewów oleju i rozpuszczalników. Przygnębiające, żółte światło. Śliskie podłogi. Brudne i obłazące z farby ściany.

Robotnicy wcale nie chcą tu być. O ich nastrojach można wnioskować z butelek alkoholu ukrytych pośród chaszczy zioła zarastających działkę na tyłach fabryki.

Patrzyłem na tych biednych głupków, jak łapczywie zaciągają się po raz ostatni papierosem, bo zaraz zabrzmi dzwonek wzywający do pracy. Oleje i inne płyny techniczne zostawiają na skórze pod paznokciami plamy, których nie da się usunąć. A razem z nimi pozostaje ten cholernie obrzydliwy zapach.

Nie mogłem przestać patrzeć na ich zniszczoną skórę, zgrzytający w zębach pył i brud gromadzący się w ślimakach uszu, kącikach oczu, w nosie i we włosach. Widziałem, jak ich skóra przyjmuje opiłki metalu, które pewnie co wieczór wydłubują im pęsetami żony, gdy oni siedzą w fotelu z puszką piwa w ręku. Gdy byłem szczylem, sam pracowałem w takim miejscu. Niemal wszyscy, którzy tutaj dorastali, spędzili przynajmniej chwilę w podobnej fabryce.

Zapach tych wszystkich płynów i smarów wyczujesz też w barach typu wódka-i-zakąska, które ciągną się wzdłuż wszystkich przemysłowych ulic – Ford Road, Plymouth Road, przy Five, Six, Seven i Eight Mile. Przy barze siedzą zgarbieni faceci w poplamionych tłuszczem flanelach i usmarowanych olejem bejsbolówkach, a szafa gra kawałki Bad Company albo O’Jays. Stukot kul bilardowych. Tłuste hamburgery. Tania whiskey.

Przypomniałem sobie to wszystko, gdy gapiłem się w puste, kanciaste twarze, które z kolei gapiły się na zegar, tak jakby chciały mu powybyjać zębatki i powyłamywać wskazówki. Przypomniałem sobie to wszystko w ciągu pięciu sekund.

Robotnicy odbijali kartę dokładnie o 7.30, ani minuty później, bo wtedy obcięto by im z wypłaty czternaście minut, a w Ameryce nikt nie będzie pracował

czternaście minut za darmo. Ryk maszyn do szlifowania wkrętów coraz bardziej się rozkręcał, a robotników ze wszech stron ogarniała cicha rezygnacja. Czy tego chcieli, czy nie, musieli tu być. Bo prócz tego miejsca nie było dla nich żadnego innego. Nie w dzisiejszej Ameryce.

Ten warsztat można postrzegać jako kolejną niebezpiecznie chwiejącą się kostkę domina amerykańskiej produkcji przemysłowej i klasy robotniczej. Tylko w najbliższej okolicy znajduje się przynajmniej siedem podobnych zakładów, które oferuje się do wynajęcia.

Fabryka Wkrętów mieściła się w przemysłowym sektorze Garden City, które znajdowało się na północ od Ford Road, około pięciu kilometrów na zachód od Detroit i trzech kilometrów na wschód od miejsca, w którym dorastałem w pobliżu centrum handlowego Westland. Westland to miasto robotnicze, w którym ludzie bardzo skwapliwie pielęgnują kulturę konsumpcjonizmu. Z tego, co wiem, jest to jedyne miasto na świecie, które zmieniło swoją nazwę, by nazywać się tak samo jak miejscowe centrum handlowe.

Ale i z tym centrum handlowym jest tak jak ze wszystkim wokół. Ono także upada – jest nędzne i nie generuje zbyt dużych obrotów, a otaczające je puste witryny sklepowe napawają smutkiem tak samo jak przytulone po sąsiedzku, zabite deskami kino Quo Vadis. Kiedyś, jako dzieciak, wślizgiwałem się tam tylnymi drzwiami, by przez całe popołudnie, aż do nocy, oglądać filmy.

W Fabryce Wkrętów pracowali mój brat Billy i jego żona Kim. Billy właśnie wkroczył w wiek średni, co widać było przede wszystkim po jego włosach – coraz słabszych i wycofujących się z czubka głowy, by zostawiać tam coraz większy łysy placek. Dni, w których mój brat wyglądał jak przystojny aktor, szybko odchodziły w niepamięć. Ponieważ w którymś momencie rzucił szkołę, teraz nie miał żadnego wykształcenia, na którym mógłby jakoś polegać i które dawałoby mu jakiegokolwiek perspektywy.

Jednak Billy był dosyć inteligentny i nieźle radził sobie z liczbami. Pracując tylko trzy dni w tygodniu dla Quicken Loans, zarobił siedemdziesiąt tysięcy dolarów na umowach hipotecznych wysokiego ryzyka. To było, zanim runął rynek nieruchomości.

Quicken było jedną z tych firm brokerskich, które pracowały przy nieuregulowanych hipotekach, załatwiając całe tony ryzykownych pożyczek i, tym samym, przyspieszając spuszczenie gównianej amerykańskiej gospodarki prosto do ekonomicznego kibla. Billy pracował u nich w biurze, nosił dobre garnitury

i przedstawiał się „Bill”. To było kiedyś.

Teraz Billy żył w samym środku koszmaru białego faceta z przedmieść – pracował na zadupiu piekła, stojąc przez cały dzień tuż obok opóźnionego gościa, który dostawał taką samą stawkę ośmiu i pół dolara na godzinę za liczenie i czyszczenie wkrętów. Nawiasem mówiąc, okazuje się, że opóźnieni są lepiej dostosowani do takiej pracy, ponieważ potrafią się od niej odciąć, wyłączyć umysł.

Na Boże Narodzenie Billy dostał idiotyczną premię w wysokości czterdziestu trzech dolarów i osiemdziesięciu centów oraz został wyeksmitowany z domu, na który sam podpisał kredyt. A więc i to było stracone; tak samo jak garnitury, służbowe wydatki i trzydniowy tydzień pracy.

Ale przynajmniej miał pracę. Zanim zatrudnił się w Fabryce Wkrętów, przez kilka miesięcy siedział bezrobotny w domu, grając całymi dniami na komputerze w golfa i wstydząc się, gdy trójka jego dzieci wracała ze szkoły i zastawała go dokładnie w tym samym miejscu i pozycji, w jakiej pozostawiła go rano.

– Kiedy Kim wróciła kiedyś do domu i powiedziała, że można tam dostać pracę, powiedziałem sobie: świetnie! Praca w fabryce. Od razu pomyślałem o związkach. Od razu pomyślałem o piętnastu dolcach na godzinę i dobrej socjalce! Ale nie. Osiem pięćdziesiąt za godzinę. Stary, więcej zarabiałem w szkole średniej. Chciało mi się płakać, ale co mogłem zrobić?

Po czym mój brat wyrecytował slogan całego swojego pokolenia: „Cieszę się, że w ogóle mam pracę”.

Billy stał przy swoim warsztacie pracy ubrany w opadające spodnie i zatłuszczoną bejsbolówkę. Za pomocą szlauchu suszył wyprodukowane w Chinach złączki, czyścił je i przepakowywał z myślą o amerykańskich klientach, którzy chcieli kupić je tanio, ale bez wiedzy o tym, że zrobiono je w Chinach. Billy nie nosił masечki na usta ani żadnej ochrony na oczy. Była przerwa na lunch. Pił kawę ze śmietanką w proszku i dużą ilością cukru. Było cicho.

Nie zapewniano tutaj żadnej opieki zdrowotnej. Środki na leczenie dentystyczne można było znaleźć wyłącznie w skrzynce na narzędzia. Mój brat usiłował niedawno usunąć sobie ropiejący trzonowiec obcęgami. Ząb złamał się z trzaskiem przy samym działaniu.

– Co się z nami stało? – zapytałem go. – Jak w ogóle mogło dojść do czegoś takiego?

– Kurwa, człowieku, nie uwierzysz – powiedział. – Stary, ludzie tutaj odmawiają pracy. Chodzi o to, że... wiesz, szef prosi ich, by popracowali kilka

dodatkowych minut, a oni odpowiadają coś w stylu: „Pierdolić to, ja spadam”. Mnie tu nienawidzą, bo rzeczywiście pracuję. Rozumiesz? To mi pomaga jakoś zabić czas. Daję im wyraźnie do zrozumienia, że uważam to miejsce za wstrętą norę i nie czuję do niego żadnego przywiązania. Mam je w szczerzej pogardzie. Oni o tym wiedzą. Więc mnie nienawidzą. Bo przypominam im o tym, że tu utknęli. Ale nie mogę ich za to winić. Nikt by nie mógł, jeśli przyjrzałby się temu miejscu odpowiednio dokładnie... Tak to jest! Kiedy wchodzę do tego okropnego grobowca, to za każdym razem jest to dla mnie przykra niespodzianka. Jeden pieprzony cwaniak pracuje tu od trzydziestu lat, chodzi wokoło dumny jak paw i opowiada: „Zarabiam dziewiętnaście dolców na godzinę” – nawijał Billy. – Dziewiętnaście pieprzonych dolarów na godzinę. I nagle szef obniża mu stawkę o dwa dolary, ale koleś zostaje. Szef nieźle złapał go za jaja. Bo tylko na tym się zna. I na tym, jak być burakiem. A ja... ja mam to gdzieś. Nie zamierzam tutaj zdechnąć. I oni wszyscy o tym wiedzą. Nie czuję do nich nienawiści. Ja tylko nienawidzę tego pierdolonego miejsca.

Bezmyślnie zamknął kolejne pudełko z nakrętkami, choć przecież miał teraz przerwę. Na opakowaniu przybita była pieczętka: „Części mogą być wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych, Chinach lub na Tajwanie”.

– Pewnego dnia szef poprosił mnie, żebym umył pieprzone kible – mówi mój brat. – Uwierzysz? Miałem myć pieprzone kible! No i jestem tam i grzebię się w tych gównach. To jest obrzydliwe. Ci faceci tutaj są jak zwierzęta. Klop wali jak stan zapalny wątroby. Znaczy się, nie jestem naukowcem z Harvardu, ale jednak przywykłem do życia na jakimś poziomie. Ten gnój tutaj mnie upokarza. Ale potrzebuję pracy, więc muszę schować dumę do kieszeni... No więc grzebię w tych gównach i staram się nie oddychać przez nos. Otwieram jednąabinę i widzę graffiti: „Pierdolić pracowitych”. Dosłownie nie do wiary. To jest wszystko, co musisz tutaj wiedzieć o amerykańskich robotnikach. „Pierdolić pracowitych”. Bo rzecz w tym, że żaden Amerykanin nie chce pracować... No, dalej, idź sam zobacz. Kabina po prawej, nad wieszakiem na papier.

Wszedłem do kibla. Nie żartował. Już przedsionek śmierdział jak gnijący jelen. Albo jak sopel zamrożonej uryny, boleśnie wbijający się w nozdrza. Poszedłem dalej, do prawej kabiny. Podłoga zarzucona była zużytym papierem toaletowym. Tak robią Meksykanie, by nie zapychać rur kanalizacyjnych. Ale tutaj, jak się domyślałem, wynikało to wyłącznie z lenistwa. I zobaczyłem graffiti: „Pierdolić pracowitych”.

Gdy wróciłem do warsztatu brata, ten się śmiał.

– Człowieku, przynajmniej moja rodzina ma co jeść. Rozumiesz? Ale ja nie przywykłem do czegoś takiego. Nie powinno mnie tu być. Jestem dobrym sprzedawcą. Nie ma czegoś takiego, czego nie potrafiłbym sprzedać. Ale teraz nie ma już czym handlować. Proszono mnie, bym wrócił do Quicken, ale zastanowiłem się i stwierdziłem, że to pieprzę – za długo trzeba tam siedzieć, a sama praca ociera się o przestępstwo. Myślę, że praca tutaj to moja pokuta. Gdy tam byłem, Quicken zatrudniało trzy tysiące inspektorów kredytowych. Słyszałem, że teraz jest ich dwustu. Wiesz, o co mi chodzi? Kiedyś w tym kraju, gdy to gówno było modne, jedna na dziesięć dorosłych osób pracowała w biznesie nieruchomości. Co ci to mówi? Wszyscy żyliśmy kłamstwem i dobrze o tym wiedzieliśmy... Sprzedawałem ściemniane kredyty. O zwiększonym ryzyku. Z negatywną amortyzacją. Mówili na to: kredyty dla czarnuchów^[9]. Robiłem to i jest mi z tego powodu przykro. Wielu ludzi zostało wydymanych. Ja zostałem wydymany. Zostałem eksmitowany z domu, na który sam robiłem papiery hipoteczne. Szeryf wypuścił mnie, a zamiast mnie przytknął masę moich rzeczy. Płyty CD, ciuchy, meble. Nic wielkiego. Jestem w stanie kupić sobie nowe. Przynajmniej nie było przy tym dzieciaków.

Znów zaczął się śmiać.

– Jak to działało? – zapytałem.

Dopiero teraz zaczynałem się orientować w tym, z czym powinienem być obeznany już dawno temu. Myślę, że jako reporter dałem dupy. Zapomniałem już, jak pachną podobne temu miejsca. Takiego zapachu nie spotka się w żadnym barze, do którego chadzają ludzie mediów.

– Okej, więc tak – zaczął mój brat. – Powiedzmy, że na przykład jest do kupienia dom za sto tysięcy dolarów i nie chcą ci zejść z ceny. Więc chcesz skorzystać z jednego z tych kredytów dla czarnuchów, gdzie na początku spłaca się tylko odsetki.

– Niech będzie siedem procent – wtrąciłem się. Chciałem mieć pewność, że to nie jest jakaś gówniana historyjka, którą opowiadał już tysiące razy. Chciałem sprawdzić, jak poradzi sobie z liczbami.

– Okej, a więc siedem procent. Więc kredyt dla czarnuchów pozwala ci te siedem procent obniżyć do trzech i pół, a pozostałe trzy i pół zostaje podpisane na sam koniec spłaty pożyczki. Łapiesz? Więc płacisz dwieście dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie bez spłacania kwoty głównej.

Sprawdziłem to na kalkulatorze. Pomylił się tylko o dolara i sześćdziesiąt siedem centów.

– A te pozostałe dwieście dziewięćdziesiąt jeden dolarów jest dodawane do salda. Tak więc po pięciu latach wychodzi ci w sumie... siedemnaście i pół tysiąca dolarów więcej do zapłaty.

Policzyłem też to. Bingo. Dokładnie się zgadzało.

– Człowieku, mógłby być z ciebie naprawdę ktoś, gdybyś poszedł do college'u – powiedziałem.

Znów zaczął się śmiać. Ale nie wkładał w ten śmiech serca.

– Tak czy siak, teraz jesteś winien za dom sto siedemnaście i pół tysiąca. Po tych pięciu latach dom ma już dziewięćdziesięcioprocentowy wskaźnik wartości kredytu w stosunku do wartości zabezpieczenia. A to z kolei oznacza, że wkrótce zaczniesz tonąć – bank „zmienia zasady gry” w taki sposób, że teraz masz do zapłacenia kwotę główną i odsetki od stu siedemnastu tysięcy dolarów. W tej chwili spłacasz już trzydziestoletni kredyt na siedem procent. A do tego musisz wykupić ubezpieczenie hipoteki, co daje w sumie około dziewięćset dolarów miesięcznie. Z dnia na dzień twoje płatności wzrosły ponad trzykrotnie. Dom za sto tysięcy dolarów kosztuje cię teraz tysiąc osiemset dolarów miesięcznie, a obaj wiemy, że jesteś facetem, który nigdy nie zarabiał takich pieniędzy... No więc wciskaliśmy takiemu facetowi jak przykładowy ty kit i rozwiewaliśmy wątpliwości, jakie mógł ewentualnie mieć. Byliśmy w stanie zrobić tak, że nawet bezrobotni kupowali domy. Słyszałem historie o pożyczkach branych przez zmarłych. Pracując jako brokerzy, robiliśmy masę szwindli. Nie żartuję. To był jeden wielki szwindel... Wpędzało się faceta w kredyt, a trzy miesiące później dzwoniło do niego i mówiło, że ten kredyt – ten, który samemu się mu sprzedawało – to kiepski układ; i sprzedawało mu się inny. To było szachrajstwo. A firma nakłaniała nas do takich działań. Z każdej takiej umowy dostawaliśmy sześć procent. Sześć! I nikt się tym nie przejmował, bo każdy chciał mieć za darmo wszystko, co mu się zamarzyło...

– Okej, a więc dom nie jest wcale wart tyle, ile za niego płacisz. To za wiele dla ciebie. Ale w razie czego bez problemu się go pozbędziesz, mówię do gościa. W całym kraju domy zyskują na wartości dziesięć procent rocznie, mówię. Na pewno nie stracisz. Weź więc kredyt na trzy i pół procent i wpuść pieniądze na giełdę, bo tam jest szaleństwo. Jesteś bogaty... Ale wiem, że na pewno nie zainwestuje ich na giełdzie. Jest Amerykaninem – pójdzie i kupi cadillaca i parę

niuchów koki. Podpisałem setki, a może tysiące takich gównianych umów z ludźmi, którzy nie powinni byli tego robić. Oczywiście kilku osobom też pomogłem. I wielu pomogłem w tym, by pomogli sami sobie... I wtedy rynek nieruchomości zaczyna lecieć na łeb. Rynek pracy też leci na łeb. Cena benzyny podskakuje powyżej czterech dolarów za galon. A Wall Street robi chuj wie co z tymi wszystkimi kiepskimi papierami, jakie wyprodukowałem i pchnąłem w świat. Pomyślałem, że mamy problem. Wszyscy tak pomyśleliśmy. A teraz wiemy to już na pewno. Wszyscy olaliśmy swoje zobowiązania finansowe. Wkręcono nas. Rynek nieruchomości nie stanie na nogi jeszcze przez długi, bardzo długi czas. Jest totalnie przepełniony.

Mój brat pokazał mi gościa, który pracował przy sąsiednim warsztacie.

– Idź i z nim pogadaj – powiedział. – Ten facet naprawdę spłaca swoje długi. Muszę przyznać, że to uczciwy człowiek. Ale jest w jakimś sensie upośledzony. Jest zbyt głupi, by zrozumieć, że powinien olać te swoje zobowiązania.

Facet, który pracuje obok mojego brata, ma na imię Mike. Jest wtórnym analfabetą i zarabia osiem dolarów na godzinę, a do domu przynosi pod koniec tygodnia jakieś siedemdziesiąt pięć dolców. Siedzi po szyję w gównianych płatnościach za dom, który nie jest już wart ceny, jaką Mike ma za niego płacić. Ale jednak wciąż ją płaci, zamiast olać sprawę.

– Dlaczego? – pytam go. Przecież większość ludzi dała sobie spokój ze spłatą długów.

– Większość tak, ale nie ja – mówi mi. – Gdyby wszyscy olali swoje zobowiązania, to gdzie byśmy teraz byli?

Mike miał wystający brzuch, nosił włosy obcięte „pod garnek”, jak Jim Carrey w *Głupim i głupszym*, i brakowało mu protezy w dolnej szczęce. Ale nie narzekał na amerykańskie ubezpieczenia stomatologiczne. Bardziej martwił się swoją pracą.

– Co się stało? – zapytałem go, patrząc, jak wciąż majstruje przy tym samym sworzniu, z którym widziałem go już piętnaście minut temu.

– Stało się gdzie?

– Tu, w Ameryce. Co się stało z gospodarką? Co się stało z tą fabryką?

– Cóż – odpowiedział z bezzębną złością – widzisz, pewien facet robił plastikowe samochody. Ale znaleźli innego faceta, w innym miejscu, który potrafił zrobić ich dużo więcej. A tamten facet, który kiedyś robił samochody, nadal je lubił. Chciał kupić jeden taki dla syna, na święta. Więc kupił. Zapłacił kartą kredytową. Ale nie miał pieniędzy, by tę kartę spłacić. Po jakimś czasie facet od

karty kredytowej upomniał się o zapłatę, ale ten, który kiedyś robił samochody, wciąż nie miał pieniędzy, by zapłacić.

Nagle zamilkł i wzruszył ramionami.

– To się właśnie stało, jak sędzę.

Analfabeta rozumiał, w czym rzecz. I opowiedział o tym lepiej, niż kiedykolwiek zrobił to „New York Times”.

Wróciłem do stanowiska mojego brata.

– Jak się czujesz z tym, co robiłeś? – zapytałem go. – Chodzi mi o to, że, wiesz... rzuciłeś szkołę, by wciskać ludziom złe kredyty. Przeputałeś całą kasę, jaką zarobiłeś, a teraz dostajesz osiem pięćdziesiąt na godzinę za liczenie nakrętek – tak jak koleś, który nawet nie potrafi czytać.

– Kiedy patrzę wstecz, czuję się przegrany – powiedział ponuro. – Wiesz, jakoś daję radę. Mam trójkę dzieciaków, więc jestem szczęśliwy. Mam ludzi, którzy mnie kochają, a oni mają dach nad głową i co włożyć do garnka. Ale wtedy, gdy zarabiałem prawdziwe pieniądze, do szczęścia potrzebne mi było dużo więcej. Teraz wynajmuję dom za osiemset dolarów, a kiedyś wynajmowałem apartament za półtora tysiąca.

Podeszła do nas jego żona, Kim, i podała Billy’emu coś do picia.

– Dzięki, dziecinko... Tak czy siak, gdy ci się powodzi, nie myślisz o tym, bo wydaje się, że to będzie trwało wiecznie. A przynajmniej ja tak miałem. Słuchaj, Char, mam umysł sprzedawcy. Większość z nas taki ma. Umysły sprzedawców i hazardzystów. To dlatego teraz w każdym mieście i miasteczku jest kasyno. Chodzi mi chyba o to, że... Próbuję powiedzieć, że przepuściłem te moje pieniądze.

– Pomyśl, co moglibyśmy zrobić z tą forszą teraz – powiedziała Kim i wycofała się z powrotem do biura.

Billy przestał mówić, ale jego myśli galopowały.

– Tkwienie tutaj... Tkwienie tutaj stanowi problem – powiedział głucho jak echo.

Zadzwonił dzwonek, oznajmiając koniec przerwy na lunch. Maszyny od razu, nie wiadomo jak, zwiększyły obroty; jakby poruszała nimi jakaś niewidzialna ręka.

– Cóż, koniec przerwy – stwierdził Billy. Odpalił swój szlauch, który zaczął syczeć jak wąż.

UMARŁ KRÓL

Wczesną jesienią było już jasne, że federalni poprowadzili przez Detroit więcej drutów niż goście od kablówki.

Niemal codziennie pojawiały się nowe wycieki od wtyczek, wiadomości o ugodach obrończych i zeznaniach przed ławą przysięgłych. Miasto Silników przypatrywało się jak zahipnotyzowane wciąż rozprzestrzeniającemu się skandalowi korupcyjnemu.

Kilpatrick już wcześniej miał problemy z SMS-ami i martwą striptizerką, ale teraz – dzięki podsłuchowi, jaki federalni założyli niemal każdemu, kto był związany z interesami miasta – spotęgowały się one dziesięciokrotnie.

Zaczął się od Greka, który prowadził lukratywne interesy w Cobo Hall – zrujnowanym centrum kongresowym nad rzeką Detroit. Grek powiedział fedziom, że zapłacił Kilpatrickowi i jego ojcu prawie pół miliona dolarów, by nielegalnie pozyskać potrzebne mu koncesje. Koniec końców Grek przyznał się do winy także w kontekście unikania płacenia podatków i dostał zawiasy.

Pracując nad wcześniej pozyskanymi informacjami, federalni zaczęli zakładać pluskwy telefoniczne i wyposażać skłonnych do współpracy świadków w podsłuchy.

Codziennosc stała się paranoiczna. Obawiając się, że w ich biurach znajdują się podsłuchy FBI, niektórzy politykierzy umawiali się na spotkania w knajpie pod nazwą Międzynarodowe Centrum Naleśników albo na rogach ulic w centrum miasta. Jedna z radnych przestała używać służbowej komórki i przerzuciła się na telefon swojej wnuczki. Kluczowi gracze potrafili żonglować wieloma numerami telefonów jak profesjonalni klauni.

Nagle nie dało się już skontaktować z żadnym z nich.

Kilpatrick, Monica Conyers i jeszcze tuzin innych ludzi czynu naszego miasta złapało się w zastawioną przez FBI sieć, w której oczkach zatrzymywały się wszystkie łapówki, jakie przyjmowali w zamian za wsparcie wartej miliard dolarów brudnej umowy na wywóz nieczystości.

Z pokoju, w którym obradowała ława przysięgłych, wyciekły szczegóły sprawy dotyczącej potajemnych spotkań Moniki Conyers, jakie odbywała ona na

parkingach barów z fast foodem. Podczas tych schadzek przyjmowała wypchane forsy koperty. Przy okazji okazało się także, że Conyers jest wielką fanką kanapek rybnych na białym chlebie.

Pewnego dusznego poranka Conyers i kilku innych członków Rady Miejskiej, którzy także mocno odczuwali ciężką i gorącą atmosferę ostatnich dni, stanęło razem w jednym z gabinetów i zaczęło modlić się o boską interwencję. Bóg musiał słuchać. W budynek uderzył piorun; przez tydzień nie mogli chodzić do pracy.

Gdy federalni zbierali materiały do wytoczenia Kilpatrickowi sprawy o przestępczość zorganizowaną, prokurator hrabstwa Wayne oskarżył go o krzywoprzysięstwo – chodziło o złożone pod przysięgą fałszywe zeznanie dotyczące pieprzenia się z szefową kadr, Christine Beatty.

Choć brak im było metrum i polotu, to jednak stworzone przez kochanków miłosne sonety należałoby ocenić tak wysoko, jak te, które Petrarca pisał do Laury.

Christine Beatty do Kwame Kilpatricka: Kochanie, gdybym teraz była z tobą, kazałabym ci usiąść, a potem uklęknęłabym przed tobą. Wspięłabym się po tobie i zaczęłabym delikatnie ssać płatek twojego ucha, a potem pocałowałabym cię namiętnie. A później...

K.K. do C.B.: MÓW DALEJ, PROSZĘ!

C.B. do K.K.: Później zdjęłabym ci koszulę, całowałabym cię po szyi i schodziła coraz niżej, by possać twojego XXX. A potem zdjęłabym ci spodnie i położyła cię na łóżku. A później...

K.K. do C.B.: JESTEM JUŻ CAŁKIEM TWARDY.

C.B. do K.K.: Później usiadłabym na tobie i zaczęła całować najpierw czubek głowy, później zeszląbym na dół, na twarz i łagodnie na brzuch, i delikatnie lizałabym cię wokół pępka. A później...

K.K. do C.B.: CHOLERA... UWIELBIAM TO!

C.B. do K.K.: Potem zeszląbym niżej do XXX i delikatnie wsuwałabym go i wysuwała z ust, aż poczułbyś się tak, jakbyś był we mnie. I wtedy poprosiłbyś, żeby we mnie wejść! I wtedy...

K.K. do C.B.: KURWA, TAAAK!

C.B. do K.K.: Wtedy, jak już byś prawie dochodził, wyjęłabym go z ust, z powrotem weszła na ciebie i włożyłabym go sobie głęboko! I wtedy zaczęłabym cię powoli ujeżdżać. Później...

K.K. do C.B.: JEZU, TAK, KURWA!

C.B. do K.K.: Później, gdy byłbyś wciąż głęboko we mnie, przyciągnęłabym cię do siebie i, cały czas cię ujeżdżając, namiętnie bym cię pocałowała! I poprosiłabym cię, żebyś delikatnie złapał mnie za tyłek i wsadził mi palec.

K.K. do C.B.: NIE PRZESTAWAJ! PROSZĘ!

K.K. do C.B.: ZARAZ DOJDĘ!

C.B. do K.K.: A później położyłabym się na boku, a ty leżałbyś za mną i przyciągnąłbyś mnie blisko do siebie. Powiedziałabym: „Tak bardzo cię kocham”, a ty odpowiedziałbyś: „Ja ciebie też kocham”, i mięciutko pocałował mnie w szyję. I wtedy przykrylibyśmy się pościelą, poszlibyśmy spać, a później obudzilibyśmy się...

K.K. do C.B.: TAK, JA PIERDOŁĘ, TAK! CHRRRRRISSS! CO CZUJESZ?

C.B. do K.K.: Najpierw mi powiedz, co tyyy czujesz!

K.K. do C.B.: NIE, CZARNA MUSZELKO! TY PIERWSZA.

A to wszystko – ich pensje, telefony, samochody, szoferzy, chusteczki higieniczne – opłacone przez podatników.

Kilpatrick obmyślił ciekawą strategię prawną. Na własny użytek nazwał ją „obroną poltergeista”.

Burmistrz zdawał sobie sprawę z tego, że te wszystkie SMS-y zostały wysłane z jego telefonu służbowego. Ale upierał się, że to nie on je napisał. Najwidoczniej wtedy, gdy telefon spoczywał spokojnie w kieszeni Kilpatricka, dostał się do niego Chochlik z Krainy Dupy i to on właśnie stworzył te wszystkie napalone wiadomości.

Kilpatrick zatrudnił całe stado konsultantów i prawników za milion dolarów, ale najwyraźniej nie zwracał większej uwagi na to, co mu doradzali. Choć, w ramach dochodzenia, zabroniono mu opuszczać teren stanu, on postanowił wybrać się na jednodniową wycieczkę do kanadyjskiego Windsor, zapominając, że znajduje się ono w innym kraju.

Pierwsze trafienie.

Gdy dwóch ludzi szeryfa weszło do domu siostry burmistrza, by wręczyć jej wezwanie do sądu, napotkali tam samego Kilpatricka. A Kilpatrick wydarł się na nich, wyrzucając ich z domu.

– Wynocha stąd, kurwa – krzyczał, spychając z ganku jednego z gliniarzy, białego mężczyznę o białym nazwisku White.

Później zwrócił się w stronę drugiego funkcjonariusza – czarnej kobiety – i znów zaczął wrzeszczeć. – Ty, czarna, prowadzasz się z facetem, który ma na nazwisko White? Powinnaś się wstydić.

Drugie trafienie.

Aż do tego momentu gubernator i prokurator generalny Michigan trzymali się z boku, nie chcąc doprowadzać do otwartej konfrontacji z czarnym burmistrzem, który mógłby obejść zarzuty w sprawie ośmiu ciężkich przestępstw dzięki drańskiemu sędziemu w typie gościa od sprawy O. J. Simpsona.

Ale po tym, jak Kilpatrick użył przemocy fizycznej wobec policjanta, z całą mocą zwała się na niego karząca ręka systemu. Gubernator wszczął procedurę usunięcia burmistrza ze stanowiska. A prokurator generalny rozpoczął postępowanie w sprawie jego działalności przestępczej.

Kilpatricka zaciągnięto do sądu. Gdy hip-hopowy burmistrz stał przed sędzią, drżały mu wargi i dławił się łzami.

– Ogromnie żałuję... Proszę o wybaczenie... Chcę przeprosić również obywateli, ale przede wszystkim pana.

Co za cipa. Trzecie trafienie.

Sędzia nakazał zamknięcie Kilpatricka na noc w więzieniu.

Kurna – pomyślałem, stojąc tam w sali sądowej i patrząc na to, jak z ust Kilpatricka wydobywają się bańki śliny. Co za wielka dziwka. Moja siostra spędziła więcej nocy w więzieniu. Do cholery, nawet ja sam bywałem tam częściej.

Cmoknij mnie w dupę, hip-hopie.

Pozbawiony możliwości działania i komunikacji z przyjaciółmi Kilpatrick poszedł na ugodę – cztery miesiące w więzieniu, milion dolarów kary i rezygnacja z urzędu.

Kilpatrick wystąpił w telewizji, by wygłosić do obywateli miasta przemówienie na temat swojej rezygnacji. Na tę okazję założył jaskrawy krawat, który wyglądał tak, jakby był uszyty z kawałka tureckiej zasłony wiszącej w kawalerce z lat siedemdziesiątych. Jego żona ubrana była w pasującą do tego krawata sukienkę.

Oglądałem to przemówienie, siedząc w kącie sali w Mosaic – ulubionej knajpie czarnych cwaniaków u władzy – która mieściła się w Greektown. Podczas przemówienia burmistrza bar był nabity ludźmi, ale panowała niesamowita cisza. Kilpatrick wymienił całą masę rzeczy, co do których przypisywał sobie zasługi, a których w rzeczywistości nigdy nie zrobił, opowiadając między innymi o finansowej stabilności miasta i rozbiórce opuszczonych domów.

Dało się słyszeć stuk kostek lodu w szklankach, bo ludzie władzy siedzieli jak trusie i po cichu kalkulowali najbliższe kroki i działania. Koniec końców Kilpatrick okazał się tylko upierdliwą czkawką, która szybko przeszła. Ale przecież król upada, a królestwo pozostaje.

Zastępca burmistrza pił czystą i kręcił głową, gdy Kilpatrick oświadczał z całą powagą: „To wy postawiliście mnie w sytuacji, w której muszę dokonać zadośćuczynienia”.

– Ożeż kurwa! – odezwał się ktoś w rogu. To był Adolph Mongo. – Kurwa! Umarł król. Niech żyje król!

Stary dobry Mongo. Pijany wujcio, który podczas pogrzebu wykrzykuje to

wszystko, co inni chcieliby powiedzieć, ale czują, że nie wypada.

– Ja pierdolę – zagdakał głosem, który trochę przypominał Redda Foxxa, a trochę betoniarkę. – Kto im podpowiedział, by dobrali do siebie krawat i sukienkę? Wyglądają kurewsko głupio. Taką radę dostał od konsultantów za milion dolarów? Facet wszystko spierdolił. Umarł król!

Mongo dostrzegł mnie siedzącego w kącie, przywitał poważnym skinieniem głowy, a potem udawał, że wcale mnie tam nie ma. Zapłaciłem rachunek i wymknąłem się bocznymi drzwiami.

TEN, KTÓRY ZSZEDŁ NA PSY

Frankie nie płakał, gdy będąc dzieckiem, przywiązałem go paskiem do drzewa stojącego przy ruchliwej Joy Road. Gdy tak wisiał jak worek ziemniaków, w pewnym momencie z samochodu wyskoczyła grupa nastolatków i zaczęła walić w niego kulkami ze śniegu.

Frankie nie płakał też, gdy uderzył w niego samochód, który – jak się później okazało – na zawsze przetrącił jego kości. Nie płakał, gdy urodziła mu się córka. Nie płakał, gdy wywalili go z Forda. Frankie nie płakał też, gdy w jego okolicy jak grzyby po deszczu wyrosły wszędzie znaki „Na sprzedaż”.

Ale teraz płakał.

Wyszedłem z newsroomu i pojechałem się z nim zobaczyć. Był ubrany w wełnianą czapkę i sportową bluzę. Szukał jakiegoś miękkiego kawałka ziemi, by pochować swojego psa, potężnego golden retrievera.

– Co mu się, do kurwy nędzy, stało? – zapytałem.

– To przez żarcie dla psów – westchnął głęboko.

– Co to znaczy, że przez żarcie dla psów?

– Sprawdziłem to w internecie. To przez żarcie dla psów. Jakies zatrute gówno z Chin.

Frankie wytarł nos w rękaw. Rozejrzałem się po szarym sąsiedztwie jego domu. Ktoś ukradł aluminiowy siding, który pokrywał stojący nieopodal opuszczony dom.

Miejsce zwane Detroit w ogóle nie budziło już mojego zainteresowania. Łamało mi serce. Doprowadzało do szaleństwa. Całe pokolenie ludzi wyrzuconych na stertę śmieci. Objąłem swojego brata.

– Zatrute gówno z Chin. Jak dużo może, kurwa, znieść człowiek? – załkał. – Zabili mi pieprzonego psa.

Stałem z rękoma wciśniętymi w kieszenie i patrzyłem, jak Frankie wykopuje dziurę w grządce kapusty, bo było to jedyne w miarę miękkie miejsce w skutej mrozem ziemi. Znajdowało się ono tuż pod oknem sąsiada, co jednak nie miało w tej chwili większego znaczenia, bo dom zajęto za długi i stał opuszczony.

Mój brat ułożył na ciele psa kamienie, by dzikie zwierzęta nie zdołały go odkopać i wytargać z grobu.

DUCHY NA PODDASZU

– Walt nie żyje.

– Co? Kto mówi?

– Tu Nevin.

Mike Nevin. Sierżant z fryzurą na czeskiego piłkarza. Płakał.

To był jeden z tych pozbawionych życia, szarych jak błoto poranków, a ja jeszcze nie wyszedłem z domu i stałem przy oknie na górze. Widziałem przez nie wieżę ciśnień w ogrodzie zoologicznym. Z pokrywającego ją malowidła usunięto już nazwisko Kwame Kilpatricka, ale wciąż widziałem jego zarys, który pozostał i był niewyraźny jak duch.

– Halo, Charlie? Chodzi o Walta. Umarł dwie godziny temu. Dziś rano zawalił się na nas pieprzony dom. Kurwa, mały, gówniany dom. Jedna z tych pułapek na myszy. Trzymałem go w ramionach. Jezu Chryste. W każdym razie jesteśmy w remizie. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

– Zaraz do was przyjadę.

Wciąż stałem przy oknie, gapiłem się na wieżę ciśnień i zastanawiałem się nad tym nazwiskiem. Kilpatrick. Jakie to wszystko miało znaczenie? Jeden dupek zniknął, a jego miejsce zajmie inny i cały ten cyrk będzie się wciąż kręcił, w kółko i w kółko.

Wskoczyłem w spodnie i ucałowałem żonę. Wciąż spała, więc wystraszyła ją tak nagła pobudka.

– Co się dzieje?

– Walt nie żyje – powiedziałem. – Muszę jechać do remizy.

– Walt? Ten strażak? O mój Boże!

Przy jakiejś okazji zabrałem moje dziewczyny – żonę i córkę – by poznały załogę remizy dwadzieścia trzy. Wszyscy troje bardzo polubiliśmy pracujących tam facetów. Stanowili oni bractwo ludzi czynu i za to ich podziwiałem. Lubiłem przebywać w towarzystwie ludzi, którzy robili coś konkretnego. Polepszało to nieco moje samopoczucie – kiepskie samopoczucie gościa, którego życie wypełniało zapisywanie mądrych rzeczy, które mówili i robili inni.

– Powiedz im, że jest mi bardzo przykro – powiedziała moja żona. – Będziemy

się za nich modlić.

Do remizy dojechałem szybko. Drogi były puste, bo nikt nie jechał do pracy.

Z Nevinem i Waltem Harrisem – walczącym z ogniem kaznodzieją baptystów – widziałem się zaledwie dzień wcześniej. Wpadłem do remizy na lunch. Od długiego już czasu – od momentu, gdy opublikowałem artykuł, w którym załoga Nevina krytykowała pracę biura burmistrza za zaniedbywanie straży pożarnej i jej pracowników – miałem zakaz wstępu do wszystkich innych remiz Detroit. Zamiast przyjąć do wiadomości listę zarzutów, jakie postawili miastu strażacy, i próbować jakoś naprawić sytuację, miejscy biurokraci udzielili nagany Harrisowi, Nevinowi i innym facetom, którzy pojawili się w moim tekście; ścignęli ich też do swoich biur, by tam złożyli oficjalne wyjaśnienia.

Wszystko, co wtedy powiedział mi Harris, teraz okazało się prawdą; wszystko, łącznie z jego śmiercią. Kultura kłamstwa, która zrodziła się w biurze burmistrza, rozeszła się dalej na biurka urzędników i w szeregi armii bezimiennych biurokratów w mundurach. Nikt z nich nie chciał przyznać, że żyje wśród niepotrzebnych przeżytków i niebezpiecznych ruin. To dlatego tych strażaków, którzy narzekali na warunki swej pracy, wezwano do biurowców w centrum.

Nic się nie zmieniło. Ich spodnie i buty wciąż świeciły dziurami, w remizie nadal działał alarm domowej roboty i strażacy wciąż sami musieli kupować papier toaletowy. A miasto nieustannie płonęło.

Tak, Walt miał rację, gdy opowiadał o tym, jak ludzie wyprowadzają swoich zmarłych z Detroit. A jego opinia, że wkrótce zginie któryś z chłopaków z jego remizy, okazała się prorocza.

Jako pastor baptystów Duży Walt zawsze wszystkich zaganiał do modlitwy przed żarciem. A faceci z remizy, którzy Walta kochali bardziej niż samego Boga, grzecznie i posłusznie spuszczały oczy i przystawiali na ten obyczaj. Ostatnia modlitwa, jaką poprowadził Walt Harris, była bardzo dobra. Przez czysty przypadek wpadłem do nich na ten lunch. Walt mówił: „Boże, spójrz na tych dobrych ludzi i pozwól im wrócić do ich rodzin”.

Nad nim i nad stołem, przy którym jadali obiady strażacy, wisiał telewizor, w którym akurat leciał jakiś film dla małolatów. Na ekranie widać było grupę cheerleaderek w obcisłych bluzeczkach, które siedziały w licealnej kafeterii i ciągnęły się wzajemnie za włosy.

Zacząłem głośno się śmiać, bo rozbawiła mnie ta absurdalna scena. Harris spojrzał w tym samym kierunku i również wybuchnął śmiechem. Ale za chwilę

kopnął mnie w pizczel pod stołem.

– Zamknij pieprzoną jadaczkę, Charlie.

Zjadłem z nimi smażony kotlet z kurczaka i pojechałem do domu.

Osiemnaście godzin później Walt nie żył.

Cała ulica wokół remizy była zatłoczona, wszędzie stały wozy strażackie i furgonetki. Zaczęła się żałoba, która – jak to bywa we wszelkich bractwach – wyglądała jak irlandzkie czuwanie przy zwłokach, na które zjeżdżają się wszyscy krewni z całej okolicy, by, z minami winowajców, złożyć kondolencje. Na deszczu stało kilku nowicjuszy, których wyznaczono do pilnowania sprzętu; patrzyli, czy nikt nie próbuje włamać się do wozów albo ukraść aluminiowych drabin, za które można było dostać niezłą kasę w skupie złomu.

W środku remizy pachniało dymem cygar i słabą kawą. Byłoby tam zupełnie cicho, gdyby nie wydzierający się Jimmy Montgomery: „Co za kurewsko niepotrzebna strata. I po co? Po co? Pierdolony, zawalony dom. Nie. Nie. Nie”.

Oficer dowodzący – kapitan Steve Kirschner – stał w kącie i wyglądał blado jak śnięta ryba.

Nauczyłem się czegoś o strażakach. Nauczyłem się tego już podczas tych długich, mrocznych dni, jakie nastąpiły po masakrze w World Trade Center 11 września 2001 roku. Brałem udział w tuzinach strażackich pogrzebów i przez rok pisałem tekst o facetach z pierwszej drużyny strażackiej z Brooklynu, którzy tego feralnego poranka stracili połowę swoich kolegów.

Nauczyłem się, że gdy umiera jeden z nich, ze wszystkich innych wyłazi na wierzch ich wewnętrzny Irlandczyk – obojętne, czy rzeczywiście są Irlandczykami, czy też nie. Strażak staje się Irlandczykiem przez pracę, jaką wykonuje. Nawet jeśli jest czarny, a tutaj było wielu czarnych. Remiza jest jednym z niewielu miejsc w Detroit, gdzie istnieje prawdziwa integracja rasowa. Tak więc oddziały strażaków napędzają czarni, ale ich dusze, w samej swojej głębi, zawsze są irlandzkie. A Irlandczycy nie za dobrze znoszą osoby z zewnątrz. Zwłaszcza reporterów. Zwłaszcza gdy chodzi o śmierć. Nawet wtedy, gdy sami zapraszają ich na czuwanie.

W Nowym Jorku nauczyłem się tego, by stanąć gdzieś w kącie i czekać cierpliwie, aż ktoś mnie zauważy. Więc nalałem sobie filiżankę kawy i czekałem. Panowie domu włamali się do szafki zmarłego przyjaciela i już przed dziewiątą

w remizie stał gotowy pomnik ze strażackiego ekwipunku. Ten pomnik będzie tu stał tak długo, jak długo utrzyma się sama remiza; wraz z figurką dalmatyńczyka – maskotki wszystkich amerykańskich strażaków, miecznikiem, amerykańską flagą wiszącą nad zepsutym klozetem i zdjęciami strażaków, którzy już odeszli.

Na to uroczyste miejsce żałoby wszedł nagle złachany facet z sąsiedztwa; miał nierówno wystrzyżony zarost i prosił o drobne. Jeden ze stojących na straży nowicjuszy dał mu parę dolców i kubek kawy, po czym grzecznie poprosił go, by wypierdalał.

Nevin stał i patrzył, w jego ręku dopalało się cygaro Swisher Sweet.

– W porządku? – zapytałem.

– To miejsce mnie przygnębia.

– Taaa, mnie też.

– Wypierdalajmy stąd. Zabiorę cię do domu, w którym zginął Walt.

Zgarnął jeszcze Montgomery’ego, Jeffa Hamma – strażaka-pielęgniarskiego, który usiłował reanimować Harrisa w drodze do szpitala – oraz Verlina Williamsa, którego także przygwoździł spadający dach.

Williams był starym dziwakiem; dużo starszym niż większość facetów w oddziale, bo zanim wrócił do Detroit, służył przez dwadzieścia lat w *marines*. Ponieważ nawet po wielu latach pozostał chłopakiem z sąsiedztwa, w naturalny sposób trafił do najbliższej remizy, gdzie teraz mył i szorował wozy. Kiedyś uważał, że dzięki temu będzie prosto się trzymał, uniknie kłopotów i spełni marzenie swojego życia, jakim była służba w oddziale.

Tak uważał, dopóki do tego oddziału nie trafił.

– Teraz jedyne, czego chcę, to wyjechać na Zachód i spędzić emeryturę jako kowboj – powiedział, gdy wyjeżdżaliśmy z remizy jednym z tutejszych wozów. – Pomyśl tylko. Całe dni ujeżdżać konie i cieszyć się rozciągającą się po horyzont przestrzenią. Daleko stąd. Taaa!

Nie miałem sumienia, by powiedzieć mu, że na Zachodzie nie ma już kowbojów. Niech sobie marzy. Nawet frajerzy zasługują na marzenia.

Gdy wyrząłem przez tylne okno, zobaczyłem, że mamy ogon – za nami jechał reporter z „Free Press” wraz z towarzyszącym mu fotografem, choć nikt ich nie zapraszał.

Minęliśmy ciężki wrak zakładów Packarda – rozległą na dwa i pół kilometra kwadratowego martwą fabrykę. Gniła już od pięćdziesięciu lat, ale wciąż stała, przeobrażając się w niechlubne *memento* naszej wielkiej przeszłości i żalosnej

teraźniejszości. Jej założycielem i pierwszym prezesem był Henry B. Joy – facet, który zbudował pierwszą drogę ekspresową łączącą oba wybrzeża; to od jego nazwiska swoją nazwę wzięła Joy Road.

Teraz po jego imperium pozostała tylko ruina, która przynajmniej raz w miesiącu stawała w ogniu; zazwyczaj przyczyną były palniki złomiarzy. Dokładnie po drugiej stronie ulicy stał rząd domów. A w tych domach dorastały dzieci.

Mijaliśmy kolejne domy z niebieskim brezentem zamiast dachów. Wokół nich ciągnęły się pola zielska, gdzieś tam stały spalone samochody, a wszędzie kręciły się dzieciaki. Cała masa dzieciaków. Słodki Jezu, zbyt wielka masa dzieciaków.

Dom, w którym zginął Walt, niczym się nie różnił od innych domów w tej wschodniej dzielnicy. Był to opuszczony niebiesko-zielony bungalow na East Kirby Street. Do drzwi przyczepiony był plakat, który obiecywał nagrodę za pochwycenie podpalacza, a na stole w jadalni stały wciąż nieotwarte puszki fasoli i kartony soku.

To było Detroit. Człowiek, który był odpowiedzialny za pożar tego domu, wszedł do niego, by poszukać innych ludzi. W tym mieście walące się budynki często bywały zamieszkane; przez narkomanów, bezdomnych, a nawet całe rodziny z dziećmi, które jakoś musiały walczyć o przetrwanie.

Jednak tym razem w domu nie było nikogo.

Gdy strażacy dogaszali resztki pożaru na poddaszu, któryś z nich usłyszał trzask łamiącej się drewnianej belki. I wtedy zawalił się dach.

– On był tuż za mną – powiedział Hamm, pokazując miejsce, w którym zdarzył się wypadek. – Był tuż koło mnie. Nie wiem, dlaczego to ja tu jestem.

Odnalezienie Harrisa zajęło kilka minut, bo nie zabrzmiał jego osobisty alarm. Nie zabrzmiał, bo był zepsuty. Uchodziło to tutaj za normę. Ci, którzy pracowali w skrajnie niebezpiecznych warunkach, nosili ze sobą zepsuty ekwipunek.

Harris nie umarł dlatego, że się spalił albo że śmiertelnie uderzyła go drewniana belka. Umarł, bo się udusił, bo – przywalony ciężkim dachem – nie był w stanie oddychać. Gdyby tylko zadziałał alarm...

Zgon Harrisa stwierdzono jeszcze przed świtem.

– Niech to, kurwa, szlag – bluzgał Nevin, stojąc na wilgotnym poddaszu pod gołym niebem.

Przypomniałem sobie prorocze słowa, jakie sześć miesięcy temu wygłosił

w remizie Walt Harris: „Każdy z naszych chłopaków powie ci, że oddałby wszystko, co ma, by pomóc mieszkańcom tego miasta. Jeśli będzie musiał, odda nawet swoje życie. To mi łamie serce”.

Mężczyźni stali w ciszy. Słuchać było tylko deszcz.

W tym momencie usłyszałem kliknięcie.

Odwrociłem się i spojrzałem za siebie. To był fotograf z „Free Press”, który ukradkiem fotografował całą scenę.

Nazajutrz rano na okładce „Free Press” widniało zdjęcie Verlina Williamsa, niedoszęłego kowboja, odgrywającego swoją ucieczkę przed śmiercią pod zawalonym dachem.

Zabrałem moją córkę na pogrzeb. Zjechali się na niego strażacy z różnych stron: z Chicago, Toledo, Kanady i przedmieść Detroit. Tym, co mnie uderzyło, był główniany stan wyposażenia straży z Detroit; ich potrzaskane i porysowane wozy przykro odcinały się na tle błyszczących cacek z innych miast i przedmieść.

Wygłaszano różne piękne mowy.

– Był bohaterem – powiedział pełniący obowiązki burmistrza Ken Cockrel junior. – Niósł pochodnię heroizmu i nigdy mu tego nie zapomnimy.

To było pieprzenie i wszyscy o tym wiedzieli. Na ulicach rządzą przestępcy. Jezu, nawet samemu Cockrelowi ktoś ukradł z domu rynny, by sprzedać je na złom.

Jednemu z chłopaków z dwudziestej trzeciej remizy, Wesowi Rawlsowi, ukradziono samochód dokładnie poprzedniego wieczora – w czasie gdy brał udział w wieczorze ku czci Walta. To był już trzeci skradziony mu samochód. Do poprzedniej kradzieży doszło, gdy Rawls był na treningu kontroli złości.

Walt został złożony w grobie; w momencie gdy spadały nań grudki ziemi, miasto już zaczynało o nim zapominać.

W następny weekend zadzwonił do mnie jeden ze strażaków.

– Zamierzamy go spalić.

– Co spalić?

– Ten dom.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– O domu, w którym zginął Walt. Bo wciąż stoi.

– Wciąż stoi? – powtórzyłem z niedowierzaniem. W Nowym Jorku, gdy

w jakimś domu ginie strażak, te sprawy załatwia się w ciągu kilku godzin. Po raz kolejny musiałem samemu sobie przypomnieć, że to miejsce nie jest normalne.

– Wszystkich to wali – powiedział strażak. – Powoli robi się tam świątynia. Wiesz, jak w takim miejscu, gdzie zginął nastolatek. Ludzie przynoszą do tego domu pluszowe misie i inne gówna. Nie chcemy, żeby tak było. To nie Disneyland. Chcemy go zburzyć. Chcemy, żeby, kurwa, zniknął. Tak by zrobili w Nowym Jorku.

Przeraził mnie ból, jaki słyszałem w jego głosie. Wściekle racjonalny ból.

– Mamy już wszystko przygotowane. Dom jest podziurawiony. Podlejemy go benzyną i rozprawimy się z nim.

– Nie róbcie tego – powiedziałem. – Nie róbcie. Nie zachowujcie się tak jak oni.

Perspektywa tego, że grupa strażaków – facetów oddanych ratowaniu miasta pustoszonego przez podpalaczy – zamierza przejść na stronę przestępstwa, przerażała mnie. Nawet jeśli mieliby to robić ze słusznego powodu.

– Już nas to jebie – odpowiedział mi. – Koniec końców, wszyscy staniemy się tacy jak oni. Spalimy ten dom.

– W poniedziałek idę do pracy – powiedziałem. – Poczekajcie. Proszę, po prostu chwilę poczekajcie. Zadzwoń w parę miejsc. Spróbuję zmusić ich, by zajęli się wyburzeniem. A jeśli się nie zgodzą, wtedy go spalicie.

– Naprawdę to zrobisz?

– Tak, zajmę się tym. Tylko nie róbcie nic głupiego.

– Okej, zaczekamy.

W poniedziałek pojechałem prosto do remizy. Czarną flagę upamiętniającą Walta poszarpał wiatr. Wisiała smętnie na drzwiach i wyglądała jak stryczek, który czeka na swojego wisielca. W środku nie było nikogo. Chłopcy wyjechali na kolejną akcję.

Pojechałem na Kirby Street. Dom stał i – tak jak mi powiedzieli – cały był udekorowany koszulkami, zwiędłymi już kwiatami i pluszakami; wyglądało to zupełnie tak samo jak jeden z tych rogów ulic, na którym zastrzelono nastolatka. Była tam również tabliczka z napisem: „Człowiek, który podłożył ogień, jest mordercą i tchórzem”.

Rzeczywiście, ponieważ ogień został podłożony celowo, śmierć Walta była morderstwem. A dom, jak stał, tak stał.

Zapukałem do drzwi sąsiadów.

– To już drugi raz, gdy ktoś podpalił ten dom – powiedziała mi kobieta, która

stała w kuchennych drzwiach. Za nią dostrzegłem bawiące się dzieci. – Po raz pierwszy palił się kilka lat temu, ale miasto nigdy nic z tym nie zrobiło. A może gdyby wtedy zareagowali...

Słuchałem jej i równocześnie pisałem w notesie.

– A pan co, policja?

– Reporter.

– Zamierzacie zburzyć ten dom? – zapytał jej mąż, stając w drzwiach obok kobiety.

– W taki czy inny sposób na pewno stąd zniknie.

– Byłbym bardzo wdzięczny. To bardzo złe miejsce do wychowywania dzieci.

– No, mógłbym się założyć, że jedno z najgorszych – przyznałem.

– I wygrałby pan.

Pojechałem do redakcji i zacząłem wydzwaniać. Do wydziału budownictwa, do biura burmistrza, do biura odpowiedzialnego za wyburzanie. Kurwa, zadzwoniłem nawet do Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego. Nikt nie oddzwonił.

Nikt już nie poczuwał się do odpowiedzialności za to miasto.

W końcu dodzwoniłem się do radnej Sheili Cockrel – macochy tymczasowego burmistrza – która o działających w Detroit wewnętrznych mechanizmach wiedziała dużo więcej niż ktokolwiek, kogo spotkałem od czasu powrotu do Michigan.

Proces burzenia budynku jest długi i uciążliwy, najeżony potyczkami z biurokracją i wyciągającymi się zewsząd lepkimi rączkami. Cockrel powiedziała mi, że Detroit otrzymało ostatnio dotację federalną w wysokości dwudziestu trzech milionów dolarów; pieniądze te miały zostać przeznaczone na wyburzanie właśnie takich opuszczonych domów jak ten, w którym zginął Harris. Rada Miejska przegłosowała, by tylko czternaście z tych milionów wydać na wyburzenie, pozostałe zaś dziewięć przekazać duchownym, którzy mieli dobre układy polityczne i którzy mieliby je przeznaczyć na program przesiedlania ludności do bloków.

Powiedziałem jej, że strażacy odgrają się, iż sami spalą ten budynek.

– Proszę im powiedzieć, że dom zniknie najpóźniej jutro o jedenastej rano – odpowiedziała. Nie wiedziałem, jak zamierzała tego dokonać. I mówiąc szczerze, niewiele mnie to obchodziło.

– Właśnie zjednała sobie pani tysiąc nowych przyjaciół – powiedziałem.

Był czwartek. Zimny, słoneczny poranek. Mój samochód nie chciał zapalić, więc pod dom, w którym zginął Harris, podrzuciła mnie żona. Do Detroit przyjechał dziennikarz „Weekly Standard” Matt Labash, który pisał swoją własną autorską elegię na cześć naszego miasta. Umówiliśmy się na spotkanie przy Kirby Street.

Cała okolica była zapchana wozami strażackimi oraz wozami telewizji i motocyklami grupy Axe Men, z którą jeździł Walt. W każdym innym mieście burzenie pojedynczego budynku pozostałoby niezauważone jak igła w stogu siana. Ale w Detroit budziło ogromne zainteresowanie. I słusznie.

Na miejscu była Sheila Cockrel. I szefowie drużyny strażackiej. I sąsiedzi. Na moje zaproszenie pojawił się nawet Adolph Mongo. Wyglądał, jakby czuł się nieswojo; jakby obawiał się, że ktoś go rozpozna i wyskoczy na niego z bronią. No bo w końcu pracował dla Kilpatricka. A jeśli można było być czegokolwiek pewnym, to tego, że na miejscu nie było żadnych fanów byłego burmistrza.

– Nienawidzę tego bajzlu – powiedział Mongo, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie na przywitanie. – Spójrz na to miasto, to jest jedna wielka pierdolona ruina. Boli mnie samo patrzenie na to. Zamierzam, kurwa, stąd wypierdalać.

– Zostań – powiedziałem. – To także twoje miasto.

Patrzyłem na dziennikarzy, którzy robili wywiady z Cockrel, ze strażakami, nawet z Mongiem. Patrzyłem na jedną z lokalnych reporterek, która paradowała wokół z miną, jakby to była dla niej codzienność. Szczerze jej za to nienawidziłem. Gdzie była przez ostatnie dziesięć lat? Gdy zdarzało się coś złego, rzucała się na to jak hiena na padlinę, odgrywając wściekłość i wzywając społeczeństwo do działania. To wszystko było dla mnie tak żałośnie oczywiste; wszak zachowywała się dokładnie tak samo jak ja i każdy inny reporter, jakiego znałem.

Więc przestałem robić notatki. Chciałem tylko patrzeć, jak się to zawali. Przesiąknąć atmosferą tego wydarzenia. Tutaj rzadko zdarzają się zwycięstwa. Ale teraz było dobrze. Jako dziennikarz rzadko doznawałem takiego uczucia. Uczucia, że moja praca może w rzeczywisty sposób komuś się przysłużyć.

Gdy buldożery wgryzły się w dach, ludzie zaczęli krzyczeć. A gdy upadła ostatnia ściana, klaskali. Uścisnąłem dłonie strażaków z dwudziestki trójki, a z Montgomerym, Kirschnerem, Nevinem i Williamsem nawet się trochę poprzytulałem, po czym zacząłem się wycofywać w stronę wynajętego samochodu Labasha.

Gdy tak szedłem, mężczyzna i kobieta, którzy stali na ganku swojego domu po drugiej stronie ulicy, pomachali do mnie.

– Wesołych Świąt – wykrzyknąłem. – Mówiłem wam, że uda nam się rozwalić ten dom.

Mężczyzna zszedł z ganku i podszedł w moją stronę, po czym zatrzymał się przy płocie.

– Dziękuję panu – powiedział. – Dziękuję.

Potem wyciągnął ręce w stronę katastrofy, jaką stanowiła jego dzielnica. Stało tu przynajmniej sześć innych rozpadających się budynków.

– A co z resztą tego wszystkiego?

Wróciłem do gazety i zasiadłem w moim boksie, który otaczały inne, wciąż puste, stanowiska pracy.

Detroit zaczynało mocno ryc mi mózg. Nie umiałem już zachować rutynowego, reporterskiego dystansu. To był mój dom. Miejsce, w którym żyłem. Miejsce, w którym wychowywałem moje dziecko i w którym – w śmierdzącej piwnicy, niecałe sześć tygodni po moim przyjeździe – umarło dziecko mojej siostry. A tego ranka patrzyłem na dorosłych facetów, którzy z upadku głównianego domu cieszyli się tak bardzo, jakby walił się mur berliński.

Wyglądając przez okno, uświadomiłem sobie, że Detroit robiło ze mną coś, czego nie zrobiła dotąd żadna inna historia. Raniło mnie.

Zazwyczaj emocje są dla pisarza czymś dobrym, ponieważ napędzają jego historię, napędzają pisanie; ale gdy już zostaną zapisane, powinny zniknąć. Tym razem zaś emocje nie chciały zniknąć; może poza tymi chwilami, gdy na moment udawało mi się je zatopić w mocnym alkoholu. Jednak gdy ja trzeźwiałem, one wracały. Było mi bardzo zimno i czułem się bardzo mały.

Poza tym te akurat emocje nie tyle mnie przenikały, ile pożerały. Byłem zmęczony. I wreszcie zaczynałem rozumieć, jak naprawdę wygląda miejsce, które można by nazwać Prawdziwą Dziurą. Wcześniej, gdy trafiałem do okropnych miejsc, gdzie panowała rozpacz, zawsze w kieszeni miałem powrotny bilet na samolot. A teraz w takim miejscu żyłem i byłem jego tubylczym, niewolniczym synem.

CZĘŚĆ II

Lód

CZŁOWIEK LODU

W schronisku, z tyłu sali, w pobliżu toalety siedziało na krzesłach dwóch mężczyzn. Grali w kości, rzucając je po podłodze między stopami. Na szerokim ekranie telewizora leciały wiadomości. Tym razem telewizyjna gadka dotyczyła pieniędzy i tego, że teraz nikt ich już nie ma. Na zewnątrz hulał arktyczny wiatr.

Schronisko dla bezdomnych mieści się w samym środku bebeczów biednego getta w centrum miasta, w dzielnicy Cass Corridor. Jest zapchane po brzegi i podzielone na dwa pomieszczenia – w jednym mieszkają mężczyźni, a w drugim kobiety. Całość śmierdzi zmęczonymi ciałami.

W każdym dowolnie wybranym momencie średnio jedna na trzydzieści pięć osób żyjących w Detroit nie ma gdzie położyć się spać. Problem jest tak duży, a łóżek tak mało, że w schroniskach podobnych do tego, w którym teraz byłem, dostać można tylko krzesło. I to krzesło należy do ciebie jedynie tak długo, jak długo na nim siedzisz. Wyjdź na chwilę na papierosa, a każdy będzie mógł je przejąć. W Detroit uchodzi to za normę.

Siedziałem tu przez godzinę, spod wełnianej czapki przyglądając się grze w kości i zajmując krzesło, które powinno trafić się komuś innemu. Komuś, kto w tej chwili najpewniej trząsł się z zimna, siedząc w jakiejś walącej się budzie, będącej kiedyś jego domem.

Pisałem dla „Detroit News” historię o pogodzie.

Faceci, na których patrzyłem, grali o papierosy. Jedna z kości odbiła się od nogi krzesła, a hazardzista ubrany w parkę zaczął gwałtownie protestować, narzekając na niedbałość drugiego gracza.

– Nie widziałem, co wypadło – warknął. – Za szybko podniosłeś tę pieprzoną kostkę.

– Szóstka! – odszczeknął facet w wełnianym swetrze, chwytając szybko wygranego papierosa. Wybuchła kłótnia. Poprzewracali krzesła. Obu mężczyzn wystawiono na kęsający mróz, a dwóch innych, którzy przed chwilą czaili się przy ścianie, natychmiast zajęło zwolnione miejsca.

Zabrzęczała moja komórka. Dzwonił Frankie, mój brat. Powiedział, że jego przyjaciel znalazł martwego człowieka w szybie windy w opuszczonym budynku

w południowej części miasta.

– Cały jest pokryty lodem, wystają tylko nogi. Jak patyczki z lodów – powiedział Frankie.

Przyjaciół mojego brata był jednym z tych dziwaków z Detroit, którzy sami siebie nazywają miejskimi odkrywcami. On i podobni jemu dorośli faceci tworzą grupę, której wielką frajdę sprawia włączanie się po pozostałościach budynków, robienie im zdjęć i zbieranie skrawków różnych różności, z których tworzą dziwaczne dzieła sztuki. W innych miastach taką funkcję spełniają turyści.

Frankie wyjaśnił mi, że odkrywcy rozgrywali mecz hokeja na lodowisku, które utworzyło się w piwnicy opuszczonego magazynu.

– Dlaczego twój przyjaciel nie zadzwonił po policję? – zapytałem.

– Powiedział, że wszedł na ten teren nielegalnie i nie chciał mieć kłopotów.

– Nie chciał mieć kłopotów? Wszedł nielegalnie? Naprawdę?

– Tak mi powiedział.

Mężczyzna pod lodem. Niezły smaczek do historii, pomyślał mój wewnętrzny reporter. Umówiłem się z moim bratem na spotkanie, by upewnić się, że ten zamrożony facet naprawdę istnieje. Bo nigdy nic nie wiadomo. Równie dobrze mógł to być tylko manekin. Gdy wychodziłem ze schroniska, odwróciłem się i jeszcze raz spojrzałem. Moje miejsce zajął mężczyzna ze stopami owiniętymi w plastikowe torby na zakupy.

Wsiadłem w starego służbowego chevy neona, który należał do działu miejskiego naszej gazety. Włączyłem silnik i czekałem, aż samochód się rozgrzeje.

Wrrr... wrrr... wrrr. Silnik warczał jak popsuta pralka.

W okno zapukał hazardzista w parce. Uchyliłem szybę.

– Jesteś gliniarzem? – zapytał.

– Nie.

– To daj dolara.

– I tak mnie o niego prosisz?

– Proszę, dasz mi dolara? – powiedział, wydychając kłęb pary.

Dałem mu pięćdziesiąt centów, co obu nam pozwoliło zachować jakieś resztki godności.

Zatrzymałem się w redakcji „Detroit News”, by zabrać mojego partnera, fotografa Maxa Ortiza. Jeśli martwy mężczyzna okaże się prawdziwy, to będziemy

potrzebować jego zdjęć. W końcu jesteśmy reporterami. Handlujemy ostrym, mrocznym towarem. Nasza publiczność ma rację, gdy nami pogardza, ale wiemy też, że nie oprze się temu, by obejrzyć każdy detal fotki zamrożonego faceta. George Hunter, reporter kryminalny z Detroit, znany ze świetnych – krótkich i celnych – podsumowań, ujął to kiedyś tak: „Ludzie nienawidzą też sprzedawców używanych samochodów. A jednak wciąż kupują używane samochody”.

Tak więc wraz z Ortizem pojechaliśmy do magazynu, by poszukać tajemniczego martwego mężczyzny.

Wrrr... wrrrr... wrrr... – gadał samochód.

Budynek znany był jako Roosevelt Warehouse – Magazyn Roosevelta – i należał kiedyś do instytucji szkolnictwa publicznego Detroit, służąc za skład podręczników i innych materiałów szkolnych. Wnętrze spaliło się już lata temu, co wywołało skandal, ponieważ wraz z nim spłonęły tysiące książek i cała masa piłek, kredek, papieru, nożyczek i tym podobnych drobiazgów. Wszystkie te zapasy leżały nieużywane, choć młodzież szkolna Detroit już wtedy należała do najbiedniejszych w kraju.

A dokładnie dzisiejszego ranka wystosowano apel do rodziców uczniów. Poproszono ich o to, by dzieci przynosiły ze sobą do szkoły własny papier toaletowy.

W magazynie był już mój brat ze swoim przyjacielem – miejskim odkrywcą, który – jak się okazało – jeszcze niedawno jeździł na łyżwach po ciele martwego człowieka. Byłem zaskoczony, że zastałem tu również jego. Przecież podobno obawiał się, że może mieć nieprzyjemności związane z nielegalnym wejściem na teren magazynu. Odkrywca niewiele mi powiedział; właściwie tylko tyle, że martwy facet to była „pieprzona jazda”. Powiedział mi też – ale to akurat nie zabrzmiało zbyt przekonująco – że od paru dni, odkąd zobaczył wystające spod lodu stopy, ma problemy ze snem. I że chce, bym zadzwonił po policję.

Pokazał mi ciało. W samym środku strefy załadunku ziała dziura szybu windy. A na jej dnie wyraźnie można było dostrzec parę butów; i nic więcej. Wydawało się więc, że jedyne, co tu mam na pewno, to odkrywcę z wybujałą wyobraźnią oraz parę znoszonych tenisówek z przeceny. Po walących się schodach zeszliśmy na dół. Chcieliśmy się przyjrzeć dokładniej.

Przez lata na podłodze piwnicy zgromadziło się tak wiele (teraz zamrożonej) deszczówki, że musieliśmy się pochylić, by przejść przez wyjście ewakuacyjne, które normalnie powinno mieć ponad dwa metry wysokości. Szliśmy po lodzie

małymi krokami i wkrótce minęliśmy prowizoryczne lodowisko do hokeja, oświetlone światłem wpadającym przez zakratowane okna piwnicy, które teraz znajdowały się na wysokości naszych bioder.

Piwnica była ciemna i tym bardziej upiorna, że promienie słoneczne przeświecały przez wsporniki na południowej ścianie. Prześladował mnie strach, że zapadniemy się pod lód i nikt nas tu nie znajdzie. Byłem tak zaabsorbowany tą myślą, że nie zauważyłem, jak zaplątałem się szyją w jakiś zwisający z sufitu kabel i potknąłem się.

– Nic ci się nie stało? – zapytał mój brat.

– Kurna – odpowiedziałem.

– To tutaj – usłyszałem głos odkrywcy.

Jakoś się zebrałem i poszedłem dalej. W świetle wpadającym przez szyb windy widziałem teraz nie tylko buty, ale również wystające z nich golenie. Trąciłem je gumką mojego ołówka. Zimą zawsze robię notatki ołówkiem. Długopisy lubią zamarzać – tak samo jak psy i ludzie, jeśli pozostaną na mrozie odpowiednio długo.

To nie był manekin. To rzeczywiście był mężczyzna wmarznięty w tafłę lodu. Na jego goleniach były włosy. Jego skarpetki były niesamowicie białe, sznurówki nowiutkie, a podeszwa lewego buta starta na pięcie. Co dziwne, o stopy oparta była poduszka, która wpadła do szybu wraz z innymi szpargałami i śmieciami. Pod powierzchnią lodu dało się rozpoznać rąbek beżowej kurtki i zarys pleców mężczyzny. A co do reszty ciała – była zupełnie niewidoczna, jakby zniknęła.

– Jezu – powiedział Ortiz.

– No – mruknął mój brat. – A najdziwniejsze jest to, że wciąż ma buty.

Frankie przyszedł z własnym aparatem, cyfrówką z gigantycznym obiektywem. Odkąd skończył szkołę artystyczną w klasie fotografii, nieustannie próbował zrobić karierę w dziedzinie dokumentu społecznego, jak lubił to nazywać.

Jeszcze zanim Ortiz wziął się do roboty, Frankie już zdążył strzelić parę ujęć zamarzniętego mężczyzny. Ale później popatrzył na nie, krytycznie marszcząc brwi, i skasował.

– To nie były zdjęcia dla mnie – powiedział mi później, gdy po publikacji historia zamarzniętego faceta stawała się już międzynarodową sensacją. – Co miałbym z nimi zrobić? – wyjaśniał dalej. – Powiesić na ścianie? Proszę cię.

Zadzwoniłem do paru znajomych gliniarzy z wydziału zabójstw i zostawiłem im

wiadomości o znalezionym ciele. Nie dzwoniłem pod 911, bo nie wydawało mi się, by miał to być, w jakimkolwiek sensie, nagły wypadek. Nie było krwi. Facet się nigdzie nie wybierał. Mógł zaczekać. Wróciliśmy do redakcji.

Wrrr... wrrrr... wrrr... – warczał znów firmowy samochód.

Parę minut po tym, jak dojechaliśmy do biura, zadzwonił mój telefon. To oddzwaniał jeden z gliniarzy.

– Ej, zadzwoń po prostu na numer alarmowy – powiedział. W jego głosie słyszałem zmęczenie i obojętność. – W końcu i tak nas wezwą.

Zadzwoniłem na 911. Odebrała kobieta. Powoli wyjaśniłem, o co chodzi.

– Gdzie znajduje się ten budynek? – zapytała. Otworzyłem internetową mapę na komputerze fotoedytora. Nad zdjęciem stóp zamarznętego faceta zebrała się już cała grupa redaktorów i fotografów „News”.

– Myślisz, że samo to wystarczy, by zrobić historię? – zapytałem jedną z bardziej pomysłowych koleżanek.

– Tak myślę – odpowiedziała. – Bo to ważna historia.

Minęło dwadzieścia minut i centrum alarmowe do mnie oddzwoniło. Tym razem na linii był mężczyzna.

– Gdzie jest ten budynek?

Jeszcze raz podałem lokalizację magazynu.

Odparkł, że wyśle tam ekipę.

Gary Miles, zastępca redaktora naczelnego „News”, powiedział, bym wstrzymał się z pisanem tekstu do momentu, gdy władze wydostaną ciało z magazynu. Bo może poznamy przyczynę śmierci i inne takie szczegóły. Tak więc pojechaliśmy z Ortizem z powrotem do magazynu i czekaliśmy tam aż do zachodu słońca. Nie doczekaliśmy się żadnego radiowozu ani straży pożarnej. Pojechaliśmy do domu, żeby zjeść ciepłą kolację.

Nazajutrz rano znów wróciliśmy z Ortizem na miejsce, by zobaczyć, jak potoczyły się losy naszego zamarznętego faceta, i zebrać jakieś nowe szczegóły do artykułu, który mieliśmy razem stworzyć. Niewiarygodne, ale ciało wciąż tam było. I powoli stawało się materiałem na drugą samodzielną historię. Dwie tkwiące w lodzie stopy i nikogo, kto by się nimi przejął.

Ten magazyn regularnie odwiedzał cały zastęp bezdomnych. Próbowali się tu nieco ogrzać, czekając na otwarcie schroniska przy Michigan Avenue. Tam przynajmniej niektórzy z nich mogli liczyć na kawałek podłogi do spania. Jeden z bezdomnych mężczyzn, który składał się niemal wyłącznie z kości i wąsów, leżał

pod stertą brudnych koców parę metrów od szybu windy.

– Znasz tego gościa z dołu? – zapytałem go.

– Nie jestem w stanie rozpoznać go po butach – odpowiedział.

– Dzwoniłeś na policję?

– Nie, myślałem, że zrobi to ktoś inny – przyznał. – Tutaj przychodzi wielu ludzi z aparatami i komórkami.

– On leży tu przynajmniej od zeszłego miesiąca – wtrącił się jego kolega, który pojawił się nagle, niosąc ze sobą jakieś szczapy drewna, by rozpaść ogień pod beczką na ropę. – Myślałem, że to manekin... A poza tym – dodał – wolałbym raczej mieszkać tuż obok trupa, niż bawić się w „chodzi lisek koło drogi”, walcząc o krzesło w schronisku.

A po chwili zapytał: „Dałbyś parę dolców?”.

Ortiz zrobił jeszcze kilka zdjęć, tym razem oświetlając całą scenę lampą błyskową. Wróciliśmy do redakcji i jeszcze dwa razy zadzwoniliśmy na numer alarmowy. Za pierwszym razem się rozłączyli. Za drugim razem porozmawiali z nami i dopytali o potrzebne szczegóły. A potem znów do mnie oddzwonili. Tym razem zaproponowałem, że sam im pokażę, gdzie leży martwy mężczyzna.

I znowu wyjechaliśmy z Ortizem. Strażacy stali nie przy tym budynku, co trzeba, bo po drugiej stronie pustej działki. Skierowaliśmy ich ku szybowi windy.

Po paru minutach z szybu wyłonił się jeden z nich.

– Mój Boże, za każdym razem, gdy mi się wydaje, że widziałem już wszystko, zdarza się coś takiego jak to – powiedział kapitan oddziału. Strażacy zaczęli wycinać ciało z lodu za pomocą pił łańcuchowych.

Po chwili na miejscu zjawił się sierżant policji i poprosił mnie do swojego samochodu, by zapisać sobie kilka informacji. Jego służbowy chevy na przodzie, po prawej stronie, był mocno wgnieciony. Na liczniku było sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów. Część podłogi zardzewiała i odpadła, więc by nacisnąć pedał gazu, sierżant musiał brodzić w wodzie stopami w cienkich butach. Trochę pogadaliśmy o pierdołach. Zapytałem, jak leci w robocie.

– Ujmę to tak: mam pewność, że nie zabraknie mi pracy – powiedział z kamienną twarzą. – Nikt z nich nie piśnie ani jednego marnego słowa – mówił dalej o świadkach morderstw. – A my musimy być dla nich mili. Taaa, tak to działa. W tym mieście panuje kultura ciszy i śmierci.

Wyjaśnił mi, w jaki sposób próbował doprowadzić do tego, by jedna ze spraw o zabójstwo została zakwalifikowana jako samobójstwo. Bo przecież było możliwe, że przykuty do łóżka inwalida sam wsadził sobie do ust strzelbę i się zastrzelił.

– Jeśli w odpowiedni sposób spojrzysz na rozbryzgi krwi, to jest to możliwe – powiedział z nadzieją w głosie.

– No, jest to sposób na zamknięcie sprawy – odpowiedziałem, życząc mu szczęścia.

Na miejscu zaczęły pojawiać się wozy telewizyjne, które prowadziły nasłuch policyjnego radia. Wysoki, brytyjski operator kamery był w stanie tylko się śmiać z zainteresowania, jakim cieszył się teraz zamarznięty mężczyzna.

– Żywi ludzie w tym mieście nie mogą spodziewać się, że przyjedzie po nich karetka. A Dziadek Mróz leży tu na dole i pomaga mu połowa oddziału straży pożarnej. Oto siła mediów, kolego.

Święta prawda. Czas reakcji na wezwanie policji wynosi w Detroit mniej więcej pół godziny. Z karetkami jest tylko trochę lepiej.

Zbliżała się już północ, gdy zamarzniętego mężczyznę udało się wreszcie wydobyć. Położono go w strefie załadunku, gdzie cierpliwie czekał na swoją karetkę, którą w tym przypadku miała być furgonetka koronera.

Gdy wreszcie samochód przyjechał, z środka wyszedł nie kto inny, jak mój stary kumpel Mike Thomas, rapujący zbieracz zwłok. Kilka lat wcześniej opisałem Thomasa w „Timesie” – był jednym z tych luzerów, którymi się wtedy interesowałem. Zaowocowało to zwolnieniem go z pracy na polecenie Rady Miejskiej za przyczynianie się do budowania kiepskiego wizerunku miasta.

Napisałem wtedy, że był jednym z tych niewielu mieszkańców Detroit, którzy w ogóle jakoś pracowali. Thomas zarabiał czternaście dolarów za jedno ciało. W zeznaniu podatkowym podał czternaście tysięcy przychodu; w rozliczeniu tym nie uwzględnił pieniędzy, które zarabiał na zwłokach zwierząt omyłkowo wziętych za szczątki ludzkie. Takie pomyłki zdarzają się częściej, niż można by się spodziewać. Za jedno zwierzę brał dziewięć dolarów.

Tak więc różnica pomiędzy martwym psem a martwym człowiekiem wynosiła pięć dolarów, czyli dokładnie tyle samo, ile zwykł płacić za dzień pracy Henry Ford.

– Hej, Mike! – przywitałem się. – Myślałem, że przeze mnie cię zwolnili.

– Mnie się nie można pozbyć, synu. Jestem jak upierdliwy karaluch.

Wyglądało na to, że nieźle się miewa. Powiedział, że niedawno wyprowadził się z getta, ożenił z matką swojego dziecka i wydał kilka nowych piosenek. Zaprosił mnie na swój występ i odjechał z ciałem.

Następnego ranka historia faceta z szybu wyszła do ludzi – materiał zajmował większość strony i górowało nad nim zdjęcie wystających z lodu stóp. Tytuł brzmiał: *Zamarznięty przez obojętność* i był wynikiem śmiałej decyzji redaktora Jona Wolmana. Martwy mężczyzna jako dodatek do porannych płatków śniadaniowych nie zdarza się zbyt często.

Lead tekstu głosił: „Nasze miasto już od jakiegoś czasu bywa mało przyjazne. Ale seria zdarzeń z kilku ostatnich, wyjątkowo mroźnych dni każe się zastanowić nad tym, jak bardzo oziębło serce naszej społeczności”.

Tego ranka do ludzi wyszło coś więcej niż tylko ta historia. Pewien facet, który do niedawna jeszcze pracował jako menedżer średniego szczebla w General Motors, a ostatnio został z firmy zwolniony, wyskoczył z okna swojego apartamentu w jednym z wieżowców w centrum, gdy do jego drzwi zapukał komornik z nakazem eksmisji.

Tego samego ranka biedacy z naszego miasta dostali cztery tysiące zimowych czapek. Rozdawał je Matty Moroun – miliarder, magnat transportu samochodowego i właściciel mostu Ambassador Bridge, łączącego Detroit z Kanadą. Tak się złożyło, że był on również właścicielem walącego się magazynu, w którym znaleziono zamarzniętego mężczyznę.

To rozdawnictwo darmowych czapek przez Morouna – największego posiadacza zniszczonych budynków w Detroit – było częścią akcji promocyjnej, którą można by nazwać: „Patrzcie, jak Matty się troszczy”.

Autorem pomysłu był Adolph Mongo, który pracował dla Morouna jako „jego strateg w Detroit”. Jak mi powiedział Mongo, to że akcja z darmowymi czapkami odbyła się tego samego dnia co odnalezienie zamarzniętego mężczyzny, to był czysty zbieg okoliczności.

Później pytałem Morouna, dlaczego po prostu nie wyburzył tego starego składu podręczników. Taki gest lepiej by wpłynął na jego kiepski wizerunek bogatego-gościa-od-slumsów niż wyłożenie ciężarówki czapek.

– A dlaczego miałbym to zrobić? To ja rozdaję tutaj karty – odpowiedział zdecydowanie.

Moroun był tak bogaty, a miasto tak zepsute, że – dopóki tylko miał pieniądze na prawników – jasne było, że nikt nie będzie od niego oczekiwał jakichś realnych działań naprawczych. A on dobrze o tym wiedział.

Czas, jaki Moroun wybrał sobie na swój wielki pokaz z czapkami, był równie niefortunnie dobrany jak same czapki. Bo to nie były zwykłe wełniane czapki zimowe, ale raczej narciarskie kominiarki z maską. Takie, jakich używają uzbrojeni faceci, gdy napadają na sklep monopolowy.

Za pośrednictwem internetu zdjęcie zamrożonego mężczyzny rozeszło się po całym świecie, a komentujący je ludzie zastanawiali się, gdzie, do cholery, znajduje się to całe Detroit.

Subwencje, odmowy spłaty zadłużenia, międzynarodowe porozumienia handlowe. Te rzeczy były zbyt nieokreślone i zbyt złożone, by dało się wokół nich skupić na dłużej myśli. Ale człowiek w szybie windy to co innego. Każdy był w stanie to pojąć. „Czy to już anarchia?” – pytała mnie przez telefon reporterka z Barcelony.

Odpowiedziałem, że gdy nie ma się pieniędzy, zdarzają się naprawdę zabawne rzeczy.

Policjny oficjale spędzili cały dzień na tłumaczeniu, dlaczego wyciągnięcie stamtąd mężczyzny wymagało aż dwóch dni i pięciu telefonów z wezwaniami. Niektórzy czarni dzwonili do radia i narzekali, że „News” – czyli w tym wypadku ja – to rasiści, bo gdyby chodziło tu o martwą białą dziewczynę z eleganckich przedmieść, to zdjęcie nigdy nie zostałoby opublikowane.

A członkowie małego białego „środowiska artystycznego” Detroit narzekali, że skupiam się na tym, co negatywne w mieście, w którym dzieje się wszak tak wiele dobrego. „No bo co z galeriami, muzeami, imprezami muzycznymi?” – pytali w e-mailach i na blogach. „Co z tymi wszystkimi dobrymi rzeczami?”

Tak, to była prawda. W Detroit jest cała masa dobrych i fajnych ludzi. Dziesiątki tysięcy. Setki tysięcy. Są tu prawnicy, lekarze, kierownicy przedsiębiorstw samochodowych, którzy mają ładne domy i dobrą pracę; jest społeczność emerytów, którzy próbują robić coś dobrego; są nauczyciele, którzy w klasy szkolne ładują własne pieniądze; są ludzie, którzy koszą trawniki zmarłych

sąsiadów, i rodzice, którzy wychowują ich osierocone dzieci, oraz pastorzy, którzy pomagają w zbieraniu pieniędzy na pogrzeby.

Ale takie sprawy nie powinny być pokazywane jako gorące wiadomości. Takie sprawy powinny być czymś normalnym. Bo gdy to, co normalne, staje się wyjątkową wiadomością, wtedy nienormalne staje się normą. A gdy tak się dzieje, to właściwie jest już koniec.

Nie rozumiałem, co wspólnego miałyby mieć ze sobą galerie i martwy mężczyzna. Pisanie o takim gównie w tak gównianym mieście jak nasze byłoby podobne do pisanie o prognozach pogody dla surferów w reportażu ze Strefy Gazy.

Miasto odwróciło się ode mnie plecami. Tak jakbym to ja zrzucił tego faceta do szybu. „Free Press” dopytywało się, dlaczego sam nie poczekałem na przyjazd policji tej pierwszej nocy, sugerując, że sztucznie pompuję sensację, przekręcałem fakty i nie pozwoliłem zabrać ciała, aby później mieć dobrą historię.

Dostałem wiadomość telefoniczną od kogoś, kto – jak twierdził – był jednym z hokeistów z piwnicy. Zaoferował się, że chętnie skopie mi dupę, bo kanał Showtime chciał zrobić program o ludziach, którzy grają w hokeja w opuszczonym budynku; a potem zjawiłem się ja i zniszczyłem te plany historią o martwym mężczyźnie. Facet, który zostawił mi tę wiadomość, nie podał swojego nazwiska. Z kolei rzecznik Showtime powiedział mi, że w ogóle nigdy nie słyszał o miejskich odkrywcach i ich meczach hokeja.

Co jeszcze dziwniejsze, otrzymałem e-mail od mężczyzny, który także brał udział w owej rozgrywce hokeja i twierdził, że to on pierwszy zobaczył tamtego ranka ciało. Napisał, że – czytając mój artykuł – poczuł się urażony tym, że insynuuję, iż jest człowiekiem bez serca, ponieważ nie przejął się martwym mężczyzną.

– To odkrycie było dla mnie osobistym dylematem moralnym – pisał. – Tak, to był martwy człowiek. Niemniej jednak – jako że piwnica zamarzła już w listopadzie – jasne było, że przebywa tam przynajmniej od trzech miesięcy. I, jak pan słusznie zauważył, ten budynek w zimie daje schronienie wielu bezdomnym. Podczas gdy inni mają w dupie to, czy ci ludzie znajdą sobie jakieś schronienie, ja zastanawiam się, czy po tym, co się stało, policja wyrzuci wszystkich bezdomnych z tego magazynu. A co jeśli któryś z nich zamarźnie?

Co do bezdomnych, to po części miał rację. Gdy do gry weszła policja, rzeczywiście wyrzucono ich z magazynu. Ale w konsekwencji tych działań nikt nie

zamarzł. Bezdomni po prostu przeprowadzili się do stojącego tuż obok innego opuszczonego budynku; do starego hotelu.

KOBIETA W OGNIU

Epizod z zamarznętym mężczyzną przywołał we mnie wspomnienie, którego już od dekady usilnie próbowałem się pozbyć. Wspomnienie pewnej kobiety, którą społeczeństwo uznało za pozbawioną jakiegokolwiek wartości: mojej siostry.

Nicole umarła po nocy imprezowania w barze Flame – Płomień – ulubionej knajpie prostytutek i narkomanów, która mieściła się w zachodniej części Detroit, w Brightmoor.

Moja siostra zajmowała się w życiu wieloma rzeczami. Wolałbym tego nie mówić, ale taka była prawda: między innymi bywała pracującą na ulicy prostytutką. No więc macie.

W raporcie policyjnym napisano, że Nicole poszła z obcym mężczyzną do jego furgonetki. Facet był nabombiony alkoholem i Bóg wie czym jeszcze. Jechał osiedlową drogą z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Ulica była ślepa i kończyła się pustą działką z garażem.

Moja siostra była dzika. I jeśli dobrze pamiętam jej sposób myślenia o życiu, mogła świadomie zdecydować o tym, że nie umrze, tkwiąc bezradnie na siedzeniu pasażera i patrząc, jak samochód rozwała się o ceglana ścianę. Wyskoczyła. Prosto na drzewo.

Furgonetka jakoś się zatrzymała, wjeżdżając do garażu przez jego tylną ścianę. Mężczyzna, który siedział w samochodzie, przeżył.

Na pogrzeb przyszedł Wyjęci Spod Prawa – członkowie gangu motocyklowego; usiedli z tyłu kościoła, mieli czerwone oczy i smarkali w rękawy skórzanych kurtek. Kupili wielką podkowę z róż; taką samą, jaką zakłada się na szyję zwycięzcom gonitw konnych Kentucky Derby. Do podkowy przyczepili złote litery układające się w imię mojej siostry.

NICOLE.

Stypa odbywała się na podwórku domu mojej matki. I była dziwaczna. Byli na niej motocykliści, kobiety o nieobecnych spojrzeniach spojrzeniach, poprawni katolicy oraz trzech dorosłych facetów, którzy popłakiwali, opowiadając mi – każdy z osobna, po kolei – o tym, jak bardzo kochali moją siostrę i jak wielkie mieli plany co do jej poślubienia.

Przedstawiłem sobie nawzajem te „trojaczki” i patrzyłem, jak się przytulają i płaczą nad swoim wspólnym losem. Nie chowali wobec siebie żadnej urazy.

Boże, jak ja kochałem moją siostrę. Jaka to była dla mnie strata. To była kobieta w ogniu; żyła cała rozpalona, aż w końcu jej płomień się wypalił. Trzech oblubieńców. Gang motocyklowy. Kartoteka policyjna i cała wyjąca za nią banda wariatów. Czułem się dumny z tego, że byłem jej bratem.

NICOLE.

Jak można się było spodziewać, matkę zjadało poczucie winy i straty. Parę tygodni po pogrzebie poprosiła mnie i Frankiego, abyśmy zabrali ją do Brightmoor; chciała położyć kwiaty w miejscu, w którym zginęła Nicole. A potem może wstąpić do Flame. Odtworzyć ostatnie kroki Nicky, jak gdyby dzięki temu można było sobie cokolwiek wytłumaczyć; jak gdyby dzięki temu można było zrozumieć, w którym momencie to wszystko zaczęło się toczyć tak fatalnie.

Tak więc pojechaliśmy pod drzewo na pustej działce. Matka położyła na nim dłoń i zaczęła szlochać. Podniosła z ziemi suchy liść i włożyła go do kieszeni płaszcza z szopa. I pojechaliśmy do Flame.

To było typowe dla Detroit miejsce: zbudowane z pustaków i obłożone tanim sidingiem; w środku była szafa grająca i garstka nieszczęśników o twarzach koloru błota. Usiedliśmy na końcu baru, w pobliżu drzwi. Błotniste twarze tępo nam się przyglądały. Z szafy grał Lynyrd Skynyrd.

Wziąłem whiskey, mój brat zamówił Southern Comfort, a mama kawę z amaretto. Tyle że nie mieli kawy ani amaretto. Z godnością poprawiła swój płaszcz z szopa i uśmiechnęła się.

– To poproszę Jacka Danielsa. To macie? Okej, a więc Jack Daniels z lodem. Dziękuję.

Podeszła do niej jedna z prostytutek. Nosila grubą warstwę makijażu i choć był środek zimy, tanią sukienkę na cienkich ramiączkach.

– Czy ja cię znam? – szczebknęła dziwka, stając w szerokim rozkroku i z rękami na biodrach, jakby szykowała się do bójk. Mój brat sapnął i zerknął na mnie szybko. Ja z kolei patrzyłem na żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej, którzy siedzieli przy drugim końcu baru.

Matka spojrzała na kobietę z ciepłem i smutkiem.

– Wydaje mi się, że nie. Nie, na pewno nie.

– Zgubiłaś się?

– Nie, kochanie. Kiedyś przychodziła tu moja córka. Chciałam zobaczyć

miejsce, w którym bywała.

– Kim jest twoja córka?

– Miała na imię Nicole.

– Och – powiedziała dziewczyna, spuszczać nagle oczy. – Bardzo mi przykro.

– Dziękuję – odparła matka i wzięła łyk whiskey. – Znałaś ją?

– Tak – powiedziała dziewczyna i wróciła na swoje miejsce, gdzie natychmiast zaczęła ustalać coś szeptem ze swoimi towarzyszami.

Nie musieliśmy płacić za drinki.

Byłem niemal wszędzie na tej planecie: w strefach wojny, na pustyniach, za kołem podbiegunowym, w autobusach wyborczych, w melinach opiumistów; byłem nawet w Albuquerque. Ale już nigdy nie wróciłem do dzielnicy Detroit zwanej Brightmoor. Bałem się jej i byłem gotów nadkładać całe kilometry, byle tylko jej uniknąć. Wspomnienia były zbyt bolesne.

Moja matka inaczej radziła sobie z bólem. Mimo że była zagorzałą katoliczką, oddała zwłoki córki do kremacji. Nie chciała pozwolić Nicky odejść, ale nie wiedziała, co zrobić; nie rozsypała jej na wietrze, ale schowała urnę z prochami do szafy i czekała na natchnienie. W końcu natchnienie przyszło.

Gdy zatrzymałem się przy starym domu na Joy Road, zobaczyłem mojego najmłodszego brata Billy'ego. Siedział na kamieniu na podwórzu przed domem i płakał. Głowę trzymał w zagłębieniu łokcia, który z kolei oparł na pniaku starego klonu. Drzewo uszło wiele lat temu przez jakieś choróbko.

Ruch na ulicy był niezwykle mały jak na tę porę dnia w środku tygodnia. Gdy byłem dzieciakiem, późnym popołudniem zawsze robił się tu wielki korek, bo była to pora powrotów z pracy. Ale co ja mogłem wiedzieć? Od lat nie było mnie w domu.

Mój brat Frankie powiedział mi, że zakłady Forda na końcu naszej ulicy przeszły na system pracy na jedną zmianę.

– Niedługo nie zostanie tu już nawet psie gówno – skomentował ten fakt, patrząc z zatroskaną miną na Billy'ego przez chmurę dymu ze swego mentola.

Billy zadrżał, złapał oddech i znów zaczął jęczeć. Jako chłopiec zawsze był bardzo delikatny. Gdy z rosnącej nieopodal frontowych drzwi jodły wypadło pisklę, Billy zabrał je do domu i opiekował się nim. Ptak zmarł w nocy i już wczesnym rankiem przez okno na piętrze przyglądałem się temu, jak mój brat

wyprowadza mu prywatny pogrzeb, na którym nie zabrakło łez i krzyża.

Teraz płakał nieprzerwanie, rzęsiście jak bóbr. Miałem ochotę kopnąć go w żebra i powiedzieć, by się, kurwa, zamknął. Bo zasmucał własne dzieci. Ale zamiast tego wziąłem butelkę taniej wódki, którą trzymał między nogami, i wyrzuciłem ją w krzaki.

– Przestań – powiedziałem. – Ona nie żyje.

Matka siedziała na ganku, blada i chuda jak kościotrup, a między jej palcami dopalał się papieros. Jej mąż chodził wte i wewte, raz po raz wykrzykując: „A niech to, kurwa, szlag trafi!”.

Mój ojczym – to znaczy mój drugi ojczym – był na tyle stary, że mógłby być moim dziadkiem. Do naszej rodziny wszedł późno. Wywodził się z innych czasów, z tego mitycznego pokolenia ludzi, którzy ciężko pracowali, walczyli na sprawiedliwej wojnie, płacili swoje długi i mieli szacunek do kilku podstawowych zasad. Było to pokolenie, które nie znało narkotyków, rozwodów i rozwiązłości. A przynajmniej on tak twierdził. Nigdy nie miał własnych dzieci, ale – jeśli liczyć moją siostrzenicę Ashley, córkę Nicole, którą wychowywał praktycznie od momentu, gdy była niemowlęciem – wzenił się w szóstkę dzieciaków.

A teraz Ashley leżała w trumnie w domu pogrzebowym, który mieścił się na Joy Road, dosłownie w domu obok. Zmarła wskutek przedawkowania heroiny. Umarła w piwnicy domu swoich drugich dziadków, który stał przy drodze międzystanowej. W tym czasie całkiem niedaleko spał jej ojciec.

Spojrzałem na zniszczoną twarz mojego ojczyma i pomyślałem sobie, że w końcu przeżył właściwy chrzest w płomieniach bólu. Cierpiał, ponieważ w końcu poczuł, że naprawdę należy do rodziny, naszej rodziny.

Głupi dzieciak; przecież mogła dorastać z dala od tego wszystkiego. Byłem wstrętny. Dlaczego nie otworzyłem dla niej drzwi swojego domu? Czyżbym aż tak długo przebywał z dala od Joy Road – Drogi Radości, że już zapomniałem, kim jestem? Zapomniałem o zasadach panujących w tej rodzinie i oczekiwaniach, jakie ma wobec mnie? Gdy jeden brat kłamie, pozostali też kłamią, by go chronić. Gdy dzwoni siostrzenica, wujek odbiera telefon i przyjmuje ją do siebie.

Czyżbym zapomniał o pięknie tkwiącym w ciągłości? Moja babcia umarła w pokoju, w którym później dorastałem ja, a teraz w tym samym pokoju spało moje dziecko. Czyżbym stał się samozwańczym obywatelem Wschodniego Wybrzeża?

Spojrzałem na moją żonę, która od momentu, gdy zaproponowała starszym członkom rodziny kawę, nie odezwała się już ani słowem.

Pogrzeb odbył się tuż przed Dniem Matki. Cmentarz znajdował się niedaleko boiska do bejsbolu. Słyszeć było wrzaski dzieci w żółtych strojach sportowych. Moja matka w końcu znalazła miejsce, gdzie mogła ułożyć swoją córkę. W trumnie, obok swojej wnuczki. Ashley i Nicole zostały złożone na wieczny spoczynek pod czerwonym klonem.

Moi bracia i ja sięgnęliśmy po łopaty i pochowaliśmy nasze dziewczyny. Pojmowaliśmy to jako gest skierowany w stronę tych, którzy wciąż żyją, nie tych, które odeszły. Stanowił on obietnicę, że kiedyś wszyscy znów się spotkamy. I była to także ostatnia rzecz, jaką mogliśmy dla siebie nawzajem zrobić. Poza modlitwą.

Wręczyłem łopatę mojemu bratu Jimmy'emu, spojrzałem na starych ludzi, którzy zgromadzili się wokół grobu, i rozmyślałem o całej tej wielkiej ludzkiej historii, jaką oni sobą reprezentowali. Myślałem o swojej matce, o jej silnej więzi z autochtonami znad Wielkich Jezior, ale też z wędrującymi wąsatymi osadnikami z Francji. O swoim ojczyźnie, który z kolei pochodził od emigrantów z Gdańska – miasta, o które długo spierali się Niemcy i Polacy, a który to spór spowodował, że miasto stanęło w ogniu, dając początek II wojnie światowej. A dziadkowie mojej siostrzenicy z drugiej strony byli wieśniakami z ludu zamieszkującego Appalachee, który wywodził się ze szkockich nizin i od wielkiego wojownika Williama Wallace'a.

Byli tu ludzie z wszystkich zakątków ziemi, którzy przyjechali do Detroit i jego fabryk, by budować jedno z najważniejszych miast w historii.

Spojrzałem znad grobu i uważnie przyjrzałem się zapłakanym obliczom moich kuzynów i napiętym twarzom moich braci. Jimmy szukał pracy. Frankie lada moment miał stracić dom. Billy utknął w fabryce wkrętów. W jakiś sposób miasto obiecało przemienić się w wysypisko marzeń. Ale wojownicy – nawet gdy przez chwilę się zachwieją – robią to, co potrafią robić najlepiej. Podnoszą się z kolan i dalej walczą.

- Jak się czujesz? – zapytałem Billy'ego, gdy później siedzieliśmy przy piwie.
- Ledwo daję radę – odpowiedział.
- Przepraszam, że wylałem ci wódkę.
- Wiesz mi cztery dolce.

JOHNNIE DOLAR

W tylnej kieszeni spodni zamrożonego mężczyzny znaleziono portfel, dzięki czemu, po tygodniu od momentu wyciągnięcia ciała z szybu windy, udało się go zidentyfikować. Nazywał się Johnnie Lewis Redding. Urodzony 29 września 1952 roku. Lekarz sądowy wykluczył morderstwo i utonięcie, ponieważ nie znalazł żadnych złamanych kości, ran ani wody w płucach.

Najprawdopodobniej Redding zmarł wskutek przedawkowania kokainy i został zrzucony do szybu przez jakiegoś przyjaciela, który spanikował i nie wiedział, co innego mógłby zrobić.

Z narkomanami zdarzało się to bardzo często. W zeszłym roku, gdy przedawował pewien mężczyzna, przyjaciele postanowili wepchnąć go do walizki, walizkę wrzucić do SUV-a, a później spalić samochód.

– Sposób, w jaki umierają członkowie danego społeczeństwa, odzwierciedla sposób, w jaki to społeczeństwo żyje – powiedział mi doktor Carl Schmidt, lekarz sądowy hrabstwa Wayne, gdy spotkałem się z nim w jego gabinecie udekorowanym meksykańską sztuką śmierci. – Problem w tym, że tego rodzaju ludzie w ogóle istnieją. Bo jedyną rzeczą, jaka odróżnia nas od zwierząt, jest to, że chowamy naszych zmarłych. Więc kiedy okazuje się, że potrafimy obojętnie porzucić martwą istotę ludzką, to co to mówi o obecnym stanie rzeczy?

Doktor miał rację. Tak jak moja siostra, Johnnie był istotą ludzką, która zasługiwała na odrobinę uwagi. Postanowiłem sprawdzić, jak żył.

Zacznijmy od końca. Ciało Johnniego Reddinga nie zdążono jeszcze nawet złożyć w grobie, a już ktoś inny wprowadził się do jego domu.

Ten dom to był mały wigwam w kształcie litery A. Zrobiony był z płyt pilśniowych i stał na dachu opuszczonego garażu. Wigwam miał okno w jednej ze ścian oraz komin na górze. Przez okno widać było rzekę i ogród. Johnnie zbudował ten dom własnymi rękoma.

Zaprowadził mnie do niego jeden z przyjaciół Johnniego. Spotkałem go w sklepie monopolowym nieopodal magazynów Roosevelta.

Przyjaciel walił w drzwi wigwamu, grożąc, że wyprowadzi intruza siłą. Nawet ci, którzy mieszkają na brutalnych, surowych ulicach, mają swoje niepisane prawa.

– To pewnie właśnie ty zabiłeś Johnniego – przyjaciel stał przy zbitych z desek drzwiach i czekał na mężczyznę wewnątrz, a z jego ust wypływały opary alkoholu. – Zabiłeś Johnniego, a teraz śpisz w jego łóżku! Zanim zajdzie słońce, zginiesz!

Johnnie był dalekim kuzynem Otisa Reddinga, artysty muzyki soul. Na ulicy znany był jako Johnnie Dolar. Ludzie, którzy go znali, opisywali go jako wytrawnego kanciarza, bilardowego oszusta i dowódcę całej ulicy, który lubił czasem wypić kapkę wódki i zażyć odrobinę kokainy. Korzystał z zapomogi i brał jedzenie od Kościoła, ale nie łaził po ulicach z czapką w rękę ani nie oddał się pod skrzydła opieki społecznej.

Gdy umarł, miał pięćdziesiąt sześć lat. Zajmował się malowaniem domów. Kantował w bilard od Ann Arbor po południowo-zachodnie Detroit. Gdy nie miał kasy, za dziesięć dolarów pomagał przy sortowaniu odzieży w kościele Przenajświętszej Trójcy. Czasami dostawał też od Kościoła darmowe bilety na autobus, które natychmiast sprzedawał.

– Nie musiał żyć na ulicy, ale życie na ulicy daje kopa adrenaliny – powiedział kościelny dyrektor do spraw bezdomnych, który zadzwonił do mnie po tym, jak zauważył w moim artykule nazwisko Johnniego. – Gdyby to był początek XIX wieku, Johnnie byłby traperem.

Po raz pierwszy Johnnie przyszedł do Przenajświętszej Trójcy, by poprosić o pieniądze, za które mógłby wykupić lekarstwa. Po tym, jak usunięto mu wszystkie zęby, musiał brać środki przeciwbólowe. Kiedy ostatni raz przyszedł do Przenajświętszej Trójcy, znów poprosił o datek.

– Chciał dostać pieniądze na autobus, by móc wyjechać z miasta – przypomniał sobie dyrektor. – Nie chciałem mu ich dać. Teraz tego żałuję.

Johnnie przeniósł się w inne miejsce. Gdy męczyło go już życie na ulicy, gdy jego ciało zaczynało odmawiać posłuszeństwa, pojawiał się u swoich krewnych, by przeprowadzić odwyk – „by się wyprowadzić na lepsze”, jak lubił mawiać. Zatrzymywał się u swojego brata w River Rouge. Albo u siostry w Atlancie. Spędził u niej sześć miesięcy, a potem wrócił do Detroit i znów się zgubił.

Jak ćmę do światła Johnniego przyciągał róg ulicy Fort Street przy

monopolowym Happy Liquor Store; tam spędzał czas z przyjaciółmi, którzy sami siebie nazywali Chłopakami z Przystanku. Ubrany w płaszcz z wypchanymi kieszeniami Johnnie rozdawał między przyjaciół dziesięć dolarów, które przywiózł z Georgii, mówiąc, by kupili sobie za nie piwo.

– To dlatego nazywaliśmy go Johnnie Dolar – powiedział mi jeden z Chłopaków z Przystanku. – Był z tych dobrych facetów.

Pojechałem do River Rouge – depresyjnego miasteczka w dole rzeki Detroit; takiego, w którym kiedyś młodzi mężczyźni zajmowali się produkcją stali, a teraz głównie przyciganiem kłopotów – by spotkać się z Homerem, bratem Johnniego. Homer mieszkał w małym, schludnym domku w stylu Cape Cod, który odziedziczył po matce i w którym wychowywali się obaj z Johnniem. Wedle Homera Johnnie był facetem o miękkim sercu, który stoczył się i zaczął żyć na ulicy. Johnnie był jednym z tych ludzi, którzy przeskakują od pracy dorywczej do siedzenia na kanapie, dalej na ulicę i z powrotem, od nowa. Homer pokazał mi zdjęcie brata, które zrobiono w latach siedemdziesiątych. Johnnie był szczupły, miał ciemną skórę i nosił kapelusz z szerokim rondem, ciemne okulary i biały garnitur ze spodniami w typie dzwonów. Wyglądał jak postać z filmów z nurtu *blaxploitation*^[10], jakby żywcem wyszedł z *Odlotu* Gordona Parksa juniora i zamierzał właśnie fajnie spędzić piątkowy wieczór, rozwalając kasę, jaką zarobił, pracując w fabryce. Ale fabrykę stali w końcu zamknięto, a Johnnie zaczął ostro imprezować. Skończył na ulicy.

– W pewnym momencie życia stwierdził, że nie chce już więcej pracować – opowiadał Homer, chudy i wygolony na łyso mężczyzna. – Zwolnił się z fabryki jakieś piętnaście lat temu i to był początek końca. Ale nie był bezdomny. Zbyt wielu ludzi bardzo go kochało.

Definicja bezdomności jest kwestią dyskusyjną. Tak jak rząd ma wiele sposobów na to, jak policzyć bezrobotnych, a i tak nigdy nie zdoła zliczyć ich wszystkich.

Jeden z Chłopaków z Przystanku ujął to tak: „Bezdomność oznacza, że nikt już cię nie chce. Tak więc nie możesz nazywać Johnniego bezdomnym”.

Tylko że Johnnie sam siebie uważał za bezdomnego. Parę miesięcy wcześniej dostał darmowy posiłek od pewnej grupy, która zajmowała się pomocą ubogim. W zamian za jedzenie musiał podpisać listę, podając imię, nazwisko, wiek i adres.

Widnieje tam pod numerem siedem; chwiejnymi drukowanymi literami napisał: Johnnie Redding, lat 56, bezdomny (*sic*).

– Nie oznacza to jednak, że Johnnie był śmieciem, który zasługiwał na porzucenie w szybie windy – stwierdził Homer, powstrzymując napływające do oczu łzy. Siedział przy kuchennym stole, trąc palcem jego blat z taką uwagą, jakby przeprowadzał inspekcję jakości. – Nie wiem, dlaczego tak napisał – dodał chrapliwym głosem. – Był kimś. Był kimś. Był kimś.

Oczywiście, że był kimś. Oczywiście, że kimś była Nicky. I Ashley. I wszyscy inni bezimienni luzerzy, którzy chodzili gdzieś po świecie.

Pogrzeb Johnniego Reddinga odbył się w pewną wietrzną sobotę. Zjawilo się na nim prawie trzysta osób, w tym kilku Chłopaków z Przystanku. Po wszystkim, gdy paliłem papierosa na parkingu, podeszła do mnie starsza pani, która zapytała, czy to ja jestem tym reporterem, który znalazł Johnniego. Powiedziałem, że tak.

– Ludzie są fałszywi – powiedziała, odnosząc się do setek tych wszystkich osób–które-dobrze-życzyły-Johnniemu. – Napisz to w swojej gazecie. Ludzie są fałszywi.

Pogrzeb Johnniego został opłacony z polisy na życie, którą wykupiła mu matka. Podejrzewała, że coś takiego może się zdarzyć. Nie chciała, by jej dziecko także po śmierci nie miało swojego miejsca na ziemi.

– Ona wiele w życiu widziała – powiedział Homer.

Johnnie miał zostać pochowany na przedmieściach Westland w pudle, które było droższe od czegokolwiek innego, co posiadał kiedykolwiek w swoim życiu.

Na cmentarz przyszło już mniej ludzi. Było jakieś czterdzieści osób, nie licząc księdza. Po kilku modlitwach i łzach wszyscy się rozeszli. Johnnie Redding został sam jak palec w swojej trumnie. Poza mną, Ortizem i jego aparatem nie został nikt, by popatrzeć, jak Johnnie zostaje zakopany w ziemi.

Gleba wokół grobu była przesiąknięta deszczem. Gdy grabarze próbowali upchnąć Johnniego w dole, wciąż przeszkadzała im w tym osypująca się do środka ziemia. Trzeba było kopać jeszcze raz, co przedłużyło pogrzeb o kilka godzin. Było mi mokro i zimno w stopy.

– Masz to, czego potrzebowałeś? – zapytałem Ortiza.

– Taaa.

– To spieprzajmy stąd. Zamarzam.

Poszliśmy. Po raz kolejny Johnnie Redding został sam.

Parę dni później wróciłem do wigwamu, bo chciałem przekazać jego nowemu mieszkańcowi, że jest już bezpieczny; że nikt nie przyjdzie, by odebrać mu ten dom. Wydawało się, że ta wiadomość sprawiła mu ulgę. Zaprosił mnie, bym wszedł i na chwilę usiadł. Wyciągnął fajkę i zaczął filozofować.

– Nic nie trwa wiecznie – powiedział. – Wszyscy skończymy w jakimś pudle. Bo czym innym, według ciebie, to jest?

Później poprosił mnie o dwa dolary, by kupić sobie coś do jedzenia.

Jak się okazało, Johnie już od jakiegoś czasu nie mieszkał w wigwamie. Ten nowy facet przejął go, gdy Johnie był w Atlancie. Znalezione nie kradzione – to kolejne z niepodważalnych praw ulicy.

Ponieważ Johnie także znał to prawo, nie starał się walczyć o swój dom. Tak przynajmniej twierdził mężczyzna. Po prostu zbudował sobie nowy z drewna i brezentu. Umieścił go w kanale pod domem.

A tutaj wciąż były jego rzeczy. Łóżko. Maszynka do golenia. Para okularów do czytania. Otwieracz do puszek. Przy poduszce leżały dwa jedwabne krawaty i książka. Były to *Przygody Tomka Sawyera*.

MAMINSYNEK

Notowania giełdowe General Motors spadły do poziomu, jakiego nie widziano od czasów Wielkiego Kryzysu, a Kwame Kilpatrick wyszedł z więzienia tuż po północy 2 lutego 2009 roku.

Odsiedział dziewięćdziesiąt dziewięć dni.

Wyglądało na to, że więzienie wyszło mu na dobre. Choć jego paznokcie domagały się pielęgnacji, do której przywykły, to jednak były burmistrz był o jedenaście kilo lżejszy, a afro na głowie i kudły na brodzie, które wyhodował w tym Hiltonie w hrabstwie Wayne, sprawiły, że jego głowa wydawała się większa, co z kolei korzystnie maskowało jego śmiesznie napompowane barki.

Gdy tylko wyłonił się z obrotowych drzwi betonowego budynku więzienia, natychmiast połknął go tłum kamer telewizyjnych i ochroniarzy z wielkimi karkami, których wysłał Naród Islamu. Gnietli oni na miazgę każdego reportera, który podszedł zbyt blisko. Dziennikarze skarżyli się, ale policjanci tylko uśmiechali się głupawo. Ja stanąłem daleko na uboczu.

To wszystko było takie smutne, na jakie wyglądało: czarne miasto, którego najbardziej znaczący przywódca grabił, plądrował i kłamał, jednocześnie zgrywając się na anioła stróża, który chroni swoje włości przed Białym Szatanem.

Kilpatrick, który wchodził do tego więzienia jako zakłamaný słabeusz o drżących ze strachu wargach, teraz wychodził z niego jako ktoś, za kogo zawsze się podawał – hip-hopowy burmistrz. Schylił się i wszedł do SUV-a, a szofer zawiózł go do domu matki – kongresmenki i członkini afroamerykańskiego lobby w kongresie, Carolyn Cheeks Kilpatrick – która podobno czekała tam już na niego z jajkami, które usmażyła mu na śniadanie.

Kilpatrick prawdopodobnie odniósł jakieś korzyści z tych kilku godzin, jakie musiał przepracować w fabryce. Praca w fabryce daje bowiem odpowiednią perspektywę. Ale oczywiście w hip-hopowym świecie praca była dla frajerów.

Niewiele lepiej miewali się kierownicy zakładów samochodowych. Okazało się, że nasi władcy wszechświata nie potrafiliby zarządzać nawet małym sklepikiem spożywczym.

Kiedy Steve Rattner – wielki finansista i wysoki urzędnik, który zajmował się

wtedy przemysłem samochodowym w rządzie Obamy – wszedł do Centrum Renesansu, światowego centrum General Motors nad rzeką Detroit, tak ocenił zastaną sytuację:

Wszyscy wiedzieli o tym, że miasto Detroit cieszy się wątpliwą reputacją zaściankowego i zapóźnionego miejsca. Ale nawet przy zastosowaniu tak niskich standardów byłem zszokowany tym, w jak niewiarygodnie słaby sposób zarządza się tu przedsiębiorstwami. Chodzi mi zwłaszcza o General Motors, gdzie napotkaliśmy między innymi na chyba najgorsze zarządzanie finansami, jakie ktokolwiek z nas kiedykolwiek widział w tak dużej firmie.

Najgorsze zarządzanie finansami, jakie ktokolwiek z nas widział.

Jezu, tu właściwie wszystko wyglądało tak samo. Czarny czy biały. Liberał czy konserwatysta. Biały kołnierzyk czy niebieski kombinezon. Przecież nikomu nie wolno odwalać głównianej roboty. I nie chodziło tu tylko o Detroit, ale także o Sacramento, Waszyngton, Wall Street. Cały kraj walił się w gruzy i odpowiadało za to pokolenie, które całe chorowało na niekompetencję i chciwość.

Nawet sam Rattner został oskarżony przez prokuratora generalnego Nowego Jorku, a śledztwo w tej sprawie przeprowadziły służby amerykańskiej komisji papierów wartościowych i giełd. Chodziło o jego zaangażowanie w aferę łapówkową, w której znaczącą rolę odgrywał stanowy fundusz emerytalny oraz firma inwestycyjna Rattnera.

Korupcja i niekompetencja nas zabijały. Były chorobami, na które cierpiał cały nasz naród. Ale nie można zaprzeczyć temu, że Detroit było na nie wyjątkowo podatne.

BÓL NIGDY NIE JEST PRZYJEMNY

Po pełnym pracy poranku, gdy to za osiem zasranych dolców za godzinę fabryka wkrętów wykręciła mu jaja na lewą stronę i całkowicie wycisnęła z niego soki, Billy w końcu zwolnił się z tej roboty. Wyszedł jak Bruce Springsteen, z pięściami skierowanymi w stronę nieba. Faceci, którzy kiedyś go nienawidzili, teraz wrzeszczeli: „Szacun, człowieku!”.

To był najlepszy dzień pracy, jaki kiedykolwiek mu się przydarzył.

Moi bracia, ja i nasz kuzyn Johnny spotkaliśmy się w piwnicy domu Billy’ego na popijawę. Billy wynajmował niewielki dom w stylu Cape Cod z dwoma sypialniami, który stał jakieś półtora kilometra od tego, z którego wywalił go szeryf; tego, na który sam sporządził umowę hipoteczną i który znajdował się niedaleko drogi międzystanowej.

Piliśmy do rana. Nasz brat Jimmy odpadł i spał z głową na stole, a Frankie chrapał jak niedźwiedź na wytartej kanapie. Johnny zapytał Billy’ego, czy chciałby przyjść pracować do jego fabryki, w której Johnny był brygadzystą. Powiedział Billy’emu, że chyba mógłby mu załatwić dziesięć i pół dolara za godzinę plus nadgodziny. A gdyby Billy pokazał się z dobrej strony i nie miał żadnych nieobecności, to po półtora miesiąca mógłby mu chyba załatwić pełny etat z wyższą pensją i dodatkami.

Mój brat uniósł wysoko swój kwadratowy, nachlany podbródek. Wyciągnął palec. Ewidentnie chciał coś powiedzieć. A gdy otworzył usta, z ich środka wypadł mostek i wpadł do popielniczki. Lekko zdziwionym wzrokiem Billy spojrzał w dół, wyjął mostek z popiołu, podmuchał nań i włożył z powrotem na miejsce.

Po czym wreszcie zdołał odpowiedzieć na ofertę naszego kuzyna słowami: „Nie ma mowy”.

– Rób, jak uważasz – powiedział Johnny, wzruszając ramionami. – Praca to jedna z tych rzeczy, które cholernie trudno mieć w dupie.

Teraz Billy wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

– Co jest, kurwa? – wykrzyknąłem. – Przecież to szansa. Popatrz na swoje

pieprzone zęby!

– Wciąż mam marzenia – po chwili pijackiego milczenia wyznał Billy. – Gdybym wziął tę pracę, przyznałbym się, że się poddaję.

– Że się poddajesz? Przecież masz rodzinę.

– Mam marzenia, Char – wymamrotał. – A fabryki w nich nie ma. Jestem kimś więcej.

Gdy bank zaczął się interesować domem Frankiego, on nie chciał pójść na układ. Chciał się wyprowadzić. Ten dom nie miał żadnej wartości, a jedyne sąsiedztwo stanowiły dziwki i szczury. Więc jaki był sens wygrzebywać się z tego kurwidołka, jeśli przy okazji upychało się do kieszeni cały syf, który trzeba było w tym celu przekopać? Frankie wybrał się na poszukiwanie pudeł, do których mógłby spakować swój dobytek.

Pudła są drogie; duże kosztują około czterech i pół dolara. Ale Frankie znalazł na Twenty Mile Road faceta, który sprzedawał je dużo taniej. Gdy przyjechał na miejsce, zobaczył, że wszystkie opieczetowane są stemplem: „Wyprodukowano w Chinach”.

– Kurwa, czy my już niczego nie robimy sami?

– Niczego, na co byłoby nas stać – odpowiedział gość.

Frankie kupił dwie paczki chińskich pudeł i pojechaliśmy pakować jego rzeczy. Ciężarówkę załadowywaliśmy w deszczu. Na pamiątkę wziąłem sobie metalową furtkę.

Frankie przeprowadził się z rodziną do ładnego domu z trzema sypialniami, który stał na robotniczych przedmieściach miasta, kilka kilometrów w dół drogi. Była tam spokojna główna ulica z lodziarniami, a dzieci bezpiecznie mogły się bawić na podwórku. Ale był to pierwszy raz w jego dorosłym życiu, gdy mój brat nie miał domu na własność.

– A może to i lepiej – powiedziałem, pijąc piwo i przyglądając się spokojnej ulicy. – To bardzo ładna okolica. Tu jest naprawdę przyjemnie.

Frankie spojrzał na mnie krzywo.

– Char, wbrew temu, co czyta się w tomikach poetyckich, ból nigdy nie jest przyjemny.

DRZWI Z MOSKITIERĄ

Dostałem list. Był napisany na maszynie i nie miał adresu zwrotnego ani podpisu. Przysłał mi go anonimowy sąsiad. Narzekał na mały dzwonek wietrzny, który powiesiłem na ganku. Napisał, że teraz – gdy jest ciepło i ludzie mają pootwierane okna – hałas dzwonka przeszkadza, więc byłby bardzo wdzięczny za moją chęć współpracy i usunięcie ozdoby.

Mógłbym to potraktować jako zabawną anegdotkę i nie oburzać się. Choćby z tego powodu, że tuż za moim domem przebiega droga ekspresowa. Zanim zrobiłbym z siebie dupka, dobijając się do kolejnych drzwi i domagając się pojedynku z anonimowym autorem notatki, postanowiłem najpierw trochę się przejechać i ochłonić.

Wybrałem się na rundkę po Detroit, starając się cieszyć promieniami słońca i dźwiękami z radia. Nagle dostrzegłem wielką chmurę czarnego dymu. Popędziłem w jej stronę, jakby miała dobywać się z ciekawej zabytkowej lokomotywy.

Dym unosił się nad zrujnowanym gettem, gdzie płonął biały dom z winylowym sidingiem. Wzbijały się z niego całe pióropusze ognia. Tłum okolicznych mieszkańców całkowicie zablokował ulicę i strażacy nie byli w stanie przejechać swoimi wozami. Kierowca jednego z nich nieustannie włączał wyjąca syrenę, której głos przypominał mi rozpaczliwy ryk zwierząt w rzeźni. Pomyślałem o swoim małym dzwonku wietrznym.

Wyglądało na to, że zaraz wybuchną tu zamieszki, bo strażacy krzyczeli na faceta, który zablokował ulicę furgonetką. Wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem w stronę tłumu.

– Co się dzieje? – zapytałem dużą kobietę w chuście na głowie, pokazując jej swoją legitymację prasową.

– To meta kokainistów – powiedziała. – Codziennie dzwoniliśmy na policję, ale nikt nic nie zrobił. Ten dom to dzicz, a my tu mamy dzieci. Więc ktoś go podpalił i teraz nikt na całej ulicy nie chce pozwolić, by go zgasili.

Przekazałem tę wiadomość dowódcy grupy, któremu w końcu udało się wynegocjować przejazd dla wozów. Udało się to zrobić nawet bez żadnego

wypadku.

– Nie powiem, żebym miał im to za złe – stwierdził. – Czasami ludzie sami muszą rozwiązać pewne sprawy.

W departamencie straży pożarnej działy się dziwne rzeczy. Jeden ze strażaków, którzy pracowali z Harrisem tego ranka, gdy zginął, został przeniesiony do innej jednostki, do oddziału czternastego, który stacjonował we wschodniej części miasta.

Ten facet – Williams – wyjątkowo źle przyjął wiadomość o śmierci Walta. Zwrócił się w stronę Biblii i zaczął się przygotowywać do święceń.

Pewnego wtorku, tuż po północy, czytał przy świetle lampy. Chciał zrobić nastrój, więc zapalił kilka kadzidełek i stłumił nieco ostre światło lampy, przykrywając ją ręcznikiem.

W tym momencie przyszło wezwanie do pożaru, który wybuchł w opuszczonym apartamentowcu.

Williams szybko wskoczył w swój rynsztunek i zapomniał zdjąć z lampy ręcznik.

Okazuje się, że nikt w całym zrujnowanym sąsiedztwie nie zauważył płomieni, jakie całymi kaskadami dobywały się z remizy. A może ktoś je widział, ale nie uznał za stosowne, by zadzwonić po pomoc, choć ogień sięgał już wysoko ponad framugi okien. O pożarze remizy strażacy dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy sami do niej wrócili.

Najśmieszniejsze było to, że strażacy nie byli w stanie ugasić ognia, ponieważ nie dysponowali wozem, który mogliby podłączyć do pobliskiego hydrantu. Akurat niedawno, w ramach cięcia kosztów, miasto odebrało oddziałowi taki wóz.

Przyjechali policjanci, którzy mieli porozmawiać ze strażakami. Podśluchałem całą tę rozmowę, bo jeden z facetów zadzwonił do mnie z komórki, którą schował w kieszeni. Strażak od Biblii był przerażony. Choć bardzo chciał opuścić Detroit, to jeszcze bardziej potrzebował tej pracy.

– Człowieku, przecież ci mówię. Nie miałem z tym nic wspólnego – wrzeszczał.

Był przybity i zniknął gdzieś na niemal cały dzień, więc strażacy zaczęli go szukać, bo obawiali się, że mógł się targnąć na swoje życie.

Koniec końców śledztwo zamknięto wnioskiem, że wszystko zaczęło się od

zwarcia instalacji elektrycznej. Nie wniano w szczegóły.

Trudno uwierzyć, ale mniej więcej tyle samo – czyli nic – zrobiono w przypadku śledztwa w sprawie śmierci Walta Harrisa. A było to przecież morderstwo, bo strażak umarł w wyniku podpalenia domu przy użyciu kanistra benzyny.

W Nowym Jorku czy Los Angeles do śledztwa w sprawie śmierci mundurowego przydzielono by oddział najlepszych ludzi. Ale tutaj, w Detroit, nie zorganizowano żadnej obławy ani nie zebrano żadnej grupy specjalnej. Sprawa Harrisa została przydzielona pojedynczemu detektywowi z wydziału zabójstw, który i bez niej był zawałony pracą, a więc odłożył ją na później, by powoli się przedawniała.

Każdy mundurowy powie ci, że żadne życie nie jest ważniejsze od innego. Taką samą wartość ma życie i śmierć białego policjanta, czarnego strażaka, pastora i narkomanki. Ale jednocześnie można zakładać, że jeśli zabójstwo mundurowego ujdzie bezkarnie, że jeśli jego mordercy pozwoli się odejść wolno, to oznacza to wyraźnie, iż żaden zwykły obywatel nie może już czuć się bezpieczny. Tak więc – choćby ze względu na zachowanie porządku społecznego – gdy ginie człowiek w mundurze, muszą polecieć głowy; w tym celu należy wyważyć wszystkie możliwe drzwi i zaangażować każdego dostępnego gliniarza.

W przypadku sprawy Harrisa pojedynczy detektyw nazywał się Tony Wright. Dobrze go znałem. Był partnerem Mike'a Carlisle'a. Śledziłem ich pracę kilka lat temu, gdy polowali na pewnego seryjnego mordercę. Wright był dobrym, ale przepracowanym i odliczającym dni do emerytury facetem. Zadzwoiłem do niego do domu.

– Tony, co jest, kurwa, grane ze sprawą Walta?

– Jestem z tym sam – powiedział Wright. – I frustruje mnie to. Chciałbym rozwiązać tę sprawę. Ale mam jeszcze dwie inne. Jutro muszę być w sądzie. I tak w kółko, ciągle coś, ciągle coś.

Zadzwoiłem do Jamesa Tate'a, rzecznika policji. Biedny dureń. Musiał robić wszystko, by policyjne gówno pachniało fiołkami. Na przykład stepować w rytm skandalu Kilpatricka. Radził sobie z tym tak, że nigdy nie udzielał jasnych odpowiedzi.

– Mamy kilka tropów w tej sprawie – powiedział Tate. – Ale jak ludzie nie chcą mówić, to nic nie powiedzą.

– James, przy tej sprawie pracuje tylko jeden facet – przypomniałem mu.

– Musisz pamiętać, że mamy jeszcze trzysta dwadzieścia pięć innych spraw do rozwiązania.

– Ale tu chodzi o mundurowego.

– Jest, jak jest – skończył rozmowę Tate. – Ja tu jestem tylko gadającą głową.

Sytuacja osiągnęła już takie szczyty absurdu, że strażacy sami chodzili od drzwi do drzwi, starając się znaleźć jakiś nowy trop. Ale jedyną rzeczą, jaką jest w stanie zrobić strażak, ładując się w sam środek śledztwa w sprawie morderstwa, to totalnie je spieprzyć.

A więc napisałem artykuł: *Bohater odchodzi w zapomnienie*.

Niemal natychmiast do mojego szefa, Milesa, zadzwonili zastępca szefa naszej policji oraz oficer dowodzący wydziałem zabójstw. Mój tekst nie podobał im się i twierdzili, że Wright na pewno nie powiedział mi tego, co mu przypisywałem. Utrzymywali, że sam to wszystko wymyśliłem.

Miles powiedział, że chciałby to usłyszeć bezpośrednio od Wrighta.

Jakimś bardzo dziwnym trafem Wright był akurat w pokoju oficerów dowodzących. Przełączyli się na głośnik i poprosili go do telefonu.

Zrobiłem błąd, umieszczając w tekście nazwisko Wrighta. Teraz założyli mu akumulator na jaja i to ja im go podałem. Wyobraziłem sobie detektywa prowadzonego pod bronią, jakby to on był podejrzanym. Poczułem się okropnie. Wydawałoby się, że dorosły facet powinien bardziej myśleć. Nie mogłem winić Tony’ego za to, co za chwilę miał powiedzieć.

– Dalej, Wright, powiedz mu – rzucił zastępca komendanta.

– Znam Charliego – powiedział mojemu szefowi Wright. – To dobry facet. Gadałem z nim któregoś wieczora i wiem, że chciał dobrze. Tyle mam do powiedzenia.

Wright mógł wepchnąć mnie pod autobus. Ale nie zrobił tego, bo był prawdziwym mężczyzną. A teraz, ponieważ zachował się jak na mężczyznę przystało, będzie pewnie robił obchody jakiejś zakazanej dziury w dalekiej północno-zachodniej dzielnicy.

W tym mieście nadal jest cała masa dobrych ludzi, którzy próbują jakoś utrzymać je w kupie za pomocą gumy do żucia i miedzianego drucika. I wierzę, że Wright chciał, bym zrobił to, czego on nie mógł zrobić. Gazety i dziennikarstwo wciąż mają jakieś znaczenie dla społeczeństwa. Nasza praca może być ważna dla tych, którzy nie mają możliwości zabrać głosu. Może pomóc. Właśnie to powiedział Wright, nie mówiąc prawie nic.

W międzyczasie partner Harrisa, Mike Nevin, został awansowany na porucznika i przeniesiony do innej jednostki; do remizy na zadupiu we wschodniej części miasta.

Pewnego wiosennego poranka, gdy przeprowadzał ze swoją jednostką kontrolę okolicznych hydrantów, jeden z jego ludzi znalazł drzwi z moskitierą wyrwane z zawiasów jednego z opuszczonych domów. Facet załadował drzwi na tył wozu i strażacy odjechali. Dowodził Nevin. Wydawało się, że nie wydarzyło się nic wielkiego. Ze starego domu wcześniej wyniesiono już całą miedzianą instalację rurową, liczniki, kable elektryczne, a nawet drzwi od garażu. W samym garażu leżała sterta śmieci i ludzkich ekskrementów. Kto miałby tęsknić za tą moskitierą?

A w ich remizie moskitiery nie było i po pomieszczeniach wciąż krążyły muchy. Strażacy z Detroit od dziesiątek lat sami reperowali swoje remizy. Toalety, drzwi, drewniane meble, cegły w ścianach – wszystkim zajmowali się sami. Miasto nigdy się o to nie troszczyło. Więc nikt nawet nie narzekał. I tak było taniej, niż gdyby mieli komuś płacić za naprawy.

Jednak tym razem któryś z sąsiadów nagrał Nevina i jego ludzi, a taśmę wysłał do lokalnej telewizji. Telewizja zaś przydzieliła temat jednemu ze swoich wyborowych reporterów. Nie minęło wiele dni, a Nevin i jego ludzie byli znani jako ci, którzy „plądrują” miasto.

Nevin wychodził z siebie. Może powinien był powiedzieć swojemu podwładnemu, by zostawił te drzwi w spokoju? Może nie powinien był mówić śledczym, że alarm Walta Harrisa nie zadziałał, gdy spadł na niego dach? Może w udzielanym mi wywiadzie nie powinien był nazywać miasta siedliskiem nędzy i kompletną porażką? Może nie powinien był mówić kongresmenowi Sanderowi Levinowi, by cmoknął się w jaja? Było dużo rzeczy, których Nevin prawdopodobnie nie powinien był robić. Szef go nienawidził, a teraz miał go w garści.

Ironia polegała na tym, że Nevin sam prowadził kiedyś niewielki interes i robił właśnie drzwi z moskitierą. Wiedział więc, że te, które wzięli, nie były warte nawet dwudziestu dolców.

Poszedłem na dyscyplinarne przesłuchanie Nevina, bo było ono otwarte dla publiczności. Czekałem w holu siedziby głównej straży pożarnej w centrum i robiłem notatki. Hol przypominał szklaną klatkę, w której rozwieszono zdjęcia wszystkich piętnastu członków kierownictwa wysokiego stopnia – wszyscy byli czarni i pochodzili nie z wewnętrznych awansów, ale zewnętrznych nominacji.

Cały wydział składał się mniej więcej pół na pół z czarnych i białych, więc w większości innych miast całkowicie czarne dowództwo stałoby się podstawą do wszczęcia sprawy o dyskryminację. Ale nie w Detroit. Rasa to sposób życia.

Podszedł do mnie mężczyzna w mundurze. Rozpoznałem go, bo przed chwilą widziałem jego zdjęcie. Był to drugi zastępca komisarza James W. Mack junior.

– Czy mógłbym zapytać, co pan tu robi?

– Jestem reporterem i zajmuję się sprawą dyscyplinarnego przesłuchania porucznika Nevina.

– Wiem, kim pan jest, i muszę pana poprosić o opuszczenie budynku – odpowiedział, ujmując mnie za łokieć i prowadząc w stronę wind. Wyszczерzył się przy tym w uśmiechu jaszczurki.

Zapisałem sobie jego nazwisko.

W windzie było cicho. On patrzył, jak zmieniają się numery pięter. A ja patrzyłem na niego, patrzącego, jak zmieniają się numery pięter. Ani na moment nie oderwałem od niego oczu. Wpatrywałem się w „maszynę”, która to wszystko napędzała. Burmistrzowie przychodzą i odchodzą, a na miejscu pozostają zawsze ci sami lokaje, w każdej chwili gotowi, by zawiązać im krawat czy ponieść bagaże. Mali ludzie na długie lata. Biurokraci. Karaluchy.

Winda dojechała na parter.

– No i jesteśmy.

– Proszę pana – powiedziałem. – Jedynym powodem tego, że Nevin się tu znalazł i postawiliście mu zarzuty, jest to, że ze mną rozmawiał i powiedział mi prawdę. Dlatego jedno mogę wam obiecać. Być może będę musiał przegrzebać się przez wszystkie umowy, faktury i masę innych papierków, ale to znajdę.

– A co spodziewa się pan znaleźć? – zapytał z kamienną twarzą.

– Pieniądze – odpowiedziałem. – Zamierzam dowiedzieć się, kto doprowadził ten departament do ruiny. Zamierzam znaleźć te drzwi z moskitierą.

– Życzę więc panu powodzenia i miłego dnia.

Stałem na zewnątrz, a wokół mnie malowały się czarne barwy wiosny w Michigan. Patrzyłem na strużki pary, która wydobywała się spod pokryw studzienek kanalizacyjnych. Całe centrum Detroit jest zasilane i ogrzewane parą wytwarzaną w wielkiej spalarni śmieci, która stoi nieopodal jego granic. Całe pieprzone centrum jest uzależnione od śmieci. Wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa nieustannie

dławia się dymem z palących się pieluch i płonących akumulatorów samochodowych.

Stałem pod granitowymi gzymsami Centralnej Komendy Straży Pożarnej, na których tłoczyły się stadka gołębi, próbując schronić się przed deszczem. Zapaliłem winstona i myślałem o różnych rzeczach.

Na początku to wszystko – korupcja, niekompetencja i egoizm – wydawało mi się śmieszne. Ale teraz patrzyłem na sytuację w inny sposób: przywódcy doprowadzali ludzi do ruiny. Albo jeszcze gorzej: zabijali ich.

Kilpatrick został usunięty. Tak samo Monica Conyers. Ale on był tylko jednym z łbów hydry. A ona była idiotką. Już nie mogłem się z tego wszystkiego śmiać. Byłem tego częścią; jakoś z tym powiązany, jakoś w tym unieruchomiony. Byłem w domu i nie zamierzałem wyjeżdżać. Nie mógłbym.

Powziąłem decyzję, że dotrzymam tamtej obietnicy. Zamierzałem dowiedzieć się, kto był odpowiedzialny za ten skandal, dzięki któremu mordercy chodzili wolno, a miasto noc w noc stawało w ogniu. Zamierzałem stać się prawdziwym reporterem. Ktoś musiał odpowiedzieć za to gównu. Szumny pogrzeb Johnniego Dolara i zburzenie domu, w którym zginął Harris dodały mi wiary, że to może się udać. Ludzie z Detorit i okolic zasługują na coś lepszego niż okradanie ich przez ich własnych przywódców i zapomnienie przez najbliższych sąsiadów.

Wyrzuciłem peta do kratki ściekowej. Odchyliłem do tyłu głowę i wystawiłem ją na deszcz. I właśnie wtedy ptak nasrał mi na twarz.

PIĄTY

Picie było jedyną rzeczą, która była w stanie odsunąć ode mnie Detroit. Obecnie moje życie zaludniali martwi mężczyźni, kłamcy i zrozpaczeni ludzie, którzy mogli do mnie zadzwonić w każdym momencie, nawet wieczorem. Wyjście ewakuacyjne z tej sytuacji potrafiłem znaleźć jedynie na dnie butelki.

Pewnego wieczoru podrzuciliśmy z żoną córkę do babci i wypiliśmy sporo czerwonego wina. Wtedy zadzwonił telefon. To był mój znajomy gliniarz, który miał dla mnie kolejną porcję okropnych wiadomości. Na pewnym trawniku leżało trzech martwych mężczyzn i przez cztery godziny nikt nie zawrócił sobie głowy tym, by zadzwonić po władze.

Urzeczony tą informacją zignorowałem żonę. To był błąd. Gdy odłożyłem słuchawkę, ona właśnie jadła kawałek zimnej pizzy.

– Mam już tego totalnie dość.

Najwyraźniej chodziło o to, że miała dość historii o ofiarach morderstw płonących w opuszczonych domach czy o kobietach, które znajdowały swoich chłopaków powieszonych na pończochach i ubranych w ich własną kobiecą bieliznę.

– To musisz sobie z tym jakoś, kurwa, poradzić – odpowiedziałem. – To dzięki temu możesz napychać gębę pizzą.

– Pierdol się – syknęła.

– Mam się pierdolić? – zeskoczyłem z krzesła, złapałem ją za nadgarstek i rozmazałem jej pizzę na całej twarzy. Spoliczkowała mnie.

– Dzwonię na policję, ty pieprzony gnoju.

– Śmiało, dzwoń. Ja idę spać.

Byłem już na górze i spałem. Jeśli nie liczyć (moich własnych) slipów w paski, byłem zupełnie goły. I wtedy do naszych drzwi zapukał gliniarz.

– Charlie – krzyknęła moja żona. – Przyjechała policja.

Okazało się, że zadzwoniła na dziewięćset jedenaście, po czym – jak rozpuszczona, kapryśna dziewczynka – rozłączyła się. Najwyraźniej nikt jej nie powiedział, że na przedmieściach w takiej sytuacji gliniarze i tak przyjadą. Zlazłem po schodach, nadal ubrany tylko w te moje jaskrawe, pasiaste majty. Zaskoczyło

mnie to, że policjant nie stał na ganku, ale w moim salonie, a niebieskie światła jego radiowozu oświeślały całe sąsiedztwo.

Jakoś namówił moją żonę, by wpuściła go do środka.

– Słucham, panie władzo?

Był to niski, tęgi facet z okrągłą twarzą o tłustej cerze. Jego głowa wyglądała jak owinięta w plastik golonka.

– Proszę się ubrać – rozkazał.

Spróbowałem zastosować nieco pijackiego żargonu prawniczego.

– Czy jest jakiś uzasadniony powód, dla którego zjawił się pan w moim miejscu zamieszkania, panie oficerze? Czy jest jakiś powód, by miał pan przypuszczać, że ktoś tu znajduje się w niebezpieczeństwie? Czy ja się zachowuję podejrzanie?

Oświecił latarką moją żonę.

– Ona ma krew na twarzy.

Nie wiem, skąd bierze się gorycz, która jest we mnie. Ale wiem, że – gdy mnie sprowokować – eksploduję jak puszka wstrząśniętego piwa. A potem mam problemy.

– To sos do pizzy – uśmiechnąłem się szyderczo. – Proszę spróbować.

– Proszę wyciągnąć ręce przed siebie – rozkazał Oficer Świński Ryj.

Zrobiłem, jak kazał. Założył mi kajdanki.

– Proszę iść na górę i przynieść mu jakieś ubranie – powiedział do mojej żony.

– Nie rób tego – rozkazałem jej.

– Nie chce pan ubrać? – zapytał gliniarz, unosząc ze zdziwieniem brew.

– Panie oficerze, chcę się powołać na piątą poprawkę i milczeć, by nie zeznawać na własną niekorzyść.

– Po prostu załóż, kurwa, jakieś ubranie.

– Panie oficerze, chcę się powołać na piątą poprawkę i milczeć, by nie zeznawać na własną niekorzyść.

– Rób, jak chcesz.

Policjant poprowadził mnie przez trawnik w stronę radiowozu. Widziałem, jak jeden z sąsiadów zerka przez okno, ukradkowo przyglądając się dramatowi z gatunku „bosy burak ze zdziczałym kotem, który bije swoją żonę i nosi gacie w niebieskie paski, teraz idzie do paki”.

Gdy obudziłem się rano w więziennej celi, drżałem z zimna w swoich majtkach w niebieskie paski. Prócz karalucha, który zmierzał w stronę nadjeżdżonej kanapki z jajkiem leżącej obok klozetu z nierdzewnej stali, nie było tu nikogo.

Czułem się pusto i źle. Jak przygnieciony przez cielsko zdychającego miasta zjeb w średnim wieku. Wyziwy Detroit zatrwały moje życie prywatne, którego nie byłem już w stanie oddzielić od pracy. Ludzie robili mi zdjęcia i mówili o mnie różne chamskie rzeczy; większość z nich była prawdą, ale wkurzało mnie to, że nie wiedzieli tego na pewno, a jedynie zgadywali. A teraz pewnie sędziowie wyznaczą mi dwie rozprawy: jedną kryminalną i jedną rozwodową. Myślałem o mojej córeczce i o tym, co jej zrobiłem, przywożąc ją do tego miasta-kloaki.

Próbowałem zadzwonić na koszt rozmówcy z więziennego telefonu do Frankiego. Jego numer był jednym z niewielu, jakich zdołałem się nauczyć na pamięć. Ale telefon źle działał, krzyżowały mu się kable czy coś takiego. W słuchawce słyszałem rozmowę kobiety z sąsiedniej celi.

– Powiedz mu, że jak znów go zobaczę, to wbiję mu nóż w szyję – mówiła swojemu synowi kobieta. – Powiedz temu skurwielowi, że skończę, co zaczęłam. Zrobię to natychmiast, jak tylko stąd wyjdę.

Zacząłem się śmiać. Jej słowa zadziały jak orzeźwiający prysznic dla mojego ducha. Może i byłem zły, ale na pewno nie tak zły, jak ta walnięta suka z celi obok, która wciąż opowiadała o tym, jak zabije swojego faceta plastikowym widelcem czy zaostrzonym miękkim ołówkiem B6.

– Hej – zacząłem krzyczeć, waląc w jednostronną szybę umieszczone obok mojej drewnianej pryczy. – Chcę zadzwonić!

– Przestań walić w tę szybę, gnoju – usłyszałem w interkomie. – Wiedzą, że tu jesteś.

– Chcę jakieś buty – odkrzyknąłem. – Zimno mi.

– Masz parę butów pod drzwiami, gnoju.

– Chcę Koran – zacząłem znów krzyczeć. – Mam do tego konstytucyjne prawo. Chcę Koran.

– Zatkaj się, gnoju – odpowiedział głos z interkomu. Być może nie miał zbyt rozbudowanego słownictwa, ale przynajmniej wysyłał spójny przekaz. Myślę, że właśnie tego oczekiwano od tych więziennych negocjatorów spokoju.

Zresztą głos miał rację. Zachowywałem się jak gnój, ponieważ z głębi przepaści dobiegał do mnie echem głos: „Jesteś gnojem”.

Jakieś dwadzieścia minut później drzwi celi otworzyły się i zobaczyłem, że tuż za progiem leży stos ubrań i para tenisówek.

– Załóż to – powiedział do mnie sierżant. To nie był ten, który mnie aresztował. – Twoja żona odmówiła złożenia oficjalnej skargi, więc możesz wyjść.

– Doceniam to – powiedziałem.

– Nie dziękuj mi, ale jej – odpowiedział. – Słuchaj, ostatnio mamy tu wielu takich facetów jak ty. Rozumiesz, o czym mówię? Jest ciężko. A ludzie mają tylko kilka sposobów na to, by jakoś się z tym uporać. Rzeczy wymykają się spod kontroli i nagle trafiasz tutaj. Czy mam rację?

– Tak, proszę pana, ma pan rację – stwierdziłem, łamiąc moją zasadę trzymania się piątej poprawki, i naciągając spodnie.

– Pozwól, że dam ci pewną radę – podjął temat. – Gdy następnym razem znowu się zagotujesz, wybierz sobie jakieś miejsce w domu i idź tam. Rozumiesz? Bo teraz mamy cię już w komputerze.

– Dziękuję, sierżancie – powiedziałem; i rzeczywiście byłem mu wdzięczny.

Wyszedłem na światło niedzielnego poranka. Miałem kaca i było mi wstyd. Zastanawiałem się, czy zaglądać do niedzielnych gazet.

Nie byłem pewien, gdzie jestem. Znajdowałem się w innym mieście, do którego zabrał mnie patrol policji, znajdowałem się więc również pod inną jurysdykcją. Moja żona siedziała w samochodzie na parkingu; silnik pracował na jałowym biegu, a ona wyglądała na smutną. Czekałem, by zrodziła się we mnie jakaś emocja, która pomoże mi zdecydować, co robić. Uczucie przyszło. Podeszedłem do samochodu, a moja żona odkręciła szybę.

– Jak tam nasza mała?

– Jest u mojej mamy. Wszystko z nią w porządku. Przepraszam.

– Ja przepraszam jeszcze bardziej – odpowiedziałem.

Pocałowałem ją i powiedziałem, że przejdę się pieszo te parę kilometrów do domu. Jednak zamiast do siebie, poszedłem do wynajętego domu Frankiego, który znajdował się nieopodal. Tutaj ludzie kosili trawniki. Można było usłyszeć wiatr i ptaki. Gdy zbliżyłem się do domu, widziałem, jak córeczki mojego brata bawiły się na podwórku od frontu. Tutaj nikt nie musiał ich pilnować. Tam, gdzie kiedyś mieszkał Frankie, nigdy nie widziałem takiego obrazka. Może jednak zaczęło mu się układać. Miałem taką nadzieję.

Co do mnie zaś, to nie wiedziałem już, z kim i o co walczę. Prawdopodobnie walczyłem z samym sobą i niemal już udało mi się zabić mojego przeciwnika. Położyłem się w wysokiej trawie, jaka porastała tylne podwórze domu; zaległem wśród drzew surmii i zasnąłem.

CZEŚĆ III

Z prochów

LATA ŚWIETNOŚCI

Gdyby nie pewien bóbr, Detroit nigdy by nie powstało.

Ludwik XIII, homoseksualny król Francji z rozszczepionym podniebieniem i problemami z jękaniem, bardzo lubił paradować po ulicach Paryża ubrany w kapelusz z bobra.

Jak to bywa z Europejczykami, za chwilę również król Anglii zapragnął paradować po Londynie ubrany w dokładnie taki sam kapelusz. Wkrótce to nakrycie głowy zrobiło się bardzo modne, a bóbr stał się w Europie gatunkiem na wyginieciu.

Król Ludwik wysłał swoich ludzi na wyprawę do Nowego Świata. Mieli przywieźć z niej skórki z bobra. Ponadto nakazał jednemu ze swoich poddanych, Antoine'owi Cadillacowi, by w pobliżu Wielkich Jezior założył fort, który miałby blokować zapędy Anglików, gdyby ci zechcieli mu odebrać monopol na bobrze futro.

5 czerwca 1701 roku Cadillac i dwustu jego ludzi wypłynęli z Montrealu w dwudziestu pięciu łodziach typu *canoe*. Komendant Cadillac był oszustem. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Laumet i mówi się, że uciekł on na statek i w 1683 roku przybył do Nowego Świata, by wymigać się od zaciągniętych we Francji długów.

Szybko poznał tę ziemię i obyczaje jej mieszkańców, a to z kolei sprawiło, że stał się dla króla bardzo cennym człowiekiem. Oficjalna działalność nie przeszkadzała mu w prowadzeniu nielegalnych interesów z autochtonami, z którymi handlował wódką i futrami, przez co jakiś czas przesiedział w więzieniu. W ten sposób Cadillac stał się pierwszym dilerem w Detroit.

Na miejsce powstania swojego nowego fortu, Fort Pontchartrain, Cadillac wybrał cieśninę – po francusku *détroit* – która łączy jeziora Erie i Huron i stanowi bramę do całego basenu Wielkich Jezior licznie zamieszkanego przez bobry.

W ten sposób w lipcu 1701 roku powstało Detroit.

Moja rodzina mieszkała w nim niemal od samego początku. Zaczęło się od jednego z moich przodków – Josepha Chevaliera, Francuza z Normandii, który przyjechał do Montrealu, by tam wydrzeć dla siebie kawałek dziczy. Wziął za żonę

Francoise-Marthe Barton, jedną z tak zwanych *filles du roi* – córek króla – czyli ośmiuset kobiet, które Ludwik XIV wysłał do Nowego Świata specjalnie po to, by francuscy osadnicy mogli je poślubić i za ich pomocą zaludniać Nową Francję.

Francoise dała Josephowi Chevalierowi trzynaścioro dzieci, wśród których znajdował się Jean Chevalier – *coureur du bois*, czyli dosłownie goniec leśny – dziki gatunek faceta, który zamieszkał wśród tubylców, dużo pił i palił, potrafił wiosłować *canoe* z prędkością pięćdziesięciu pięciu uderzeń wiosła na minutę i grał na nosie królowi i jego władzy.

Jean Chevalier przyjechał do nowo powstałego Fort Detroit w 1705 roku, niespełna cztery lata po tym, jak Cadillac je wybudował.

Detroit było wówczas niebezpiecznym miasteczkiem granicznym, na którego obrzeżach żyły trzy walczące ze sobą plemiona Indian. W 1706 roku, podczas indiańskiego powstania, został zabity pewien ksiądz i żołnierz; jego śmierć uczyniła z mojego pradziada świadka pierwszego odnotowanego w Detroit morderstwa. I jak dziesiątki tysięcy późniejszych morderstw w tym mieście, także sprawa zabójstwa księdza pozostała nierozwiązana. Niewyjaśniony przypadek.

Dziewiętnastowieczne Detroit, ze względu na obecność dużych zasobów drewna i złóż żelaza w wyższych partiach stanu Michigan, było narodowym centrum transportu oraz produkcji kół i pieców. Bogactwo regionu tworzyło świetne warunki dla rozwijania interesów przez takich przemysłowych spryciarzy jak Ransom Olds, który – zanim zwrócił się w stronę samochodów – był jednym z największych krajowych wytwórców powozów. Farmer Henry Ford zbudował swój pierwszy zakład samochodowy w Highland Park w 1899 roku. Detroit stało się nagle największym warsztatem mechanicznym świata, jego najważniejszą halą fabryczną; w ciągu dwudziestu pięciu lat od momentu wielkiego otwarcia zakładów Forda populacja tego miasta wzrosła z trzystu tysięcy do miliona trzystu tysięcy mieszkańców.

W 1909 roku otworzono General Motors, a po chwili wyrosła już cała chmara firm samochodowych, między innymi Chrysler, Packard, Studebaker, Hudson, Olds i Dodge.

W 1919 roku młodzi i ambitni ludzie z General Motors wpadli na świetny pomysł, jak strącić Forda z pierwszego miejsca wszystkich producentów samochodów na świecie.

Kredyt.

Henry Ford, znany skąpiec o surowych przekonaniach, uważał, że nie jest dobrym pomysłem, by Amerykanie mieli kupować takie dobra konsumpcyjne jak samochody na kredyt. Był zwolennikiem planu depozytowego, w którym nabywca miałby każdego miesiąca płacić niewielką sumę, aż w końcu uzbierałby sumę pozwalającą na kupno samochodu. Problem stanowiło jednak to, że cały proces zajmowałby pięć lat, a ciężko jest kogokolwiek przez tak długi czas utrzymać przy pracy w fabryce.

Tak więc General Motors stworzyło własną spółkę finansową: korporację GMAC – General Motors Acceptance Corporation.

Przez następne dziesięć lat najtrwalsze dobra – jak samochody, lodówki czy pralki – kupowano, wpłacając na początek zaliczkę, a później kolejne miesięczne raty powiększone o odsetki. Pierwszą kartę kredytową wydano w roku 1950; była to karta Diner's Club. W tym momencie General Motors wyprzedziło Forda i stało się producentem samochodów numer jeden na świecie. A amerykańska dominacja, konsumeryzm i tendencja do zadłużania się weszły w fazę pełnego rozkwitu.

Niemal sto lat po powstaniu General Motors wartość kredytów samochodowych zaciągniętych przez klientów koncernu wynosiła ponad bilion dolarów. Korporacja rozszerzyła swoją działalność także na inne gałęzie biznesu; wśród nich znalazła się działka kredytów hipotecznych.

W szalonych latach dwudziestych, dzięki wciąż powstającym nowym liniom montażowym, populacja Miasta Silników przekroczyła populację Filadelfii, Bostonu czy Baltimore – tych starych miast portowych na Wschodnim Wybrzeżu, które stworzyła żegluga morska w czasach, gdy cały świat przemieszczał się łodzią i statkiem.

Europejczycy dziwili się temu, w jakim tempie nowa Ameryka potrafi wytwarzać dobra i wydawać pieniądze. Centrum tego ekonomicznego dynamy stanowiło zaś Detroit ze swoimi dyszącymi kominami fabrycznymi.

– To siedlisko produkcji masowej, bardzo wysokich zarobków i kolosalnych zysków; lekkomyślnych zakupów na raty i nadmiaru siły roboczej – pisał w 1925 roku Ramsay Muir. – Detroit postrzega samo siebie jako świątynię nowej ewangelii postępu; ewangelii, którą chciałbym nazwać wprost: detroityzmem.

Niebo nad Detroit napełniało się popiołem i sadzą. Miało kolor brudnej ściery. Woda w rzece była tak zanieczyszczona, że – jak się mówiło – nie dało się jej nawet zabutelkować i sprzedać jako rozcieńczalnika do farb. Detroit dławiło się

przemysłem.

Po raz ostatni nad rzeką Detroit bobra widziano w 1934 roku.

LATA BANKRUCTWA

1 czerwca 2009 roku General Motors ogłosiło bankructwo, idąc w ślady Chryslera, który zrobił to miesiąc wcześniej. Ford gonił resztkami sił.

Przez większość czasu, jaki ktokolwiek z nas – współczesnych mieszkańców Detroit – pamięta, wszystkie zakłady samochodowe w Michigan stały bezczynne. Robiono plany restrukturyzacji firm, wycofywania z produkcji poszczególnych modeli aut czy zamykania co poniektórych filii przedstawicielstw handlowych. Ponad trzysta tysięcy osób z całego stanu Michigan straciło pracę. W mieście, którego założyciel nazywał się Cadillac, nie dało się już cadillaca kupić.

Tego historycznego dnia wybrałem się do Centrum Renesansu – międzynarodowej siedziby głównej General Motors. Na całej ulicy rozłożyły się ekipy z japońskich i niemieckich mediów; czekali na moment, w którym będą mogli połączyć się na żywo ze studiami w Tokio i Berlinie, by móc powiedzieć, że wreszcie wygrali.

Pokazałem Niemcom podniesiony kciuk, w ten sposób witając ich w naszym mieście. Oni zaś w odpowiedzi zmarszczyli brwi w grymasie patrzcie-jacy-jesteśmy-ważni. Zabawne, że dziennikarze z innych krajów są jeszcze większymi dupkami niż ich amerykańscy koledzy.

Bez względu na to, z jakiego kraju pochodzą, większość ludzi mediów nie wie absolutnie nic o machinacjach, jakie odbywają się na najwyższych szczeblach władzy; ale wszyscy nieustannie udają, że doskonale wiedzą, co jest grane.

Gdyby któryś z Niemców zadał sobie trud, by mnie o to zapytać, powiedziałbym mu, że kompleks Centrum Renesansu był już w połowie opustoszały. Okna dyrektorskich biur wychodziły na Kanadę, a więc szefowie General Motors nie musieli patrzeć w dół, na Detroit i jego kompletną ruinę.

Węsząc za dobrą historią, wskoczyłem do swojej (wyprodukowanej w Kalamazoo w stanie Michigan) taksówki checkera z siedemdziesiątego trzeciego roku i pojechałem w stronę Hamtramck, bo przypominałem sobie, że tam mieszczą się zakłady American Axle.

Zakłady – leżące na granicy Detroit i Hamtramck – były największymi ze wszystkich wchodzących w skład ogólnoswiatowego kompleksu Axle'a.

Produkowano w nich przede wszystkim osie do przemysłowych pikapów General Motors, które stanowiły około trzech czwartych całości sprzedaży.

Hamtramck – nękana kłopotami osada przemysłowa, zamieszкана przez dwadzieścia dwa tysiące ludzi i ze wszech stron otoczona przez miasto Detroit – stopniowo przemieniała się w miasteczko, w którym jest zbyt dużo myszy, a za mało ludzi. Na ulicy Josepha Campau otwarto ośrodek opieki społecznej, co dawniej było wprost nie do pomyślenia w tym miasteczku najpierw należącym do Polaków, a później do klasy robotniczej.

Pani burmistrz ukradziono samochód. Innym razem jeden ze starszych radnych próbował pobić złodzieja aut swoją laską. Nie udało mu się. Bandyta uciekł jego gruchotem i przy okazji zabrał laskę.

Od kiedy General Motors wyłoniło z siebie spółkę zależną American Axle i w 1994 roku uległo restrukturyzacji, związki zawodowe zaczęły negocjować właśnie bezpośrednio z Axle, nie z GM.

Gdy poprzedniej zimy wróciłem do domu, tutejsze zakłady właśnie strajkowały. Strajk prowadzony był w bardzo staroświeckim stylu – z ostrą dyskusją, gorzkimi słowami i gorącymi koksownikami. Zjednoczeni w związkach robotnicy, których liczba jeszcze niedawno sięgała dwóch tysięcy, teraz zniknęli. Przystali na cięcia płac, które w niektórych przypadkach spadły z dwudziestu ośmiu do czternastu dolarów na godzinę. Początkowo zgodzili się na te ustępstwa i milczenie w zamian za możliwość zachowania pracy. Jednak najwyraźniej to nie wystarczyło.

W całkowitej przeciwnej sytuacji znajdował się Dick Dauch – dyrektor generalny i prezes American Axle – któremu po strajku zarząd przyznał premię w wysokości ośmiu i pół miliona dolarów. A sam Dauch też dał wtedy coś swoim robotnikom – zapewnił ich (oraz całe Hamtramck), że tutejsze zakłady nie zostaną zamknięte, że wciąż będzie prowadzona w nich produkcja. Była to gołosłowna deklaracja.

O szóstej rano pustymi ulicami Hamtramck włókł się Bill Alford – przewodniczący lokalnych związków w American Axle. Szedł w górę ulicy, ku zakładom numer osiem, by, jak co dzień, odbić kartę. Z jednym rozwiązany butem, ubrany w bluzę hokejową z wielkim „C” wyhaftowanym na piersi wyglądał wyjątkowo żałośnie. To „C” oznaczało *captain* – kapitana – ale teraz Alford nie miał już właściwie komu przewodzić.

Gdy General Motors zaplanowało oficjalne ogłoszenie bankructwa, ponad pięciuset robotników zatrudnionych w lokalnych zakładach otrzymało przesłany kurierem list, w którym zawiadamiano ich, że w najbliższym czasie zostaną zwolnieni.

W normalnej sytuacji, jako przewodniczący związków, Alford nie chodziłby już do pracy, ponieważ kierownictwo nie życzyło sobie, by po halach fabrycznych pałętali się związkowi agitatorzy. Ale ponieważ w tym momencie w zakładach było zbyt mało robotników do wykonywania niezbędnych prac, Alford – związany odpowiednią umową – musiał wrócić do roboty.

I tak powierzono mu upokarzające zadanie spakowania i likwidacji swojego własnego miejsca pracy oraz załadowania na ciężarówkę skrzyń z narzędziami i maszyną. Ciężarówki miały je zawieźć do Teksasu i Meksyku.

– Oni nie chcą tu już mieć klasy średniej – powiedział mi Alford, gdy staliśmy na deszczu przed drzwiami do zakładów, a jego sznurowadło wciąż wisiało niezawiazane. – Sądzę, że w przyszłości ludzie będą musieli wyjeżdżać za pracę do Meksyku. To straszny czas dla amerykańskiego robotnika.

Poszedłem do siedziby głównej korporacji, która mieściła się w dole ulicy, by zobaczyć, czy uda mi się zrobić wywiad z Dickiem Dauchem. Zostałem wyrzucony z budynku przez ochronę.

Wróciłem do siedziby związków, w której roіło się od robotników, chcących się dowiedzieć, co, do cholery, dzieje się z ich pracą.

– Nawet nie myślę o tym, by znów kupić chevroleta – powiedział mi surowy, szczupły mężczyzna o nazwisku Johnson. Johnson otrzymał zawiadomienie o zwolnieniu w sobotę. To były jego urodziny, więc myślał, że ktoś przysłał mu kurierem prezent. – Nie kupię kolejnego nowego samochodu choćby dlatego, że nie będę mógł sobie na niego pozwolić. – Johnson zaczął się śmiać. – W sumie to dobrze, że nie pozwalają nam tam wrócić. Rozjebałbym tym skurwielom tę ich całą maszynę raz a dobrze!

Z tymi słowami na ustach odszedł.

Dauch oszukał Hamtramck i właśnie o tym napisałem historię. Jednak w redakcji mój artykuł został odczytany jako głos dotyczący grupy społecznej, która zajmuje się biznesem; grupy, do której należeli także moi szefowie. Jeden z przełożonych odwiedził mnie przy moim redakcyjnym biurku, by wytłumaczyć mi sposób myślenia Daucha i to, jak nieszczęśliwy był z powodu mojego artykułu.

– Posłuchaj – powiedział, biorąc sobie krzesło i przysuwając się do mnie. Facet

nosił wykrochmaloną niebieską koszulę i szelki. – Dick wierzył w to, że w amerykańskiej produkcji panuje duch konkurencyjności, i starał się, by ten duch zadziałał. Jednak nie udało mu się. Nie było to możliwe z winy robotników ze stanu Michigan – ich sposobu myślenia i działania, a także po prostu z winy ich notorycznej nieobecności.

Wyjaśnił mi, że każdego dnia przynajmniej jedna trzecia pracowników Axle’a nie przychodziła do pracy z powodu choroby.

– A skąd to wiesz? – zapytałem. – Wierzysz mu w tej kwestii na słowo czy pokazywał ci na to jakieś papiery? Przekaż ode mnie Dickowi, że mogę się z nim w dowolnym momencie spotkać; ale jeśli ma zamiar powtarzać tego typu rzeczy, to chcę zobaczyć na nie dowody.

– Okej, Charlie – odpowiedział, klepiąc mnie po ramieniu. – Postaraj się być trochę mniej ostry w swoich ocenach.

Byłem wściekły. Wyszedłem na zewnątrz, by zapalić papierosa. Miasto – a raczej to, co z niego zostało – paliło się co noc. Powstającą w ten sposób próżnię zajmowała natura – bażanty, jastrzębie, lisy, kojoty i dzikie psy – każdego dnia na powrót odzyskując kolejny skrawek swojej przestrzeni. Ulice były puste jak leje po wybuchu bomby, a drapacze chmur – widmowe jak hologramy. Stałem i podziwiałem młode drzewko topoli amerykańskiej, które wyrastało z dachu Lafayette Building. To było tak, jakby się żyło w Pompejach, tyle że tutaj ludzi jeszcze nie przysypał popiół.

Pod koniec roku, gdy Hamtramck znalazło się na krawędzi bankructwa, a wedle oficjalnych danych stopa bezrobocia w Michigan sięgnęła piętnastu procent, cena akcji American Axle trzykrotnie wzrosła. Dauch zaś dostał milion dolarów podwyżki.

A jeśli potrzebujecie metafory, która opisze stopień uwstecznienia tutejszej sytuacji, to powiem wam, że po raz pierwszy od siedemdziesięciu pięciu lat widziano bobra zakładającego żeremie na rzece Detroit.

DWA PLUS DWA RÓWNA SIĘ TRZY

Tej wiosny Detroit dostało nowego przywódcę. Dave Bing, przy rozczarowujących czternastu procentach frekwencji, został wybrany trzecim – na przestrzeni ośmiu miesięcy – burmistrzem miasta.

Bing przyjechał do Detroit w 1966 roku, kiedy to w drafcie NBA został wybrany z drugim numerem przez drużynę Pistons. Grał dla nich przez dziewięć sezonów, by swoją karierę sportową zakończyć jako jedna z gwiazd Koszykarskiej Galerii Sławy. Gdy przeszedł na sportową emeryturę, rozkręcił własny biznes, otwierając w Detroit fabrykę części samochodowych. Podczas całej kampanii wyborczej trąbił na wszystkie strony o swojej wyjątkowej przenikliwości i efektywności kierowniczej.

Jako wytworna, introwertyczna i stetryczała osobistość Bing nie uznał za stosowne, by powiedzieć wyborcom o tym, że jego biznes upadł, a wcześniej przez wiele lat zapewniał mu tylko tyle pieniędzy, by z trudem mógł związać koniec z końcem. Gdy przemysł samochodowy popadł w ruinę, General Motors i Ford powiedzieli Bingowi, że nie są już w stanie dłużej utrzymywać jego firmy, nawet jeśli miałyby to oznaczać ucięcie kontaktów z jednym z nielicznych przedsiębiorców mniejszościowych pozostałych w okolicy.

Bing zapomniał również wspomnieć o tym, że menedżer dowodzący jego kampanią spędził dwa lata w więzieniu. Była to kara za lewą umowę na wywożenie nieczystości, jaką udało mu się załatwić podczas kadencji Coleman Younga. Nie wspomniał też o tym, iż jeden z jego doradców prawnych był oskarżony o spełnianie funkcji *consigliere* w gangu motocyklowym Highwaymen.

Ale po koszmarze, jaki zafundował im Kilpatrick, mieszkańcy Detroit chcieli spokoju. A Dziadzio Bing był jak szklanka ciepłego mleka, na którą tak długo czekali. Od samego początku strategia Binga nie polegała wcale na tym, aby drzewo zła poprzednich rządów wyrwać z korzeniami; chodziło raczej o to, by zatroszczyć się, aby wyrosłe na tym drzewie owoce nie spadły na ziemię.

Pierwszą rzeczą, jaką ogłosił jako nowy burmistrz miasta, była decyzja o zatrzymaniu przy sobie dotychczasowego szefa policji – Jamesa Barrena, choć to pod jego okiem spirala morderstw tak się nakręciła, że nie sposób było już w żaden

sposób jej kontrolować. Bing awansował również Jamesa Macka – faceta, który wyrzucił mnie z dyscyplinarnego przesłuchania Mike’a Nevina. Teraz został on naczelnym komisarzem departamentu straży pożarnej, choć to za jego czasów ofiary ataku serca umierały w zaspach śnieżnych, bezskutecznie czekając na przyjazd karetki.

W mgnieniu oka Bing... nie zmienił nic.

Barren bardzo szybko zabrał się do pracy. I okazał się geniuszem. Nie zadając sobie nawet trudu, by wyciągać z kabury broń czy podjąć się reorganizacji słabego jak kość z osteoporozą wydziału, zdołał sprawić, że liczba morderstw zmniejszała się w niespotykanym dotąd nigdzie indziej na świecie tempie.

Kierowany przez niego wydział twierdził, że liczba zabójstw spadła w poprzednim roku o dwadzieścia pięć procent. Oczywiście stało się to za czasów rządów Barrena.

Był to tak wielki sukces, że ludność miasta bez wątpienia powinna z tej okazji zorganizować wielką imprezę. Najlepiej paradę, ze wszystkim, co na paradzie potrzebne: platformami z klaunami, cysternami z lemoniadą i banerami z napisem „DETROIT! PRZYNAJMNIEJ NIE JESTEŚMY JAK BALTIMORE!”.

Jednak, co bardzo dziwne, ta wiadomość została przyjęta milczeniem, nie wywołując żadnych komentarzy. Nie weszła nawet na pierwszą stronę żadnej gazety.

Znalazła się w końcu na którejś z dalszych stron i ludzie ją przeczytali. Przeczytali ją też gliniarze z wydziału zabójstw i kilku z nich zadzwoniło do mnie, by umówić się na lunch i opowiedzieć mi o tym, jak wierchuszka fałszuje podobne wiadomości. Nie istniała żadna prawdopodobna wersja wydarzeń, żaden sposób obejścia przewodu sądowego, które mogłyby sprawić, by liczba morderstw mogła być aż tak niska – musiało tu dojść do fałszerstw.

Spotkaliśmy się w pewnej ciemnej spelunie w pobliżu boiska bejsbolowego.

– Sprawdź te liczby, przecież to niemożliwe – powiedział sierżant Mike Martel, duży facet, którego życiowa postawa i doświadczenie streszczały się w jego wąsiku. Bo wąsik miał gruby, ostry i poszarpany od licznych kłopotów. – Kiedy oni robią tak, by wszystko wyglądało na lepsze, niż jest, wtedy my nie dostajemy pieniędzy potrzebnych na to, by mieć oko na to przerażające zadupie. Czy wiesz, jakimi gównianymi samochodami musimy jeździć? Czy wiesz, ile spraw naraz

musimy prowadzić?

Powiedziałem, że wiem. Przypomniałem sobie kałużę wody na podłodze auta, którym jeździł detektyw prowadzący sprawę Johnniego Dolara, zamarznętego mężczyzny.

Drugi z detektywów też nosił wąsik. Był niższy od Martela. I bardziej złośliwy. Uśmiechał się blado. Opowiedział mi o niedawnych czasach, w których detektywi z wydziału zabójstw dojeżdżali na miejsca morderstw autobusem, bo wydział nie miał dla nich żadnych sprawnych aut.

– Oni za naszymi plecami okradają miasto, Charlie – powiedział, pocierając palce. – W tym mieście dwa plus dwa równa się trzy.

– Kilpatrick. Bing. Ktokolwiek. Nic się, kurwa, nie zmienia – rzucił Martel, zaciskając dłoń tak, jakby chciał udusić trzymaną w niej szklankę z lemoniadą. Obejrzał się przez ramię. Sprawdził, czy wydział zabójstw nie wysłał za nim szczura, który doniesie o jego rozmowie z reporterem. Nikogo nie zobaczył. Wypił całą szklankę na raz.

*

Pojechałem zobaczyć się z doktorem Schmidtem, lekarzem sądowym. Każda ofiara morderstwa musi trafić do kostnicy, więc wiedziałem, że tam zdobędę prawdziwe i dokładne informacje.

Zaprowadzono mnie do prosektorium. Lodówka była po sam sufit zapchana zwłokami w plastikowych workach, a ciała, które nie zmieściły się tutaj, tymczasowo przetrzymywane były w stojącej na parkingu ciężarowej chłodziarce. Śmierdziało zgniłymi czereśniami. Podłogi się kleiły.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytałem doktora Schmidta – faceta, który lubił poetyzować na temat śmierci – gdy ten wszedł do pomieszczenia swoim szybkim krokiem, szurając nogami i wyciągając do mnie rękę.

– To znak tego, jak źle się dzieje – odpowiedział jakby nie bardzo na temat. – To kwestia ekonomii. Niektórzy ludzie muszą zupełnie dosłownie dokonać wyboru między tym, czy pochowają swoich zmarłych, czy też będą mieli co jeść. To bardzo smutne, doprawdy. Przez wszystkie te lata, jakie tu spędziłem, nigdy nie widziałem, by sytuacja była aż tak zła.

Ludzie z hrabstwa Wayne nie mogli już sobie pozwolić na chowanie swoich bliskich zmarłych. W kostnicy znajdowało się ponad dwieście pięćdziesiąt

nieodebranych ciał. Doktor opisał mi najsmutniejszą sprawę, na jaką trafił. Chodziło o zwłoki starszego mężczyzny, które znajdowały się tu już od dwóch lat, stopniowo przenoszone na sam spód stosu ciał. A rodzina wciąż czekała na lepsze czasy, by móc je odebrać.

– Można powiedzieć, że to bardzo dokładnie oddaje sytuację, w jakiej znajdujemy się teraz my wszyscy, jako społeczeństwo – powiedział dobry doktor, wzruszając przy tym ramionami.

Zanotowałem sobie tę historię. Biedny dziadziuś. Jego kłopotliwe położenie to nie była dobra wiadomość, ale jednak jakaś wiadomość – i to taka, która moim zdaniem miała szansę trafić na pierwszą stronę.

I wtedy doktor przedstawił mi całą gamę wiadomości nadających się na pierwszą stronę. To było właśnie to, czego szukałem. Okazało się, że w 2008 roku w Detroit zamordowano niemal czterysta osób, a nie – jak utrzymywali przedstawiciele miasta – trzysta.

Policja miała rację. Policja kłamała.

Wybrałem się na wieś, by powędkować. Nagle zadzwonił mój telefon. Na linii miałem naczelne dowództwo policji.

– Zastępca naczelnika chciałby się z panem spotkać – powiedziała kobieta. – Czy jest pan dostępny?

Powiedziałem, że tak. Co prawda miałem urlop, ale uzyskanie audiencji na policji było czymś wyjątkowo rzadkim. Skandal wokół Kilpatricka sprawił, że cały departament zamknął się na cztery spusty.

Prawdziwi dziennikarze wiedzieli, że wydział rozwiązuje tylko około jednej czwartej spraw, które dostaje (co było narodową hańbą), i dlatego prawdziwych dziennikarzy policja trzymała z dala.

Po całych miesiącach, kiedy to policjanci nieustannie mnie zbywali, zagroziłem w końcu, że pozwę ich do sądu, jeśli nie dostanę dostępu do rejestrów zabójstw. Nie mieli żadnych podstaw prawnych, by mi tego dostępu odmawiać, a więc szefowie postanowili w końcu wezwać mnie na spotkanie.

Dokończyłem piwo i jak mnie Pan Bóg stworzył wszedłem na wzgórze. Ucałowałem żonę i córkę, ubrałem się i pojechałem do miasta, na spotkanie z policją.

Wśród oczekujących znajdowało się także dwóch facetów, którzy wcześniej rozmawiali z moim szefem i dali do telefonu detektywa Wrighta, zmuszając go jednocześnie do odwołania twierdzenia, jakoby był on jedynym śledczym przypisanym do sprawy morderstwa strażaka Harrisa.

Zastępca naczelnika siedział za metalowym biurkiem. Pod jego wykrochmaloną koszulą rysowały się twarde mięśnie, co nadawało mu wyjątkowo władczy wygląd. Po prawej miał okno. Rolety były zasłonięte, by nie trzeba było oglądać przykrego widoku Detroit. Mimo to Tolbert mrużył oczy.

U jego boku stał porucznik z wydziału zabójstw. Wyglądał jak dworzanin swojego pana – ubrany w źle dopasowany garnitur, który leżał na nim tak, jakby przed chwilą wyciągnięto go z garderoby teatru kukielkowego. Miał gładko wygoloną czaszkę, której kształt zaznaczały okulary w ciemnych oprawkach. Pomimo rangi porucznik w czasie całej swojej kariery nigdy nie pracował przy ani jednej sprawie o morderstwo.

Z kolei zastępca naczelnika był zwierzęciem politycznym, facetem, który – dzięki ciężkiej pracy, właściwej dozie kompetencji i niezwyklej zdolności do ulatniania się, gdy sytuacja zyskiwała status przesranej – błyskawicznie piął się po szczeblach drabiny awansu w swoim wydziale.

Zastępca szefa miał szansę któregoś dnia sam zostać szefem. Musiał tylko uniknąć sytuacji, w której wmieszałby się w jakiś skandal. A w policji Detroit nie było to łatwe zadanie.

Ja reprezentowałem dla niego wyłącznie kolejną kupę ciepłego, parującego gówna, jaka co rusz stawiała mu na drodze do wymarzonego stanowiska.

Przekartkował notatki i wyjaśnił mi dobronudnym tonem, że podana przez wydział zabójstw liczba trzystu sześciu morderstw wynikała jedynie z urzędniczej pomyłki, którą należy przypisać wadliwemu działaniu policyjnych komputerów.

– Tak więc, jak widzisz, prawdziwa liczba to trzysta trzydzieści dziewięć, Charlie.

– Cóż, czuję się jak wieśniak w swój pierwszy dzień w mieście – odpowiedziałem, przeglądając jednocześnie pełen tabel segregator. – Ale zgodnie z moimi wyliczeniami pozostają nam jeszcze cztery tuziny brakujących ciał.

Wtedy zastępca wyjaśnił mi, jak działa zasada „wycofania”.

W myśl naszej policji niektóre zabójstwa zabójstwami wcale nie były i należało je „wycofać”, czyli nie wliczać do statystyk.

– Zrozum, Charlie, jest pozbawienie życia i jest zabójstwo – cierpliwie

tłumaczył Tolbert. – Zdarza się, że lekarz sądowy stwierdzi zabójstwo, więc my prowadzimy śledztwo. A w jego trakcie, gdy przedstawiamy dokumenty w prokuraturze, oni nam mówią, że to był akt samoobrony. Medycznie pozostaje to zabójstwem. Ale z perspektywy prokuratury nie ma komu postawić zarzutów. Tak więc to jest pozbawienie życia, ale nie zabójstwo.

– Możesz podać jakiś przykład? – zapytałem.

– Cóż, pomyślmy – widać, że zaczął coś liczyć. – Było dziesięć zabójstw, których sprawcami byli policjanci, a więc to się nie liczy.

Tu akurat miał rację. FBI pozwalało, by wycofywać ze statystyk zabójstwa z ręki policji. Inna sprawa, że to była szokująca liczba, która sprawiała, że wydział policji w naszym mieście stawał się najbardziej zabójczym w całej Ameryce. Nikt nie musiał składać w tej sprawie raportów; jednak wydział, skoro działał pod nadzorem federalnych, powinien był dostawać od nich zezwolenie na tak częste stosowanie ostatecznych rozwiązań.

– I dalej... okej, tutaj jest – kontynuował zastępca, stukając palcem w tabelę w sposób, który wyraźnie pokazywał, że znalazł przekonujący dowód w sprawie, którą mi właśnie przedstawiał.

– Dwóch braci upiło się. Doszło do kłótni. Jeden z nich wyciągnął nóż. Wyciągnął nóż i zabił swojego brata. Jak byś to nazwał?

– Ja? – zapytałem i rozejrzałem się po pokoju. – Ja? Nazwałbym to zabójstwem.

– A ja nazywam to niewystarczającym dowodem – powiedział z całą powagą.

Zrozumiałem. Ponieważ na policję wywierano nacisk związany z obniżeniem statystyk, dawała się ona wciągać w nonsensowne reklasyfikacje; okazało się, że robili tak już od lat. Przypomnił mi się przypadek mężczyzny o nazwisku Antonio Bailey, który umarł w wyniku śmiertelnego postrzału w głowę. Lekarz sądowy uznał, że to zabójstwo; ale policja nazwała to samobójstwem. Kiedy indziej przy autostradzie znaleziono człowieka o nazwisku Roland Johnson. Wedle lekarza mężczyzna został pobity na śmierć. Natomiast policja uznała to za wypadek drogowy.

Jeśli liczba zabójstw była regularnie zaniżana, a detektywi nie byli w stanie zamykać swoich spraw, to pojawiało się pytanie: jak wielu kryminalistów wciąż chodziło wolno po naszej Stolicy Morderstw?

Walt Harris – strażak, który zginął w wyniku podpalenia – został umieszczony na policyjnej liście zabójstw pod numerem dwieście osiemdziesiąt osiem. Gdy

znalazłem nazwisko przypisanego do tej sprawy śledczego, postanowiłem się z nim skontaktować. Po tym, jak na całej pierwszej stronie opisałem historię, jak to nikt nie ściga zabójcy Harrisa, do sprawy przydzielono duży oddział ludzi, którzy mieli tego zabójcę wytropić. Śledczy zaproponował, byśmy spotkali się w barze przy Grand River. Scena naszego spotkania wyglądała jak żywcem wyjęta z powieści Chandlera. Choć był środek lata, policjant przyszedł na spotkanie ubrany w trencz i kapelusz z szerokim rondem. Mimo że był dopiero poranek, pił czystą whiskey i piwo na przepitkę.

– A więc ten twój koleś, Harris... – zaczął mówić, przyglądając się swoim butom. – Mamy mordercę.

– Tak? – zapytałem nieco zbyt głośno. – Kto? Kiedy?

– Facet nazywa się Darian Dove. Człowiek z marginesu. Trochę jakby opóźniony. Parał się dorywczymi pracami. Przyznaje się i mówi, że zapłacono mu za podpalenie tego domu. Mówi, że oglądał cały pożar z pobliskiej stacji benzynowej. Twierdzi, że właściciel domu, który obiecał mu w zamian za wykonanie zadania nową ciężarówkę, stał tam razem z nim.

– Nie gadaj? A jak go znaleźliście?

– Prześledziliśmy rejestr rozmów na komórce właściciela domu i tak dotarliśmy do Dove'a. Okazało się, że także on sam dzwonił na dziewięćset jedenaście. Ale bynajmniej nie dlatego, że ruszyło go sumienie, tylko dlatego, że właściciel nie chciał spalić domu zupełnie, a jedynie na tyle, by dostać pieniądze z ubezpieczenia. A Dove był na niego wkurzony, bo nie dostał ciężarówki, którą tamten mu obiecał.

– To świetna wiadomość – powiedziałem, zamawiając jednocześnie piwo, by to uczcić. – To znajdzie się w gazecie już dziś wieczorem.

– Nie, nie znajdzie się – stwierdził gliniarz, łapiąc mnie za ramię. – Bo jest mały problem.

– No nie. Co znowu?

– Obawiam się, że niewłaściwie przedstawiliśmy mu prawa Mirandy. Pracujemy nad tym, więc nie możesz nic napisać w gazecie, bo spieprzysz nam robotę. Dam ci znać, jak już będzie po problemie.

Historia o statystce była gotowa do publikacji, a wtedy – jakby był jakimś jasnowidzem – zadzwonił do mnie porucznik.

– Wydawało mi się, że się zrozumieliśmy, Charlie – przypomniał mi. – Jeśli nie postawiono dokładnych zarzutów, to jak to może być zabójstwo?

– Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób jesteście w stanie zamieniać

zabójstwo w samobójstwo.

– Okej – syknął jak sprężone powietrze.

Odłożył słuchawkę, wiedząc, jak to wszystko się skończy.

Następnego ranka na pierwszej stronie przeczytać można było opisaną przeze mnie historię morderstwa, opatrzoną takim – wyjątkowo dyskretnym – nagłówkiem: *Policja Detroit zaniża liczbę zabójstw*.

Poczta głosowa mojego firmowego telefonu kipiała od nienawiści.

Biiip: „Jesteś białym człowiekiem, Charlie, a siejesz wokół zamęt, Charlie. Założę się, że jest ci wygodnie w tym małym zameczku, który sobie zbudowałeś, Charlie. Cóż, mieszkamy w twojej okolicy i spalimy ci ten zameczek, białasie. To będzie długie i gorące lato, Charlie. Uważaj na siebie”.

Biiip: „A czego się spodziewasz po czarnuchach? Czego się nie dotkną, zamienia się w gówno. Chcesz rozwiązać problem morderstw? To odeślij ich do Afryki”.

I dalej w ten deseń.

Gdy rozmyślałem nad tymi przyjacielskimi grzecznościami, zadzwonił do mnie pewien mężczyzna, który przeczytał mój artykuł. Narzekał, że pięć lat temu był świadkiem morderstwa i teraz chciałby o tym opowiedzieć, ale policja nie może znaleźć dla niego wolnej chwili.

Zadzwoniłem do porucznika z wydziału zabójstw.

– Czyżby? – jego głos ociekał pogardą. – Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie – zakończył krótko i zdecydowanie i odłożył słuchawkę.

Zadzwoniłem do biura burmistrza, by uzyskać materiał do opisania dalszych losów mojej historii z pierwszej strony. To stary dziennikarski trik. Dajesz artykuł na pierwszą stronę. Całe miasto zaczyna żyć twoją historią. Burmistrz obiecuje, że podejmie odpowiednie działania. Następuje uroczyste przecięcie wstęgi i wszystko znów toczy się po staremu.

Ale to było Detroit. Gdy dodzwoniłem się do biura prasowego burmistrza Binga, z niewiadomych przyczyn odmówiono mi wszelkich komentarzy i powiedziano, bym dzwonił na policję. A więc zadzwoniłem.

– Pozostańmy przy sprawie numer trzysta trzydzieści dziewięć – powiedział mi nowy rzecznik wydziału. – Twierdzimy, że sytuacja, w której dwóch ludzi wzajemnie dźga się nożami, a dalej w toku śledztwa okazuje się, że jeden z nich działał w obronie własnej, nie jest zabójstwem. Kto mówi, że to jest morderstwo?

– FBI tak mówi – odpowiedziałem mu.

– A kto mówi, że to FBI decyduje? – facet wyraźnie tracił panowanie nad sobą. – Rzecz w tym, że jeśli uznamy, iż było to słuszne działanie, przestaje być ono morderstwem. Dajmy jeszcze więcej władzy FBI.

Zamieściłem to w moim tekście, kliknąłem „wyślij” i potrząsając z niedowierzaniem głową, poszedłem do samochodu.

Gdy się do niego zbliżyłem, przestałem się śmiać. Ktoś pociął mi opony. To mógł być przypadek i pewnie nim był. Ale jeździłem starą taksówką Checkera, wielkim samochodem o okrągłych kształtach, jakie można spotkać właściwie już tylko w starych filmach o Nowym Jorku. Taki samochód wyróżnia się w mieście, w którym wszyscy jeżdżą autami, które nie wytrzymują nawet pięciu lat. Zmieniłem opony i pojechałem do domu, do mojego milutkiego domku na przedmieściach, a po drodze myślałem o tym, że rzeczy zaczynają mi się wymykać spod kontroli: groźby śmierci i rasistowskie obelgi, a teraz jeszcze pocięte opony.

Będę musiał zmienić samochód.

Następnego ranka zadzwoniła do mnie kobieta, która przeczytała dalszy ciąg mojej historii. Powiedziała mi, że mężczyzna, który zgłosił się do mnie jako świadek morderstwa sprzed lat, był podejrzanym w sprawie zabójstwa jej męża.

Twierdziła, że zwolniono go z więzienia, ponieważ świadek, który miał zeznawać w jego sprawie, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Poszedłem do archiwum, by w starych wycinkach prasowych sprawdzić, czy jej historia była prawdziwa. Była.

Zacząłem się sam do siebie śmiać. Tylko w Detroit ktoś podejrzany o morderstwo może zadzwonić, by donieść o podejrzeniu popełnienia innego morderstwa, a szef wydziału zabójstw odmówi spotkania z nim i przyjęcia jego zeznań.

Wkrótce potem burmistrz Bing powiadomił szefa policji Jamesa Barrena, że go zwalnia. Na miejsce Barrena zatrudniono Warrena Evansa, szeryfa hrabstwa Wayne. Evans spotkał się z prokuratorem. Spotkanie to zaowocowało korektą zestawienia morderstw za 2008 rok; teraz było ich trzysta siedemdziesiąt pięć. Baltimore miało powody do świętowania. Detroit odzyskało niechlubny tytuł Stolicy Morderstw.

Evans był szczupłym, dokładnym i zadbanym dyktatorem. Wychowany w Kaplicy Czarnej Madonny darzył Detroit głębokim i trwałym uczuciem

i wierzył, że dla czarnych Amerykanów miasto to było czymś ważniejszym niż sam Harlem.

Ale Evans wiedział też, że nasze miasto popada w ruinę, a zamieszkujący je ludzie przenoszą się na przedmieścia, bo mają dość grasujących tu nieustannie przestępców, którzy terroryzują zwykłych obywateli. Evans obiecał, że zapanuje nad tą sytuacją i że w tym celu zrobi „wszystko, co konieczne” – pod tą frazą kryło się zarówno to, że polecą głowy, jak i to, że będzie trzeba zignorować przepisy związków zawodowych.

Mianowanie Evansa było chyba najlepszą decyzją, jaką burmistrz Bing podjął podczas całej swojej pierwszej kadencji. Jednak nominacja ta miała doprowadzić do przerażającego i śmiesznego zarazem końca. Niewiele brakowało, a zniszczeniu uległoby wszystko, co nam tu w Detroit jeszcze zostało.

A dla Barrena to nie był jeszcze koniec złych wiadomości. Tego samego popołudnia, gdy czyścił blat opuszczanego biurka, ktoś inny wyczyścił mu cały dom. To był już trzeci raz, gdy się do niego włamano. Tym razem złodzieje zabrali komputer, telewizor, biżuterię i zegarki.

– To część życia w Detroit – wyjaśnił mi, gdy udało mi się do niego dodzwonić. – Środki, jakimi dysponuje policja, zredukowane są już do absolutnego minimum.

Choć nigdy nie powiedziano niczego prawdziwszego, to już tydzień później obywatele zastanawiali się, dlaczego wydział policji wysłał aż cztery radiowozy, by te eskortowały na cmentarz dwa karawany.

Zwłaszcza że w tych karawanach nie jechały ludzkie zwłoki, ale maskotki, które do tutejszego Muzeum Historycznego Wytwórni Motown poznosili fani gwiazdy pop Michaela Jacksona, by w ten sposób uczcić swojego idola, który zmarł wskutek przedawkowania leków.

W miejskiej kostnicy wciąż mogło sobie spoczywać dwustu pięćdziesięciu nieodebranych nieboszczyków, ale przynajmniej zabawki były już bezpieczne i godnie pochowane.

Maskotki złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu Woodlawn, tuż obok mauzoleum upamiętniającego symbol walki o prawa obywatelskie – Rosy Parks.

LEPIEJ, ŻEBYŚ MIAŁ DLA MNIE FORSĘ

Szef policji nie był jedynym politykiem, który musiał teraz zabierać swoje rzeczy osobiste ze służbowego biurka. Kluczowych graczy, którzy brali udział w aferze dotyczącej miliardowej umowy na wywóz nieczystości, stawiano teraz przed sądem. Monica Conyers chodziła cała w stresie. Jej napięcie rzucało się w oczy jak tandetna sukienka włożona na elegancki koktajl. Jedynie kwestią czasu było to, by została odpowiednio osądzona.

Przewodnicząca Rady Miejskiej zaprzeczyła – wobec mnie i reszty dziennikarzy – jakoby były kongresmen, jej brat, zajmował teraz na jej prośbę fikcyjne stanowisko z fikcyjną pracą w Radzie Miejskiej. Na początku zaprzeczała właściwie wszystkiemu, nie przyznając się nawet do tego, że człowiek ten w ogóle był jej bratem.

Wyczuwając, że powoli kończy się czas jej wolności i zdrowia psychicznego, zadzwoniłem na komórkę Conyers, by umówić się z nią na wywiad. Nie odebrała.

Odłożyłem słuchawkę. Za kilka chwil zadzwonił mój telefon – pokazał się numer, na który przed chwilą dzwoniłem.

– Monica?

– Kto mówi? – odpowiedział głos.

– Charlie LeDuff.

Długa, wymowna cisza.

– Hmmmm... tutaj Teresa – wyjąkał głos. – To nie jest już numer Moniki.

– Jezu, chyba sobie robisz jaja – powiedziałem ze śmiechem. – Monica, wiem, że to ty. Poznaje cię po głosie.

– Nie, tutaj Teresa. Przykro mi – po czym Monica odłożyła słuchawkę.

Po tym wydarzeniu sądziłem, że już jej więcej nie spotkam; chyba że w sądzie. Ale parę dni później, gdy sądowe psy gończe deptały jej już po piętach, z niewytłumaczalnych przyczyn Conyers zgodziła się wziąć udział w programie o gotowaniu; organizatorem imprezy był Joel Kurth – redaktor odpowiedzialny za współpracę „Detroit News” z ratuszem – a ja byłem producentem przedsięwzięcia.

Bójka w barze. Potem obmacywanie mnie po jajach. Wreszcie program kulinarny tuż przed wejściem do federalnego zakładu karnego. Nie miałem pojęcia,

dlaczego Monica robiła to, co robiła. Może była szalona. Może samotna. Może w jej umyśle zrodził się jakiś szatański plan, którego ja po prostu nie byłem w stanie zrozumieć. Ale to właściwie nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Monica Conyers dla obywateli miasta Detroit mogła być złem wcielonym, ale dla czytelników „Detroit News” była świetnym tematem.

Program tego show opierał się na prostym pomysśle: Monica miała udzielać wywiadu podczas przygotowywania w barowej kuchni smażonego kurczaka i frytek; gotować i w tym samym momencie opowiadać słodkie kłamstwa na temat stawianych jej zarzutów o korupcję i defraudację.

Cała zabawa odbywała się we wschodniej części miasta w barze o wdzięcznej nazwie Butchers – Rzeźnicy. Posiłek miał przynajmniej pięć tysięcy kalorii, bo dopełniały go ciasteczka domowej roboty oraz lody z sosem czekoladowym. Conyers połknęła to wszystko, popijając posiłek dietetyczną mrożoną herbatą.

Gdy skończyliśmy filmować, wyszedłem z nią na papierosa; staliśmy na tyłach restauracji przy wyłożonej kocimi łbami ulicy i nie odzywaliśmy się do siebie. Był koniec czerwca, wokół tłuszczojnika kotłowały się muchy. Wydawało się, że Monica w ogóle ich nie zauważa. Była cicha i jakby nieobecna. Wyczułem dobry moment i wybrałem na komórce jej numer. Telefon zadzwonił. Spojrzała na mnie.

– Teresa, kurwa mać – powiedziałem. – Monico, nigdy cię nie prześladowałem. Dlaczego nie odbierałaś telefonów ode mnie?

– Wiesz, jestem teraz przerażona – powiedziała. Była blada i wymizerowana. Mała przestraszona dziewczynka. Prawie zrobiło mi się jej żal.

Po miesiącach uników i zaprzeczania Conyers w końcu przyznała się do tego, że jako członkini Rady Miejskiej i pracownik Komisji Emerytalnej wyciągnęła od ludzi dziesiątki tysięcy dolarów.

Federalni mieli wszystkie dowody, jakich potrzebowali – Conyers przyjmując koperty wypchane gotówką, Conyers wyciągając pieniądze z kieszeni płaszczy biznesmenów, Conyers wychodząc z restauracji bez zapłacenia rachunku.

Wśród nagranych z podsłuchu rozmów znalazło się kilka bardzo dobrych tekstów, które później można było usłyszeć z taśm podczas rozprawy:

– Lepiej, żebyś miał dla mnie forszę. Tylko tyle ci powiem – tak Conyers powiedziała w którymś momencie do swojego adiutanta, Sama Riddle’a.

Albo: „Nie gadaj mi takich pierdół. Nie jestem głupią dziwką”.

Conyers – żona kongresmena, członka Komisji Sądowej w Izbie Reprezentantów – przyznała się do winy: współudziału w braniu łapówek. A obywatele mieli problem, bo musieli zapłacić rachunek wystawiony przez wyznaczonego jej z urzędu obrońcę.

LEPKIE RĘCE SADZY

Nevina zwolniono ze straży pożarnej za to, że pozwolił zabrać do remizy wyrzucone na śmietnik drzwi z moskitierą. Postawiono mu zarzuty zaniedbania obowiązków, popełnienia błędów w sprawowaniu nadzoru nad podwładnymi oraz spowodowania szkody w departamencie. A faceci, którzy rzeczywiście wynieśli wtedy tamte drzwi, zachowali swoje posady.

Nevin zaskarżył wyrok, twierdząc, że jego zwolnienie było zemstą za to, iż w lokalnej prasie nazwał swoich zwierzchników „kupą parującego gówna”; skontaktował się także z inspektorami, by donieść im o tym, w jak alarmującym stanie znajduje się wydział.

Wygrał sprawę. Dostał zwrot kosztów sądowych i dodatkowo pięć tysięcy dolarów odszkodowania. Został też przywrócony do służby.

W dwudziestej trzeciej remizie świętowano powrót Nevina. Także ja i mój brat wybraliśmy się w odwiedziny do strażaków, by osobiście pogratulować im sukcesu. Frankie wziął ze sobą dużą, czarno-białą, ładnie oprawioną fotografię. Było to zdjęcie, które sam zrobił – przedstawiało zepsuty kibel w remizie. Był to prezent dla Nevina, który prawie zaczął śpiewać ze szczęścia, gdy odwinął prezent z papieru.

– To jest, kurwa, najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu dostałem – powiedział. – Zdjęcie pieprzonego zjebanego kibla w pieprzonym zjebanym mieście.

Miał rację. To było ładne zdjęcie. Nad poplamionym sedesem wisiała krzywo amerykańska flaga, a o ściankę kabiny oparty był brudny mop.

Jeśli wiedziałeś, na co dokładnie patrzysz, jeśli rozumiałeś kontekst miejsca, w którym byłeś – wiedziałeś, że jest to naprawdę wysoka sztuka. Jeśli umarł ci przyjaciel, a ty wiedziałeś, że to wcale nie musiało się zdarzyć; jeśli wiedziałeś, że tym, co go zabiło, były niekompetencja i korupcja, mogłeś nazwać to zdjęcie zepsutego kibla czymś epickim. Jeśli wiedziałeś, że to miejsce – miejsce, które zbudował twój dziadek – chyli się ku upadkowi w szambo, mogłeś patrzeć na ten kibel jak na rzeźbę.

Stary dom dziadka Nevina stał kiedyś w dole ulicy, ale w końcu zaczął

przypominać spalony materac, po czym poddał się zupełnie i zapadł. Jednak wnuk i tak próbował dalej walczyć; robił to codziennie, wbiegając do płonących budynków, wynosząc z nich podduszone dzieci i wszystko inne, co dało się jeszcze uratować. Okazało się jednak, że nie jest w stanie zrobić wiele – nie mógł nawet pozbyć się much z remizy, bo nie dostał pieprzonych drzwi z moskitierą.

Czajnik grzał się na kuchence, miasto popadało w ruinę, najlepszy przyjaciel nie żył, a żona spakowała bambetle i zabrała dzieci. Ta fotografia była jedyną rzeczą, jaka pozostała Nevinowi – zdjęcie zepsutego kibla, które było najpiękniejszym dziełem sztuki, jakie kiedykolwiek widział.

– Dzięki, chłopie. Powieszę to sobie w salonie – powiedział do Frankiego.

Nevin położył zdjęcie obok stołu z żarciem i zniknął na schodach, które prowadziły na górne piętro remizy; znajdowały się tam prycze i szafki. Poszedłem za nim. Nie widział mnie. Podszedł prosto do szafki, która kiedyś należała do Walta, a teraz – jak jakaś kapliczka – była cała obwieszona jego zdjęciami i kartkami kondolencyjnymi; w środku zostały narzędzia Walta i jego strażacki strój.

W prawej ręce Nevin trzymał tanie cygaro. Oparł się o drzwiczki szafki przyjaciela. Pocierał głowę w miejscu, w którym kiedyś rosły włosy. Lewą dłonią zasłonił oczy i trochę popłakiwał.

James Mack, urzędnik, który parę miesięcy wcześniej wyprowadził mnie za łokieć z centrali strażackiej i wystawił na zalaną deszczem ulicę, teraz był komendantem straży pożarnej. To, co stało się z Nevinem, odebrałem jako oczywistą wiadomość: każdy, kto przekroczy wyznaczoną linię i znajdzie się w moim artykule, każdy, kto będzie się opowiadał za jakimikolwiek zmianami w samym wydziale lub w całym rządzie hrabstwa Wayne, znajdzie się na czarnej liście.

Zabrałem się do tego, co obiecałem Mackowi, i zacząłem przegrzebywać się przez stosy wydziałowych papierów; chciałem znaleźć pieniądze, których zabrakło na zakup drzwi z moskitierą. Powołując się na przepisy dotyczące wolnego dostępu do informacji, poprosiłem władze Detroit, które nadzorują miejskie projekty budowlane, o całe sterty umów, raportów z inspekcji i faktur.

Zwykle nie piszę o sprawach związanych z biurokracją, wolę pisać o wąsach i pocie. Ale tutaj było jasne, że niszczone żyjących w Detroit zwykłych ludzi. W najlepszym wypadku winna była temu wszechogarniająca niekompetencja,

a w najgorszym – wszechobecne łapówkarstwo.

Towarzyszyła mi młoda i nieśmiała sekretarka, której kazano siedzieć ze mną w pozbawionym okien pokoju konferencyjnym przez cały ten czas, gdy przekopywałem się przez stosy umów. Wentylacja chyba nie działała, więc w pokoju panowała duszna atmosfera domu pogrzebowego.

Rejestry, które dostałem, były sporządzone bardzo niechlujnie; na fakturach widniały złe adresy, a w wielu wypadkach zupełnie brakowało jakiegokolwiek dokumentacji. By to wszystko rozsądnie poukładać, potrzebny byłby ekspert księgowości.

Ale po wielu godzinach przeglądania papierów właściwie na chybił trafił, zacząłem coś dostrzegać. Znalazłem siedem milionów dolarów, które miały być przeznaczone na gałki do drzwi, kurki do kranów i drzwi z moskitierą, jednak te pieniądze nigdy nie trafiły do remiz. Wydawało się, że gdzieś podczas przerzucania się papierkami forsa po prostu wyparowała. Gdzieś potrzebne były specjalne środki dodatkowe. Gdzieś indziej nastąpiła zmiana zamówienia. W jeszcze innym miejscu trzeba było zrobić małe malowanie. A reszta znikła.

Weźmy połączony z remizą komisariat policji w zachodniej części miasta. Zaczęło się od podpisanej bez organizowania jakiegokolwiek przetargu umowy na dwieście czterdzieści tysięcy, ale wkrótce kwota ta – przynajmniej wedle papierów, które przejrzałem – urosła do dwudziestu milionów dolarów. Główny wykonawca wziął z tego trzystaście procent, reszta zaś rozeszła się pomiędzy podwykonawców.

W komisariacie, o którym mowa, były popękane podłogi, nie działało ogrzewanie i zapomniano o instalacji rur, które doprowadzałyby wodę dla wozów strażackich.

Może nie były to akta Pentagonu i może ich opisanie nie mogło mi zapewnić Nagrody Pulitzera, ale w papierach tych znalazłem informacje, które wyjaśniły mi, w jaki sposób przez kolejne dekady stopniowo wytaczano z tego miasta krew.

Zrobiłem kopie niektórych raportów i objechałem remizy. Musiałem pukać do tylnych drzwi, bo – po tym, co przydarzyło się Nevinowi – strażacy bali się pokazywać ze mną publicznie.

Ale zawsze mnie wpuszczali i częstowali filiżanką kawy. Poza tym to właśnie mnie zarzucali wszystkimi swoimi narzekaniami i skargami; przy mnie odkręcał się kurek ich frustracji, która zaczynała tryskać jak zepsute wino. Od lat bardzo niewielu ludzi poświęcało im choć trochę uwagi. Żaden miejski reporter w ogóle nie zajmował się problemami ich wydziału, więc to mnie mówili teraz wszystko, co

mieli do powiedzenia.

Pokazali mi spleśniałe i przeciekające rury, odsłoniętą azbestową izolację, popsute kible, popękane podłogi, zepsute ogrzewanie i wypływające z piwnicznej kanalizacji fekalia. Lepiej utrzymane budynki widziałem w slumsach w Tijuanie.

Nevin i inni chłopcy z dwudziestej trzeciej remizy już wcześniej opowiadali mi o tym, że jest źle, ale to, co zobaczyłem, było gorsze niż straż pożarna w Bagdadzie, która zresztą dostała od Stanów Zjednoczonych ponad sto pięćdziesiąt milionów dolarów dotacji, podczas gdy Detroit wciąż nie dostało ani centa.

Odwiedziłem przynajmniej tuzin remiz, po czym umówiłem się na spotkanie z najważniejszymi oficjelami wydziału w ich siedzibie głównej, która mieściła się w starym ceglany budynku. Zostałem wprowadzony do pokoju, którego ścianę zdobił duży mural przedstawiający strażaków. Stał tam również – wielki jak sam mural – mahoniowy stół oraz nadpobudliwy wentylator, który szarpał się jak pies na łańcuchu. W pokoju było gorąco, prawie trzydzieści stopni. Zdjąłem krawat i podwinąłem rękawy.

Po paru minutach wszedł komendant Mack oraz dwoje jego podwładnych. Nikt z nich nie miał ze sobą nawet ołówka.

– O co konkretnie chciałby pan zapytać? – lekceważącym głosem spytał mnie Mack, jednocześnie siadając. Zauważył, że mam dyktafon, i zabronił mi nagrywać tę rozmowę.

– Nie ma takiej potrzeby, prawda? – uśmiechnął się jeden z podwładnych Macka, szczerząc zęby.

– Nie ma problemu, proszę pana – odpowiedziałem Mackowi. Nie zapamiętał mnie ze spotkania w windzie. Pokazałem mu kilka faktur.

Opowiedziałem mu o strażakach z dziewiętnastej remizy, która mieści się we wschodniej części Detroit. Strażacy ci nie są w stanie parkować swoich wozów w głównym budynku, ponieważ nie wytrzymuje tego podłoga, chociaż miasto przeznaczyło prawie pół miliona na jej naprawę.

– Może to błąd urzędników – tonem przemądrzałej dupencji odpowiedziała kobieta, która przyszła z Mackiem.

– Też tak pomyślałem – odpowiedziałem. – Problem polega na tym, że nie istnieje żadna dziewiętnasta remiza, choć otrzymała ona jeszcze dodatkowo ćwierć

milion dolarów na inne remonty.

– Niechże pan to pokaże – odezwała się znów kobieta, chwytając dokumenty. Długo na nie patrzyła, po czym w końcu się odezwała. – Nie wiem, co panu powiedzieć.

Miałem także dokumentację dotyczącą remizy numer dwadzieścia dwa, której na nową podłogę przyznano pół miliona dolarów. Problem polegał na tym, że pod adresem, gdzie owa remiza miała się mieścić, dziesięć lat temu znajdowała się meksykańska restauracja Casa de España. Później budynek zabito deskami i zostawiono, by powoli zapadał się pod ziemię.

– Przyjrzę się temu – obiecał Mack, nawet nie spoglądając w dokumenty. – Czy jest coś jeszcze?

– Tak, jest coś jeszcze – powiedziałem poufałym tonem, w duchu ciesząc się z tego, co zaraz nastąpi. – Szkole Służby Pożarniczej przyznano ponad półtora miliona dolarów na budowę nowej wieży treningowej. Ale taka wieża nie powstała. A pieniądze zniknęły.

Może wszystkie te pieniądze, nawet razem wzięte, nie dorównywały wysokością subwencjom, jakich domagały się zakłady samochodowe, ale jednak wystarczyłyby na wyposażenie strażaków z całego wydziału w nowe mundury i aparaturę do oddychania. Gość od wyszczerzonych zębów uśmiechnął się i wyjaśnił, że od tego projektu odstąpiono, pieniądze zaś zostały przesunięte; milion dolarów przeznaczono na remont dachu w innym budynku.

Ale na to nie było żadnego dowodu na papierze. Poza tym – zapytałem go – co stało się z pozostałymi sześciuset tysiącami dolarów?

– Te pieniądze zostały jako rezerwa – wyjaśnił mi z uśmiechem. – Tamten milion został przesunięty, ale nie ma go w papierach, ponieważ nie odnotowuje się takich przesunięć w wypadku, gdy dany projekt zostaje anulowany. W taki sam sposób kończy się tutaj wiele rzeczy.

Mack szybko zakończył spotkanie.

– Proszę przygotować listę pytań, a my się do pana odezwiemy – powiedział.

Uśmiechnąłem się, zebrałem swoje papiery i skierowałem się w stronę drzwi.

– Te remizy, o których pan mówił... czy ktoś wpuścił pana do środka? Bo to jest sprzeczne z przepisami. A może ma pan rentgen w oczach? – zapytała mnie podwładna Macka, gdy już wychodziłem.

– Coś w tym stylu – odpowiedziałem. – Gdy widoku nie zasłaniają drzwi z moskitierą, łatwo jest zajrzeć do środka.

Po czym odwróciłem się w stronę Macka, który towarzyszył mi w drodze ku drzwiom.

– Pamięta mnie pan?

Przyjrzał mi się przez chwilę.

– Raczej nie, panie LeDuff.

– Powinien wiedzieć pan o mnie tylko jedno – powiedziałem. – Dotrzymuję obietnic.

To było tylko takie pieprzenie, ale musiałem to powiedzieć. Od razu poczułem się lepiej. Jednak na krótko, bo po tym, jak napisałem i opublikowałem tekst o tym wszystkim... nic się nie wydarzyło. Nikogo nie zwolniono. Nie wszczęto żadnego śledztwa. Nie podjęto remontu w żadnej remizie. Wydawało się, że każdy ma to gdzieś; no, może oprócz pewnej papużki, której kartki z moim artykułem dostały się jako wyściółka klatki.

DWADZIEŚCIA DOLCÓW

Była późna jesień. Od śmierci Harrisa minął prawie rok. Przez okno gmachu sądu widać było, jak liście opadają z drzew na ulice.

Na sali rozpraw na miejscu dla świadka zasiadł Darian Dove. Brodę opuścił tak nisko, że niemal wcisnął ją w klatkę piersiową. Siedząc w takiej pozycji, mamrotał swoją wersję wydarzeń z 15 listopada. Wszystko zaczęło się od kanistra benzyny, a skończyło na dachu, który zawalił się na Harrisa.

Na miejscu dla oskarżonego, z beznamiętnym wyrazem twarzy, w zielonym więziennym kombinezonie siedział Mario Willis. Dove opisywał, jak Willis wynajął go do podpalenia domu; podpalenia „tylko trochę” – tylko tyle, by dostać odszkodowanie. Willis słuchał.

Dove, ściorany menel i robotnik złota ręczka, poszedł na układ. W zamian za zeznanie przeciwko swojemu szefowi dostał hamburgera i siedemnaście lat więzienia.

Willis, którego oprawione w złoto szkła ładnie odcinały się na tle zielonego więziennego kubraczka, zaprezentował się sądowi jako rekin biznesu i religijny facet, który obracał się w tym samym światku co burmistrz Kilpatrick. Utrzymywał, że jest niewinny.

Ale pan złota ręczka miał inne zdanie. Wedle niego Willis podjechał po niego koło wpół do trzeciej w nocy, po czym zatrzymał się na stacji benzynowej przy Gratiot Avenue, by kupić benzynę.

– To on płacił – wymamrotał Dove. – Ja nie miałem pieniędzy.

Stamtąd pojechali na Kirby Street. Willis czekał w samochodzie, a Dove poszedł podpalić dom.

– Zadzwoił do mnie na komórkę – powiedział Dove tak cicho, że sędzia musiał poprosić go o powtórzenie. – Zadzwoił do mnie na komórkę. I zapytał: „Dlaczego to tak długo trwa?”.

Dove najpierw podłożył ogień, a później próbował go gasić własną koszulą, ponieważ szef nie chciał, by spalił się cały budynek. Wolał, by coś zostało, na wypadek gdyby za parę miesięcy znów chciał podpalić ten dom. – Chodziło o ubezpieczenie – powiedział Dove. Już kilka lat temu podpalał ten sam dom;

wtedy Willis dostał dwadzieścia tysięcy dolarów odszkodowania. Nie wydał tych pieniędzy na naprawę budynku, a miasto nigdy nie zażądało od niego rozliczenia.

Ale tym razem pan złota rączka stracił kontrolę nad pożarem; koszulą niewiele udało mu się zdziałać. Z sufitu odłamał się i spadł kawałek belki. Uderzył Dove'a w głowę. Mężczyzna upadł, tracąc przytomność.

Gdy doszedł do siebie, wyszedł z budynku i pobiegł do samochodu szefa. Razem pojechali na stację benzynową, skąd Dove zadzwonił z budki na dziewięćset jedenaście, by zgłosić pożar.

Wdowa po Harrisie siedziała nieruchomo na galerii, opierając się na ramieniu strażaka Jimmy'ego Montgomery'ego. Z drugiej strony swoją mocną ręką obejmował ją Nevin.

– Powiedział, że gdy dostanie pieniądze z ubezpieczenia, kupi mi nową furgonetkę – mówił dalej Dove, bardziej w stronę swojej szorstkiej brody niż sędziego. – Ale niczego mi nie kupił. Dał mi dwadzieścia dolców. I to wszystko.

– Ile? – zapytał prokurator.

– Dwadzieścia dolców – powtórzył Dove.

Cała sala rozpraw wydała stłumiony okrzyk zdumienia.

TANŚSZE NIŻ KINO

Podpalacze działają nocą. Tak samo jak mordercy. I właśnie dlatego gliniarze od zabójstw powinni pracować na nocną zmianę. Ale tym, którzy tak pracują, nie powinno się dawać swojego numeru telefonu. Istnieje bowiem duże ryzyko, że będą ci przeszkadzać we śnie. Pewnego wieczora, gdy już zwinąłem się w kłębek na kanapie, zadzwonił do mnie detektyw z wydziału zabójstw, sierżant Mike Martel. Powiedział, że ma coś, co może mnie zainteresować. Wciągnąłem na tyłek spodnie i pojechałem do południowo-zachodniej części miasta.

Na miejscu spotkałem doktora, którego mercedes cały zachlapany był kawałkami mózgu. Jego własnego mózgu. Mózg był wszędzie, na całej skórzanej tapicerce.

– Popatrz na to – zachęcił mnie detektyw, świecąc latarką na zwłoki. Facet był oparty o kierownicę tak, jakby właśnie zamierzał sięgnąć do radia, by zmienić stację. Z fotela pasażera widać było jego zęby. Wszystkie zęby. Bo połowa jego twarzy gdzieś zniknęła. Do koszulki polo poprzyklejały się kawałki szkła. A buty domagały się bardzo dokładnego czyszczenia.

– Masz ze sobą aparat? – zapytał detektyw.

– Nie.

– Szkoda. Byłyby dobre zdjęcia – ściągnął gumowe rękawiczki z dużych dłoni o obgryzionych paznokciach. Rękawiczki wsadził do kieszeni marynarki. Było gorąco, ale nie zdejmował kapelusza. To był kapelusz z szerokim rondem; za otok wetknięte miał piórko. Wyglądało to idiotycznie, ale tak noszą się goście od morderstw w Detroit. Tak się tutaj utarło, że gliniarze od zabójstw noszą kapelusze. Ale Martelowi taki kapelusz w ogóle nie pasował i nigdy wcześniej nie widziałem, by taki nosił. Musiał go od kogoś pożyczyć. Robił sobie ze mnie jaja. Bawił się ze mną na miejscu, w którym zginął człowiek. Bo to do siebie ma morderstwo, to właśnie robi ci z mózgiem, gdy wpatrujesz się w nie wystarczająco długo.

– Nie powinienes się zapuszczać w tę część miasta – pouczył zwłoki policjant, udając litość dla umarlaka w drogim samochodzie, który w istocie na tę litość nie zasługiwał. – Bo zwykle kończy się to tym, że ono cię już nie wypuści.

Po czym odwrócił się w moją stronę i zapytał:

– Jesteś głodny?

Usiedliśmy w pobliskim podupadłym barze, w którym ściany miały kolor zębów starego człowieka. Patrzyłem, jak detektyw wgryza się w bardzo ostry kotlet. Facet ważył prawie sto sześćdziesiąt kilo i teraz wypróbowywał dietę, która polegała na jedzeniu wyłącznie mięsa.

– Cały ten burdel jest skorumpowany, od samej góry po sam dół – wydobyło się spod jego wąsów i spomiędzy miażdżących kotlet zębów. – Od policjantów po sędziów. W samochodach nie działają nawet pieprzone radia. Myślisz, że dlaczego tak wielu gości odchodzi od nas z roboty?

Po czym opowiedział mi najbardziej szaloną, ale prawdziwą historię morderstwa, jaką słyszałem kiedykolwiek w życiu. A zaczął tak:

– Powinieneś się temu przyjrzeć. To jest totalnie popierdolone.

W styczniu 2008 roku pewien nastoletni osiedlowy twardziel o imieniu Deandre Woolfolk zaplanował pomścić swojego szefa, dilerę narkotykowego Darnella Cooleya, który po postrzale leżał w śpiączce w szpitalu.

Woolfolk próbował zwerbować do pomocy znajomego chłopaka z sąsiedztwa o nazwisku Davon Perry. Perry miał być kierowcą; w odpowiednim miejscu i czasie miał czekać z włączonym silnikiem.

Jednak Perry odmówił, twierdząc, że tej nocy musi iść do pracy. To było dziwne, bo nigdy nie musiał chodzić do pracy. Perry nie miał pracy. Zamiast pomóc znajomkowi, wybrał się na skrzyżowanie Fenkell i Wyoming, gdzie miało dojść do strzelaniny. Na to widowisko Perry – trzydziestoczteroletni facet – zabrał również swojego szesnastoletniego brata i trzy nastoletnie dziewczyny, w tym piętnastoletnią Małą Marthę Barnett.

Była druga nad ranem, środek tygodnia. Cała grupa pojechała kupić przekąski, by podczas ulicznego spektaklu mieć co pogryzać.

– To było tańsze niż kino – stwierdził detektyw, zabierając się do kolejnego kotleta. To samo powiedział Nevin, gdy rozmawialiśmy o podpaleniach. „Tańsze niż kino”.

Koniec końców zaplanowana na tę noc rozrywka nie okazała się jednak tania. Perry albo nie wiedział albo zapomniał o tym, że facet, którego miano dziś zastrzelić, jeździ czarnym jeepem; dokładnie takim samym, jakim jeździł on sam.

A gdy Woolfolk i jego ludzie z piskiem opon wyjechali zza rogu, nie zatrzymali

się przecież przy jeepie, by najpierw zbadać, kto jest w środku. Jeden z chłopaków zaczął strzelać z kałasznikowa. Woolfolk, który siedział na fotelu pasażera, wyciągnął swoje dziewięć milimetrów, wycelował i także pociągnął za spust.

– Co się dzieje? – krzyknęła wystraszona Mała Martha.

Gdy opadł dym, można było zobaczyć Małą Marthę Barnett z raną postrzałową w głowie. Nie żyła.

Woolfolk zniknął na parę miesięcy. Policja trafiła na niego dopiero podczas nalotu na dilerów w zachodniej dzielnicy miasta. Został aresztowany pod zarzutem posiadania broni i narkotyków.

Dwa dni później przesłuchiwał go sierżant Martel. Przesłuchanie było nagrywane. Sierżant odczytał mu prawa Mirandy. Na nagraniu słysząc, jak Woolfolk przyznaje się do tego, że wtedy, gdy zamordowano dziewczynę, on znajdował się w samochodzie. Przyznaje się również do tego, że próbował strzelać, ale jego broń zacięła się.

– Jak mogę odpowiadać za broń, która nie wystrzeliła? – zapytał policjanta.

Kierowca i gość, który strzelał z kałasznikowa, zostali uznani za winnych morderstwa pierwszego stopnia. Jednak prawnik Woolfolka – nawiasem mówiąc, był to mąż sędziny – dowodził, że jego klient, zanim przyznał się do udziału w zdarzeniu, wielokrotnie prosił o rozmowę z prawnikiem, jednak jeden z detektywów konsekwentnie mu jej odmawiał.

Sędzina uwierzyła mu i unieważniła wcześniejsze zeznania, uzasadniając to tym, że Woolfolk – który bardzo dobrze znał system prawny – na pewno musiał prosić o prawnika.

Ponieważ nie było żadnych innych dowodów, prokurator zmuszony był oddalić zarzuty.

Woolfolk wyszedł na wolność.

A teraz szybko przeskoczmy do wydarzeń, które nastąpiły sześć miesięcy później. Robert Alexander wybrał się do Arturo's Jazz Club – klubu na przedmieściach Detroit, w Southfield – by świętować swoje trzydzieste trzecie urodziny. Pojechał tam razem z grupą kolegów z zakładu fryzjerskiego oraz ich dziewczynami. Wśród tych znajomych znajdował się jego przyjaciel, Anthony Alls.

W tym samym klubie byli również Woolfolk i jego szef Darnell Cooley, który wyszedł ze śpiączki i czuł się już znacznie lepiej.

Wieczór zaczął się dobrze. Lał się szampan i grała piękna muzyka. Impreza zaczęła się psuć, gdy nagle ktoś siedzący przy stoliku Woolfolka zaczął

obmacywać jedną z kobiet ze stolika Alexandra. W końcu do akcji wkroczył sam Alexander – duży mężczyzna, który ważył dobrze ponad sto kilo.

Gdy przyjechała policja, Alexander leżał wśród poprzewracanych stolików, obok stłuczonej butelki. Chłopak leżał na plecach we własnej krwi, był nieprzytomny i łapał powietrze gwałtownymi haustami. Po chwili umarł.

Znalazł się tylko jeden świadek, który zechciał zeznawać. Był to przyjaciel zmarłego Anthony Alls. To właśnie on wskazał na Woolfolka, Cooleya i jeszcze jednego faceta o nazwisku Eiland Johnson.

Parę tygodni później Alls wyszedł z pracy w zakładzie fryzjerskim. Skręcił za róg i podniósł maskę swojego bronco z osiemdziesiątego ósmego roku. Od jakiegoś czasu musiał tak robić codziennie. Pompa wspomagania w jego aucie przeciekała jak sito, więc zanim zapuścił silnik, musiał uzupełniać płyn w zbiorniku. Wkrótce miał zabrać samochód do mechanika, by naprawić tę usterkę.

Gdy Alls pochylał się nad samochodem, ktoś podszedł do niego od tyłu i wystrzelił sześć kul w jego plecy. Siła uderzenia obróciła Allsa o sto osiemdziesiąt stopni, tak że siódmą kulę zarobił w klatkę piersiową. Zachwiał się i upadł plecami na chodnik. Po chwili umarł.

Zamiast do mechanika Alls pojechał do kostnicy. Zabójca zaś spokojnie skręcił za róg i zniknął.

– Zaledwie pięć godzin przed tym, jak go zamordowano, Alls dostał wezwanie do sądu – powiedział Martel, nabijając na widelec frytki z sosem chili. „To by było tyle, jeśli chodzi o mięsną dietę” – pomyślałem.

– Z jakiegoś powodu nie zapewniono mu żadnej ochrony – dodał po chwili detektyw.

Nikt też nie widział mordercy Allsa.

Dwa dni później policja zaaresztowała mężczyznę, który właśnie włamywał się do domu swojej byłej dziewczyny. Facet ten był wcześniej karany, a teraz nie chciał znów trafić do więzienia. Powiedział, że ma informacje na temat śmierci Allsa. Stwierdził, że sam wykonywał dla różnych ludzi mokrą robotę i że może opowiedzieć także o kilku innych morderstwach. Chciał zostać informatorem. Wszystko, co mówił, znalazło się na nagranej przez policję kasecie wideo.

– Wiesz, że Alls miał iść do akademii policyjnej? – zapytał mnie Martel.

– Nie gadaj? – powiedziałem, notując sobie ten szczegół na serwetce.

– No, naprawdę – potwierdził, siorbiąc dietetyczną pepsi. – Praktycznie już był gliną.

Ale zanim Martel zdołał przysposobić informatora do pracy – założyć mu podsłuch i wypuścić go z powrotem na ulice – jeden z młodszych prokuratorów przekazał nagrane przesłuchanie sędziemu i prawnikowi reprezentującym obronę.

Ponieważ nie miał żadnego świadka, który mógłby zeznawać, prokurator próbował wykazać, że Allsa zabito po to, by go uciszyć. Miał nadzieję, że to wystarczy, by zeznania zamordowanego wykorzystać w sprawie.

Martel powiedział mi, że błagał oskarżyciela o to, by poczekał parę tygodni, w czasie których informator będzie mógł zebrać potrzebne informacje o innych morderstwach.

Prosił go nawet o to, by zgłosił chorobę i niemożność stawienia się w sądzie, w ten sposób dając mu trochę potrzebnego czasu.

Ale prokurator odmówił.

– Powiedziałem temu dupkowi, by dał mi trzydzieści dni, a wtedy uda nam się złapać wszystkich tych skurwieli – wspominał Martel, rozglądając się po barze i sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje. Poza nami, kucharzem smażącym frytki i dziewczyną przy kasie nie było tutaj nikogo. Kucharz i dziewczyna oglądali telewizję. Zauważyłem, że Martel poplamił sobie krawat odrobiną chili. – Ten kutas mi odmówił. Najzwyczajniej w świecie mi odmówił. Powiedział, że nie ma zamiaru łamać panujących w sądzie zasad. Postanowił być dobrym skautem i w ten sposób źli skurwiele wrócili sobie spokojnie na ulicę. Głupi skurwysyn.

Martel zapłacił rachunek. Gdy policjant płaci za żarcie, wiesz, że sprawa jest poważna.

– Chcesz, żeby ten zabójca do ciebie zadzwonił?

– Jaki zabójca?

– No zabójca. Mój informator. Trzęsie teraz dupą ze strachu, bo na ulicach powtarza się jego imię.

– Miałby do mnie zadzwonić? Jasne! Czemu nie? Daj mu numer mojej komórki.

Nagle znalazłem się na planie filmu o gangsterach. Tyle że zupełnie nie znałem scenariusza.

DUŻA MARTHA

Co do Małej Marthy Barnett: jej historia doprowadziła mnie do bieliźniarki w zachodniej części miasta, w której babcia dziewczynki trzymała prochy wnuczki, ponieważ była zbyt biedna, by wyprawić jej pogrzeb.

– Cały ten ból spowodował człowiek – powiedziała babka, porządna kobieta, która gorliwie chadzała do kościoła i która również nazywała się Martha Barnett. Siedzieliśmy w jej jadalni i rozmawialiśmy o Woolfolku. – Dlaczego? Dlaczego wciąż pozwala mu się chodzić na wolności?

W domu Dużej Marthy unosił się ten dławiący, zatęchły zapach strachu, który tak często można spotkać w Detroit. Strachu przed otwieraniem drzwi i okien. Strachu, że ktoś może zechcieć się włamać, by odebrać ci telewizor... lub życie.

Barnett trzymała prochy Małej Marthy w plastikowej torebce włożonej do mosiężnej urny. Z kolei urna schowana była w łazienkowej bieliźniarce. Stała na półce nad rolkami papieru toaletowego i workiem z brudnymi rzeczami czekającymi na pranie.

Duża Martha miała siedemdziesiąt trzy lata. Czynną płaciła z pieniędzy, które dostawała z pomocy społecznej. Mieszkała wraz ze swoją zniedołężniałą córką Sharon, matką Małej Marthy.

O czwartej po południu, wciąż ubrana w kraciaste spodnie pidżamowe, Sharon snuła się wte i wewte, wchodząc do pokoju, w którym sypiała kiedyś jej córka i znów z niego wychodząc; słuchała radia i co trochę podchodziła do kuchenki, by odpalić od niej papierosa. Gdy pierwszy raz wynurzyła się z sypialni i pochyliła głowę nad płomieniem, jej poszarpane włosy zajęły się ogniem; szybko, ale bez objawów paniki, poklepała się po głowie i zgasiła płomień, po czym powlekła się z powrotem do pokoju.

Gdy pojawiła się po raz drugi, nie miała już żadnych problemów z zapaleniem papierosa, a zanim wróciła do pokoju, odwróciła się w moją stronę z nieobecnym spojrzeniem i powiedziała: – Nie powinnam była rzucać szkoły. Ale nigdy nie jest za późno, prawda? Zawsze mogę wrócić do szkoły handlowej. Nauczyć się czegoś nowego albo coś.

Sharon musiała siedzieć w swoim pokoju już od jakichś dwudziestu lat. Jaka

szkoła handlowa? Tego wszystkiego już nie ma, skarbie. To wszystko odeszło; twoja córka też.

– To bardzo dobry pomysł – skłamałem w odpowiedzi.

Uspokojona Sharon powlokła się z powrotem do swojego radia.

Duża Martha usiadła przy kuchennym stole, na którym leżał – przypięty pinezkami – plastikowy obrus. Na ścianie za jej plecami wisiał obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, a obok niego stała gablotka wypełniona szklanymi figurkami sów i orłów, między którymi stało zdjęcie rodziny Obamów. Uderzyło mnie to, że nigdzie nie zauważyłem zdjęć krewnych samej Marthy.

– Chciałabym móc zostawić za sobą to wielkie miasto – z silnym akcentem z Missisipi powiedziała Duża Martha. Jak wiele religijnych kobiet, które wychowały się na Południu, Martha wierzyła, że Bóg objawia swój boski plan poprzez sny. – Śnił mi się staw rybny na wsi niedaleko Greenville w Missisipi. To stamtąd pochodzę. Wierzę, że Wszchemogący w ten sposób napomina mnie, bym stąd wyjechała, panie Charlie. Przygotował dla mnie coś innego. Chce, bym wróciła do domu.

– Proszę, nie nazywaj mnie „panem Charliem” – poprosiłem.

– A więc dobrze, Charlie. Chciałabym nigdy tutaj nie przyjeżdżać. Tutaj dałam się zamknąć w getcie. Tu ludzie dziczej. Moja wnuczka nie żyje. A ja jestem zbyt biedna, by ją pochować.

Duża Martha wyjęła urnę i położyła ją na stole. Urna była zniszczona – tarcza polerska zupełnie zatarła na niej zdobienie.

Duża Martha zaczęła płakać. Przez cały ten ból, jaki musiała wycierpieć dziewczynka. Przez cały ten ból, jaki zadał jej Woolfolk. Przez cały ten ból, jaki dotyka nas wszystkich. Płakała aż do momentu, gdy do kuchni znów weszła Sharon, by zapalić kolejnego papierosa.

– Wiem, że moja wnusia jest teraz w miejscu, gdzie jest jej lepiej – powiedziała Duża Martha. – Opuściła ciało i stanęła w obliczu Pana^[11] – dodała, cytując Nowy Testament.

Pomyślałem o swojej siostrze Nicky. Wolałbym raczej nadrobić kawał drogi, niż przejechać przez to miejsce miasta, w którym umarła. Nie unikałem go dlatego, że się go bałem, ale dlatego, że budziło we mnie smutek. Nie byłem w stanie stawić mu czoła. To była moja własna bieliźniarka, w której chowałem swoją zmarłą. Chyba właśnie dlatego pies nigdy nie wsadzi pyska w ogień. To za bardzo boli. Nawet nie wybrałem się na grób, w którym spoczywały Nicky i jej córka.

Duża Martha opowiedziała mi o pogrzebie Małej Marthy:

– Było bardzo dużo ludzi, bardzo dużo młodych ludzi. Nie wiedziałam, że ci wszyscy młodzi ludzie tak bardzo ją kochali. Tak... W trakcie pogrzebu, podczas śpiewania pieśni, właściciel zakładu pogrzebowego nagle wszystko przerwał... przerwał muzykę w samym środku ceremonii. Zabrał mnie na zaplecze i zapytał, jak mam zamiar za to wszystko zapłacić. A ja po prostu nie wiedziałam. Powinnam była wtedy puścić między ludzi kapelusz. Wszyscy na pewno by się dołożyli, na chwałę Pana. Ale nie zrobiłam tego. Więc musiał ją skremować. Nawet na to musiałam się zapożyczyć i żebrać. Dorzucił się nawet jej ojciec. Za trumnę i inne rzeczy policzyli mi siedem tysięcy dolarów.

– A co się stało z trumną? – zapytałem.

– Powiedzieli mi, że trumnę też spalili.

– To dużo pieniędzy wydanych na marne.

– Wiem, kochany, ale tacy ludzie jak ja głupieją w obliczu śmierci. Niewiele mamy na tej ziemi. Więc chcemy odpowiednio wyposażyć bliskich na tę ostatnią podróż. Ludzie z Wiadomości powiedzieli, że mi pomogą, ale nie pomogli. Nikt mi w niczym nie pomógł. Nie, żebym czegoś od nich oczekiwała. Ale zabrali mi wszystkie zdjęcia mojej wnusi i nigdy mi ich nie oddali. Powiedzieli, że mi pomogą. A jedyne co zrobili, to nazwali moją małą owieczkę prostytutką. Różne rzeczy o niej mówili w Wiadomościach. To strasznie boli... To, jak się to wszystko potoczyło.

Zaczęła jeszcze bardziej płakać. Popatrzyłem na w połowie pełną popielniczkę i sam zapaliłem papierosa, czekając, aż kobieta się wypłaczę.

– Przynajmniej teraz nikt nie może jej już skrzywdzić – stwierdziła Duża Martha, powoli się uspokajając. – Jest teraz z Jezusem Chrystusem. W lepszym miejscu. Wszyscy tam pójdziemy. To miejsce, z którego wszyscy pochodzimy i do którego wszyscy wrócimy.

Duża Martha Barnett przyjechała do Detroit przez Chicago w 1977 roku. Jej syna – Clarence’a juniora – zamordowano w 1979 roku. Został wyrzucony przez okno z drugiego piętra budynku w Cass Corridor. Pochowano go obok lotniska w odległym Belleville. Martha nie wie gdzie dokładnie.

Z kolei jej mąż – Clarence – zmarł na raka płuc w 1994 roku i został pochowany na cmentarzu Najświętszego Serca Jezusowego, należącego do polskiego kościoła we wschodniej części miasta, która teraz zalicza się do tych najbardziej niebezpiecznych. Tamtejszy ksiądz mieszka w probostwie zamykanym na żelazne

drzwi.

Dokładne miejsce spoczynku Clarence'a pozostaje nieznane. Martha Barnett twierdzi, że – gdy jej mąż umarł – zapłaciła trzysta dolarów za kamień nagrobny, ale kamieniarz uciekł z pieniędzmi. Ów człowiek oszukał bardzo wielu biednych ludzi, zanim i jego dopadła śmierć.

Martha robi przegląd swojego stanu posiadania:

– Miasto chce mnie wyrzucić z tego domu i każe mi się przenieść do wschodniej dzielnicy, gdzie miałabym mieszkać wśród kryminalistów i chuliganów. Ten dom chcę sprzedać i naprawić. Teraz płacę za niego tylko sześćdziesiąt jeden dolarów miesięcznie. Skąd mam wziąć więcej pieniędzy? Wciąż zgłaszam się do pomocy społecznej, ale oni odrzucają moje prośby. Chyba dlatego, że jestem stara; pewnie liczą na to, że jeśli mnie zignorują, to umrę. I pewnie też nie będę miała nagrobka.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Chciałem coś zrobić dla tej kobiety. W pewnym sensie była moją starszą krewną, moją cioteczka, którą złapano i zastraszono, a teraz żyła, mieszkając pod jednym dachem z żywym trupem. Zaoferowałem się, że zorganizuję pieniądze na pochówek Małej Marthy.

– To pięknie z pańskiej strony, panie Charlie.

– Po prostu Charlie, proszę.

– Okej, Charlie. Ale wiesz co, Charlie? Powinnam też mieć samochód – dodała z nadzieją. – Wiesz, żeby móc jeździć w różne miejsca. Może furgonetkę... Mógłbyś mi pomóc zdobyć furgonetkę? Biali trzymają na swoich podwórkach ładne samochody na sprzedaż. Jestem pewna, że znasz wielu białych, którzy mają taką furgonetkę do sprzedania!

Weszła Sharon i znów odpaliła od kuchenki na wpół spalonego już mentola. Potem cicho wróciła do swojego radia. Zapomniała zgasić ogień.

POŻEGNAĆ SIĘ Z RODZINĄ

Byłem w samej bieliźnie, a twarz pokrywała mi pianka do golenia. W ręku trzymałem golarkę. Szykowałem się na pogrzeb mojej ciotki.

To wtedy zadzwonił do mnie ten mężczyzna. Mówił szybko i takim tonem, jakby zdawał egzamin wstępny na Uniwersytet w Areszcie, Wydział Więziennictwa.

– Taki-a-Taki powiedział mi, żebyś do ciebie zadzwonił – zaczął, nawet się nie przedstawiając ani nie mówiąc dzień dobry.

– Kim jest Taki-a-Taki? – zapytałem, zdezorientowany. – I kto mówi?

– Nasz wspólny znajomy od roboty u fryzjera – odpowiedział głos. – Powiedział mi, że może będziesz chciał pogadać.

Szybko poskładałem sobie wszystko w jedną całość. To był ten płatny zabójca, którego policja nagrała na taśmę, jak mówił, że chciałby nosić podsłuch i pomóc wysłać do więzienia członków Rodziny Czarnej Mafii.

Gdy już to zrozumiałem, odłożyłem na bok golarkę i wziąłem do ręki długopis. Mój płatny zabójca jęczał i biadolił, że został pokrzywdzony, bo asystent prokuratora złamał wszelkie zasady etykiety, przekazując kasetę wideo z przesłuchania obrońcy. Adwokat pracuje dokładnie dla tych samych ludzi, których on – jako wtyczka – miał podsłuchiwać.

– Ja i moja rodzina jesteśmy już martwi. Rozumiesz, o czym mówię? Chodzi mi o to, że pierwszy świadek został zabity – krzyczał do słuchawki. – Prokurator cholernie się stara przy tej sprawie, ale nawet nie może wykorzystać tej kasety. Podobno chodzi o to, że mogłem kłamać. Tak słyszałem. Jeśli dostanę wezwanie, nic, kurwa, nie powiem. Powołam się na piątą poprawkę. Kto mnie ochroni? Jestem już, kurwa, martwy. Jak tylko wyjdę z domu, zacznie się strzelanina. Mogę ci to przysiąc. To będzie wojna.

– Nie wiedziałem, że w tym biznesie, w morderstwach, są jakieś zasady, jakaś etykieta – powiedziałem.

– Gangsterzy umierają, tak to jest w tej grze. Ale niewinni ludzie? Nie.

Bał się, że teraz, gdy mafijna „Rodzina” poznała jego tożsamość, zginie nie tylko on, ale też jego dzieci i pies.

Na podłogę spadło trochę pianki do golenia. Starłem ją palcem bosej stopy.

Zabójca powiedział, że jeśli cokolwiek stanie się jego dzieciom, on zadba, by coś stało się również prokuratorowi.

– Ja bym tego nie robił – stwierdziłem.

– A co według ciebie powinienem zrobić? – zapytał.

– Zniknij z tego miasta – odpowiedziałem bez przekonania. Jak już mówiłem, nigdy dotąd nie występowałem w filmie gangsterskim. Łapałem się więc dialogu, który już się toczył.

– To nic nie da. Znajdą mnie. To będzie wojna – powtórzył.

– A więc rozmawiam z trupem – odparłem.

– Pewnie masz rację.

– Zadzwoń do Takiego-a-Takiego – poprosiłem. – Ale uspokój się i nie rób nic głupiego. Teraz muszę jechać na pogrzeb. Zadzwonię do ciebie później. Tylko nikogo nie zabij.

– Kurwa, człowieku, ale jestem zjebany.

– Masz rację, jesteś zjebany.

– Jeśli cokolwiek stanie się moim bliskim – znów pogroził – to ten pierdolony prokurator może się pożegnać ze swoją rodziną.

Rozłączyłem się i wróciłem do łazienki, by skończyć golenie. Pomyślałem, że będę musiał zadzwonić do prokuratora. Nawet jeśli nie zobowiązywało mnie do tego prawo, to czułem, że każe mi tak zrobić moralność. Nawet jeśli ten facet był cholernym kutasem.

BABCIA

Załadowaliśmy z żoną dziecko do SUV-a i pojechaliśmy na pogrzeb mojej ciotki. Miała zostać pochowana w rolniczym hrabstwie Oakland, gdzie ziemia wznosi się i opada jak okręt na falach. Łódź, dom, jezioro, znak zajęcia obciążonej nieruchomości.

– Jezu, jesteśmy w Białasowie Białym – wykrzyknęła moja żona, zauważając nagle białego krasnala ogrodowego. Moja żona jest białą kobietą, która dorastała w Detroit (w samym Detroit, nie na jego przedmieściach), co czyni z niej specjalny gatunek białego człowieka.

– Trochę szacunku – szczebkałem na nią gniewnie. Sam nie wiem dlaczego. Może tak działała na mnie atmosfera pogrzebu. Ludzie z mojej rodziny nie najlepiej radzą sobie z pogrzebami. Zwykle znajduje się ktoś, kto się upija, po czym wychyla się przez okno na górze i krzyczy jak nawalony marynarz na nocnej wachcie. Czasami dochodzi do walki na pięści. Pewnego razu jeden z moich kuzynów rzucił butelką piwa w trumnę swojego brata, którą właśnie opuszczano do dołu. Darł się przy tym, że brat może sobie zatrzymać kaucję za tę butelkę.

Włączyłem radio. Śpiewał Manfred Mann, czyli najczarniej brzmiący z białych ludzi, jaki prawdopodobnie kiedykolwiek istniał. „Niebiescy, czarni, biali czy w innych kolorach – i tak wszyscy jedziemy po tych samych torach”. Oczywiście nie wymyśliłem sam tej rymowanki, ale na swój sposób jest ona wyjątkowo słuszna.

Pogrzeb mojej ciotki był bardzo dziwny, bo nie wydarzyło się na nim nic dziwnego. Było normalnie. Było białe. Zaczęło się o czasie. Wszyscy mieli krawaty i marynarki. Ciocia Marilyn – siostra mojego ojca – stworzyła ostatnią amerykańską rodzinę. Przez czterdzieści dziewięć lat ten sam mąż, siódemka dzieci i coś około dwadzieścioro dwojga wnuków. Żadnych rozwodów. Żadnej śmierci innej niż naturalna. Katolicyzm aż do granic ewangelicyzmu. Cała progenitura ciotki ustawiła się równiutko gęsiego, by kolejno podejść i włożyć do wazonu po jednej symbolicznej róży. Ta normalność była aż dziwna w swojej wyszorowanej do czysta słodyczy. Kim byli ci ludzie? Gdzie podziła się ich gorycz? Pikanteria? Wąsy? Po prostu nie było możliwe, by coś mnie z nimi łączyło.

Aż nagle z ciemnego kąta wyszła wyzywająca kobieta.

– Hej, Charlie?

– Taaak? – nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– Jestem twoją dawno niewidzianą ciocią Debbie.

Stałem i gapiłem się w osłupieniu. Była dobrze zakonserwowaną blondynką w czarnej sukience i o czerwonych ustach. Sądząc po barwie jej głosu, paliła.

– Siostra przyrodnia twojego ojca... – starała mi się pomóc. – Twoja babka była moją matką. Betty. Jestem przyrodnią siostrą twojego ojca.

– Miała na imię Betty?

– Tak, matka twojego ojca. Nasza wspólna matka. Betty.

– Betty... jak?

– Cóż, najpierw Betty Lancour. Później, gdy wyszła za ojca twojego ojca, Betty LeDuff. A jeszcze później Betty Zink, gdy poślubiła mojego ojca. Umarła, gdy miała trzydzieści pięć lat. W samotności.

– Sporo tych nazwisk.

– Tak, sporo.

– Jak umarła?

– Myślę, że to był atak serca.

– Ach.

– Jak się miewa twój ojciec?

– Nie widziałem się z nim od dziesięciu lat – przyznałem się mojej nowej cioci Debbie. – Od czasu pogrzebu mojej siostry. Też miała trzydzieści pięć lat.

– Ach, popatrz – powiedziała, unosząc brew.

Takim tonem, jakby plotkowała o wielkiej tajemnicy, ciocia Debbie przez chwilę paplała o tym, że dziewczyna jej syna przeszła amputację stopy, bo miała jakiegoś wirusa; potem opowiadała, że właśnie odpadł jej tłumik w samochodzie i że bardzo przeszkadza jej to w pracy, bo auto jest jej niezbędne, gdyż pracuje w Pensylwanii z Amiszami.

To już bardziej przypominało moją rodzinę. Polubiłem tę kobietę.

Babcia Betty, która umarła w samotności. Kim była? I kim był dziadek? Uświadamiałem sobie – zwłaszcza teraz, gdy wróciłem do Detroit – że byłem facetem, który całe życie zawodowe spędzał na jeżdżeniu wte i wewte po całym świecie i zadawaniu ludziom najbardziej osobistych i trudnych pytań, a jednocześnie niemal nic nie wiedziałem o własnej rodzinie. Ani o sobie samym. Byłem statkiem bez kotwicy, podskakującym na falach przy brzegu Białasowa

Białego.

W końcu odnalazłem babcię Betty w miejskich archiwach.

Wedle raportu policyjnego dyspozytornia wysłała do zgłoszenia o martwej kobiecie wóz numer 10-1. Był 8 marca 1956 roku, pięć po wpół do czwartej po południu. Na dworze było zimno. Funkcjonariusz Mitchell Adamek znalazł dosyć młodą kobietę, która leżała martwa w sypialni na tyłach mieszkania numer dwieście siedem przy Gladstone 2665 w zachodniej części Detroit, w okolicach Seminarium Najświętszego Serca. Była ubrana w samą halkę. Na jej ciele nie było żadnych widocznych oznak przemocy. Ale Adamek i tak skontaktował się z wydziałem zabójstw.

Na toaletce stała buteleczka tabletek przeciwbólowych, słoiczek aspiryny, krople do nosa oraz opakowanie kodeiny w płynie na przeziębienia. A w rogu pokoju stał John W. Migan – dentysta o wątych ramionach, który w wieku trzydziestu czterech lat wciąż mieszkał z matką. Mężczyzna opowiedział Adamkowi, że spotykał się z leżącą tu kobietą przez niecałe trzy lata i że ostatnio widział ją około drugiej w nocy, gdy po suto zakrapianej imprezie pojechali razem tutaj, do jej mieszkania.

Spędzili miło trochę czasu, po czym Migan wrócił do domu matki. Przyjechał tu znów po południu i znalazł swoją dziewczynę martwą.

Ta dziewczyna – Betty Zink – była moją babcią. Ale im bardziej zagłębiałem się w jej historię, tym bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że równie dobrze mogłaby być moją siostrą.

Przeglądając policyjny raport, pomyślałem, że zmarli nie zabierają ze sobą swoich trosk i problemów, ale raczej – jak zegarki czy amulety – przekazują je dalej następnym pokoleniom.

Urodziła się w 1920 roku jako Betty J. Freed. Była córką wędrownego sprzedawcy i Indianki z plemienia Chippewa z wyspy Mackinac. W swoim krótkim życiu moja babcia dwa razy wychodziła za mąż i dwukrotnie się rozwodziła. Jej pierwszy mąż był eleganckim, smagłym mężczyzną. Nazywał się Royal LeDuff; to był mój dziadek. Urodziła mu dwójkę dzieci: mojego ojca, Roya juniora, oraz córkę Marilyn. Później się z nim rozwiodła. Następnie poślubiła Roberta Zinka i z nim również miała dwoje dzieci – Debbie i Boba. Także to małżeństwo szybko się zakończyło, bo Betty zażądała rozwodu z Zinkiem i jego pięściami.

Nie ulega wątpliwości, że – ze swoimi ciemnymi włosami, szarymi oczami

i pełnymi, krągłymi kształtami – była wyjątkowo przystojną kobietą. Pracowała, jak mówi świadectwo zgonu, jako sprzedawczyni bezpośrednia, chodząca ze swoim towarem od drzwi do drzwi.

Ale była dziką kobietą, nieprzystosowaną do życia na łonie rodziny. Wszystkie jej dzieci po rozstaniach zostawały z ojcami, by Betty mogła spokojnie żyć i karmić swoje demony. Zwykła tańczyć z butelką wódki, a kolację jadać w towarzystwie środków nasennych. Koroner stwierdził, że przyczyną jej zgonu była niewydolność serca, ale nie wykonał badań toksykologicznych. Zanotował jednak, że miała bardzo zniszczoną wątrobę.

Od jej śmierci minęło ponad pięćdziesiąt lat i w mojej obecności nikt nigdy o niej nie wspomniał. Nie dotarły do mnie żadne jej fotografie ani żadna anegdota o niej. Była duchem na poddaszu. Piękną kobietą, którą nawiedzało coś, o czym nikt prócz niej samej nic nie wiedział. Kobietą, która sama sobie przepisała kurację na powolne zapomnianie, aż doprowadziła się do punktu, w którym własne ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Kobietą, którą spotkała mroczna i smutna śmierć – tak jak później miało się to zdarzyć jej wnuczce Nicole.

Dlaczego nikt mi o niej niczego nie powiedział? Dlaczego – aż do momentu, gdy z ciemnego kąta katolickiego kościoła wyłoniła się moja dawno niewidziana ciotka – w ogóle nie wiedziałem o jej istnieniu?

Zapytałem o to mojego ojca, który rodzinną pocztą pantoflową dowiedział się, że zacząłem węszyć wokół spraw z przeszłości, i zadzwonił do mnie. Nie rozmawialiśmy ze sobą od dziesięciu lat. A wcześniej zdarzyło nam się porozmawiać w sumie może z tuzin razy, nie więcej; zwykle podczas pogrzebów czy innych rodzinnych spotkań. Poza tym, że mieliśmy wspólną krew i nazwisko, niewiele wiedzieliśmy o sobie nawzajem. Powiedziałem mu, że jest dla mnie dziwne, iż jego matka i córka nigdy nie znały nawzajem nawet swoich imion.

– Musisz zrozumieć, jak działała ta rodzina – odpowiedział. – Wszyscy byliśmy tylko jakimiś częściami, a nie było żadnej całości. Tak naprawdę nikt nie zna prawdy.

Teraz, gdy byłem w Detroit, zaczynałem rozumieć, że rzeczy rzadko bywają takimi, jakimi się wydają. Są jak amalgamat – jak dowolnie komponowana mieszanka fikcji i prawdy – który serwuje się różnym ludziom w różnej postaci, w zależności od ich potrzeb; tak, by każdy z nich na swój własny sposób mógł sobie poradzić z trudnościami swojego własnego życia.

Zresztą, jak przypuszczam, tak dzieje się w większości rodzin w większości

miejsc na ziemi.

Najpierw wysłuchałem wspomnień ojca o jego matce, a później nasza rozmowa przeszła na temat jego ojca, a mojego dziadka, Roya LeDuffa. Zawsze mówiono mi, że nazwisko LeDuff wywodzi się z Akadii, a jego korzenie sięgają bagien Luizjany. Tak mówiono również mojemu ojcu. Teraz miało się okazać, że było to kłamstwo.

DZIADEK

Kobietę, która miała zostać jego drugą żoną, mój dziadek dotknął po raz pierwszy pewnego wieczora w 1951 roku. Razem pili i tańczyli. Tak właśnie zaczął pączkować ten romans ludzi w średnim wieku.

Dokładna data ich pierwszego spotkania przepadła w otchłani czasu, ale jest raczej pewne, że nie była to poniedziałkowa noc. Bo w Vanity Ballroom – klubie mieszczącym się we wschodniej dzielnicy, niedaleko miejsca, gdzie później moja matka otworzy swoją starą kwiaciarnię – poniedziałkowa noc należała do kolorowych. Poniedziałkowa noc była jedyną, kiedy do tego baru wpuszczano czarnych.

A Roy LeDuff, mój dziadek, nie był czarny.

Już nie.

LeDuff to nazwisko kreolskie, charakterystyczne dla ludzi o zmieszanej – czarnej i białej – krwi. Co w amerykańskiej arytmetyce rasowej oznacza: czarnej krwi.

Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy – przekopując się przez stare dokumenty państwowe w poszukiwaniu jakichś informacji na temat przybycia LeDuffów do Detroit – zatrzymałem się na jednej z pozycji spisu ludności z 1920 roku, gdzie mój dziadek Royal opisany był jako ośmioletni „M” – mulat.

Trudno było mi w to uwierzyć. Oto ja, facet w średnim wieku, który włóczy się po mieście, w którym niemal każdy burmistrz od czasów wojny domowej prowadzi rozgrywki polityczne oparte na starciu czarnych i białych, nagle dowiadyuje się, że wszystko, co wiedział o przeszłości swojego dziadka, było fałszem.

Bo mówiono mi, że jakiegokolwiek mieszanki ras mogły się pojawić tylko w odległej gałęzi mojej rodziny; ale każdy LeDuff, jakiego kiedykolwiek spotkałem, od zawsze miał kolor karmelka. Dlatego tak duże wrażenie zrobiła na mnie wiadomość, że mój dziadek urodził się jako czarny, a umarł jako biały człowiek. Że źródła mojej krwi biją nie tylko w lasach otaczających Wielkie Jeziora i na celtyckich wybrzeżach Francji, ale także na Złotym Wybrzeżu Afryki. W mojej rodzinie zapisały się ślady afrykańskiej diaspory i Wielkiej Migracji. Miałem to wszystko na papierze.

Siedziałem w piwnicy, paląc papierosy i wpatrując się w starą, pożółkłą fotografię mojej prababki, którą dostałem niedawno od jednego z moich odległych krewnych. Zastanawiałem się, jakimi meandrami historia Detroit doszła do tego miejsca, w którym okazałem się najbielszym czarnym mężczyzną w Michigan.

Początki nazwiska LeDuff w Stanach Zjednoczonych wiążą się z „wyzwolonym czarnym”, osiemnastowiecznym mieszkańcem Nowego Orleanu, który nazywał się Jacques LeDuff. Jego przodkowie przypłynęli do Ameryki z francuskiej Bretanii i na niewolniczych galerach z Afryki.

Przez pewien czas był zamożnym człowiekiem. Choć kolorowy, mieszkał w ekskluzywnej białej okolicy, co w kolonialnej Ameryce było niesłychane. Stylizował się na farmera-dżentelmena i w dzikim południowo-wschodnim Nowym Orleanie wyciął sobie wielką na niemal sto czterdzieści hektarów plantację, na której gospodarowali jego niewolnicy.

Ale niestety swoje srebro wydał równie szybko, jak je zarobił. Przyszła wojna 1812 roku i praprapra...dziadek stał się człowiekiem, który nieustannie wpadał w kłopoty, jakie gotowali mu ówcześni poborcy podatkowi. Stracił ziemię i osobistego służącego Claude’a, którego mu odebrano i sprzedano, by wyrównać studolarowy dług.

Jego syn Honoré, owoc małżeństwa Jacques’a z Josephine Dupar – wolną czarną kobietą, jakie zwało się wtedy z francuska *negresse libre* – także był weteranem wojny z 1812 roku. Ale ponieważ nie dostał po ojcu żadnego spadku, przeprowadził się wraz z rodziną z Nowego Orleanu do parafii cywilnej Pointe Coupée – jakieś czterdzieści kilometrów na północny wschód od Baton Rouge – na urodzajną równinę rozciągającą się pomiędzy rzekami Missisipi i Atchafalaya.

Tam klan LeDuffów – farmerów, bednarzy i stolarzy – zasiedlił brzegi rzeki Missisipi i przez kilka pokoleń mówił językiem, który wyewoluował we francuski dialekt kreolski.

Honoré miał dużo dzieci, w tym Honoré juniora, który spłodził Donatiena, niepiśmiennego dzierżawcę ziemskiego, który z kolei sam miał sześciu synów i jedną córkę. Jednym z tych dzieci był Henry, mój pradziadek. Spis ludności z 1900 roku określa go jako dziesięcioletniego pracownika farmy bez umiejętności czytania i pisanie. Jasnoskóry Henry sklasyfikowany został jako „M” – mulat.

Przed 1910 rokiem Henry poślubił Inez Porche – dobrze sytuowaną Kreolkę,

która potrafiła czytać i pisać po angielsku i francusku. Jak mówi jego karta poboru do wojska z 1917 roku, młodzieniec został zatrudniony jako cieśla przez rodzinę Inez. Wygląda też na to, że kanciarz Henry mógł stawić się na komisji w gipsie, prezentując się jako niezdolny do służby wojskowej. W każdym razie nie podpisał sam swojej karty. Człowiek, który podpisał się za niego, określił Henry’ego jako „Murzyna”.

W tym momencie Henry znika nam z oczu. Odjeżdża pociągiem, który kieruje się na północ; w wagonie dla kolorowych. W pensjonacie przy Plum Street 110 w Baton Rouge zostawia też żonę i dwóch synów; wydaje się, że wyjeżdżając, nie zapewnia im żadnych środków do życia. Inez oraz jej dwaj synowie – Earle i Royal, mój dziadek – w spisie ludności z 1920 roku figurują jako mulaci.

Tymczasem Henry znów się pojawia. Przyjeżdża do Detroit, gdzie jest jednym z milionów czarnych, którzy uparcie idą swoją drogą na północ, ku zakładom przemysłowym, by zarobić na nowe życie i uciec z Południa, gdzie do śmierci pozostaliby tylko Jimami Crowami^[12]. Henry’emu udało się tego dokonać w wyjątkowo dziwaczny sposób.

Wynajął pokój w pensjonacie Alfreda Ingersola, białego operatora maszyn w fabryce silników, a jego stanowisko pracy określono jako „stolarz samochodowy”.

Gdy żył już nowym życiem, zaczął tworzyć sobie nową historię. Urzędnikowi, który przeprowadzał kolejny spis ludności, powiedział, że jego matka urodziła się Paryżu i mówiła wyłącznie po francusku. Urzędnik nie musiał przecież wiedzieć o tym, że była brzydką mulatką, która była szersza niż wyższa i mówiła po kreolsku.

Po czym dodał, że jest biały, a urzędnik skrupulatnie to zapisał: „B” – biały.

W tamtym czasie, dzięki takim ludziom jak Henry Ford i bracia Dodge, miasto przeżywało swój rozkwit. W 1925 roku fabryki w Detroit zatrudniały ponad trzysta tysięcy ludzi. A dzięki prohibicji i niewielkiej odległości od kanadyjskich gorzelni kolejne pięćdziesiąt tysięcy pracowało przy nielegalnym handlu alkoholem. Pieniądze były wszędzie, więc do miasta zjeżdżały całe pociągi ludzi, którzy chcieli skorzystać z tej hossy. Między 1900 a 1930 rokiem populacja Detroit skoczyła z trzystu tysięcy do miliona sześciuset tysięcy, z czego sto dwadzieścia tysięcy stanowili czarni z Południa. Był to imponujący przewrót w amerykańskiej

demografii, który zwyczajowo zwie się Wielką Migracją.

Mężczyźni i kobiety mogli teraz wymazać historie swoich dotychczasowych żywotów i napisać je zupełnie od nowa. Ciekawe, jak wiele faktów znikło w tych latach z powierzchni ziemi? W Detroit nie dałoby się ich zliczyć. Dorastałem na przedmieściach, więc znałem tylko jedną historię z tamtych czasów – tę z pewnego upalnego dnia 1967 roku, gdy to czarni wpadli w szal, spalili najpiękniejsze miasto Ameryki i zmusili białych do odejścia.

Dorośli nigdy nie mówili nam, dlaczego tak się stało.

W fabrykach Detroit czarni dostawali najgorsze prace: przy odlewach, szlifierkach i warsztatach farbiarskich. Henry, ponieważ był biały, mógł pracować jako stolarz.

W 1924 roku rodzina LeDuffów ponownie się połączyła. Spotkali się w Detroit. Inez wzięła synów, opuściła Baton Rouge i pojechała do męża pociągiem. W pociągu tym obowiązywały zasady segregacji, więc jechała w wagonie dla kolorowych.

Henry dał swojej żonie nowy dom. Stał on na Birwood Street w zachodniej części miasta. Dał jej również nowe dziecko, dał bakterie syfilisu, a w końcu dał jej patelnię w twarz, bo narzekała na to, co dostała.

I dał jej jeszcze jedną rzecz. Nową tożsamość. W spisie z 1930 roku mowa jest o rodzinie, która żyła w domu w kolonialnym stylu holenderskim; stał on przy Birwood Street 14103, a Henry zbudował go własnymi rękoma. W tym spisie owa rodzina ma miedzianą cerę – to rodzina LeDuff, która przez dwa ostatnie stulecia zapisywana była w amerykańskich dokumentach państwowych jako Mulaci, Murzyni lub czarni. Teraz zaś, w jakiś magiczny sposób, wyszorowała się do „B” – białości – ukrywając swój sekret wśród tłumów śniadych Włochów i smagłych Greków oraz przybyszów z Europy Wschodniej, którzy także postanowili zamieszkać w Detroit.

Henry znany był jako Francuzik. Z dzisiejszej perspektywy może wydawać się niebywałe, iż człowiek może tak bardzo nienawidzić swojego losu, że posunie się aż do kłamstwa na temat swojego pochodzenia. Ale mnie nie wydaje się to szczególnie szokujące, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę czasy, w jakich żył Francuzik. Dla człowieka, którego korzenie tkwiły w Afryce, Detroit nie było wiele lepsze od Południa. Gdyby Henry przyznał się do tego, że ma czarnych przodków, wtedy w myśl reguł rynku nieruchomości – restrykcyjnych, ale zgodnych z ówczesnym prawem – nie mógłby posiadać domu przy Birwood ani też wynająć

żadnego domu, który znajdowałby się poza granicami takich nędznych gett jak Black Bottom czy Paradise Valley.

W roku 1924 – roku, w którym moja prababka wysiadła z pociągu – wybory na burmistrza Detroit wygrał, popierany przez Ku-Klux-Klan, Charles Bowles. Jednak okazało się, że Bowles nie może objąć swojego stanowiska, ponieważ był kandydatem dopisywanym do listy wyborczej, a zbyt wielu jego zwolenników źle zapisało jego nazwisko – w sumie z powodu literówek unieważniono siedemnaście tysięcy głosów. Jego kampanii towarzyszyły wielkie marsze członków i sympatyków Klanu – przez samo miasto przeszło czterdzieści tysięcy ludzi. Doszło nawet do palenia krzyży na schodach budynku Rady Miejskiej.

Parę miesięcy później czarny mężczyzna, doktor Ossian Sweet, zdobył się na zuchwałość i przeprowadził do wschodniej części miasta, którą zamieszkiwała biała ludność. Wkrótce jego dom zaatakował sąsiedzki motłoch, a wystraszony doktor strzelił w tłum, zabijając jednego z białych. Obrony Sweeta podjął się znany adwokat Clarence Darrow i mężczyzna – decyzją złożonego wyłącznie z białych sądu – został uniewinniony. Jednak doktor Sweet nie chciał niepotrzebnie ryzykować i wyprowadził się ze swojego nowego domu. Jego przypadek trafił na pierwsze strony gazet w całym kraju, więc moja prababka – która potrafiła czytać i miała znacznie ciemniejszą skórę niż jej mąż – musiała mieć świadomość tego, że zagrażają jej białe motłoch i płonące krzyże.

Mówi się, że prababcia LeDuff miała niewielu przyjaciół. Nie wydawała przyjęć i rzadko wychodziła z domu. Wiedziała, że jest nie na swoim miejscu.

Patrząc wstecz, nie mogę winić pradziadka Henry’ego ani prababki Inez za to, że podawali się za białych ludzi. Nie było innego sposobu na to, by Henry mógł sobie dobrze zorganizować życie. W tamtym czasie wystarczyła kropla afrykańskiej krwi, by skazać kogoś na wieczną biedę. Henry – jak jego dziadek Jacques – uznał po prostu białe sąsiedztwo za lepsze.

Syn Henry’ego – mój dziadek Royal – był świetny z matematyki; uważano go też za doskonałego tancerza i – z jego prostowanymi włosami, cienkim wąsikiem oraz uwielbieniem dla kosztownych strojów – dandysa. Roy nienawidził swojego ojca, który niewątpliwie był agresywnym pijakiem. Więc gdy opowiadał swoją własną wersję historii, mój dziadek zaczynał ją zawsze w 1933 roku – roku, w którym (jak ja to sobie wyobrażam) wyszedł z cienia ojca i zaczął pracować na pocztę.

Henry zmarł w 1951 roku, tym samym, w którym w samotności odeszła babcia Betty Zink, i tym samym, w którym dziadek Roy poznał w klubie Vanity Ballroom Betsy Steele. Rok później Roy i Betsy pobrali się. Do tego małżeństwa Roy wniósł dwójkę dzieci z małżeństwa z Betty – w tym mojego ojca. A Betsy zebrała swoją szóstkę dzieci z poprzedniego związku – w tym moją matkę – które wcześniej, po rozwodzie, poupychała po sierocińcach i dalekich krewnych.

Roy dał dzieciom Betty solidny dom i spokój, którego nie miały okazji nigdy przedtem zaznać. Chodziły do katolickich szkół, a posiłki jadały srebrnymi sztućcami, na kolanach rozkładając płócienne serwetki. Mój czarnobiały dziadek i białoindiańska babcia stworzyli siebie na nowo, wymyślając nowe mity, którymi starannie zakryli swoją przeszłość i oliwkową skórę.

Bo oboje wiedzieli, jakie jest ich prawdziwe dziedzictwo. W końcu mój dziadek opuścił murzyńskie Baton Rouge jako nastolatek. A prababka nie była w stanie zaprzeczać temu, że kolor jej cery przywodzi na myśl zachód słońca. Niemniej jednak rodzina idealnie wpasowała się we wzorzec życia bielutkiej klasy średniej. Były lata pięćdziesiąte. Najpopularniejszym programem telewizyjnym był komediowy serial *Leave It to Beaver – Zdaj się na bobra* – LeDuffowie robili więc wszystko, by żyć takim życiem, jakie widzieli w tym serialu, czyli mieszkać w domu z jadalnią ozdobioną obfitymi koronkowymi firanami, w której wino pija się z kryształowych kieliszków.

Dziadek znany był jako Książe Woodward Avenue i odszedł z pracy na pocztę, by zająć się przyjmowaniem zakładów na wyścigach konnych Detroit Race Course – torze wyścigowym należącym do związków zawodowych Teamsters. Był dobrym kolegą szefa związków Jimmy’ego Hoffy. Babcia pokazała mi go kiedyś na zdjęciu. Zrobiono je w późnych latach sześćdziesiątych i przedstawiało dwóch mężczyzn na tle bramy prowadzącej na tor wyścigowy. Trzymali związkowy transparent.

Ich dzieci próbowały pozostać wierne upodobaniu do białych płóciennych serwetek, ale było na to już trochę za późno. Były już zbyt duże, by zapomnieć o tym, jak pogmatwane było ich dzieciństwo. Część z nich dała się wpędzić w ciążę, część popadła w konflikty z prawem, a część oddała się alkoholizmowi.

Dwa lata po tym, jak jego biologiczna matka Betty Zink zmarła w samotności w mieszkaniu w zachodniej części Detroit, mój ojciec – Roy junior – poszedł na służbę do marynarki wojennej. A gdy córka Betsy Stelle – Evangeline – wkroczyła w dorosłość, udała się na starą stację kolejową Michigan Central Depot, gdzie

wskoczyła do pociągu, by spotkać się z Royem w San Diego i stać się jego żoną.

Urodziła mu córkę, Nicole. Dwa miesiące później Roy junior, wraz z pierwszym oddziałem bojowym, został wysłany do Wietnamu.

Gdy stamtąd powrócił, zostałem poczęty ja.

A więc jestem czarny? Biały? A może jestem Mulatem? Ile kropli różnych kolorów krwi jest we mnie? Gdy próbuję opowiedzieć o moim odkryciu czarnym ludziom z Detroit, większość z nich odgania mnie machnięciem ręki, uśmiechając się przy tym znacząco, jakby mówili: „Spadaj biały chłopcze”. A biali śmieją się ze mnie, nazywając mnie farbowanym lisem i pytając, czy to oznacza, że teraz mam większe szanse na zatrudnienie w miejscowej straży pożarnej.

Na każdym kroku uświadamiam sobie, że w Detroit trudno się wyzbyć starych nawyków.

Nasza rodzina wróciła do Detroit w maju 1967 roku, dokładnie wtedy, gdy wybuchły tu zamieszki i gdy w samym środku miasta wylądował oddział desantowy, który miał je stłumić.

Wieczór, gdy miasto zaczęło płonąć, był wyjątkowo duszny i ciężki. Moi rodzice mieszkali ze swoimi rodzicami w zachodniej dzielnicy Detroit – w domu, który własnymi rękoma zbudował pradziadek Henry, syn dzierżawcy.

Wedle oficjalnych danych zamieszki rozpoczęły się w niedzielę nad ranem 23 lipca, gdy biali policjanci zaczęli okładać po czarnych głowach uczestników zbyt długo przeciągającej się imprezy. To wtedy ludzie zaczęli rozwalać różne rzeczy, ale prawdziwa demolka i grabież zaczęły się dopiero, gdy nastał jasny poranek. Media „newsowe” postarały się bardziej niż zwykle, nie podając zupełnie żadnych informacji o „niepokojach”, choć zachodnia dzielnica, w której wtedy mieszkaliśmy, zaczynała się już właśnie palić. Nawet Willie Horton – lewy skrzydłowy drużyny Tigers, czarny facet, który dorastał w pobliżu tutejszego boiska do bejsbolu – nie był w stanie uspokoić tłumu, choć wjechał samochodem w sam jego środek i stanął na dachu, wciąż ubrany w strój, który miał na sobie podczas ostatniego meczu. Miasto płonęło przez pięć dni.

Tamtej niedzielnej nocy mój ojciec pracował w starej fabryce Wonder Bread, którą później zamieniono w Motor City Casino. Dziadek Roy, babcia Betsy i moja matka Evangeline ze mną na rękach stali na podwórzu przed domem i patrzyli na zapadający zmierzch. W tamtych czasach czarni powoli wychodzili z gett i rozpoczynali nowe życie w tych obszarach miasta, które tradycyjnie należały do białych. I jakby tego było mało – a przynajmniej tak widziała to moja babka – na

domiar złego teraz postanowili to wszystko spalić.

– Tatuśku – powiedziała do mojego dziadka. – Wynośmy się stąd.

Na co dziadek – czarny mężczyzna, który nigdy ani słowem nie pisał o swoim prawdziwym pochodzeniu, odpowiedział:

– Ilu ich tam może być?

Następnego dnia dziadek kupił broń.

DŻIHAD

Po pogrzebie ciotki podrzuciłem żonę i córkę do domu i pojechałem do redakcji. Było późne popołudnie. Nie przebrałem się, więc wciąż byłem ubrany jak na pogrzeb; łącznie z butami – eleganckimi trzewikami na śliskiej podeszwie z jagnięcej skóry.

Newsroom brzmiał jak wiejskie podwórko. Beczały telefony. Z migoczących ekranów telewizyjnych dochodził szczebiot reporterek. Z kolei reporterzy gdakali. To były te dobre strony pracy w gazecie. Gorączkowy pośpiech. Tak właśnie brzmi gazeta, gdy nadchodzi wiadomość-z-ostatniej-chwili.

FBI właśnie zrobiło nalot na magazyn na przedmieściach. Zabili mężczyznę znanego jako imam Luqman Ameen Abdullah, największego duchowego przywódcę grupy czarnych muzułmanów, którzy sami siebie nazywali Bractwem.

Federalni twierdzili, że Abdullah i jego zwolennicy nie tylko stanowili część radykalnej organizacji sunnickich zwolenników dżihadu, którzy – za pomocą brutalnych środków – dążyli do utworzenia islamskiego stanu w obrębie Stanów Zjednoczonych. Zajmowali się również paserstwem, sprzedając kradzione futra i telewizory.

Pułapkę na Abdullaha i jego ludzi zastawiono w magazynie Dearborn, około trzydziestu kilometrów na zachód od centrum Detroit. Imam – chudy, w okularach i z kocią bródką – wyglądał bardziej na cyrkowego klauna niż na przywódcę spisku. Spiskowiec powinien raczej nosić kamizelkę kuloodporną, a nie potężny niebieski turban, jaki upodobał sobie Abdullah.

Kiedy agenci kazali Abdullahowi i czterem jego podwładnym położyć na ziemię broń i podnieść ręce, imam odmówił wykonania tego rozkazu. Posłano więc policyjnego psa, który miał wypłoszyć go z ciężarowej naczepy. Abdullah schował się w niej wraz z całą masą „kradzionych” telewizorów o płaskich ekranach, które imamowi sprzedawał jeden fedzio pod przykrywką i które później imam miał sprzedać innym tajnikom.

FBI twierdzi, że to właśnie w tym momencie Abdullah strzelił do psa. A wtedy agenci zaczęli strzelać do niego, pakując weń dwadzieścia kul.

Pies został przewieziony helikopterem na oddział intensywnej terapii i poddany

operacji. Zwłoki Abdullaha zostały zakute w kajdanki i zostawiono je na podłodze naczepy, by czekały na przyjazd lekarza sądowego. Pies umarł. W lokalnej prasie ukazał się jego nekrolog. Miał na imię Freddy. Miał dwa lata.

Imama zabrano do kostnicy hrabstwa Wayne. Doktor Schmidt, który badał jego zwłoki, powiedział mi później, że nigdy nie widział, by trupowi zakładano kajdanki.

Dżihadyści. Futra. Niebieskie turbany. Owczarek belgijski Freddy – bohater. Wskoczyłem do służbowego samochodu i popędziłem do meczetu Masjid Al-Haqq w zachodniej części miasta. Silnik zawodził: wrrr... wrrr... wrrr.

Nie lubię bywać w getcie w ubraniu, jakie zakładałam do kościoła; zwłaszcza chodzi mi tu o eleganckie buty ze śliską podeszwą z jagnięcej skóry. Ale takie rzeczy jak zastrzelony przez oddział federalnych czarny muzułmański bojownik nie zdarzają się często i prawdziwy reporter nie może ich przegapić. Bo może właśnie od tej zapalki miał się zacząć Czwarty Wielki Pożar Detroit.

Na razie podpaliłem winstona i zrobiłem pierwszy krok w głąb tej sprawy.

Meczet mieścił się na Clairmount Street w pobliżu Linwood. To w tamtej okolicy miały swoje epicentrum rozruchy z 1967 roku – niedaleko mieszkania, w którym pół wieku temu w samotności zmarła moja babka; i niedaleko miejsca, w którym – w cudowny sposób – mój dziadek przemienił się z czarnego człowieka w białego.

Tutejsza okolica wyglądała jak ze zdjęcia powojennego Drezna. Kolejne rzędy do cna spalonych domów, zabite deskami witryny sklepowe, zarośnięte zielskiem, opuszczone działki, na których jak drobinki kwarcu skrzyło się potłuczone szkło. Targ mięsny Soldier Boy – Żołnierz – od dawna był już nieczynny i martwy. Pralni Joy Cleaners też nie dopisało szczęście i dawno ją zamknęto. A w jednym z brudnych okien Świątyni Wschodzącego Słońca, należącej do Zakonu Gwiazdy na Wschodzie, straszyla niezbyt przyjaźnie wyglądająca dziura po kuli.

Wokół meczetu kłębił się tłumek, wyglądających na silnych i niebezpiecznych, mężczyzn w długich szatach i kefijach. Sam meczet zaś nie był niczym więcej niż walącym się domem, na którym – po angielsku i arabsku – ręcznie wypisano słowa: „Nie ma boga nad Allaha”.

– To źli kolesie – szepnęła do mnie przez okno młoda kobieta, która poskładała do kupy odcień mojej skóry, notes i buty z jagnięcej skóry i uznała, że muszę być reporterem. – Wprowadzili się tu jakieś pół roku temu i przejęli kontrolę nad naszą okolicą. Najpierw zajęli wszystkie puste domy. A teraz giną nam samochody.

Parkują na naszych trawnikach i nie można ich uprosić, by przestawili swoje auta. Podczas ramadanu siedzieli na schodach meczetu, paląc blanty i popijając tequilę i piwo.

– Myślałem, że to muzułmanie – powiedziałem.

– Dupa, nie muzułmanie – prychnęła. – To bandyci.

Zbliżałem się do tłumu facetów w galabijach, którzy stali na przedzie podpartego kolumnienkami ganku z nisko opadającym daszkiem. Czterech z nich odwróciło się i zaczęło iść w moją stronę. Miałem nadzieję, że zauważyli notes, który trzymałem w ręku, zwisającą na smyczy przepustkę prasową, buty z jagnięcej skóry i kolor mojej cery. Ubrany w te moje odświeżone ciuchy musiałem wyglądać jak dobrze sytuowany profesor antropologii. To właśnie takie sytuacje sprawiają, że reporter czuje falę napływającej adrenaliny. To właśnie dlatego ludzie wyruszają na wojnę uzbrojeni jedynie w pióro i aparat fotograficzny. Chodzi o niebezpieczeństwo. Zaczęły mi drżeć nogi.

– Przepraszam – zacząłem. – Było mi bardzo przykro, gdy dowiedziałem się o...

– Nikt nie ma nic do powiedzenia – przerwał mi ten, który wyglądał na najsilniejszego. Miał zaciśnięte pięści. – Nie chcemy, żeby ktokolwiek nam tu przyłaził. Słyszysz?

– Ja tylko...

– Wypierdalaj.

– Czy mogę pana zacytować?

– Nie zamierzam znów ci tego powtarzać. Wypierdalaj.

Wypierdoliłem.

Wróciłem na działkę. Stałem wśród zielska i połyskującego szkła, paląc papierosy z Bradem Edwardsem, cynicznym prezydentem Wiadomości z Foxa. Gdy tak staliśmy i paliliśmy, przyjechał Ricardo Thomas, fotoreporter z „Detroit News”.

– Wiecie, gdzie jest ten meczet? – zapytał przez okno Ricardo.

– Tam za rogiem, człowieku. Po prostu rozglądaj się za innymi fotografami – powiedziałem. – Ale uważaj na swój tyłek, bo tamci nie są w najlepszym nastroju.

Ricardo wywrócił oczami. Miał sześćdziesiąt siedem lat, był czarny i przez całą swoją długą karierę robił materiały o rozruchach, morderstwach i ulicznych protestach. Wiedział, czego może się tutaj spodziewać.

Odjechał, by zrobić zdjęcia, i po chwili zupełnie o nim zapomniałem; zwłaszcza że Edwards wdał się w gadkę z prostytutką, która nas akurat mijala.

– Wiecie, co stało się tym dziewczynom? Tym, które zabili na Gratiot? –

zapytała Edwardsa. Miała zepsute zęby, niezłe cycki i okulary, które przywodziły na myśl porządną nauczycielkę gimnazjalną.

– To były dziewczyny z ulicy? – dopytywał Edwards swoim telewizyjnym barytonem. Wydawało się, że każde morderstwo, o jakim usłyszysz, daje mu ogromny zastrzyk energii. – Ktoś zabija pracujące dziewczyny? Znałaś je? – wciąż pytał, jednocześnie wciskając prostytutce swoją wizytówkę.

Wzięła ją i uśmiechnęła się. Jej zęby były w jeszcze gorszym stanie niż okoliczne domy. Zachodziło słońce.

– Nie, nie znałam ich. Ale to właśnie dlatego nie pracuję po zmierzchu – odpowiedziała. – Przez tych szalonych skurwieli, którzy gdzieś tam się czają.

W tym momencie rozległ się krzyk.

Okręciłem się w tył na drewnianych obcasach moich pogrzebowych butów. Tuzin facetów z meczetu okładał pięściami Ricarda. Wkurzyli się, bo robił zdjęcia, choć mu tego wyraźnie zabronili. Nagle ktoś sprzedał mu tak potężnego dzwona, że upadł na ziemię, uderzając tyłem głowy w krawężnik. Ktoś inny odebrał mu aparaty i zaczął nimi walić o chodnik.

Pobiegłem w jego stronę. Biegłem najszybciej, jak mogłem, ślizgając się na podeszwach z jagnięcej skóry. W mojej głowie wszystko działało się w zwolnionym tempie. Pomyślałem o tym, że tutaj – na tym gównianym rogu gównianej ulicy w tym koszmarnym mieście – wszystko może się dla mnie ostatecznie skończyć. Ostatnie słowa, jakie wypowiedziałem w życiu, nie były skierowane do mojej żony, ale do dziwki za dwadzieścia dolarów, która nie miała nawet ubezpieczenia stomatologicznego.

Tłum składa się z ludzi, a ludzie zazwyczaj chcą, by ich powstrzymać, zanim zupełnie przemienią się w warczącą i ujadającą sforę. Ale jest taki punkt, za którym już nie ma odwrotu, za którym powstrzymanie ludzi staje się niemożliwe, ponieważ – gdy go przekroczą – przestają być ludźmi, a stają się bestiami. Ze względu na siebie i na Ricarda miałem nadzieję, że ci przede mną jeszcze tego punktu nie przekroczą.

Zaszedłem sforę od tyłu i złapałem Ricarda pod pachami; ślizgając się na butach, zacząłem się wycofywać. Czekałem, aż na moim karku ktoś rozbije butelkę, ale nic takiego się nie zdarzyło. Nikt mnie nawet nie tknął.

Ci faceci – gdy uświadomili sobie, co zrobili staremu człowiekowi – pełni wstydu zaczęli wycofywać się do swojego meczetu. Tylko jeden z nich odłączył się od reszty i szedł w naszą stronę, niosąc potłuczone aparaty fotograficzne.

– Zabili nam przywódcę, człowieku – powiedział na odchodne ze łzami w oczach. – Co z wami, kurwa, jest nie tak?

To był ten koleś, który wcześniej mi groził. Postanowiłem potraktować jego słowa jako przeprosiny. Ale Ricardo miał na ten temat inne zdanie.

– Nie boję się was, skurwiele! – krzyczał.

Facet cisnął aparaty do rynsztoka i odszedł.

Zauważyłem, że właśnie zaszło słońce.

– Chciałem wam pomóc, ale stchórzyłem – powiedział mężczyzna z agencji Associated Press, który wyłonił się nagle z zaułka, trzymając w ręku to, co zostało z aparatów. Trzeba było mieć jaja, żeby się do tego przyznać. Aparaty wyglądały jak wypatroszone zegary z kukułką.

Ricardo składał zeznania na temat zajścia, gdy zadzwonił mój telefon. Dzwoniło moje policyjne źródło. Gruba ryba. Powiedziałem mu o tym, co zdarzyło się Ricardo.

– Wszystko z nim w porządku? – jego głos pobrzmiwał szczerą troską.

– Myślę, że tak – odpowiedziałem.

– Masz to nagrane na wideo?

– Taa, myślę, że Fox to ma.

– Dobrze – stwierdził gliniarz. – Wyślij mi to. Uwielbiam patrzeć, jak ktoś kopie po dupie reportera.

Powiedział to z niepokojąco śmiertelną powagą.

– Słuchaj – mówił dalej. – Znasz Wyatta Earpa Evansa?

Chodziło mu o nowego szefa policji, Warrena Evansa, którego dziwaczne metody uprawiania *public relations* polegały na nieustannym sięganiu po nowo utworzony „oddział uderzeniowy”, wyważaniu drzwi i chwytaniu za broń. – Wiesz, że lubi zgrywać się na wielką szycę i osobiście zjawiać się na miejscach strzelaniny?

– Taa? – odpowiedziałem. Spotkałem się z nim przy jednej z takich okazji. Był tam też Edwards. Były tam też Wiadomości ABC, na miłość boską.

– No więc... – ciągnął gliniarz – dzisiaj na takim miejscu strzelaniny zjawił się trochę za wcześnie. Jego kierowca władował pocisk w jednego dzieciaka.

– Co?

– To, co słyszysz. Zastrzelił dzieciaka. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby coś

takiego przydarzyło się Brattonowi w Los Angeles?

– Byłby w nagłówkach gazet na całym świecie – stwierdziłem.

– Kurewski dzień dla Detroit.

– A jest gorzej, niż się wydaje – zakończyłem ponuro. – Zadzwońię do redakcji.

Dzięki.

Rozejrzałem się wokoło. Ricardo udzielał wywiadu Edwardsowi.

Jak się okazało, zastrzelenie człowieka w obecności szefa policji zasłużyło tylko na trzy akapity, niemal zupełnie ukryte w środku porannych wydań gazet.

Ale historia o tym, jak federalni zdjęli imama, stała się międzynarodowym hitem. Wszędzie towarzyszyły jej tak wazeliniarskie nagłówki, jakby pisało je samo FBI.

Wedle tego, co mówiły media, Detroit miało własną komórkę terrorystyczną, a federalni zdołali ją zniszczyć, zanim zdążyła wyrządzić szkody wśród miejscowej ludności.

Jak dla mnie było to jedno wielkie pieprzenie głupot. Tym, co zobaczyłem w meczecie, był zwykły gang uliczny, a nie żadna komórka terrorystyczna dżihadystów. W rzeczywistości – stwierdziłem, przyglądając się dokumentom, jakie przedstawiono tego ranka przed sądem federalnym – jedynym elementem spiskowym, jaki dało się w tym wszystkim znaleźć, była żenująco śmieszna i po amatorsku przeprowadzona akcja Abdullaha i kilku jego giermków, którzy usiłowali przebić numery kradzionego forda bronco, któremu nawet nadali nazwę: Biała Dama.

To nie byli akolici Osamy bin Ladena. Byli to raczej naśladowcy H. Rapa Browna, byłego członka Czarnych Panter, który przeszedł na islam i – za zabójstwo jednego policjanta, a zranienie drugiego w 2000 roku w Georgii – odsiadywał dożywocie w więzieniu pod specjalnym nadzorem w Colorado.

Jednym z powodów, dla których zajmowali się kradzieżami, była chęć pozyskania pieniędzy na utrzymanie żony H. Rapa, która mieszkała w Atlancie.

Prawdziwy wyznawca Osamy bin Ladena przybył do Detroit osiem tygodni później – w Boże Narodzenie – samolotem; z bombą wszytą w majtki. W tej sprawie FBI i inne agencje federalne mówiły o Umarze Faruku Abdulmutallabie. Dowiedziały się, że wspierał on dżihad, że spotkał się ze starszyzną Al-Kaidy i że coś planował. Niemniej jednak pozwolono mu zatrzymać amerykańską wizę

i zapłacić gotówką za bilet na samolot. Podczas lotu liniami Northwest Airlines z Amsterdamu do Detroit, gdy samolot przelatywał nad naszym miastem, Abdulmutallab odpalił przewożoną w kroczu bombę. Gdyby nie to, że bomba nie wybuchła – samolot pewnie trafiłby szlag. Możliwe, że gdyby maszyna spadła na miasto, na ziemi nikt by nie ucierpiał.

Ponieważ wedle niektórych szacowań Detroit w czterdziestu procentach jest puste i niezamieszkane.

A wracając do naszych dżihadystów... Adbdullaha i jego ludzi podsłuchano, jak snuli fantastyczne scenariusze na temat zabijania policjantów. Ale nie byli oni nigdy w posiadaniu bomb ani też nigdy nie podróżowali do Jemenu. Zajmowali się kradzieżami. Prześladowali sąsiadów i kradli im samochody.

Bractwo niewątpliwie było gangiem. Ale interpretacja FBI, wedle której byli oni sunnickimi terrorystami, była po prostu grubą i głupią przesadą. W rzeczywistości żadnemu z zaaresztowanych mężczyzn nie postawiono zarzutów związanych z działalnością terrorystyczną, a amerykański sędzia pokoju – uznając, że należy zwolnić przynajmniej niektórych z jedenastu oskarżonych – wypuścił ich za poręczeniem.

Ja widziałem w nich garstkę zagubionych i wkurzonych czarnych facetów. Byli tworamami getta. Dziewięćdziesiąt procent ludzi z getta przeszło taką drogę – z ulicy na więzienny blok i z powrotem na ulicę; i nigdy nie udało się ich na tej drodze w istotny sposób zmienić na lepsze.

Sam imam Luqman Ameen Abdullah, znany także jako Christopher Thomas, przeszedł na islam w więzieniu, a gdy wyszedł z paki, zaczął tworzyć w getcie własną drużynę Robin Hooda. Chcieli robić ważne rzeczy. Nosić broń. Rabować, by nakarmić biednych. Odpowiadać przemocą na tyranie „korony”. Przybierać fajne pseudonimy i przywdziewać kostiumy. Nosić turban. To właśnie robili, bo to kazał im robić imam. Dał tym zagubionym ludziom możliwość stania się kimś ważnym i robienia czegoś ważnego.

Ale tak naprawdę nie był nawet dobrym złodziejem. W rzeczywistości Bractwo było tak splukane, że z poprzedniego meczetu miasto wyrzuciło ich za zaległości podatkowe. I co Bractwo zrobiło? Po prostu przeniosło się kilka ulic na południe i wzięło w posiadanie opuszczony dom.

Mówiąc szczerze, bieda jest w Detroit problemem tak poważnym, że dziwiło mnie raczej to, iż nie ma więcej takich – połączonych we wspólnej wściekłości – grup jak Bractwo. Zaledwie parę tygodni przed śmiercią Abdullaha pięćdziesiąt

tysięcy ludzi wtargnęło do Cobo Hall z nadzieją, że załapią się na jeden z pięciu tysięcy wypłacanych przez rząd zasiłków i zapomóg mieszkaniowych. Gdy zaczęli deptać po sobie nawzajem, gdy młodsi zaczęli wyrywać starszym formularze z rąk, niewiele brakowało, by scena ta stała się zarzewiem kolejnych zamieszek.

– Tego ranka widziałem, jak bieda łamie wszelkie zahamowania – powiedział mi mężczyzna z Cobo. – Ludzie walczyli ze sobą o miejsce w kolejce. Grozili sobie nawzajem śmiercią. To do tego już doszliśmy?

W rzeczy samej.

Czarny nacjonalizm nie jest w Detroit niczym nowym. Od lat odcina się wyraźną nitką w kulturowej podszewce miasta. To tutaj w latach trzydziestych powstał Naród Islamu. Stworzył go tajemniczy mężczyzna, Farrad Mohammed, ale rozkwit ruchu związany był z postacią Malcolma X – byłego więźnia, obywatela Detroit, który głosił konieczność wyzwolenia „za pomocą wszelkich koniecznych środków”, a który zginął z rąk tych, którzy jeszcze niedawno walczyli u jego boku. Z kolei Republika Nowej Afryki – ruch społeczny, którzy także zrodził się w Detroit – opowiadała się za stworzeniem na amerykańskim Południu samodzielnego czarnego państwa w obrębie Stanów Zjednoczonych. No i jest jeszcze Kaplica Czarnej Madonny, panafrykański Kościół, który dał początek karierom Kwame Kilpatricka, naczelnika policji Evansa i niezliczonej liczbie innych graczy politycznych w Detroit.

Musiałem zajrzeć do środka tego meczetu, a klucz do jego drzwi dał mi Kwame Kilpatrick.

By uchylić się od płacenia sześciu tysięcy dolarów miesięcznej rekompensaty dla miasta, Kilpatrick złożył oświadczenie o tym, jakoby całe swoje dochody przeznaczał na utrzymanie wytwornego domu na przedmieściach Dallas i – po odjęciu tych kosztów – na koncie pozostawało mu zaledwie sześć dolarów miesięcznie.

Prokurator był już wkurzony gierkami byłego burmistrza; szukał możliwości anulowania jego zwolnienia warunkowego i ponownego wsadzenia go do więzienia. Nazajutrz rano po zastrzeleniu imama wezwał więc Kilpatricka do stawienia się w sądzie.

Prokurator wyciągnął na światło dzienne szczegóły wystawnego stylu życia Kilpatricka: buty od Gucciego, wizyty w salonach pielęgnacji paznokci, operacje

plastyczne jego żony, dom za milion dolarów i prywatne szkoły dla dzieci. Kilpatrick zeznał pod przysięgą, że nie wie, w jaki sposób zarabia na życie jego własna żona, ponieważ każe mu ona mieszkać w piwnicy ich domu, skąd obserwuje życie swoich bogatych białych teksańskich sąsiadów.

Gdy prokurator poprosił go o wyjaśnienie, na co dokładnie wydał pół miliona dolarów, które zniknęły z jego konta w ciągu zeszłego roku, Kilpatrick powołał się na piątą poprawkę. Później zrobił to jeszcze dwa razy. To była jedyna rzecz, która łączyła byłego burmistrza, płatnego zabójcę i mnie. Wszyscy znaleźliśmy nasze konstytucyjne prawa.

I wtedy pojawił się pewien szczegół, który dał mi do ręki upragniony klucz do meczetu. Prokurator ujawnił fakt, że grupa białych biznesmenów z przedmieść dała Kilpatrickowi i jego żonie – w formie pożyczek i prezentów pożegnalnych, gdy burmistrz odchodził ze stanowiska – prawie trzysta tysięcy dolarów.

Ci domorośli biznesmeni – Peter Karmanos, Dan Gilbert, Robert Penske, James Nicholson i Matty Moroun – zdawali sobie sprawę z tego, że w naszym martwym mieście nadal jest jeszcze sporo rzeczy, które można rozkraść. To byli ci sami faceci, którzy w 2005 roku na ostatnią chwilę zorganizowali zrzutkę i dali Kilpatrickowi kasę, która pozwoliła mu poprowadzić kampanię reelekcyjną. Nikt jednak nie wiedział, co ci biali faceci dostali w zamian za swój gest dobroczynności. Jednak przez krótką chwilę obywatele Detroit mogli spróbować, jak smakuje biały lukier pokrywający nasze Czekoladowe Miasto.

Następnego ranka wróciłem do meczetu. Wziąłem ze sobą gazetę. Był piątek – muzulmański święty dzień. Wiedziałem, że w meczecie spotkam wszystkich członków Bractwa zgromadzonych na modlitwie.

Pokazałem nagłówek z Kilpatrickiem mężczyźnie o imieniu Jamal, ochroniarzowi, który stał na frontowym ganku i palił papierosa. Zanim przejrzał artykuł, popatrzył na mnie wzrokiem pełnym zmęczonego sceptycyzmu. Zauważyłem, że tęczęwki jego oczu miały niebieską otoczkę.

– Biały Człowiek znalazł sobie małpę i ubrał ją w garnitur – Jamal uśmiechał się szyderczo, oddając mi gazetę. – Małpa wykonywała rozkazy Białego Człowieka i wzbogaciła się na tym. A później zaczęła opowiadać o Białym Człowieku różne gówna. Uprawiać gierki. A obok cierpieli ludzie. Jak ci się wydaje – co próbowaliśmy powiedzieć?

Ubrany w bawełnianą togę człowiek o skórze jaśniejszej niż Irlandczyk zaczął się kłócić z Jamalem. Chodziło o to, że Jamal wdał się w rozmowę ze mną,

z białasem.

Zaczynało się robić głośno i nieprzyjemnie, a ponieważ pamiętałem o tym, co przydarzyło się Ricardo, zacząłem powoli wycofywać się w stronę samochodu. W tym momencie zjawiał się Omar Regan – jedno z dwanaściorga dzieci imama Abdullaha – który natychmiast ich uciszył jednym krótkim słowem: „Bracia”. Zaprosił mnie, bym wszedł na górę i pomodlił się z nimi.

Postępując zgodnie z jego wolą, „Irlandczyk” uklonił się i ujął mnie za rękę, przedstawiając mi się swoim muzułmańskim imieniem, które musiał zaczerpnąć wprost z CNN: Dżihad al Dżihad.

Regan był młodym, przystojnym człowiekiem i świetnym mówcą, który mówił po arabsku i zarządzał meczetem w południowo--środkowej części Los Angeles. Przyjechał, by pogrzebać ojca, a wcześniej umyć jego ciało i namaścić mu stopy. Powiedział mi, że ojciec miał dwadzieścia ran postrzałowych, a jedna z kul przeszła przez mosnę.

Tłum wylewał się z wnętrza meczetu, więc ceremonia była nadawana również na ulicę. W środku budynku były tylko nagie ściany i puste skrzynki elektryczne. Uszkodzony piec grzał zdecydowanie zbyt mocno, co – w połączeniu z cisnącymi się wszędzie ludźmi – było niemal nie do wytrzymania.

– Jak moglibyście być tymi, za kogo was mają, skoro nic nie macie? – zaczął kazanie Regan, a zgromadzeni ludzie zanieśli się szlochem. – Zapomnieli o wspólnotcie, o sąsiedztwie. Przedmieścia są okej, ale o najbliższym sąsiedztwie zapomnieli. Zapomnieli o was i dlatego właśnie, moi muzułmańscy bracia, my sami musimy się troszczyć o siebie nawzajem... Nazywają nas radykałami. Nazywają nas terrorystami. Ale my mamy gdzieś to, jak nas nazywają, bo oni mają gdzieś to, co jest dobre.

Stwierdziłem, że zabicie Abdullaha tylko wszystko pogorszyło. Siedziałem tam i bazgrałem w notesie, a równocześnie zastanawiałem się nad tym, dlaczego agenci federalni nie mogli imama po prostu zaarrestować; cicho i spokojnie, na przykład wtedy, gdy szedł kupić sobie poranną kawę.

Gdy podniosłem wzrok, zauważyłem, że dwóch ludzi wstało i zgłosiło swoją gotowość do przejścia na islam.

BRZEMIE BIAŁEGO CZŁOWIEKA

To był piękny grudniowy poranek w Południowej Kalifornii. Na autostradzie 405 tłoczyły się samochody, co było – w zależności od tego, z której strony popatrzeć – dobrą lub złą wróżbą dla amerykańskiego przemysłu samochodowego. Dobrą, bo najwidoczniej Amerykanie wciąż kupowali samochody. Złą, bo jakaś połowa z nich to były marki zagraniczne.

Tego dnia – dzień przed oficjalnym otwarciem targów samochodowych Los Angeles Auto Show – odbywał się specjalny przedpremierowy pokaz dla prasy, na którym można było zobaczyć najnowszy model z rodziny Cadillaca – CTS coupe – zaprojektowany z myślą o podboju autosalonów w 2010 roku. Nowy samochód promowany był jako jeden z tych modeli, które przywrócą dawną świetność General Motors; to dzięki niemu koncern miał zyskać zdolność spłaty astronomicznych długów, jakie zaciągnęła u amerykańskich podatników.

Firma wynajęła na tę okazję studio tańca i ustawiła na parkiecie pięć srebrnych cadillaców. Przy wejściu stały nakryte obrusami stoły, a elegancko ubrani kelnerzy podawali lunch reporterom, by ci ostatni mogli się posilić już w trakcie oglądania pojazdów.

Jednak w Detroit znowu zaczynało się coś dziać. General Motors ogłosiło, że o wpół do piątej po południu odbędzie się konferencja prasowa, ale już wcześniej pojawiły się przecieki do mediów.

Gdy reporterzy w Los Angeles sączyli mrożoną herbatę, zagryzając ją gumowatym łośosiem, jeden z nich wyciągnął z kieszeni komórkę blackberry i zobaczył wiadomość: „Dyrektor generalny General Motors Fritz Henderson rezygnuje”.

Henderson od lat był zaufanym pracownikiem General Motors i po tym, jak Obama zmusił Ricka Wagonera do odejścia, został dyrektorem naczelnym tego przedsiębiorstwa. Teraz z kolei jego zmuszono do opuszczenia stanowiska, a jego miejsce zajął Edward Whitacre, starannie wybrany przez administrację członek zarządu General Motors, który od tego momentu piastować miał równocześnie dwa stanowiska.

Reporter od blackberry spojrzał na jednego ze specjalistów od marketingu

globalnego General Motors i zapytał:

– Czy zanotowaliście już jakieś reakcje na rezygnację Fritza Hendersona?

– Co? – wykrztusił marketingowiec, który ze zdumienia aż usiadł.

Reporter powtórzył pytanie, wyciągając swój telefon. – Fritz właśnie zrezygnował.

– Jasna cholera – facet przełknął z wrażenia ślinę.

I wtedy studio tańca przemieniło się w plan zdjęciowy kiepskiego filmu. Wszędzie wokoło stali reporterzy, którzy ze swoich smartfonów słali w świat kolejne wiadomości. Dyrektorzy General Motors i inni pomniejsi pracownicy biegali wte i wewte, mamrocząc, bełkocząc i jękając się.

Reporterzy ścigali się do drzwi, by jak najszybciej odebrać samochody od zatrudnionych na tę imprezę „lokajów”, a przy wejściu stał jeden z PR-owców Cadillaca i strasznie przeklinał.

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. Czemu, do kurwy nędzy, Fritz Henderson musiał to zrobić akurat dzisiaj, w przeddzień pokazów w Los Angeles? Gównu będzie z tych wszystkich materiałów, jakie miały powstać o CTS coupe. Wszyscy już stąd wychodzą.

Miał rację. Nawet „Detroit News” nie miało zamiaru choćby wspomnieć o nowym cadillacu. Odejście Hendersona to była wielka nowina. Wydawało się, że w biurach dyrektorów w Detroit niewiele się zmieniło. Nadal nie potrafili ogarnąć gówna, które sami robili.

Tymczasem lokalni dyrektorzy Cadillaca z Los Angeles spotkali się w jednym biurze, by wziąć udział w telekonferencji z Detroit. Najwidoczniej powiedziano im o tym, co wydarzyło się w Centrum Renesansu. Jedyne problem polegał na tym, że to biuro było całe przeszklone i reporterzy, którzy jeszcze zostali na miejscu, ustawili się tuż obok, przyglądając się pokazowi bezradności menedżerów. Załamywanie rąk i zrozpaczone wyrazy twarzy świadczyły o wielkim szoku, jaki właśnie przeżywali.

Kim, do kurwy nędzy, byli ludzie, którzy zarządzili tym krajem?

Później, tej samej nocy – grubo po deadline – reporterzy pili w hotelowym barze, starając się przed pójściem spać oczyścić głowy po wydarzeniach poranka.

Był tam też jeden z dyrektorów General Motors, który tego wieczora – sądząc po zapachu ginu i oliwek, jaki czuć było w jego oddechu – wlał już w siebie przynajmniej dziesięć drinków.

– Nowy zarząd to jacyś pieprzeni szaleńcy – bełkotał. – Za każdym razem, gdy

się spotykają, ktoś zostaje zwolniony. Co trzydzieści dni wszyscy jesteście totalnie przerażeni, bo oni nie mają zielonego pojęcia o tym, jak działa firma motoryzacyjna.

Gadał dalej, opowiadając o tym, jak zarząd wciąż prosił dyrektorów o to, by rozpoczęli produkcję hybrydy, czego nie da się zrobić w trzydzieści dni, oraz przedstawiając inne płynące z Waszyngtonu, bardzo skomplikowane, jeśli nie zupełnie niemożliwe do spełnienia, żądania.

Głos dyrektora załamywał się od rozpacz i alkoholu. Ciężar porażki tego dnia spadł teraz na niego z całą mocą.

– A najgorzej, że dzisiaj odszedł Fritz. Dlaczego pozwoliliście mu rzucić pracę na dzień przed tym, jak miały zadebiutować na rynku nasze cztery najważniejsze samochody: buick regal, chevrolet cruze, cadillac CTS coupe i chevrolet volt? Czy oni chcą nas doprowadzić do ruiny?

Oto był człowiek, który kochał General Motors; kochał je bardziej, niż mógłby je pokochać kiedykolwiek którykolwiek reporter. A teraz patrzył na to, jak firma, którą kochał i znał, na jego oczach ulega rozpadowi. Wierzył, że jest to wynik spisku, jaki zawiązano po to, by wysadzić z siodła wszystkich dyrektorów wykonawczych General Motors.

„Rezygnacja” Fritza Hendersona niewielu ludzi zaskoczyła – w najlepszym wypadku można było tego faceta nazwać nieudacznikiem. Ale wycucie czasu było fatalne i wszyscy już wiedzieli, że to, co mówił pijany dyrektor, było prawdą. Detroit mogło sobie być zadowolone i reagować alergią na chęć jakiegokolwiek zmiany, ale teraz okazywało się, że tak samo było w Waszyngtonie. Ci, którzy byli najlepiej poinformowani i najlepiej znali się na rzeczy, siedzieli teraz w barze, mieszając oliwkami w drinkach i zastanawiając się, jak długo może przetrwać to zaaranżowane przez postronnych małżeństwo. Nikt w Detroit nie miał zamiaru zwracać sobie głowy pokazami samochodowymi w Los Angeles. Ani redaktorzy, ani czytelnicy, ani nikt inny na całym wielkim świecie. To była pieprzona-kolosalna-klęska.

Nazajutrz rano, gdy reporterzy weszli już na teren centrum konferencyjnego w Los Angeles, pojawiła się wiadomość, że zamiast Hendersona – który wedle przedstawionego wcześniej programu miał wygłosić podczas śniadania pierwsze przemówienie – pojawi się Bob Lutz, wiceprzewodniczący General Motors.

Nazwisko Lutza zapisano na kawałku białej taśmy samoprzylepnej, którą zaklejono na tablicy informacyjnej nazwisko Hendersona.

To była totalna prowizorka. Ze spodu wciąż prześwitywało nazwisko prelegenta, którego już nie było.

ZŁA SIĘ NIE ULĘKNE

Głos starej kobiety był zdarty i smutny.

– Potrzebuję kilkaset dolarów – prosiła mnie potulnie Duża Martha. – Ta szafa mnie prześladowe. Za każdym razem, gdy ją mijam, jest mi tak strasznie smutno. Wydaje mi się, że to nie w porządku, by Mała Martha spędziła tam kolejne, drugie już, Boże Narodzenie. A tak naprawdę to nie proszę o to dla niej. Ona odeszła. Przypuszczam, że morderstwo zawsze pozostanie morderstwem. Proszę cię o tę przysługę w swoim imieniu, potrzebuję tego dla siebie.

Poczułem, że wyzwoliłem w Dużej Marcie jakieś straszne emocje, które wcześniej kobieta trzymała upchane głęboko w kredensie. Gdy parę tygodni temu przyszedłem i zapukałem do jej drzwi, Martha wyciągnęła je na światło dzienne i dlatego teraz czułem się zobowiązany, by naprawić parę rzeczy. Chciałem, by jej świat – jeszcze przed świętami – wrócił do równowagi. Więc zadzwoniłem w parę miejsc.

Gdy wyjaśniłem całą sytuację zarządcy cmentarza Najświętszego Serca, ten obiecał mi załatwić za czterysta pięćdziesiąt dolarów miejsce dla Małej Marthy – miała zostać pochowana w grobie ze swoim dziadkiem; nad nim. Z kolei kamieniarz zaoferował się, że za sto dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów dostarczy prosty, marmurowy kamień nagrobny, na którym wyryte będą imiona Marthy Anny i jej dziadka, Clarence’a.

Nie miałem serca, by powiedzieć Dużej Marcie, że grób Clarence’a już w tej chwili jest grobem podwójnym, bo pod jej mężem pochowano ciało pewnego Polaka. Ale umieściłem ten szczegół w artykule, a stamtąd podłapał go i rozgłosił pewien były pracownik gazety, który teraz szukał szczęścia przy konsoli radiowej.

Detroit pełne jest dobrych ludzi, którzy wiedzą, czym jest ból. Udało mi się więc zebrać ponad trzy tysiące dolarów; niektórzy przysyłali pocztą dziesiątki, a inni nawet po pięćdziesiąt dolarów. Duża Martha zarządziła, by fundusze, które zostaną nam po pogrzebie, oddać jadłodajni dla ubogich. Pewien mężczyzna dał jej nawet pieniądze na samochód, którego tak bardzo potrzebowała. Jeśli dla Detroit jest jeszcze jakaś nadzieja, to budują ją właśnie tysiące takich dobrych ludzi, którzy wciąż muszą się czegoś obawiać, choć nie chcą obawiać się już niczego.

Poranek był zimny i pochmurny. Zacinał śnieg. Wsadziłem Dużą Marthę do mojego firmowego samochodu. Wrrr... wrrr... wrrr...

Urnę, w której znajdowała się Mała Martha, kobieta trzymała kurczowo przyciśniętą do piersi. Matka Małej Marthy, Sharon, była zbyt zajęta ogarnianiem demonów i papierosów, by móc wyjść ze swojego zatęchłego domku.

– Nie wiem, co z tymi ludźmi jest nie tak – to było wszystko, co Martha powiedziała o swojej rodzinie; żaden z jej członków nie wybierał się na cmentarz. Przez resztę drogi na pogrzeb kobieta wciąż milczała.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce, zarządca cmentarza już czekał na nas z łopatą, a kamieniarz z nagrobkiem. Zarządca natychmiast zabrał się do roboty, czyli przekopał niewielką kupkę ziemi na grobie męża Dużej Marthy, który dzielił on już z nieznanym Polakiem.

Pochowaliśmy prochy Małej Marthy. Duża Martha zapomniała wziąć Biblię, więc Psalm Dwudziesty Trzeci odczytałem ze swojego iPhone’a. Marcie nie robiło to różnicy; i tak bardzo płakała, równocześnie drżąc z zimna w swoich cienkich butach.

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną”^[13].

Martha przytuliła kamieniarza, po czym odwiozłem ją do domu.

Trochę zgubiliśmy się w okolicy jej domu, bo kobieta – poza tym, że chodziła do kościoła i na przystanek autobusowy – niewiele poruszała się po swojej dzielnicy.

– Wie pan co, panie Charlie?

– Charlie.

– Wiesz co, Charlie? Wiedziała, że się zjawisz. Wiedziała to, bo chwilę przed tym, jak się zjawiłeś, dałam swoje ostatnie czterdzieści dolarów na tacę i modliłam się. A teraz Pan mówi mi: „Proście, a będzie wam dane”^[14].

– A kaznodziei powinien być dany cadillac – stwierdziłem.

– Masz rację – roześmiała się.

– Ale teraz nie dawaj mu już tych pieniędzy, które dostałaś na własny samochód, Martho. To forsa na twoje auto, nie na auto wielebnego.

– Mój Boże – powiedziała, uważnie przypatrując się ulicy. – Spójrz na te wszystkie kościoły. Jak to możliwe, że może być aż tak wiele kościołów? Kto do nich wszystkich chodzi?

– Sam się nad tym zastanawiałem.

– Powinniśmy robić tak jak biali – stwierdziła Martha. – Oni mają tylko dwa czy

trzy rodzaje kościołów. Bo wszystkie te kościoły, które mamy my, czarni, i tak chyba nie spełniają swojego zadania.

Gdy znalazłem już jej ulicę, zatrzymałem się przy małym domku z przydziału socjalnego, który teraz – w swojej niezgłębionej mądrości – miasto chciało kobiecie odebrać.

– Wesołych świąt, Martho.

– Dziękuję, Charlie. Bardzo ci dziękuję. Niech Pan oświeca cię swoim blaskiem.

MORDERSTWO NA ZAWSZE ZOSTANIE MORDERSTWEM

Udało nam się wyprawić stosowny i godziwy pogrzeb jednej niewinnej owieczce. A teraz musiałem się upewnić co do tego, że nie będziemy musieli także pochować pewnego durnia.

Pamiętałem rozmowę, jaką odbyłem z płatnym zabójcą, stojąc na środku swojego domu w samej bieliźnie. Groził, że zetrze na proch prokuratora, który odkrył przed dilerami, z którymi zabójca się spotykał, jego prawdziwą tożsamość – tożsamość policyjnego donosiciela.

Zadzwońłem do asystenta prokuratora i opowiedziałem mu o pogrożkach. Nie zadzwoniłem dlatego, że go lubiłem. Uważałem, że prokurator jest skończoną gnidą. Sztywnym biurokratą, któremu bardziej zależało na zamknięciu sprawy niż na wyegzekwowaniu sprawiedliwego wyroku.

Nie dzwoniłem też dlatego, bym uważał to za swój moralny czy dziennikarski obowiązek. Po prostu rozumiałem, że byłoby to niezgodne z prawem, gdybym nie powiedział mu o tym, że ktoś ma zamiar go sprzątnąć.

Tak więc dzwoniłem.

– Powiedz mi, co odkładnie o mnie powiedział. Czy groził, że mnie zabije?

– Cóż, nie jestem pewien – odpowiedziałem; zaczynałem żałować, że zadzwoniłem. – Niezupełnie tak powiedział. Może raczej dawał to tylko do zrozumienia.

– To groził czy nie? – dopytywał poirytowanym tonem.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Bo będziemy musieli go zgarnąć.

– Na jakiej podstawie? – dopytywałem.

– Na takiej, że groził prokuratorowi.

– Chwila! – wykrzyknąłem. – Dzwonię do ciebie jak dżentelmen do dżentelmena. Masz zamiar aresztować faceta na takiej podstawie, że powiedziałem ci, iż jest na ciebie wściekły? A co powstrzyma go przed tym, by przyszedł też po mnie?

Prokurator – który znany był z tego, że do sądu pod swój oksfordzki garniturek wkładał kamizelkę kuloodporną – zaczął kwiczeć:

– Nie mam zamiaru dać się zastrzelić przez (tu padło imię informatora) – podał prawdziwe imię wtyczki, którego aż do tego momentu nie znałem. Sąd nakazał, by było trzymane w tajemnicy. To był szkolny błąd.

– Zaczekaj chwilę – słysząc było, że w czymś tam grzebie. – Chcę, żebyś powiedział o tym mojemu przełożonemu. Powiedz to dokładnie tak samo, jak powiedziałeś to mnie.

– Nic więcej nie mogę ci już powiedzieć – stwierdziłem na koniec. – Zrobisz to, co będziesz musiał zrobić.

Odłożyłem słuchawkę.

W ten sam weekend wyprowadziłem moją rodzinę z naszego dotychczasowego domu.

Jeśli prokurator-z-przedmieść i reporter-z-przedmieść obawiają się o swoje życie, możecie sobie wyobrazić, jak to jest żyć w tych najdzikszych, centralnych, częściach Detroit.

Dwa dni po zabójstwie Allsa Sumayah Tauheed zamknęła zakład fryzjerski, w którym pracowali Alexander i Alls. Bała się, że będzie następna.

Tauheed zgodziła się spotkać ze mną w tym zakładzie, znajdował się on jakieś czterysta metrów od centralnego komisariatu policji.

Gdy dotarłem na miejsce, nalegała, byśmy zamknęli się wewnątrz na kłódkę.

– Czy to rzeczywiście konieczne? – zapytałem. – Jest środek dnia.

– Zaufaj mi – odpowiedziała. Po czym ta czterdziestosiedmioletnia babcia delikatnie uniosła zwisającą jej z ramienia torebkę. U jej biodra przytroczona była trzydziestka ósemka.

– Właśnie to nabyłam – stwierdziła. – Teraz mam przynajmniej jakieś szanse, tak pół na pół.

To był pierwszy poniedziałek miesiąca – dzień, w którym opieka społeczna przekazywała czeki przysługujące w ramach zapomogi.

Dokładnie w tym samym momencie, gdy Tauheed pokazywała mi swoją zdobycz, za drzwiami – zaledwie parę metrów od miejsca, w którym zamordowano Allsa – ktoś przywalił staremu człowiekowi w twarz. Dwóch młodych mężczyzn śledziło go od miejsca, w którym zrealizował swój czek socjalny. Zaatakowali go, ukradli mu pięćset dolarów i wybili dwa przednie zęby.

Gmeraliśmy przy kłódkce, starając się wyjść na zewnątrz i mu pomóc, ale gdy

wreszcie udało nam się otworzyć drzwi, rabusie byli już daleko. Na ulicy nie było niczego poza zakrwawionym starym człowiekiem i porzuconym materacem.

Przyjechała karetka. W końcu pojawiła się także policja.

– To podłe – stwierdził biały policjant w okularach w stylu Roya Orbisona. – W tej okolicy musicie uważać na swój tyłek.

Przyglądaliśmy się z Tauheed, jak gliniarz odjeżdża.

– Policja nie patroluje ulic – podsumowała Tauheed. – Robią to gangi.

Reporter nie może wiele zrobić w kwestii martwego człowieka. Ale reporter wraz z policjantem i sędzią już coś mogą; mogą doprowadzić do tego, by sprawiedliwości stało się zadość. Myślę, że właśnie o to chodziło Ojcom Założycielom, gdy pisali tekst konstytucji. Życie. Wolność. Szczęście. Każdy ma prawo do tych rzeczy.

Moja historia o płatnym zabójcy, Małej Marcie i krwawym szlaku znaczonego kolejnymi ciałami zostawianymi przez Woolfolka wyszła do ludzi rankiem tego samego dnia, gdy ruszył proces. To wtedy odbyło się przesłuchanie wstępne, które miało na celu określenie, czy istnieją wystarczające dowody w sprawie pobicia na śmierć w klubie nocnym, które pozwoliły wezwać przed sąd Woolfolka, Johnsona i Cooleya.

Oczywiście okazało się, że wystarczających dowodów nie ma. Zamordowano jedyne go świadka zdarzenia. Ale wszyscy, których to obchodziło, przeczytali tego ranka historię niedoszłego policjanta Allsa – faceta, który zniknął z tego świata dlatego, że miał jaja, by stanąć i zeznawać jako świadek pobicia.

Przeczytali o Małej Marcie. Poznali jej ostatnie słowa: „Co się dzieje?”. Przeczytali o tym, jak początek swojej wieczności spędziła w bieliźniarce.

Przeczytali też o tym, że Woolfolk wyszedł wolny z więzienia, choć przyznał się do tego, iż był obecny na miejscu morderstwa dziewczynki.

Przeczytali o płatnym zabójcy, jego protestach i pogróżkach, że zabije prokuratora.

Przeczytali o sfrustrowanym policjancie, który wprowadził mnie w szczegóły całej tej śmierdzącej, gównianej sprawy.

Przeczytali o zwłokach.

Siedziałem na ławie przysięgłych i uśmiechałem się, patrząc, jak prawnicy i bojaźliwy prokurator gorzko narzekają na to, że cała sprawa wyciekła do mediów.

Obrońca Woolfolka, zabójcy Małej Marthy, wskazał na mnie i też zaczął narzekać; twierdził, że odebrałem jego klientowi możliwość wzięcia udziału w uczciwym przesłuchaniu, podczas którego wszyscy nie byłiby wobec niego uprzedzeni.

– Ja niczego nie powiedziałem temu reporterowi – obruszył się prokurator. Pomijając fakt, że wyjawiał mi prawdziwe imię płatnego zabójcy, była to prawda.

Na miejsce dla świadka wezwany został sierżant Martel. Adwokat Woolfolka poprawił swój garnitur w szkocką kratę. Ubranie wisiało na nim tak, jakby było mu wstyd za tego, kto je nosi.

Facetowi wydawało się, że jest lokalnym Johnniem Cochranem. Mógł się ubrać jak Cochran, ale za grosz nie miał jego sprytu. Wezwany sierżant Martel złożył przysięgę i usiadł na miejscu dla świadka.

– Sędzia powiedział panu, by nie ujawniał pan żadnych informacji dotyczących tej sprawy. Nie wolno było panu mówić o taśmach ani podawać tożsamości związanych ze sprawą osób. Ale jednak pan to zrobił, czyż nie?

Martel siedział na swoim miejscu i nerwowo pocierał knykcie.

– Sąd nie nakazywał mi, bym cokolwiek robił albo czegokolwiek nie robił – odpowiedział.

– Czy przekazał pan (tu padło nazwisko zabójcy) numer telefonu reportera?

Prawnik spojrzał na mnie. Odpowiedziałem delikatnym skinieniem. Odwrócił się z powrotem w stronę Martela, który mnie nie zauważył.

– Rozmawiałem o tym ze świadkiem.

– Czy to pan był osobą, która pokazała reporterowi taśmę?

– Tak.

– Okej. Czy był pan przekonany o tym, że pokazanie taśmy reporterowi pomoże w wydaniu sprawiedliwego wyroku?

– To nie miało nic wspólnego ze sprawiedliwością – stwierdził Martel.

– Czy zasadniczo chodzi o to, że był pan wściekły na prokuratora i dlatego postanowił pan upublicznić posiadane przez pana informacje?

– Chodziło o to, by ujawnić obrany sposób postępowania.

– Mówi pan o sposobie postępowania sędziego czy prokuratora?

– Prokuratora.

– Och! – wykrzyknął prawnik, dramatycznym gestem zdejmując okulary. – Postanowił pan ścigać prokuratora. Czy o to chodziło?

– Nikogo nie ścigałem – z chłodnym spokojem odpowiedział Martel.

– Szkalował pan prokuratora, ponieważ nie poszedł on za pańską sugestią na temat tego, jak powinien poprowadzić sprawę! Nie mam więcej pytań.

Adwokat usiadł. Marynarka źle na nim leżała; wyglądało to tak, jakby wciąż trzymał uniesione ramiona. Martel wyszedł z sali rozpraw z wysoko podniesioną głową.

Zadzwoił do mnie jeszcze tego samego popołudnia.

– Jak mi poszło? – zapytał.

– Nie mogę uwierzyć – odpowiedziałem. – Wystawiłeś się.

Nigdy dotąd nie widziałem, by policjant przyznał się, że przekazał ważne informacje reporterowi. A zwłaszcza, by przyznał się do tego w sądzie.

– Nie zamierzam kłamać – odpowiedział krótko Martel.

Sędzina należała do tych ostrożnych. Postępowanie przygotowawcze ciągnęło się przez tygodnie. W tym czasie policja przekazała mi nagranie wideo ze strzelaniny w klubie ze striptizem. Widać było na nim jednego z oskarżonych – Eilanda Johnsona – jak wchodzi do klubu. Jest ubrany w szorty i koszulkę bez rękawów. Zaczyna strzelać z półautomatycznego pistoletu, a później ucieka. Uderzyło mnie to, co w pewnym momencie zauważyłem na samym prawym brzegu kadru. Był to duży facet, który przyciągnął do siebie jedną ze striptizerek i zasłonił się nią jak tarczą, popychając ją w stronę mężczyzny z bronią. Artykuł zacząłem tak:

DETROIT: Materiały policyjne pokazują, że Eiland Johnson nie tylko nie wiedział, jak powinien się zachowywać z klubie nocnym. Okazuje się, że nie wiedział także, jak powinien się ubrać na takie wyjście.

Siedziałem na sali sądowej i czekałem, aż zacznie się rozprawa. W pewnym momencie w moją stronę nachyliła się młoda czarna kobieta. Na głowie miała perukę z długich czarnych włosów, a jej paznokcie zdobił fioletowy lakier. Zauważyłem też niesamowite rzęsy, które wyglądały jak zrobione z kurzych piór wachlarze. Z jej dekoltu wylewał się obfity biust. Była to dziewczyna Woolfolka. Nachylała się tak, by nawet na sali sądowej chłopak mógł się cieszyć widokiem jej piersi. Woolfolk oblizywał usta, jakby wgapiał się w wielki talerz tłustych siekanych steków. Wydawało się, że nie zarejestrował faktu, iż właśnie grozi mu dożywocie. Zachowywał się raczej tak, jakby był piękny poranek, a on znajdował się na wycieczce szkolnej.

– Sorki – wyszeptała w moją stronę jego kobieta. – Czy to pan napisał ten tekst

o tym, że Eiland nie umie się ubrać?

– Tak, to ja – odpowiedziałem. Denerwowałem się, że ludzie z załogi Woolfolka mnie rozpoznają.

– To było zabawne – stwierdziła, dotykając mojego ramienia. – Wszyscy opowiadamy sobie tę historię. Że on nie umie się ubrać. Jest pan zabawny.

– Dziękuję – powiedziałem z ulgą, zastanawiając się jednocześnie nad tym, jak bardzo zadowolony byłby mój szef, gdyby dowiedział się, że udało mi się poszerzyć nasze (wciąż malejące) grono czytelników o grupę młodych mieszkańców miasta z wolnymi środkami finansowymi.

Za chwilę miał zeznawać najważniejszy świadek, świadek-gwiazda-procesu – płatny zabójca, który zadzwonił do mnie z pogrożkami, że zabije prokuratora.

Tylko że teraz zabójca siedział, trzęsąc się ze strachu w poczekalni na tyłach sali rozpraw, i powoływał się na piątą poprawkę, która pozwalała mu odmówić zeznań, które mogłyby go obciążać. Prokurator miał nadzieję, że zabójca powie sędzinie o tym, iż ktoś zlecił zabicie Allsa. Jeśli uwierzyłaby w tę wersję wydarzeń, mogłaby zgodzić się na to, by zeznanie Allsa – w którym mówił, że widział mężczyzn, którzy za pomocą butelek wódki pobili na śmierć jego najlepszego przyjaciela, i o awanturze w nocnym klubie, która zaczęła się od tego, że ktoś złapał jakąś kobietę za tyłek – potraktować jako dowód w sprawie.

Ale płatny zabójca wiedział to, co wiedziała Duża Martha i wszyscy inni ludzie w Detroit: że morderstwo zawsze zostanie morderstwem.

– Zarządzam dziesięciminutową przerwę – powiedziała sędzina Susan Moiseev, która była – jeśli wierzyć temu, co napisane było na tabliczce przytwierdzonej do jej stanowiska – SĘDZIĄ KRĘGOWYM. Litera „O” odpadła dawno temu.

Szwendałem się po holu, przyglądając się fotografiom sędziów okręgowych przyczepionym do przesłoniętej szkłem tablicy korkowej. Zdjęcia były stare i wyblakłe, poznaczone czerwonymi i żółtymi plamami, jakie wypaliło na nich słońce, wchodząc w reakcję z fotograficznymi chemikaliami. Sprawdziłem, czy działa wodotrysk z wodą pitną. Ciurkała ona cienkim strumykiem pachnącym stęchlizną i błotem. Nie dobiegał mnie niemal żaden dźwięk. Całe to miejsce zionęło pustką i upadkiem. Podmiejski budynek sądu zbudowano dawno temu; miał spełniać te zadania, którym nie potrafiło sprostać miasto. Tyle że podmiejska sprawiedliwość też nie była w stanie utrzymać się w mocy.

Stałem i patrzyłem na dziewczyny i matki oskarżonych, które stały w rogu przy

oknie i coś tam między sobą szeptały.

Gdy wróciliśmy na salę sądową, prawnik Cooleya – szefa Rodziny Czarnej Mafii – przedstawił swój, całkiem przekonujący, wywód.

– Wysoki sędzie – zaczął Steve Fishman – nawet jeśli mój klient, pan Cooley, sprzedawałby narkotyki na całym terenie Stanów Zjednoczonych, to co to ma wspólnego z morderstwem? Czy Darnell Cooley ma cokolwiek wspólnego z Anthonyem Allsem i powstrzymaniem go od złożenia zeznań? Nie muszę przedstawiać żadnego dowodu na to, że pan Cooley nie miał nic wspólnego z morderstwem Allsa... To, czy sprzedawał całe góry kokainy, nie ma tu najmniejszego znaczenia. Nie ma żadnego dowodu pozwalającego łączyć go ze sprawą, która teraz tutaj się toczy.

Sędzina Moiseev pozostała niewzruszona. Pozwoliła na wprowadzenie zeznań Allsa jako dowodu do akt sprawy i zobowiązała całą trójkę oskarżonych do stawienia się na procesie.

Oskarżeni zrobili marsowe miny. Zanim pracownicy sądu zakuli ich w kajdanki i zabrali z powrotem do więzienia, Woolfolk nachylił się w stronę swego Kurczaczka i wyciągnął nos w stronę jej cycków, tak jakby miał zamiar powąchać bukiet lilii. Kurczaczek zaś nachyliła się w jego stronę i łagodnie się uśmiechnęła, jak mamka do ośeska.

Fishman, który reprezentował także Monicę Conyers, gdy w sądzie federalnym toczyła się jej sprawa o łapówkarstwo, jest bardzo dobrym prawnikiem. Mówi się o nim, że wygrywałby więcej spraw, gdyby reprezentował nieco bardziej niewinnych klientów.

Fishman zamknął teczkę i, przez nikogo niezatrzymywany, wyszedł.

Gdy sala rozpraw już opustoszała, podszedłem do sędziny.

– To było odważne z pani strony – powiedziałem. – Nie ma tu zbyt wielu dowodów.

– Pański artykuł wywarł na nas wszystkich duży nacisk – odpowiedziała. – Pozwólmy, by dalej zajął się tym inny sędzia. Ja nie zamierzam ubiegać się o reelekcję... Poza tym – dodała, mając na myśli Woolfolka – wydaje się, że wszędzie, gdzie pojawi się ten facet, pojawiają się też zwłoki.

Miała aż nadto racji. Parę miesięcy później żona płatnego zabójcy żyjąca z nim w separacji dostała wiadomość wysłaną z jego telefonu: „Twój chłopiec jest

martwy”.

Ktoś wykończył zabójcę. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Jednak sierżant Martel miał na ten temat własną teorię.

– Sam mógł wysłać tę wiadomość, chcąc uniknąć płacenia alimentów. Nie mamy tutaj do czynienia ze świętym Józefem.

To samo dotyczyło trzech członków Rodziny Czarnej Mafii. Wszyscy oni dostali wyroki od trzech do pięciu lat więzienia.

To niewiele, ale zawsze więcej niż nic.

ZAPOMNIJ O TYM, CO WIDZIAŁEŚ

Było tuż po północy, a na Lillibridge Street nie paliła się żadna latarnia. Tak jest w całym Detroit – bez żadnego ostrzeżenia i bez żadnego widocznego powodu w ciemnościach nagle pogrążają się całe ulice i dzielnice. Po parterze dwupoziomowego domu w połowie tej mrocznej ulicy wte i wewte krążył Charles Jones. Nie mógł zasnąć, bo intensywnie myślał.

Jego siedmioletnia córka Aiyana Mo'nay Stanley-Jones zasnęła na kanapie, na której jej babcia oglądała telewizję. A telewizja stała na zewnątrz i oglądała ich rodzinę. Pół tuzina zamaskowanych policjantów z oddziału do zadań specjalnych – tutejszej wersji SWAT – stało u ich drzwi z gotową do użycia bronią.

Policjanci sprawdzili stalowe drzwi wejściowe do budynku. Nie były zamknięte. Przez okno na parterze wrzucili granat błyskowo-hukowy i wywalili kopniakiem drewniane drzwi, które zresztą też nie były zamknięte. Granat wyładował tak blisko Aiyany, że zapalił się koc, którym była przykryta. Dowodzący oddziałem oficer Joseph Weekley oddał pojedynczy strzał z pistoletu, trafiając dziewczynkę w głowę; pocisk wyszedł przez kark. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund.

– Mieli czas – powiedział mi Mike Carlisle, gdy do niego zadzwoniłem. Był na lotnisku, gdzie jako szofer czekał na jakiegoś włoskiego dyrektora przedsiębiorstwa samochodowego, którego miał zawieźć do siedziby głównej Chryslera. – Nie wchodzi się do domu o północy. Ludzie wtedy piją. Ludzie wtedy nie śpią. Gdybym to ja decydował, poczekalbym do rana, aż facet wyjdzie do sklepu po mleko. Tak powinni to byli zrobić.

Ale oddział chłopaków ze SWAT nie czekał. Może dlatego, że znajdowali się w obiektywach kamer; a może dlatego, że dwa tygodnie wcześniej, podczas próby aresztowania świadka, zamordowano oficera policji w Detroit. To był pierwszy nalot na dom od czasu jego śmierci.

Najpierw policja wypuściła historię o tym, jak babcia Aiyany chwyciła za broń Weekleya. Później jednak gliniarze uświadomili sobie, że taka wersja wydarzeń już na pierwszy rzut wygląda podejrzanie, więc powiedzieli, że kobieta złapała pistolet, biegnąc w stronę drzwi. Jednak sama babcia twierdzi, że leżała na odległym krańcu kanapy, z dala od drzwi. Ponadto gdy robi się obławę na podejrzanych – nawet

wtedy, gdy chodzi o podejrzanych o morderstwo – rzadko używa się granatów. Ale było ciemno. No i telewizja mogła potrzebować jakiegoś pokazu pirotechnicznego.

– To była totalnie spierdolona robota – powiedział mi nazajutrz rano komendant, który tą robotą dowodził. – Totalnie godna pożałowania wtopa.

Do policji przyłączyła się ekipa z A&E, która chciała nakręcić przy tej okazji odcinek paradokumentalnego programu kryminalnego *Pierwsze 48 godzin*. Pomysł tego programu opiera się na twierdzeniu, że detektywi z wydziału zabójstw mają czterdzieści osiem godzin na rozwiązanie sprawy morderstwa, bo później zwietrzeje trop. Tym razem – trzydzieści cztery godziny wcześniej – przed sklepem alkoholowym w okolicach Mack Avenue zastrzelono siedemnastoletniego Je'Reana Blake'a Noblesa. Informator jako strzelca zidentyfikował Chaunceya Owensa i podał właśnie ten adres.

Tym, co czyniło tę tragedię jeszcze większą, był fakt, że policja wrzuciła granat nie do tego mieszkania, co trzeba. Podejrzany o zamordowanie Blake'a Chauncey Owens mieszkał na górze z siostrą Charlesa Jonesa.

Notoryczny przestępca Owens został aresztowany w mieszkaniu na górze parę minut po tym, jak zastrzelono Aiyane. Oskarżono go o zamordowanie Je'Reana. Jak podały władze, motywem zabójstwa było to, że nastolatek nie okazał mu należytego szacunku. Jonesa zaś – ojca zabitej dziewczynki – również później oskarżono w sprawie o to samo morderstwo; ponoć towarzyszył on zabójcy, postawiono mu więc zarzut współudziału.

Gdy oficer Weekley siedział na chodniku i płakał po idiotycznym strzale w głowę dziewczynki, pocieszany przez kolegów, Aiyane ułożono na noszach, a po chwili stwierdzono jej zgon. Ciało przewieziono do kostnicy hrabstwa Wayne, do doktora Schmidta.

Pojechałem, by się z nim zobaczyć. Towarzyszyła mu hollywoodzka gwiazdka, która przygotowywała się do roli lekarki medycyny sądowej, jaką miała zagrać w dramacie produkcji ABC. Film opowiadał o morderstwie w Detroit i nosił tytuł *Detroit 1-8-7*. Tytuł produkcji odsyłał do paragrafu numer sto osiemdziesiąt siedem, pod jakim w kodeksie karnym stanu Kalifornia umieszczono morderstwo. Co prawda w stanie Michigan oznaczane jest ono numerem 750.316, ale ponieważ to bardzo długa liczba, nie zajmowano sobie głowy takim detałem jak merytoryczna zgodność.

Gwiazdeczka chichotała, krojąc mózg martwego mężczyzny.

– Można by powiedzieć, że zabójstwo Aiyany było naturalną konsekwencją

choroby, na którą cierpiała – powiedział mi Schmidt.

– A jaka to była choroba? – zapytałem.

– Psychopatologia dorastania w Detroit – odpowiedział. – Niektórzy ludzie już od urodzenia są na nią skazani, ponieważ wywodzą się z toksycznego środowiska.

Gdy byłem nastolatkiem, wraz z matką pracowałem w jej małej kwiaciarni. Znajdowała się ona niedaleko miejsca, w którym później zginęła Aiyana. Pewnego gorącego popołudnia w okolicach Dnia Matki przechodziłem przez ulicę, by kupić sobie w sklepie napój. Na chodniku zgromadził się tłumek podnieconych czymś czarnych. Gdy pociągnąłem za klamkę, otwierając drzwi sklepu, nad moją głową zabrzmiał dzwonek odgrywający małe handlowe *requiem*.

Na podłodze leżał, rozciągnięty w kałuży krwi, czarny mężczyzna. Leżał w pobliżu kasy, przywalony przewróconym stojakiem z ciastkami i chrupkami. Jego krew zastygła w kształcie placka na brudnym linoleum. Jego oczy i usta były otwarte, a twarz miała ten dziwny wyraz, charakterystyczny dla pijaka, który zasypia z otwartymi oczyma. Wokół jego głowy utworzyła się czerwona aureola krwi, która powodowała, że cała scena zyskiwała wyjątkowy, jakby łagodny i spokojny klimat.

Sklep należał do arabskiej rodziny. Jeden z jej członków – facet o pobrużdżonej twarzy i donośnym głosie – rozmawiał przez telefon, ale ja nie pamiętam żadnego dźwięku. Jego brat stał nad martwym mężczyzną, a w ręku trzymał pistolet. Patrzył uważnie na drzwi, gotów zareagować, gdyby nagle do środka wszedł ktoś, kto chciałby ostatecznie domknąć całą sprawę.

– Powinieneś stąd iść – powiedział do mnie, rozwiewając ciszę ruchem dłoni. – Zapomnij o tym, co widziałeś, mały człowieczku. Idź! – Facet miał na ręku złotą bransoletę; grubą jak lina do wspinaczki. Przez chwilę zwlekałem z wyjściem, ale w końcu wszystko to do mnie dotarło – bransoleta, alkohol, krew, broń, ciasteczka. Uświadomiłem sobie, jakie to wszystko jest tandetne, i wyszedłem.

Teraz po kwiaciarni została już tylko sarta kamieni, ale pomimo tego, co powiedział mi Arab, niczego nie zapomniałem. Za każdym razem, gdy widzę kogoś, kto zginął w wyniku przemocy albo nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, myślę o martwym mężczyźnie z otwartymi oczyma i widzę, jak leży na brudnej podłodze sklepu. Widziałem go w twarzach żołnierzy, gdy zajmowałem się wojną w Iraku. Widziałem go w twarzy mojej siostry. Widziałem go w twarzy córki mojej

siostry. I widziałem go teraz, w smukłej twarzy leżącego w trumnie nastolatka. Kolejny niewinny człowiek, którego śmierć uruchomiła całą serię wydarzeń. Wydarzeń, które mogły sprawić, że getto znów stanie w ogniu.

Je'Rean Blake Nobles był jednym z niewielu czarnych chłopaków w Detroit, któremu udało się wytrwać w szkole średniej. Był dobrym dzieciakiem i zbierał całkiem niezłe oceny. Chodził do liceum Southeastern High, które mieści się w przemysłowej okolicy w pobliżu upadłych zakładów Chryslera. Budowę szkoły ukończono w 1917 roku. W tamtym czasie, czyli na samym na początku, uczyli się w niej biali uczniowie, a ponieważ uważano, że placówka mieści się już właściwie na dzikich rubieżach miasta, tamtejsza drużyna sportowa przyjęła nazwę „Wojownicy Dżungli”.

Ponieważ obecnie wiele części miasta znów dziczeje, a puste działki – w miarę jak maleje populacja – na powrót przemieniają się w prerię i las, szkoła Southeastern, w geście masowej konsolidacji nielicznej szkolnej braci, zaczęła odbierać uczniów pobliskiej Kettering High. Albo, mówiąc inaczej: tak właśnie było, dopóki ktoś nie uświadomił sobie, że szkoły kontrolowane są przez walczące ze sobą nawzajem gangi. Proceder ten rozwinął się na taką skalę, że w chwilach, gdy szkoły stają ze sobą w futbolowe czy bejsbolowe szranki, kibice gości dostają zakaz wstępu na trybuny.

Łacińskie motto szkoły Southeastern – *Age quod agis* – oznacza „Rób, co robisz” albo inaczej „Zajmij się swoimi sprawami”. Je'Rean stosował się do tego hasła. I dzięki inteligencji oraz determinacji niezłe dawał sobie radę. Będąc członkiem programu Korpusów Szkolenia Młodzieżowych Oficerów Rezerwy, czekał na absolutorium i rozdanie dyplomów, by dostać się do regularnego wojska dla dorosłych. Ale chłopakowi nigdy nie udało się skończyć szkoły ani tym bardziej spróbować sił w teatrze wojny w Afganistanie, ponieważ okazało się, że nie poradził sobie na scenie pola walki w Detroit. Zamiast do wojska trafił do przerażających statystyk, podających, że w tym mieście każdego miesiąca ginie ponad pięcioro dzieciaków.

Na czym polegała popełniona przez Je'Reana zbrodnia? Źle spojrzął na Chaunceya Owensa.

Był 14 maja, godzina druga czterdzieści po południu. Je'Rean wszedł do sklepu monopolowo-spożywczego Motor City, by kupić sok pomarańczowy, którym

chciał popić jedzenie z McDonalda. Przy okienku sklepowym kłębiło się jakieś czterdzieścioro dzieciaków. Właśnie wtedy na swoim skuterze podjechał trzydziestoczteroletni Owens.

Je'Rean mógł sobie pomyśleć, że dorosły facet na skuterze wygląda nieco śmiesznie. Mógł się ironicznie uśmiechnąć. Ale nic nie powiedział.

– Co się na mnie gapisz? – zapytał Owens, zsiadając ze skutera. – Masz jakiś problem? Na co się, kurwa, gapisz?

Je'Rean – chudy, pryszczaty dzieciak – nie mógł stanowić żadnego zagrożenia. Jeden ze świadków twierdził, że – jak dla niego – wyglądał na jakieś trzynaście lat.

Je'Rean zacisnął mocno swoją małą pięść.

– Co? – wychrypiał.

– Zostań tam, gdzie stoisz – warknął Owens. – Zaraz będę miał coś dla ciebie.

Zgodnie z tym, co sam później powiedział policji, Owens szybko odjechał dwie ulice dalej do Lillibridge, by zebrać swoją paczkę. Wśród jego znajomków znajdował się podobno ojciec Aiyany, Charles „C. J.” Jones.

– Pod sklepem stoi jakiś czarny kurdupel i pierdoli głupoty. Idziemy skopać mu dupę – taki rozkaz wydał Owens grupie swoich dorosłych kolegów.

Przesiadł się ze skutera do chevroleta blazera. Na skopanie dupy Je'Reanowi wybrali się z nim jeszcze dwaj faceci, znani jako Mały James i Brudas. Mały James wziął ze sobą magnum 357. Zrobił to na żądanie Jonesa, który obawiał się, że ktoś zechce mu ukraść jego „diamentowe okulary od Cartiera”.

Je'Rean zdawał sobie sprawę z tego, że nadciąga zło, więc zadzwonił do swojej matki z prośbą, by po niego przyjechała. Zjawiła się zbyt późno. Owens był na miejscu pierwszy i z broni Małego Jamesa strzelił Je'Reanowi prosto w klatkę piersiową. W jednej ręce ściskając karton soku, a w drugiej dwa dolary, Je'Rean jeszcze przez chwilę zataczał się na środku Mack Avenue, po czym upadł na ulicę. Minutę później jeden z jego kolegów wyjął z jego ręki pieniądze, by zachować je na pamiątkę. Lyvonne Cargill – matka Je'Reana – znalazła się na miejscu parę minut później. Po czym odjechała, prowadząc samochód, do którego koledzy syna włożyli jego ciało.

Dlaczego ktoś miałby ruszać ofiarę strzelaniny, a tym bardziej wsadzać ją do samochodu i zabierać z miejsca zdarzenia? To kwestia pewnych okoliczności zewnętrznych. W Detroit (oficjalnie) średni czas dojazdu karetki od momentu jej wezwania wynosi dwanaście minut. Sanitariusze mówią jednak, że właściwie zawsze trwa to dłużej. No i czasami przyjeżdżają na miejsce zwykłym

samochodem osobowym, ponieważ nie ma żadnych wolnych ambulansów. Wtedy mają ze sobą jedynie defibrylator i koc.

Szpital znajdował się dziewięć i pół kilometra od miejsca strzelaniny. Je'Rean dławił się na tylnym siedzeniu samochodu, którym pędziła jego matka.

– Moje dziecko, moje dziecko, moje dziecko. Boże, nie zabieraj mi mojego dziecka – powtarzała.

Zanieśli go na oddział chirurgii urazowej, gdzie stwierdzono zgon. Ciało Je'Reana przewieziono do kostnicy hrabstwa Wayne, do doktora Schmidta.

WOKANDA EKSPRESOWA

Atak na dom przy Lillibridge, podczas którego zginęła mała Aiyana, nastąpił dwa tygodnie i przynajmniej tuzina morderstw po wkroczeniu policji do innego budynku w Detroit. Tamten dom też znajdował się we wschodniej części miasta. Był to nijaki, ceglany, dwupoziomowy budynek z walącym się garażem, którego podjazd prowadził na ruchliwą Schoenherr Road.

O wpół do czwartej w nocy funkcjonariusz Brian Huff – policyjny weteran z dwunastoletnim stażem pracy – odpowiedział na informację o włamaniu i strzelaninie; parę minut później wszedł do ciemnego domu. Za nim szło dwóch żółtodziobów. Partner Huffa wchodził tylnym wejściem. Na miejsce zdarzenia tak naprawdę nie wezwano Huffa i jego partnera. Wedle policyjnej wersji wydarzeń pojechali tam oni jako asysta dla młodszych, niedoświadczonych gliniarzy.

Huff wszedł do budynku z bronią wciąż schowaną w kaburze. Tuż za drzwiami stał Jason Gibson, brutal z imponującą kartoteką, obejmującą napady z bronią w rękę, napaści na policjantów i nieustanne unikanie spotkań z wymiarem sprawiedliwości. Jednak mimo to sędziowie wciąż wypuszczali go na wolność, ponieważ – jak twierdzili – sądy i więzienia były tak przepełnione, że ledwo radziły sobie z kolejnymi procesami morderców, gwałcicieli i polityków. A takie postępowanie często prowadzi do morderstwa.

Gibson był wysokim mężczyzną o grubym karku i – jak Omar z telewizyjnego serialu *Prawo ulicy* – zarabiał na życie, napadając na meliny handlarzy prochami. Jak twierdzili przedstawiciele władz, to właśnie robił we wspomnianym domu, gdy przeszkodził mu Huff, któremu Gibson natychmiast władował w głowę trzy kulki, zabijając go na miejscu.

Sąsiad, który teraz – oddając w ten sposób hołd Huffowi – zajmował się trawnikiem przed opuszczoną meliną dilerów, zastanawiał się, dlaczego w ogóle na zwykłe wezwanie zjawilo się aż tylu gliniarzy. „Policja prawie nigdy tu nie przyjeżdża. A tym bardziej w takiej liczbie i tak szybko, przy zwykłym wezwaniu w sprawie włamania”.

Niektórzy dziennikarze, z którymi pracowałem, uważali, że Huff sam mógł być zamieszany w sprzedaż narkotyków w tym domu. Tak przynajmniej twierdziły ich

źródła. Jak sąsiad, który zajmował się trawnikiem, tak reporterzy i policjanci zastanawiali się nad tym, dlaczego Huff i pół tuzina innych policjantów wyruszyło w odpowiedzi na rutynowe w naszym mieście wezwanie, które zresztą dyspozytornia przekazała komuś innemu.

Mniej interesowało mnie to, dlaczego tego wieczora na miejsce pojechała cała ta dziwna drużyna. Bardziej interesował mnie fakt, że wtedy, gdy Huff wszedł do domu i rozpoczęła się strzelanina, to gliniarze zaczęli do siebie strzelać.

Ale najważniejszą zagadką, jaka wiązała się z morderstwem oficera Huffa, było przede wszystkim to, dlaczego Gibson wciąż chodził wolny po ulicach. Już parę lat wcześniej zaatakował policjanta i próbował odebrać mu broń. Wtedy skończyło się to wyrokiem w zawieszeniu. A Gibson nie stawiał się, by zameldować się sądowi.

Dlaczego człowiekowi stanowiącemu takie zagrożenie – człowiekowi, który próbował odebrać broń policjantowi – dano wyrok w zawieszeniu? Odpowiedź jest równie prosta, jak smutna. Więzienia i sądy Detroit zarządzane są przez hrabstwo Wayne, a władze tego hrabstwa są tak samo skorumpowane i fatalnie zarządzane jak władze miasta.

Oficjalnie, ludzie pokroju Gibsona dostają wyroki w zawieszeniu, ponieważ więzieniach są przepełnione. Jednak prawda jest taka, że połowa cel świeci pustkami, ponieważ nie ma pieniędzy na to, by opłacić strażników, którzy mieliby pilnować osadzonych.

By nieco ulżyć owemu „przeludnieniu” więzień i sądów, wymyślono coś, co nazwano „wokandą ekspresową”. Ujmując rzecz najprościej, działa to tak: jeśli dana osoba nie jest oskarżana o ciężkie przestępstwo (jak morderstwo czy gwałt), jej sprawa kierowana jest na wokandę ekspresową, gdzie rozpatruje się ją z prędkością światła. Zwykle kończy się to wyrokiem w zawieszeniu lub poddaniem systemowi dozoru elektronicznego, czyli założeniem na przegub elektronicznej opaski. I zbyt często kończy się to tak, że niebezpieczni ludzie dosłownie rozpływają się w powietrzu. Tak właśnie było z Gibsonem.

Policja złapała go po raz drugi na rok przed zabójstwem Huffa. Tym razem chodziło o posiadanie broni, którą ukradł policjantowi w Ohio.

Gibson znów trafił na wokandę ekspresową i w styczniu został wypuszczony na wolność za kaucją w wysokości dwóch tysięcy dolarów. Co najdziwniejsze, w lutym zjawił się na procesie w sądzie okręgowym.

Ale wtedy okazało się, że również sąd okręgowy bardzo daleko wyciąga swoje zgniłe macki, które wymagałyby przycięcia. Wedle tego, co zapisano w aktach,

sędzina Cynthia Gray Hathaway odroczyła proces, nie podając żadnego uzasadnienia. Znana jako Hathaway-na-godziny, sędzina była członkinią wielkiego klanu sędziów – złączonego więzami krwi i małżeństw – którzy trzymali się mocno u sterów władzy. A ponieważ w Michigan sędzią zostaje się na drodze wyborów, rozpoznawalność nazwiska znaczy tu bardzo wiele, w przeciwieństwie do prawniczych zdolności i kompetencji, które nie mają większego znaczenia. Dlatego Hathawayów można znaleźć na wszystkich gałęziach rozrośniętego sądowniczego drzewka, od niskiego szczebla sądu rodzinnego po Sąd Najwyższy.

Sędzina Cynthia Gray Hathaway dziesięć lat temu została na pół roku zrzucona ze swojej gałązki przez Sąd Najwyższy Michigan. Przyczyną usunięcia było między innymi odraczanie przez nią rozpraw, by w międzyczasie wyjechać na wakacje.

Po tym kolejnym odroczeniu Gibson nie pojawił się już więcej w sądzie, chociaż wyznaczono następny termin.

Zadzwoił do mnie pewien prokurator wysokiego szczebla.

– Człowieku, spotkajmy się. Nie uwierzysz, czego się dowiedziałem.

Spotkaliśmy się w kawiarni w śródmieściu. Facet był z rodzaju tych, którzy przy spodniach noszą szelki, a na twarzy zgorzknienie. Usiadłem, a on podsunął mi szarą, kartonową teczkę.

– Rzuć na to okiem – powiedział.

Dzień po tym, jak zabito Huffa, sędzina Hathaway, działając pod naciskiem, jaki zaczęła wywierać na nią policja w związku z pobłażliwością wobec Gibsona, sięgnęła do jego akt i wprowadziła do nich pewne zmiany. Dzięki komputeryzacji systemu archiwizowania akt sądowych było to widoczne jak na dłoni.

– Ja pierdzielę – stwierdziłem.

– Normalnie zabiła policjanta – powiedział. – Musiała wiedzieć, że Gibson zamierza uciec. Zawsze to robił.

– Co zmieniła w aktach? – zapytałem.

– Nie wiem. Idź do niej i zapytaj. Poproś o akta sprawy. Nie są tajne, można do nich zaglądać.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Poszedłem spotkać się z sędziną. Nie tylko nie otworzyła przede mną dębowych drzwi swojego gabinetu, ale także odmówiła mi, gdy chciałem zajrzeć do

oryginalnych akt, choć były one publicznie dostępne. Jej sekretarz powiedział mi, że sędzina nie wyda komentarza na temat sprawy, ponieważ być może będzie przewodniczyła rozprawie przeciwko Gibsonowi.

Wróciłem do redakcji i – we współpracy z kolegą, który zajmował się w „Detroit News” problematyką sądową – napisałem artykuł na ten temat. Z niewyjaśnionych przyczyn nasz tekst utknął na kilka kolejnych dni w oczekiwaniu na publikację. A gdy w następnym tygodniu pojawił się wreszcie w gazecie, był znacznie zmieniony i stonowany; opisywał zaledwie połowę prawdy na temat wytropionej przeze mnie historii. Przedstawiono w nim wyjaśnienia, których udzielił ktoś w imieniu sędziny, ale nie ona sama. Zamiast jej wypowiedzi wydrukowano słowa jej zwierzchnika, z których wynikało, że wszystko toczy się po myśli sądu.

W przemyśle medialnym takie decyzje redakcyjne podejmowane są nieustannie. Jednak tym razem, wbrew zwyczajowi, nikt nie konsultował ze mną wprowadzanych do artykułu zmian. Gdy udałem się do wydawców, by zażądać wyjaśnień, powiedziano mi, że oryginalny tekst „budził wątpliwości”.

Pracowałem w tej branży na tyle długo, że bez problemu przetłumaczyłem sobie ich słowa: „Nie chcemy wkurzać sędziny, jeśli nie mamy absolutnej pewności, że są do tego podstawy”.

Choć wydawcy mieli w tym swoją rację, ja miałem dość. Może nie byliśmy w stanie zaprowadzić porządku w Detroit, ale tutaj mieliśmy do czynienia z leniwą sędziną, która starała się o reelekcję, i przynajmniej z nią powinniśmy byli jakoś sobie poradzić. Jak długo mieliśmy zamiar mordować się, udając, że pływamy pod prąd tej rzeki gówna?

Zadzwoiłem po mojego kumpla woźnego i poprosiłem, by przyniósł na górę, do redakcji, kontener na śmieci. Gdy to zrobił, wrzuciłem do niego całą zawartość mojego biurka i wyszedłem.

Gdy szedłem w stronę schodów, spojrzałem na obwieszoną telewizorami ścianę newsroomu. To na tych ekranach oglądałem materiał o Kilpatricku i martwej striptizerce pierwszego dnia mojej pracy tutaj, prawie dwa lata temu.

Teraz ekrany telewizorów były czarne.

Gdy wyszedłem z budynku, zatrzymałem się, zapaliłem papierosa i oparłem o ścianę. Myślałem o tym, co właśnie zrobiłem. Wypiąłem się na gazetowy biznes i było mi smutno. Uwielbiałem być dziennikarzem i wierzyłem w słowa, które wyryto na piaskowcowym gzymsie budynku „Detroit News”: „Rzucamy wyzwanie

społecznemu sumieniu”.

Ale ta idea zmurszała jak stojący nieopodal pomnik Benjamina Franklina. Od Nowego Jorku po Los Angeles gazety były pożółkłe i stęchłe, zanim jeszcze zdążyły zjechać z prasy drukarskiej. Trapieni przez wciąż spadające czytelnictwo, coraz większe straty finansowe i ataki przeciwników wydawcy i redaktorzy wyrzekali się własnej osobowości i własnych poglądów, rozpaczliwie próbując nikogo niczym nie urazić. Dlatego nie było już żadnych powodów, by dalej ich czytać. Bezpieczeństwo ponad Prawdę. Gramatyka ponad Treść. Zwycięzcy i Luzerzy. Moje oczy powędrowały w dół i z postaci Franklina zeszły na wiszące nad wejściem żelazne kinkiety.

W ich środku urządziło sobie mieszkanie stado gołębi.

I W OGÓLE NIE MA JUŻ MIŁOŚCI?

Parę dni później odebrałem telefon od Lyvonne Cargill, matki Je'Reana. Powiedziała mi, że poprzedniej nocy zamordowano Chaise'a Sherrorsa, najlepszego przyjaciela jej syna. Był niewinnym obserwatorem – niemym świadkiem, który zarobił kulę w łeb, gdy stał na ganku i cesał komuś włosy.

– To się nie kończy... – powiedziała. – To ciche cierpienie.

Matka Chaise'a chciała z kimś porozmawiać; z kimkolwiek, kto byłby zdolny uwierzyć w to, że jej dzieciak był cokolwiek wart. Podjąłem się tego zadania, bo wiedziałem, że w tym znieczulonym na przemoc mieście nie weźmie go na siebie nikt inny.

Chaise mieszkał po drugiej stronie kompleksu przemysłowego Chryslera. On także, podobnie jak Je'Rean, miał wkrótce ukończyć Southeastern High. Był dobrym chłopakiem, który pokazywał dzieciakom z sąsiedztwa, jak używać elektrycznej maszynki do strzyżenia włosów, i marzył o tym, by otworzyć własny zakład fryzjerski. Następnego ranka po tym, jak został zastrzelony, na frontowym ganku domu Chaise'a w tajemniczy sposób znalazły się jego golarki – oczyszczone z włosów i błyszczące jak nowe. Nie dołączono do nich żadnej wiadomości.

Jeśli to w ogóle było możliwe, to okolica, w której mieszkał chłopiec, była jeszcze gorsza od tej, w której żył Je'Rean. Przejdź się półtora kilometra Mack Avenue, gdzieś od Alter Road w stronę Gratiot Avenue, a naliczysz trzydzieści cztery kościoły, tuzin sklepów monopolowych, sześć salonów piękności i zakładów fryzjerskich, jeden zakład pogrzebowy, jeden wielki – choć pracujący tylko na pół gwizdka – kompleks Chryslera oraz trzy tanie sklepy wielobranżowe. Ale nie znajdziesz ani jednego spożywczaka. W całym Detroit nie ma żadnych porządných sieciowych sklepów spożywczych.

Dom, który sąsadował z domem Chaise'a, był stertą gruzu, pachnącą spaloną sośniną i pomazaną białym sprayem przez zwolenników East Warren Crips. Dom po drugiej stronie ulicy znajdował się w bardzo podobnym stanie. I ten obok niego również. W środku całego tego gówna bawił się roczny bosy dzieciak.

Matka Chaise'a – Britta McNeal – siedziała na ganku i paląc jakieś pozbawione nazwy papierosy, wpatrywała się w dal niewidzącym wzrokiem. Podziękowała mi

za to, że przyszedłem, i pokazała mi swój czysty, dobrze utrzymany dom. Później przedstawiła mnie swojemu czternastoletniemu synowi De'Erionowi, którego szczątki spoczywały w ustawionej na kominku urnie. Rok temu strzelono mu w głowę. Umarł, a jego sprawy nigdy nie rozwiązano.

Na drugim końcu kominkowego gzymsu czekało już wolne miejsce, na którym miała stanąć urna z prochami Chaise'a.

– Wygląda to jak jakiś szatański zestaw dwóch podpórek dla książek – zasugerowałem.

– Wie pan co? Też tak pomyślałam – powiedziała przez łzy.

McNeal była córką pracownika zakładów samochodowych i pielęgniarki. Dorastała w spokojnej atmosferze szczęśliwych obietnic, jakie przed czarną klasą średnią roztaczało onegdaj Detroit. Ale, jak przyznała, sama sobie zamknęła drogę do szczęścia. W wieku piętnastu lat zaszła w ciążę. Później zapisała się do szkoły dla pielęgniarek, ale naukę udaremniły jej własne problemy zdrowotne. Szkoła przestała być priorytetem. Poza tym w tamtych czasach w Ameryce każdy, kto tylko chciał, mógł znaleźć sobie jakąś pracę.

Dopóki to się nie zmieniło. Teraz – jak wielu ludzi w całym naszym kraju – McNeal nie miała pracy, groziła jej eksmisja i nie miała żadnego miejsca, gdzie mogłaby się podziać.

– Chciałabym się stąd wydostać, ale nie jestem w stanie – powiedziała. – Nie mam pieniędzy. Utknęłam tu. Nie wszyscy doznajemy błogosławieństwa.

Spojrzała na swojego bosego wnuka, który wciąż bawił się w sąsiedniej ruinie. Zastanawiała się, czy uda mu się dożyć dorosłości.

– Wydzwaniałam w sprawie tych walących się domów, ale nikt z władz miasta nigdy się tu nie zjawił – stwierdziła.

McNeal zastanawiała się, jak zdoła zapłacić trzy tysiące dolarów za pogrzeb swojego syna.

– Rozpacz – zauważyła – to jest coś takiego, że czujesz, jakby ktoś złapał cię za gardło i wyrywał ci przez nie flaki.

Łatwo było obwiniać McNeal za to, w jakim sąsiedztwie i w jakich okolicznościach wychowywała swoich synów. Ale czy to ona odpowiadała za funkcjonariuszy policji z zepsutym sprzętem w służbowych samochodach? Za strażaków w dziurawych butach? Za karetki, które zawsze przyjeżdżały zbyt

późno? Za władze miasta, które nie potrafiły dopilnować, by działały latarnie uliczne, i które zostawiały opuszczone domy na pastwę zapalek podpalaczy? Za władze stanu, które pozwalały na to, by zostawione w kostnicach ciała układały się już w całe sterty? Za międzynarodowe korporacje, które wyprowadziły się z naszego miasta i zostawiły po sobie zatrute grunty? Za sędziów, którzy pozwalali kryminalistom chodzić wolno po ulicach? Za zarządców szkół, którzy kradli pieniądze przeznaczone na mleko dla dzieci? Za wybranych w wolnych wyborach urzędników, którzy okradali miasto? Za menedżerów przedsiębiorstw samochodowych, którzy nie potrafiliby kierować nawet spożywczakiem? Za naciągaczy z Wall Street, którzy zniszczyli ekonomię i zostawili ludziom w naszym kraju spadek w postaci niemożliwego do spłaty długu, a sami pojechali imprezować do South Hampton?

Czy można ją za to wszystko winić?

– Wiem, że społeczeństwo, patrząc na kogoś takiego jak ja, chce tylko tego, bym stąd zniknęła – powiedziała. – No, dalej! Wejdz do rzeki Detroit i utoń w jej wodach. Ale ja nie mogę tego zrobić. Ja żyję. I potrzebuję pomocy. Ale gdy wołam o pomoc, wydaje mi się, że nikogo tam nie ma... Wydaje mi się, jakby w ogóle nie było już miłości.

Zszedłem z ganku McNeal i odpaliłem silnik. Radio ustawione było na stację NPR i z głośników popłynęły szczebiotliwe dźwięki piosenki *A Prairie Home Companion*. Siedziałem i gapiłem się przez przednią szybę na chłopca w pieluszcze, który bawił się wśród ruin. Sięgnąłem do radia i wyłączyłem muzykę.

KŁAMCZUSZYSKO ZMYŚLA WSZYSTKO!

Faceta, który zapłacił menelowi dwadzieścia dolców za podpalenie domu, w którym zginął strażak Walt Harris, wprowadzono na salę sądową w asyście strażnika, który trzymał go za ramię.

Mario Willis ubrany był w spodnie od garnituru w szerokie pasy oraz marynarkę, która zwisała mu nisko do bioder. Do tego dobrał mokasyny z frędzlami, okulary w złotych oprawkach i stalowe kajdanki.

– Kto to jest, tatusiu? – zapisała moja trzyletnia córeczka.

– To pan, który zrobił coś złego – odpowiedziałem. – Pójdzie do więzienia.

Nie byłem już reporterem. Teraz znów byłem pełnoetatowym ojcem dziecka. Siedziałem z córką w domu, wychowywałem ją i zabierałem na wycieczki w teren, na których uczyła się, jak działa machina naszego miasta. Chciałem, by zobaczyła to, jak ta machina powinna działać – jak wygląda społeczeństwo, kiedy zdarza mu się funkcjonować prawidłowo. Chciałem, by zobaczyła dobrą stronę tego świata. Jeśli poranne przesłuchania w sądzie można było traktować jako coś dobrego.

I mówiąc szczerze, miałem tu także własną grę do rozegrania. Przecież przyłożyłem rękę do tego, by ten człowiek został ukarany. Chciałem poczuć, że zrobiłem coś, by przyczynić się do polepszenia sytuacji w Detroit. Chciałem poczuć... Myślę, że chodziło o to, bym mógł poczuć się szczęśliwy.

– Co zrobił ten zły pan? – zapytała znów swoim dziecięcym głosem moja dziewczynka.

Nawet Willis odwrócił się na chwilę, by zobaczyć, skąd dobiega ten głosik.

Podeszła do nas strażniczka.

– Na sali sądowej nie mogą przebywać dzieci – stwierdziła.

– Przepraszam, nie wiedziałem. Ona jest obywatelką tego miasta – powiedziałem z nadzieją w głosie.

Strażniczka zawahała się przez moment i rozejrzała wokoło. Otaczali nas umundurowani ludzie, którzy tłoczyli się na galeriach. Wyczuwając panujący na tej sali smutek, nieco się uspokoiła.

– Już dobrze, kochanie – powiedziała, patrząc na moją córkę. – Proszę tylko postarać się, by była cicho – dodała w moją stronę.

Powiedziałem córce, że teraz będziemy mówić szeptem.

Koledzy z remizy Harrisa – tłumiąc pod wąsem gniew – zasiadali na ławie przysięgłych. Wyglądali tak, jakby pozowali do jednego z tych starych srebrzystych dagerotypów z Dzikiego Zachodu: ciemnoocy, z wąsami i rozczochranymi włosami. Wydawało się, że któryś z nich lada moment wyskoczy z ławy, by poderżnąć Willisowi gardło.

Willis nie podniósł głowy, by na nich spojrzeć.

Moja córka także przyglądała się srogim mężczyznom w ławie przysięgłych.

– Kim oni są, tatusiu?

– To są strażacy.

– A dlaczego oni tu są?

– Chcą zobaczyć, co się stanie ze złym panem.

– A co zrobił zły pan, tatusiu? – pytała dalej.

– Zabił ich przyjaciela – odpowiedziałem. – To był też mój przyjaciel.

– O, nie – wyszeptała. – A jak umarł twój przyjaciel, tatusiu?

– W ogniu.

– A dlaczego rozpalił ogień?

– To nie on. To zły pan rozpalił ogień. Chciał spalić dom, bo miał za to dostać pieniądze.

– Czy to był wypadek, tatusiu?

– Nie, kochanie.

– Ale ten zły pan, on i tak jest miły. Prawda, tatusiu?

– Nie wiem, słonko – powiedziałem, całując ją w szyję. – Dlatego tu jesteśmy. Wszyscy razem tutaj zadecydujemy, czy jest miły.

– Czy twój przyjaciel jest teraz w niebie z Panem Bogiem?

– Na pewno tak – stwierdziłem.

Na salę rozpraw wszedł sędzia Callahan, mały Irlandczyk o kamiennej twarzy. Ludzie wstali.

– Kto to jest, tatusiu?

– To jest sędzia, kochanie. On zadecyduje, na jak długo zły pan pójdzie do więzienia za to, że zabił innego pana.

– Zabijanie nie jest dobre, prawda, tatusiu?

– Nie, nie jest dobre. Bóg mówi, że to jest najgorsza rzecz, jaką jeden człowiek może zrobić drugiemu.

– Tak, tatusiu. To jest bardzo złe.

– A to są prawnicy – wskazałem mojej córce. – Oni powiedzą, dlaczego ten pan powinien iść na długo do więzienia.

Moja córka szybko się znudziła prawnikami, tym, co mówili, ich zgłaszaniem sprzeciwów i wytycznymi do ustalenia wyroku. Dała nura pod ławkę, by bawić się na podłodze przyniesionymi zabawkami. Nie przeszkadzałem jej w tym.

W obronie Willisa przemawiała jego matka, a później pastor. Mówili o tym, jak bardzo załamałoby ich jego skazanie i jak bardzo byłoby ono niesprawiedliwe. Mówili o jego wierze i pracy z trudną młodzieżą. Mówili o Nagrodzie Ducha, jaką przyznał mu burmistrz miasta, który obecnie przebywał w więzieniu stanowym. „Willis jest jednym z najmocniejszych filarów tego miasta” – łkali zgodnie. „Jest uczciwym obywatelem”.

Po czym nadeszła najbardziej oburzająca część przedstawienia. Sam Willis. Z poważną miną mówił o swojej niewinności, pomimo tego, że człowiek, którego zatrudnił do podłożenia ognia, wskazał na niego jako obecnego na miejscu pożaru. Tamten menel-złota-rączka zeznał, że wcześniej wziął już raz pieniądze za podpalenie tego samego domu. Komórka Willisa także jednoznacznie wskazywała na to, że był tam wtedy obecny. Jednak żona oskarżonego zeznała, że tamtej nocy spał z nią w jednym łóżku, chociaż wśród połączeń wychodzących z jego telefonu było także połączenie z nią. Kobieta zeznała, że najwidoczniej musiał dzwonić, leżąc tuż obok.

Jego przemowa była tak słaba, tak obelżywa i tak śliska, że niektórzy przysięgli, którzy już wcześniej uznali Willisa za winnego, teraz – słuchając – syczeli jak węże.

– Wysoki Sądzie – rzekł Willis, stojąc na środku z nerwowo spoconą, ale poważną twarzą. – Wychowano mnie w duchu odpowiedzialności za popełniane czyny. Ale to jest... to nie ja, Wysoki Sądzie, nie mogę się do niczego przyznać, bo nie brałem w tym udziału. Podtrzymuję moje oświadczenie o niewinności.

Posuwając się do totalnej zniewagi, odwrócił się w stronę wdowy po Walcie Harrisie i zaczął mówić bezpośrednio do niej.

– Jest mi bardzo przykro, pani Harris. To potworna strata. Wie pani, jest mi naprawdę strasznie przykro, że to się wydarzyło. Chodzi mi o to, że pani i pani rodzina doznaliście największej straty, jaka może być. To straszne, że znalazła się pani w takiej sytuacji, ale to nie ja kazałem tamtemu mężczyźnie zrobić to, co zrobił. Nie odniosłem żadnej korzyści finansowej z tej sytuacji ani też nie włożyłem w to działanie żadnych własnych środków. Tyle chciałbym pani

powiedzieć od siebie.

Odwrócił się w stronę Callahana, którego twarz przybrała kolor popiołu.

– Chciałbym raz jeszcze podziękować za wysłuchanie mnie. Proszę o łaskę i chcę powiedzieć, że cała ta sytuacja mnie upokarza.

Wdowa łkała, patrząc na ubranego jak alfons mężczyznę, który odebrał jej piękno życia. Patrzyła na Willisa podpalacza, który dla zysku spalił kawałek tego miasta. Na Willisa, sługę bożego, który prosił o łaskę, ale nie potrafił spojrzeć jej w twarz i przyznać, że jego chciwość kosztowała ludzkie życie – życie jej męża.

Wszystko z nim było nie tak. Nie potrafił wziąć odpowiedzialności za życia, które zrujnował. Oskarżał innych. Chował się za sloganami i wykrętami. Był Kwame Kilpatrickiem. Był koncernem General Motors. Był Wall Street. Był współczesną Ameryką. Był oszustem.

Moja córka, słysząc łkanie wdowy, wspięła mi się na kolana.

Dotychczas porcelanowo biała cera sędziego, w momencie gdy wygłaszał wyrok, przybrała kolor purpury:

– W mieście Detroit jesteśmy doświadczani plagą podpaleń dla rozrywki, która znana jest jako Noc Diabła. Tej nocy straż pożarna wzywana jest nieustannie, by stawiała czoła setkom pożarów – zaczął złowrogo. – Ci strażacy muszą również walczyć z pożarami, które roznieca się dla zysku, z których korzyści chcą czerpać ci, którzy w ogóle na nie nie zasługują. Oskarżony zadał sobie wiele trudu, by uniknąć odpowiedzialności za podpalenie, które zlecił dla pieniędzy. Posunął się nawet do tego, by skłonić swoją żonę do krzywoprzysięstwa, które miało mu zapewnić alibi.

Moja córka, która w tej chwili stała na ławce, zaczęła mi szeptać do ucha.

– Dlaczego sędzia krzyczy, tatusiu?

– Sędzia jest zły, ponieważ tamten pan kłamie – odpowiedziałem.

– Jest kłamcą, tatusiu?

– Tak, jest kłamcą.

– Kłamczuszyśko zmyśla wszystko?

– Właśnie, królewno. Kłamczuszyśko zmyśla wszystko.

Sędzia Callahan skazał Willisa na czterdzieści dwa lata więzienia.

Ludzie często pytają o to, gdzie w Detroit można jeszcze znaleźć nadzieję. Jest właśnie tutaj. Właśnie na nią patrzyłem. W tym wypadku społeczeństwo

zareagowało prawidłowo, bo wszyscy tego chcieliśmy. Strażacy, policjanci, sędzia, ława przysięgłych, reporter. My – naród, który chce wychowywać nasze dzieci w pokoju i dobrym zdrowiu. My – naród, który chciałby przekazać przyszłym pokoleniom zasady przyzwoitości. Jak mówił George Orwell: ludzie lubią policjantów i strażaków, którzy gotowi są posunąć się do brutalnych zachowań i ryzykować życiem dla innych – innych, którzy dzięki temu mogą w nocy spokojnie spać. Chcemy ludzi, którzy wierzą w porządek i sprawiedliwość. Ludzi na tyle mądrych, że unikają kłamstwa, nawet jeśli wydaje się, że miałyby ono służyć jakiejś większej korzyści.

Obrzydliwy człowiek zabił naszego przyjaciela. A my wsadziliśmy go za kratki. Udało nam się uzyskać sprawiedliwość bez naruszania prawa. Tak jest dobrze. Koniec końców, jeśli chcemy naprawić różne rzeczy, musimy być gotowi na to, by powstać i powiedzieć to, co musi zostać powiedziane, a później zabrać się za trudną robotę, jaką jest sprzątanie całego tego syfu.

Gdy szedłem w stronę windy, zatrzymała mnie grupa strażaków, w której znajdował się również Nevin.

– Cześć, Charlie – przywitał mnie. – Dziękuję ci.

To był drugi raz w mojej karierze dziennikarza, gdy ktoś powiedział do mnie te słowa. „Dziękuję ci”. Za pierwszym razem zdarzyło się to w Strefie Zero, gdy z gruzów World Trade Center usuwano ostatnie szczątki. Wtedy usłyszałem te słowa od grupy robotników, którzy aż do tego momentu wydawali się mnie traktować jak intruza i dosłownie mnie nienawidzić.

– LeDuff, jesteśmy ci wdzięczni za to, że wymieniałeś nasze nazwiska – wykrzyknął jeden z nich, idąc przez bar i podając mi szklankę bourbona. – Dziękuję ci – cieszyłem się, że ten facet wie, jak się nazywam. To mi wystarczyło.

Teraz czułem dokładnie to samo.

– Proszę bardzo – odpowiedziałem.

Drzwi windy otworzyły się.

Razem z córką wszedłem do środka.

– Mogę nacisnąć guzik, tatusiu? – zapytała.

Na naszej drodze stała kobieta ubrana w bluzkę tak obcisłą, że opinała się na niej jak kondom.

– Przepraszam panią – odezwałem się.

Wyglądała jak Monica Conyers, radna-miejska-do-wynajęcia, która za kilka tygodni miała zostać skazana na karę więzienia.

Nic mi nie odpowiedziała i odwróciła się twarzą w stronę drzwi.
Moja córka nacisnęła guzik i wszyscy razem pojechaliśmy na dół.

EPILOG

Kwame Kilpatrick nie był pierwszym politykiem w Detroit, który doił to miasto, jak się tylko dało. Ten proceder trwał już od stu lat. I nie chodziło tylko o polityków. Chodziło także o szefów związków zawodowych, przedsiębiorców, przemysłowców, recepcjonistów oraz innych członków rodziny i znajomych królika. Każdy dostawał swój kawałek tortu i wszystko było w porządku, dopóki Detroit spało na pieniądzach. Mieliśmy wtedy wystarczająco dużo czeków, by zasłonić nimi szczelnie wszystkie nasze problemy.

Ale teraz już ich nie mamy. W tym samym czasie, gdy moja książka już była w druku, Detroit pograżyło się we mgle bankructwa i zarządzane było przez powołanego z pominięciem wyborów gościa od sytuacji krytycznych. Historia naszego bankructwa jest największym precedensem w historii amerykańskiej gospodarki. Ponieważ nie może już niczego od nikogo pożyczyć, Miasto Silników nie jest w stanie wypłacać emerytur ani dawać pieniędzy na ubezpieczenie swoich byłych i obecnych pracowników.

By wywiązać się choć z podstawowych zobowiązań, Detroit pozwoliło na to, by karetki pogotowia zniszczały do szczeru, a wozy strażackie na dobre zamieszkały w garażach. Nie było pieniędzy na przeprowadzanie ich inspekcji, a towarzyszące ekipom ratowniczym oddziały policji nie miały radiostacji, przez które mogłyby się kontaktować podczas akcji. W tym samym czasie takie miejsca jak Los Angeles znalazły się w takiej samej, jeśli nawet nie w gorszej, sytuacji. Jest tak, jak mówiłem: Detroit pierwsze odniosło sukces i pierwsze doznało klęski, ale nigdy nie było samo.

Kilpatrickowi postawiono dwadzieścia cztery zarzuty: od wymuszeń, przez zorganizowaną działalność przestępczą, po łapówkarstwo. Prowadzone przezeń projekty przypominały działalność regularnej mafii. Kilpatrick okradał najbiedniejszych Amerykanów, jednocześnie próbując wykorzystywać Eight Mile, choć najwięksi z jego popleczników wywodzili się z grupy białych przemysłowców, czerpiących zyski z całego tego wielkiego zamieszania. Całość wyglądała na pięknie przygotowaną sztukę teatralną, która zebrała jednak fatalne recenzje.

Kilpatrick został skazany na dwadzieścia osiem lat więzienia. Jest to najdłuższy wyrok za korupcję, jaki kiedykolwiek wydano w naszym kraju.

Monicę Conyers wysłano na trzy lata do Camp Cupcake, więzienia stanowego o złagodzonej rygorze w Zachodniej Wirginii. To dość lekkie więzienie. Martha Stewart za składanie fałszywych zeznań FBI odsiedziała tam swoje pięć miesięcy^[15] i udało jej się w tym czasie stracić nieco na wadze. Nigdzie nie widać drutów kolczastych, a osadzonym zapewnia się nawet suszarki do włosów. Ale Madam Conyers zdecydowanie nie była zadowolona. Pisała listy do prasy, w których narzekała, że przy obiedzie nie może dostać dokładki. Pisała, że się tam nudzi. Prosiła sędziego federalnego, by resztę wyroku pozwolił jej spędzić w areszcie domowym, gdzie mogłaby pilnować syna, który nigdy nie pamiętał o koszeniu trawnika. Prośba została odrzucona. W końcu dostała zwolnienie warunkowe i przez jakiś czas musiała pracować w warsztacie samochodowym.

Naczelnik Evans i jego kariera zdołali przetrwać aferę z zastrzeleniem małej Aiyany. Przez te lata, w których dowodził policją naszego miasta, udało mu się zmniejszyć liczbę morderstw. Był to rzeczywisty sukces, a nie przez prokurowanie kolejnych kłamstw na temat liczby zabitych czy ukrywanie się za stekiem bzdur i wymówek, jak robili to jego poprzednicy. Sprawił, że policjanci zaczęli się bardziej starać i musieli brać odpowiedzialność za swoją pracę. Obywatele narzekali, że policja stała się nieustępliwa, ale przynajmniej mogli narzekać, bo wciąż żyli.

Naczelnik Evans mógłby pracować jeszcze długo po wypadku z zastrzeleniem dziewczynki, gdyby nie to, że skusiły go światła Hollywood. Okazało się, że przygotowywał odcinek pilotażowy *reality show*, które miało nosić tytuł *Naczelnik*.

Sześciominutowa demówka zaczyna się od ujęcia Evansa, który – ubrany w pełny rynsztunek bojowy – stoi przed budynkiem dworca Michigan Central Rail Depot z półautomatycznym karabinem w rękach i wygłasza płomienną deklarację, iż „zrobi wszystko, co konieczne”, by przywrócić spokój na ulicach Detroit. Evans został zwolniony.

Jednak w jego obronie należy powiedzieć, że – jak się wydaje – zdołał zrozumieć jedną rzecz: iż po upadku przemysłu samochodowego i załamaniu na rynku nieruchomości Detroit musi znaleźć nowy towar eksportowy, bo rozpaczą i nędzą długo nie pohandluje.

Porucznik Mike Nevin wygrał proces, jaki wytoczył miastu i odzyskał pracę. Wciąż zajmuje się wchodzeniem do płonących budynków. Komisarz straży

pożarnej James Mack oraz jego podwładni zostali zwolnieni po moim doniesieniu o tym, iż byli zamieszani w próbę zatuszowania kradzieży portfela przez jednego ze strażaków. Na miejsce Macka przyjechał z Los Angeles nowy człowiek. Kradzieże ustały, ale wszystko inne zostało po staremu.

Tymczasem Detroit wciąż toczy swoją walkę o przetrwanie. W pierwszej dekadzie XXI wieku miasto opuściło ćwierć miliona ludzi, co oznacza, że jego populacja spadła poniżej siedmiuset tysięcy i jest najniższa od stu lat.

Następca Evansa – naczelnik Ralph Godbee – prezentował nieco delikatniejsze podejście do pilnowania porządku publicznego. Jak można się było spodziewać, spirala zbrodni tak się nakręciła, a liczba zabójstw osiągnęła taki poziom, iż nie pozostały one bez znaczenia dla problemu spadku populacji. Znow zaczęto przekłamywać statystyki dotyczące przestępczości. Sam Godbee, który po godzinach dorabiał jako kaznodzieja, z dnia na dzień przeszedł na emeryturę, kiedy wyszło na jaw, że sypiał z niezliczonymi zastępami funkcjonariuszek.

General Motors i Chrysler wciąż robią samochody. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki amerykańskim podatnikom, którzy swoimi pieniędzmi nieustannie wyciągają ich z kłopotów (nie zmienia to jednak faktu, że firmy wciąż są zadłużone na miliardy dolarów). Nie bez znaczenia jest też wkład kredytodawców, którzy zainwestowali w koncern, w zamian nie otrzymując prawie nic. Ford znow okazał się dochodowy. I po raz pierwszy w historii zdarzyło się, że w Stanach Zjednoczonych sprzedano mniej samochodów niż w Chinach.

American Axle przeniósł większość istniejących jeszcze stanowisk pracy z Detroit do innych stanów i krajów. Akcje poszły w górę, a dla fabrycznych budynków w Detroit przygotowano już harmonogram wyburzania.

Jestem pewien, że Detroit dalej będzie trwało. Tak jak Rzym. Ale nie potrafię powiedzieć, czym będzie ani kto będzie w nim żył. Mamy tu przynoszące zyski zakłady samochodowe. Przynoszący co najmniej sto pięćdziesiąt miliardów dolarów handel z Kanadą odbywa się drogą, która prowadzi przez most należący do Matty'ego Morouna. W centrum rozpoczęto rewitalizację. Federalni pomagają nam uporać się z polityczną korupcją i finansami.

Ale niewykształcone i nikomu niepotrzebne istoty ludzkie będą musiały znaleźć sobie jakieś inne miejsca do życia i pracy. Być może nastąpi wielka remigracja na Południe. Tam przynajmniej nie trzeba płacić dużych rachunków za ogrzewanie.

Smutkiem napełniła mnie wiadomość, że sierżant Mike Martel – detektyw z wydziału zabójstw – zginął w wypadku, gdy stracił kontrolę nad prowadzonym

motorem i uderzył w słup telefoniczny. Jego wielkie serce oddano komuś na przeszczep. Mój kuzyn Johnny także zmarł w wypadku drogowym. Nie wiem, co stało się z jego organami.

Mój brat Frankie ma nowy dom i nowy używany samochód. Uczy teraz w college'u. Mój brat Bill zajmował się załatwianiem angaży wybitnym mówcom motywacyjnym, dopóki ktokolwiek jeszcze miał motywację, by ich słuchać. Teraz pracuje przy książkach telefonicznych. Mój brat Jim też ciężko tyra. Mój ojczym zmarł, więc matka jest teraz wdową. Damy sobie wszyscy radę. Na Joy Road wychowuje się silnych ludzi.

Zostało wciąż jedno miejsce, w które musiałem się udać – dzielnica Brightmoor. Dzielnica, w której umarła moja siostra. Musiałem wrócić raz jeszcze do baru, w którym matka – tak elegancka w swoim płaszczu z szopa – zasiadła wśród brudu ścian i brudnych ludzi, sącząc Jacka Danielsa i starając się znaleźć jakieś wytłumaczenie dla zrujnowanego życia swojej córki. Nie udało jej się jednak niczego znaleźć i wróciła do domu ze złamanym sercem.

Od momentu powrotu do Detroit, wszędzie widuję moją siostrę – w każdej dzikiej, wałęsającej się po ulicy, młodej białej kobiecie i w każdej starej kobiecie, która zamyka się w domu. Przez dziesięć lat udało mi się unikać tamtej okolicy, ale w końcu musiałem się skonfrontować ze swoi upiorem. Bo zmarła siostra była dla mnie ważna tak samo, jak ważni są ludzie, którzy wciąż żyją. Wciąż tu jesteśmy i będziemy tu zawsze. Potrzebowałem znaleźć odpowiedź, choć nawet nie umiałem zadać pytania.

Bar Płomień mieścił się w sąsiedztwie ulic Five Mile i Telegraph, w dalekiej, zachodniej części miasta. Choć zlokalizowane jest tam wielkie skrzyżowanie, bardzo trudno jest znaleźć to miejsce; Detroit znajduje się w tak opłakanym stanie, jakby ktoś złapał je za włosy i przewłóczył po schodach trzy piętra w dół. Jechałem samochodem, mijając rzędy potrzaskanych witryn sklepowych, stada wałęsających się psów, niepotrzebne nikomu kościoły i włączące się prostytutki, aż w końcu zauważyłem wielką, pomalowaną na różowo ścianę z pustaków. Drzwi stały otworem, parking był pełen samochodów. Nad wejściem nie było żadnego szyldu.

Zatrzymałem się. Na ulicę wypływały dźwięki soulu. Śpiewał wielebny Al Green. To miejsce było na swój sposób piękne – przynajmniej na tyle, na ile mogło być. Było jak stokrotka na środku spopielonego pola.

Podszedłem do grupy czarnych mężczyzn, którzy stali przy ciężarówce Forda i palili papierosy. Jeden z nich schował za siebie zawiniętą w papier butelkę z wódką, jakby bał się, że jestem gliniarzem.

– Szukam baru Flame – powiedziałem. – Pamiętam, że to było gdzieś tutaj w pobliżu.

– To tu kiedyś był bar Flame – odpowiedział jeden z facetów, którego możemy nazwać Tyronem. – Czego ci trzeba?

– Nie wiem – stwierdziłem, po czym opowiedziałem o mojej siostrze i o tym, co czuję.

Podejrzliwy facet nieco zmiękł. Wręczył mi butelkę.

– Bar zmienił nazwę sześć lat temu – zaczął mówić Tyrone. – Próbowali zmienić tę dziurę w miłe miejsce. Raczej trudno powiedzieć, że im się to udało. Ale co zrobisz? Raczej nie masz co liczyć na reinkarnację, więc musisz sobie jak najlepiej radzić teraz z tym, co masz. Rób, co w twojej mocy, i staraj się być dobrym człowiekiem. Łapiesz?

Łapałem. Żyjemy tu i teraz. To, co z tym zrobisz, zależy tylko od ciebie. Rób, co w twojej mocy. Staraj się być dobrym człowiekiem. I żyj.

Wszedłem do baru. Było to czyste, słabo oświetlone miejsce. Nad stołem do bilardu wisiała żarówka. Do lustra przyczepiono zdjęcia artystów muzyki soul. Ludzie śmiali się. Wejście do toalety było wyposażone w drzwi, co było kolejną innowacją od czasu, gdy byłem tu po raz ostatni. Tyrone postawił mi drinka.

Przez otwarte drzwi widziałem zachodzące słońce. Choć ogólnie czułem się tu dobrze, przypomniałem sobie to, co powiedziała mi spotkana w pobliżu meczetu prostytutka: „Nie pracuję po zmierzchu. Przez tych szalonych skurwieli, którzy gdzieś tam się czają”.

Postawiłem kolejkę i wyszedłem. Pojechałem na północ, w górę ulicy, szukając pustej działki, na której zginęła moja siostra. Po tym, jak wypila ostatniego drinka w swoim życiu, siostra odjechała z obcym mężczyzną. Ostatnia scena musiała być pełna szaleństwa, adrenaliny i demonicznych, purpurowych oparów. W ostatniej chwili wyskoczyła z auta. Prosto na drzewo.

Znalazłem tę działkę. Zaparkowałem samochód i nie zamknąłem go na klucz. Nie wydawało mi się, by było to konieczne. Okolica była zupełnie opuszczona, pełna wypatroszonych skorup domów, które kiedyś zamieszkiwała klasa średnia. Ostatnim razem, gdy byłem tu z matką, te domy były jeszcze zamieszkałe. Upadek nadszedł bardzo szybko. To było jak tsunami. Nie wiem, czy tym, co zrujnowało to

miejsce, były narkotyki czy zwykłe zaniedbanie. Czy chodziło o to, że skończyła się praca przy samochodach, czy o to, że Wall Street wyruchało klasę średnią? A może po prostu ludzie się poddali? Nie wiem. Ale patrzenie na to boli. Marność. Wszystko marność.

Zarastająca działkę trawa sięgała mi szyi. Była tak wysoka, że nie byłem w stanie dostrzec drzewa. Komary chciwie mnie kąsały.

Stałem na środku pola, myśląc o mojej siostrze i jej zdjęciu z czasów, gdy należała do szkolnej drużyny koszykówki. Ubrana w sięgające kolan skarpetki i zieloną koszulkę bez rękawów z napisem LOWELL LANCERS na piersi, kozłowała piłkę i uśmiechała się do obiektywu. Pomyślałem o mojej własnej córce, która w pewnym sensie jest podobna do mojej siostry. Myślałem o moich przodkach i tym wszystkim, co zrobili, bym kiedyś pojawił się w tym miejscu, w którym teraz byłem. Myślałem o tym wszystkim, paliłem papierosa i trochę popłakiwałem.

Nagle się przestraszyłem, bo w trawie coś zaszeleściło. Ktoś lub coś szło w moją stronę, ale w wysokich chaszczach nic nie było widać. Zacząłem panikować, bo uświadomiłem sobie, że stoję na środku pustego pola i nie mam żadnej broni, żadnego noża, tylko długopis.

Szaleni skurwiele, którzy gdzieś tam się czają.

Nagle zatrzymał się parę kroków ode mnie. Stał na wprost mnie i w ogóle się nie bał. Płowy jelonek, śliczne małe zwierzątko, które sięgało mi ledwie do połowy uda. Miał okrągłe czarne oczy, które wydawały się nie pasować rozmiarem do jego czaszki.

Na tym pokrytym powojem i dziką trawą polu śmierci to było coś, o czym mówił Tyrone. Nie ma co liczyć na reinkarnację, więc bierz, co najlepsze z chwili, którą masz teraz.

Ja też nie wierzę w reinkarnację, ale wierzę w dawane nam znaki.

– Cześć, dzieciaku – wyszeptałem w stronę jelonka. – Gdzie twoja mama?

Stworzenie wciągnęło powietrze w nozdrza i, niezadowolone z mojego zapachu, odwróciło się ode mnie. A po chwili wbiegło w dzikie miasto.

PODZIĘKOWANIA

Ziarno nie wyrasta samo. Książki też same się nie piszą. Chciałbym więc podziękować ludziom z Detroit w amerykańskim stanie Michigan; zwłaszcza tym, którzy zechcieli się ze mną podzielić swoimi historiami. Jesteście wspaniałym, dumnym narodem.

Chcę podziękować mojej matce Evangeline, która nauczyła mnie wypowiadać pierwsze słowa, opowiadała mi nasze rodzinne historie i pokazała, jak zapisywać nasze nazwisko. Jesteś świetna, mamo.

Dziękuję też moim braciom – Jimowi, Frankowi i Billy’emu. Bez was wyrósłbym na mięczaka.

Mojej żonie Amy dziękuję za to, że znosiła wszystkie moje wzloty i upadki. Dzięki, że trzymałaś mnie za rękę, kochanie.

Część zamieszczonych w tej książce tekstów ukazała się wcześniej w „Detroit News” i „Mother Jones”. Dziękuję wydawcy i redaktorowi „News”, Jonowi Wolmanowi, i Gary’emu Milesowi za to, że sprowadzili mnie z powrotem do domu.

Dziękuję moim kolegom z „News” – zwłaszcza Maxowi Ortizowi i Elizabeth Conley za ich świetne wycucie fotograficzne i przyjaźń, którą wspierali mnie przez te wszystkie zimne noce. Bob Houlihan, Paul Egan, Joel Kurth, George Hunter, Doug Guthrie i Laura Berman niech zechcą przyjąć podziękowania za swoją życzliwość i spojrzenie z zewnątrz.

Claro Jeffery z „Mother Jones” – dziękuję, że pomogłaś mi to dostrzec.

Scott Burgees stworzył dla mnie długi opis tego, co działo się na targach samochodowych w Los Angeles. Sporo tego materiału zacytowałem w książce. Bardzo doceniam jego pomoc i spostrzegawczość.

Todd Schindler służył mi bystrością spojrzenia i solidnym wsparciem w chwilach, gdy wszystko stawało się bardzo trudne. A Bobowi Parisowi zawdzięczam tytuł mojej książki.

Niech moje podziękowania przyjmą Sloan Harris i Ann Godoff. Gdyby nie ich silne ramiona, ta łódź na pewno by zatoneła.

Danny Frazierze, zapamiętaj, co mówi znak: *Zostań tutaj*.

Dziękuję braciom Mongo – Adolphowi, Larry’emu i Skipowi. Wasza cicha grupa brzegi rwie.

Podziękowania należą się też kobietom i mężczyznom z Wydziału Policji w Detroit. Szczególnie serdecznie dziękuję Mike’owi Carlisle’owi, Tony’emu Wrightowi, Mike’owi Martelowi i wszystkim tym ludziom w mundurach, których nazwisk nie wolno mi podać. Wiecie, o co chodzi. Szacunek!

Dziękuję kobietom i mężczyznom z Wydziału Straży Pożarnej w Detroit – Mike’owi Nevinowi, Wisamowi Zeinehowi i wszystkim tym szalonym skurczybykom, którzy robią swoją robotę, bo ktoś ją zrobić musi.

Dziękuję każdemu pomocnemu nauczycielowi i każdemu szczeremu politykowi.

Claudette – pamiętaj, skąd jesteś, dziewczyno. Każdy ptak w którymś momencie życia musi wrócić do swojego gniazda.

PRZYPISY

- [1] Określenie uprzemysłowionych terenów na północnym zachodzie USA (przyp. red.).
- [2] Niedbale wymówiona nazwa ulicy Gratiot rzeczywiście może zabrzmieć jak „grashit”. Jest to nieprzetłumaczalna gra słów. *Shit* oznacza „gówno, syf”. Ulica Gratiot jest wedle narratora brudną, niebezpieczną i odrażającą okolicą (przyp. tłum.).
- [3] Taxed Enough Already Party, zwana też TEA Party, jest ruchem sprzeciwiającym się m.in. nowym obciążeniom podatkowym po kryzysie z 2008 roku. Jej nazwa nawiązuje do tzw. herbatki bostońskiej z 1773 roku, kiedy koloniści z Bostonu wrzucili do morza ładunek brytyjskiej herbaty, protestując przeciwko polityce finansowej Korony wobec nich (przyp. red.).
- [4] W oryginale: *step’n’fetchit*. Gra słów odnosząca się do postaci Stepina Fetchita – czarnoskórej gwiazdy amerykańskiego kina z pierwszej połowy XX wieku. Fetchit był postacią kontrowersyjną – zarówno jego pseudonim (który aktor wziął od konia wyścigowego o imieniu Step and Fetch It, co przetłumaczyć można jako „leć i przynieś”), jak i kreowane przezeń postaci potwierdzały bowiem najgorsze stereotypy dotyczące Afroamerykanów (przyp. tłum.).
- [5] Nawiązanie do słynnego trawiastego pagórka, z którego – wedle niektórych teorii – strzelano do prezydenta Kennedy’ego. Później „trawiasty pagórek” stał się frazą oznaczającą wszelkie gorąco dyskutowane teorie spiskowe (przyp. tłum.).
- [6] Biały anglosaski protestant – synonim ludzi z wyższych sfer (przyp. red.).
- [7] Pierwotnie napis głosił MOTOR CITY INDUSTRIAL PARK – Park Przemysłowy Miasta Silników. Po usunięciu liter można go swobodnie zinterpretować jako MOOR CITY NEUTRAL PARK – Jałowy Park Miasta Zarazy (przyp. tłum.).
- [8] Siedziba burmistrza Detroit (przyp. red.).
- [9] Nieprzetłumaczalna gra słów. W oryginale mowa jest o tym, że termin „negatywna amortyzacja” (ang. *negative amortization*) skracany był do frazy *Neg Ams*, co – niedbale wymówione – przypomina slangowe słowo *Niggas* – „czarnuchy” (przyp. tłum.).
- [10] *Blaxploitation* – złożenie słów *black* i *exploitation* – to gatunek filmowy, który powstał we wczesnych latach siedemdziesiątych. Stanowił nurt kina afroamerykańskiego i zajmował się głównie problemem wyzysku czarnej ludności w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).
- [11] Drugi List do Koryntian: 5,8; tłumaczenie tego i kolejnych cytatów według Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.).
- [12] Jim Crow (co przetłumaczyć by można jako Jaś Wrona) to pogardliwa nazwa, jaką w USA nadawano czarnoskórym (przyp. tłum.).
- [13] Psalm 23, 4 (przyp. tłum.).
- [14] Ewangelia wg św. Mateusza, 7, 7 (przyp. tłum.).
- [15] Martha Stewart jest amerykańską gwiazdą mediów, bizneswoman i właścicielką wielkiej fortuny. W 2003 roku była podejrzewana o nielegalne transakcje papierami wartościowymi. Sąd odstąpił od zarzutu, ponieważ

nie znaleziono wystarczających dowodów, została jednak skazana na pięć miesięcy więzienia za utrudnianie śledztwa. Karę odbyła na przełomie 2004 i 2005 roku w tym samym więzieniu, w którym później siedziała Monica Conyers (przyp. tłum.).